

THRILLER PSYCHOLOGICZNY

WIEM,
KTO ZABIŁ
MOJĄ SIOSTRĘ.

NAPISAŁAM
TĘ POWIEŚĆ
DLA NIEGO.



PUŁAPKA

Melanie Raabe



PUŁAPKA

Melanie Raabe

Przełożył Paweł Masłowski

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2016

Spis treści

[Okładka](#)

Strona tytułowa

[Strona redakcyjna](#)

1 - JONAS

4 - SOPHIE

6 - Jonas

9 - Jonas

10 - SOPHIE

12 - SOPHIE

14 - JONAS

17 - SOPHIE

19 - JONAS

22 - SOPHIE

23 - JONAS

24 - SOPHIE

25 - JONAS

26 - SOPHIE

27 - SOPHIE

28 - JONAS

29 - SOPHIE

30 - JONAS

Epilog - SOPHIE

„Nina Simone“

(w opublikowanej wersji pominięte)

Tytuł oryginału
DIE FALLE

Redakcja
Robert Sudół

Projekt okładki
Design © by Ami Smithson, Pan Macmillan Art Department

Adaptacja okładki
Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce
Front cover photograph © Gilles Leimdorfer/Plainpicture; Back cover photograph © Plainpicture; Butterfly©Shutterstock

Korekta
Małgorzata Denys, Maciej Korbasiński

Redaktor prowadzący
Małgorzata Głodowska

Copyright © 2015 by btb Verlag, München a division of Verlagsgruppe Random House GmbH, München, Germany
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2016

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-154-3

Wydawnictwo
**CZARNA
OWCA**
www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

1

Nie jestem z tego świata.

Tak przynajmniej mówią ludzie. Tak jakby istniał tylko jeden świat.

Stoję w mojej wielkiej, pustej jadalni, w której nigdy nie jem, i patrzę na zewnątrz. Pokój znajduje się na parterze, przez wielki przeszklony front widać łąkę za moim domem i skraj lasu. Czasami można zobaczyć sarny. Lisy.

Jest jesień i kiedy tak sobie patrzę przez okno, mam wrażenie, jakbym patrzyła w lustro. Crescendo kolorów, jesienna burza, która kołysze drzewami, która jedne gałęzie ugina, inne łamie. Dramatyczny i piękny dzień. Przyroda też zdaje się wyczuwać, że wkrótce coś dobiegnie kresu. Ostatni raz gwałtownie protestuje, mobilizując wszystkie siły, wszystkie kolory. Wkrótce będzie rozpościerać się przed moim oknem cicha i nieruchoma. Promienie słońca zastąpi wilgotna szarość, w końcu mroźna biel. Ludzie, którzy mnie odwiedzają – moja asystentka, mój wydawca, moja agentka, w zasadzie nikt więcej – będą narzekać na słotę i zimno. Na to, że musieli najpierw zeszkrobać skostniałymi palcami szron z szyb, a dopiero potem mogli wyruszyć w drogę. Na to, że jest jeszcze ciemno, gdy wychodzą rano z mieszkania, i że znowu jest ciemno, gdy wracają wieczorem do domu. Dla mnie tego typu rzeczy nie mają żadnego znaczenia. W moim świecie, czy to zima, czy lato, jest dokładnie 23,2 stopnia. W moim świecie jest zawsze dzień, nigdy noc. Tu nie ma deszczu, śniegu, zziębniętych palców. W moim świecie jest tylko jedna pora roku i nie znalazłam jeszcze dla niej nazwy.

Ta willa to mój świat. Pokój z kominkiem jest moją Azją, biblioteka Europą, kuchnia Afryką. Ameryka Północna leży w gabinecie, gdzie pracuję. Moja sypialnia to Ameryka Południowa, a Australia i Oceania leżą na tarasie. Odległe o parę kroków, ale całkowicie niedostępne.

Nie opuściłam tego domu od jedenastu lat.

O przyczynach tego stanu rzeczy można przeczytać w każdej gazecie, nawet jeśli w tej czy innej publikacji nieco przesadzono. Jestem chora, tak. Nie mogę

opuścić domu, to prawda. Ale nie jestem zmuszona żyć w absolutnej ciemności i nie śpię w namiocie tlenowym. To jest do zniesienia. Wszystko jest uporządkowane. Czas jest jak rzeka, ogromna i łagodna, pozwalam się unosić przez nurt. Tylko Bukowski wprowadza czasem trochę chaosu, gdy szaleje na łąkach w deszczu i wnosi do środka trochę ziemi na łapach i kilka kropel wilgoci na sierści. Uwielbiam przeciągać dłońią po jego szorstkiej sierści i czuć na skórze wilgoć pod spodem. Lubię brudne ślady innego świata, które Bukowski zostawia na kafelkach i parkiecie. W moim świecie nie ma ziemi, nie ma drzew, nie ma łąk, nie ma królików ani promieni słońca. Śpiew ptaków płynie z taśmy, słońce świeci w solarium w mojej piwnicy. Mój świat nie jest rozległy, ale bezpieczny. Tak przynajmniej myślałam.

2

Trzęsienie ziemi przyszło we wtorek. Nie było żadnych wstrząsów wstępnych. Żadnego ostrzeżenia.

Podróżowałam właśnie po Włoszech. Często podróżuję. Najłatwiej przychodzi mi przemierzać kraje, w których już byłam, a we Włoszech byłam często. Więc od czasu do czasu tam wracam.

Włochy to kraj piękny i zarazem niebezpieczny, bo przypomina mi o mojej siostrze.

O Annie, która zakochała się we Włoszech na długo, zanim po raz pierwszy tam pojechała. Która jako dziecko zdobyła nagrania z kursem włoskiego i słuchała tych kaset tak często, aż były całkowicie zgrane. O Annie, która jako nastolatka po krętych zaułkach naszego rodzinnego niemieckiego miasteczka szalała na kupionej za uciulane pieniądze vespie z taką brawurą, jakby pokonywała wąskie uliczki Rzymu.

Włochy przypominają mi o siostrze i o tym, jak sprawy miały się wcześniej, zanim nastał mrok. Nieustannie próbuję odpędzać myśli o Annie, ale są lepkie jak staroświecki lep na muchy. Inne posępne myśli przyklejają się do nich w sposób nieunikniony.

Więc jednak Włochy. Na cały tydzień zaszyłam się w trzech leżących obok siebie pokojach gościnnych na piętrze, z których nigdy nie korzystam i do których rzadko zaglądam, i ogłosiłam je terytorium Italii. Puszczalam odpowiednią muzykę, oglądałam włoskie filmy, czytałam monografie na temat kraju i jego mieszkańców, wszędzie wokół porozrzucałam albumy, każdego dnia kazałam specjalnie wynajętej w tym celu firmie cateringowej dostarczać kulinarne specjalności z różnych regionów kraju. I wino. Ach, wino. Ono sprawia, że moja Italia jest niemal prawdziwa.

Idę uliczkami Rzymu w poszukiwaniu tej wyjątkowej restauracji. W mieście jest upalnie i duszno, jestem zmęczona. Zmęczona płynięciem pod prąd strumienia turystów, wyczerpana odganianiem niezliczonych ulicznych handla-

rzy, wyczerpana pięknem wokół mnie, które chłonełam łapczywie. Kolory wprawiały mnie w zdumienie. Szare chmury wiszą nisko nad Wiecznym Miastem, a pod nimi płynie matowa zieleń Tybru.

Musiałam zasnąć, bo gdy się zbudziłam, film dokumentalny o starożytnym Rzymie, który oglądałam, dawno się skończył. Jestem na wpół przytomna, z trudem dochodzę do siebie. Nie pamiętam, żebym o czymś śniła, ale z trudem wracam do rzeczywistości.

Dzisiaj rzadko mi się coś śni. W pierwszych latach po wycofaniu się z rzeczywistego świata miałam intensywniejsze sny niż kiedykolwiek wcześniej. Zupełnie tak, jakby mój mózg chciał zrekompensować w nocy niedobór bodźców, którego doświadczał w ciągu dnia. Wymyślał dla mnie najbarwniejsze przygody, tropikalne lasy deszczowe z mówiącymi zwierzętami. Miasta z mieniącego się kolorami szkła zaludnione przez mieszkańców obdarzonych czarodziejskimi mocami. Moje sny zawsze były na początku jasne i pogodne, ale wcześniej czy później zmieniały barwę, jak bibuła zanurzona w atramencie, najpierw niemal niezauważalnie, bardzo powoli. W tropikalnym lesie opadały liście, a zwierzęta milkły. Kolorowe szkło stawało się nagle ostre jak brzytwa, kaleczyło palce, niebo przybierało groźną barwę jeżyn. I prędzej czy później pojawiał się on. Monstrum. Czasami tylko jako niejasne i nieuchwytnie poczucie zagrożenia, czasami jako coś na skraju mojego pola widzenia, tylko zarys. Czasami gonił mnie, a ja pędziłam, nie oglądając się za siebie, ponieważ nie mogłam znieść widoku jego twarzy, nawet we śnie. Kiedy spojrzałam wprost na niego, wtedy umierałam. Za każdym razem. Umierałam i budziłam się, łapiąc ustami powietrze jak tonący. Później, w pierwszych latach, gdy jeszcze nawiedzały mnie te sny, było bardzo trudno przegnać nocne myśli, które zagnieździły się w moim łóżku jak wrony. A potem nie umiałam już inaczej. Nieważne, jak bolesne były te wspomnienia – myślałam w tych momentach o niej, o mojej siostrze.

Żadnych snów, żadnych potworów dzisiejszej nocy, a mimo to czuję niepokój. W mojej głowie powtarza się jako echo jedno zdanie, którego nie mogę do końca pojąć. Jakiś głos. Mrugam sklejonymi powiekami, orientuję się, że moja prawa ręka zdrętwiała, ugniatam ją, próbuję przywrócić ją do życia. Telewizor jest ciągle włączony i stąd ten głos, który wkradł się do mojego snu i który mnie obudził.

Jest to męski głos, równomierny i beznamiętny, jak to zazwyczaj w kanałach informacyjnych, które nadają czasem te piękne filmy dokumentalne, tak bardzo przeze mnie lubiane. Podnoszę się z trudem, szukam po omacku pilota, nie znajduję go. Moje łóżko jest ogromne, moje łóżko jest jeziorem, tyle poduszek i koców, albumów i cała armada pilotów: od telewizora, od tunera, od odtwarzacza DVD i dwóch wieloformatowych Blue-Ray, od wieży audio, od nagrywarki DVD i od starego magnetowidu VHS. Prycham z rezygnacją, głos w wiadomościach opowiada mi o wydarzeniach na Bliskim Wschodzie, o których nie chcę nic wiedzieć, nie teraz, nie dzisiaj, jestem na wakacjach, jestem we Włoszech, tak cieszyłam się na tę podróż!

Jest już za późno. Realne zdarzenia z prawdziwego świata, o których mówi głos w wiadomościach, wojny, katastrofy, okrucieństwa, które tak bardzo chciałam wymazać ze świadomości na parę dni, wdarły się do mojej głowy i w jednej sekundzie zabrały mi całą lekkość. Atmosfera Italii przysła, koniec podróży. Jutro z samego rana wrócę do swojej sypialni i sprzątnę cały ten włoski kram. Przecieram oczy, jaskrawe światło telewizora boleśnie mnie oślepia. Spiker z wiadomości opuścił Bliski Wschód i przeszedł do polityki krajowej. Oglądam zrezygnowana. Moje zmęczone oczy łzawią. Oto skończył czytać, teraz będzie połączenie na żywo z Berlinem. Reporter stoi przed Reichstagiem, wznoszącym się majestatycznie i dumnie w ciemności, i opowiada o ostatniej podróży pani kanclerz.

Mój wzrok łapie ostrość. Wzdrygam się, mrugam. Nie pojmuję tego. Ale przecież go widzę! Wprost przede mną! Oszołomiona potrząsam głową. To niemożliwe, to po prostu niemożliwe. Nie wierzę własnym oczom, znowu mrugam, nerwowo, jakbym była w stanie odpędzić w ten sposób obraz, ale to nic nie daje. Moje serce ściska bolesny skurcz. Mózg myśli: niemożliwe. Ale zmysły wiedzą, że to prawda. Mój Boże!

Mój świat drży. Nie rozumiem, co się wokół mnie dzieje, ale łóżko się trzęsie, stojące przy ścianach regały z książkami chwieją się, w końcu zwalają się na ziemię. Obrazy spadają ze ścian, szkło rozpryskuje się w kawałki, na suficie tworzą się rysy, najpierw delikatne jak włos, potem grube jak palec. Osuwają się ściany, huk nie do opisanego, a przecież jest cicho, zupełnie cicho.

Mój świat leży w gruzach. Siedzę na łóżku pośród ruin, wlepiam wzrok w telewizor. Jestem otwartą raną. Jestem wonią surowego mięsa. Jestem kompletnie obnażona. W mojej głowie coś błyska, boleśnie i oślepiająco. Pole widzenia zabarwia się na czerwono, łapię się za serce, kręci mi się w głowie,

jestem o krok od utraty przytomności, wiem, co to jest, to surowe, czerwone uczucie, mam atak paniki, oddycham jak oszalała, zaraz zemdleję, mam nadzieję, że zemdleję. Ten obraz, ta twarz, nie zniosę tego. Chcę odwrócić wzrok, ale to niemożliwe, jakbym skamieniała. Nie chcę dłużej patrzeć, ale muszę, nie mogę inaczej, nie odrywam wzroku od telewizora, po prostu nie mogę odwrócić spojrzenia, nie mogę, patrzę szeroko otwartymi oczami, wlepiam się w niego, w potwora z moich snów, i staram się przebudzić, jak zawsze, gdy widzę go wprost przede mną, we śnie.

Ale przecież już nie śpię.

3

Następnego ranka wydobywam się z gruzów i składam się na powrót w jedną całość, kawałek po kawałku.

Nazywam się Linda Conrads. Jestem pisarką. Staram się utrzymać dyscyplinę, aby co roku napisać książkę. Moje książki cieszą się dużym powodzeniem. Jestem zamożna. Albo lepiej: mam pieniądze.

Mam trzydzieści osiem lat. Jestem chora. Media spekulują na temat mojej tajemniczej choroby, która nie pozwala mi swobodnie się poruszać. Nie opuściłam mojego domu od ponad dekady.

Mam rodzinę. Albo lepiej: mam rodziców. Nie widziałam ich od wielu lat. Nie odwiedzają mnie. Ja nie mogę ich odwiedzić. Rzadko do siebie dzwoniemy.

Jest coś, o czym niechętnie myślę. A jednak nie potrafię o tym nie myśleć. Ma to związek z moją siostrą. Stara historia. Kochałam siostrę. Moja siostra miała na imię Anna. Moja siostra nie żyje. Moja siostra była ode mnie trzy lata młodsza. Moja siostra zmarła dwanaście lat temu. Moja siostra nie umarła tak po prostu. Moja siostra została zamordowana. Przed dwunastoma laty moja siostra została zamordowana i to ja ją znalazłam. Widziałam jej mordercę, jak uciekał. Widziałam twarz mordercy. Morderca był mężczyzną. Morderca odwrócił się w moją stronę, następnie uciekł. Nie wiem, dlaczego uciekł. Nie wiem, dlaczego mnie nie zaatakował. Wiem tylko, że moja siostra została zabita, a ja żyję.

Moja terapeutka twierdzi, że jestem strauumatyzowana w wysokim stopniu.

Oto moje życie, oto ja. Właściwie nie chcę o tym myśleć.

Podnoszę się z wysiłkiem, wysuwam nogi za brzeg łóżka, wstaję. W każdym razie taki mam zamiar, jednak w rzeczywistości nie ruszam się nawet o centymetr. Zastanawiam się, czy nie jestem sparaliżowana. Nie mam siły w rękach i nogach. Próbuję jeszcze raz, ale wygląda to tak, jakby słabe rozkazy mózgu nie docierały do członków. Może to w porządku, jeśli jeszcze

moment tak poleżę. Jest ranek, ale przecież nikt na mnie nie czeka, z wyjątkiem pustego domu. Moje ciało wydaje się dziwnie ciężkie. Leżę, ale nie zasypiam ponownie. Gdy znowu patrzę na zegarek stojący na drewnianej szafce przy łóżku, jest sześć godzin później. To daje mi do myślenia, to niedobrze. Im szybciej upływa czas, tym szybciej nadejdzie noc, a ja boję się nocy pomimo całego oświetlenia w domu. Po kilku nieudanych próbach udaje mi się wreszcie zmusić ciało, by poszło do łazienki, po czym ruszyło schodami na parter. Ekspedycja na drugi koniec świata. Bukowski uszczęśliwiony gna mi naprzeciw, machając ogonem. Karmię go, nalewam mu wody do miski, wypuszczam go na dwór, by sobie trochę poszalał. Przyglądam mu się przez okno, pamiętam, że normalnie mnie to uszczęśliwia, patrzenie, jak biega i się bawi, ale teraz nic nie czuję. Chcę tylko, żeby jak najszybciej wrócił, żebym mogła wrócić do łóżka. Gwiżdżę na niego, jest małą podskakującą kropką na skraju lasu. Jeśli nie wróci dobrowolnie, nie będę mogła nic zrobić. Ale zawsze wraca. Do mnie, do mojego małego świata. Dzisiaj też. Skacze na mnie, prowokuje mnie do zabawy, ale nie mogę. Rezygnuje rozczarowany.

Wybacz, stary.

Zwija się w kłębek na swoim ulubionym miejscu w kuchni i patrzy na mnie smutno. Odwracam się i idę do sypialni. Tam od razu kładę się do łóżka, czuję się słaba, przezroczyta.

Zanim zapadła ciemność, jeszcze przed moją ucieczką, gdy byłam silna i żyłam w prawdziwym świecie, czułam się tak fatalnie tylko wtedy, gdy zbliżała się ciężka grypa. Ale teraz nie mam grypy. Mam depresję – jak zawsze, gdy muszę myśleć o Annie i tamtych zdarzeniach, które normalnie tak starannie wymazuję ze świadomości.

Tak długo udawało mi się żyć spokojnie i tłumić każdą myśl o siostrze. Ale teraz wszystko wróciło. I nieważne, ile czasu upłynęło – rana jest wciąż otwarta. Czas to szarlatan, nie lekarz.

Wiem, że muszę coś zrobić, zanim będzie za późno, zanim całkowicie pograżę się w wirze depresji, który wciąga mnie w czarną głębinę. Wiem, że powinnam porozmawiać z lekarzem, może by mi coś przepisał, ale nie mam siły. Potrzebny do tego wysiłek, który wydaje mi się niewyobrażalnie wielki. A zresztą i tak wszystko jedno. Okej, no to mam depresję. Mogłabym już na zawsze zostać tu w łóżku. Czy to coś zmienia? Jeśli nie mogę wyjść z domu, dlaczego miałabym opuszczać tę sypialnię? Albo to łóżko? Albo to miejsce,

w którym właśnie leżę? Dzień mija i jego miejsce zajmuje noc.

Myślę, że powinnam do kogoś zadzwonić, może do Norberta. Przyjechałby. Jest nie tylko moim wydawcą, ale także przyjacielem. Gdybym mogła poruszać mięśniami twarzy, uśmiechnęłabym się na myśl o Norbercie. Przypominam sobie nasze ostatnie spotkanie. Siedzimy w kuchni, ugotowałam spaghetti z sosem bolognese własnej roboty, a Norbert opowiada mi o swoim urlopie na południu Francji, o tym, co w wydawnictwie, o najnowszych wariactwach swojej żony. Jest cudowny, hałaśliwy, zabawny, zawsze ma mnóstwo historii do opowiedzenia. I najwspanialszy śmiech świata. Najwspanialszy śmiech obu światów, ujmując rzecz precyzyjnie.

Norbert nazywa mnie swoim ekstremofilem. Gdy pierwszy raz tak do mnie powiedział, musiałam to sobie wygooglować. I stwierdzić ze zdumieniem, że ma świętą rację. Ekstremofile to organizmy, które przystosowały się do ekstremalnych warunków i dzięki temu mogą przetrwać w najbardziej niesprzyjającym otoczeniu. W nieprawdopodobnie wysokiej temperaturze i w ekstremalnym zimnie. W całkowitej ciemności. W otoczeniu skażonym radioaktywnie. W kwasie. Albo, i to zapewne ma na myśli Norbert, w niemal kompletnej izolacji. Ekstremofil. Lubię to słowo i lubię, kiedy mnie tak nazywa. Jakbym nie wybrała sobie tego wszystkiego. Jakbym kochała ten ekstremalny sposób życia. Jakbym miała w tej sprawie coś do powiedzenia.

Chwilowo mam tylko wybór, czy leżeć na lewym, czy na prawym boku, na brzuchu, czy na plecach. Mija dzień albo dwa. Bardzo się staram, żeby nie myśleć absolutnie o niczym. W końcu wstaję, podchodzę do regałów z książkami, ciągnących się wzdłuż ścian sypialni, wydaję kilka tomów, rozkładam je na łóżku, włączam moją ulubioną płytę Billie Holiday w trybie powtarzania i wpełzam znowu pod kołdrę. Słucham, kartkuję i czytam, aż bolą mnie oczy, a muzyka całkowicie mnie rozmiękcza, jak wanna z gorącą wodą. Nie mogę dłużej czytać, chętnie obejrzałabym jakiś film, ale nie mam odwagi włączyć telewizora. Po prostu nie mam odwagi.

Gdy słyszę kroki, podskakuję ze strachu. Billie już nie śpiewa, w jakimś momencie uciszyłam ją za pomocą jednego z tuzina pilotów. Kto tam? Jest środek nocy. Dlaczego mój pies nie szczeka? Chcę się podnieść, sięgnąć po coś, czym mogłabym się bronić, schować się gdzieś, zrobić cokolwiek, ale leżę dalej, z sercem bijącym jak szalone, z szeroko rozwartymi oczami. Ktoś puka. Nie odzywam się.

– Halo? – woła jakiś głos; nie znam go.

I znowu:

– Halo? Jest pani tam?

Drzwi się otwierają, jęczę – moja bezsilna wersja krzyku. To Charlotta, moja asystentka. Oczywiście, że znam jej głos, to mój strach tak dziwnie go zniekształcił. Charlotta przychodzi dwa razy w tygodniu, przynosi mi zakupy, zanoszą listy na pocztę, robi, co jest do zrobienia. Moje płatne łącze ze światem zewnętrznym. Stoi teraz niezdecydowana w drzwiach.

– Czy wszystko w porządku?

Moje myśli porządkują się na nowo. To nie może być noc, skoro jest tu Charlotta. Musiałam bardzo długo leżeć w łóżku.

– Sorry, że tak wparowałam do środka, ale gdy pani nie reagowała na mój dzwonek do drzwi, zaczęłam się martwić i weszłam.

Dzwonek do drzwi? Przypominam sobie odgłos, który przeniknął do moich snów. Znowu mam sny, po tylu latach!

– Czuję się trochę chora – mówię. – Spałam mocno i nie słyszałam dzwonka. Przepraszam.

Trochę się wstydzę, nie daję rady nawet usiąść, ciągle leżę. Charlotta wygląda na zaniepokojoną, a przecież niełatwo wytrącić ją z równowagi. Właśnie dlatego ją wybrałam. Jest młodsza ode mnie, może tuż przed trzydziestką. Pracuje w niezliczonej ilości miejsc, jest kelnerką w kilku kawiarniach, pracuje gdzieś w mieście w kinowej kasie – tego typu rzeczy. I dwa razy w tygodniu przychodzi do mnie. Lubię Charlottę. Jej krótkie, ufarbowane na czarnogranatowo włosy, jej krzepką sylwetkę, barwne tatuaże, wulgarne poczucie humoru, historie o jej małym synku. Pomocie szatana, jak sama mówi.

Jeśli Charlotta wygląda na zdenerwowaną, to znaczy, że wyglądam źle.

– Potrzebuje pani czegoś? Z apteki czy coś?

– Dziękuję, mam wszystko, czego mi trzeba.

Mówię dziwnie, jak robot, sama to dostrzegam, ale nie mogę nic na to poradzić.

– Dzisiaj pani nie potrzebuję, Charlotto. Powinnam była panią zawiadomić. Przepraszam.

– Nie ma problemu. Zakupy są w lodówce. Może wyprowadzić jeszcze psa, zanim pójdę?

O Boże, pies. Ile czasu tu leżałam?

– Byłoby super – mówię. – Proszę mu od razu dać coś do jedzenia, dobrze?

– Okej.

Naciągam kołdrę pod sam nos, aby zasygnalizować, że rozmowa jest zakończona.

Charlotta waha się chwilę w drzwiach, wyraźnie niezdecydowana, czy może mnie zostawić samą, wreszcie podejmuje decyzję i odchodzi. Słyszę odgłosy jej krzątania w kuchni, gdy karmi Bukowskiego. W normalnych okolicznościach uwielbiam takie hałasy, ale dzisiaj nie znaczą dla mnie nic. Oddaję się poduszkom, kołdrom i ciemności, ale nie zaznam snu.

4

Leżę w ciemności i myślę o najczarniejszym dniu swojego życia. Pamiętam, że gdy ciało mojej siostry składano do grobu, nie byłam zdolna do okazania żadnych uczuć. Że moją głowę i ciało wypełniała tylko jedna myśl: dlaczego? Że nie było miejsca na nic innego jak tylko: dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego musiała umrzeć?

Czułam, że rodzice zadają mi to pytanie, oni, inni żałobnicy, przyjaciele Anny, koledzy, po prostu wszyscy, bo to ja tam byłam, więc powinnam coś wiedzieć. Co, na miłość boską, się wydarzyło? Dlaczego Anna musiała umrzeć?

Pamiętam, jak żałobnicy płakali, jak rzucali kwiaty na trumnę, podtrzymywali jedni drugich, wycierali sobie nosy. To wszystko wydawało mi się takie nierzeczywiste, tak dziwnie zniekształcone. Dźwięki, kolory, nawet uczucia. Pastor, który mówił osobliwie przeciągłym głosem. Ludzie, którzy poruszali się jak w zwolnionym tempie. Wiązanki róż i lilii, całkowicie bezbarwne.

Jasna cholera, kwiaty! Ta myśl sprowadza mnie z powrotem w terażniejszość. Siadam na łóżku. Zapomniałam poprosić Charlotte, żeby podlała kwiaty w ogrodzie zimowym, a teraz już dawno jej nie ma. Charlotta wie, że bardzo kocham kwiaty i zazwyczaj sama się nimi zajmuję. Dlatego najprawdopodobniej nie pomyślała, aby je podlać. Nie pozostaje mi nic innego, jak zrobić to samemu. Wstaję z jękiem. Podłoga pod moimi stopami jest chłodna. Zmuszam się, by wysunąć nogę do przodu, by ruszyć korytarzem w kierunku schodów, by zejść na parter, pokonać wielki salon i jadalnię. Otwieram drzwi do ogrodu zimowego i wkraczam do dżungli.

W moim domu dominuje przestrzeń, pustka, martwe przedmioty – jeśli nie brać pod uwagę Bukowskiego. Ale tu, w moim ogrodzie zimowym, z jego bujną, obfitą zielenią, rządzi życie. Palmy. Paprocie. Męczennice, strelacje, anturium i wszędzie, wszędzie orchidee. Kocham egzotyczne kwiaty.

Duszne ciepło ogrodu zimowego, który jest niczym innym jak moją małą oranżerią, w mgnieniu oka wyciska mi na czole krople potu, a długi luźny T-shirt, który włożyłam do snu, klei się do ciała. Kocham ten zielony gąszcz. Nie chcę porządku. Chcę mieć chaos, życie. Chcę, żeby gałęzie i liście ocierały się o mnie, gdy idę wśród regałów, jak gdybym szła przez las. Chcę czuć zapach kwiatów, odurzyć się nim, chcę chłonać barwy.

Rozglądam się teraz wkoło. Wiem, że widok kwiatów powinien mnie uszczęśliwiać, lecz dzisiaj nie czuję nic. Mój ogród zimowy jest jasno rozświetlony, ale na zewnątrz panuje noc. Przez szklany dach nade mną mrugają obojętne gwiazdy. Machinalnie wykonuję czynności, z których normalnie czerpię wielką satysfakcję. Podleвам kwiaty. Obmacuję palcami ziemię, sprawdzam, czy jest sucha i się kruszy, czy potrzebuje wody, czy może jest wilgotna i klei się do rąk.

Przedzieram się do tylnej części szklarni. Tu mieści się mój prywatny mały ogród storczyków. Rośliny piętrzą się na półkach, zwisają w doniczkach z sufitu. Kwitną bez umiarkowania. Tu stoi mój ulubieniec, a jednocześnie obiekt mojej troski. Mały storczyk, zupełnie niepozorny wśród swoich braci o bujnych kwiatach, niemal brzydki, zaledwie dwa, trzy ciemnozielone liście, do tego szare, suche korzenie, żadnych kwiatów, już od dawna żadnych kwiatów, nawet szypułki. To jedyna roślina, której nie kupiłam do tego ogrodu. Miałam ją już wcześniej. Zabrałam ją z mojego wcześniejszego życia, z rzeczywistego świata – przed wielu, wielu laty. Wiem, że nigdy już nie zakwitnie, ale nie mam serca, by ją wyrzucić. Podleвам odrobinę. Następnie odwracam się ku szczególnie pięknej orchidei z ciężkimi, białymi kwiatami. Wodzę palcami po jej liściach, ostrożnie dotykam aksamitnych płatków. Pąki, które się jeszcze nie otworzyły, są zwarte, twarde pod moimi palcami. O mało nie pękają od życia. Już niedługo się otworzą. Myślę, że byłoby pięknie, gdyby uciąć kilka tych kwitnących łodyg i postawić je w wazonie. I gdy się nad tym zastanawiam, nagle znowu nieuchronnie myślę o Annie. Nawet tutaj nie mogę uciec przed wspomnieniami.

Jeszcze gdy byłyśmy małe, nie zbierała kwiatów tak chętnie jak ja i inne dzieci. To nie w porządku, uważała, urywać kwiatom ich piękne główki. Na moje usta wkrada się delikatny uśmiech, gdy teraz o tym myślę. Dziwactwa Anny. I nagle widzę moją siostrę wyraźnie przed sobą, jej blond włosy, jej chabrowe oczy, mały nosek, wydatne usta, fałdę między niedostrzegalnymi niemal brwiami, która pojawiała się zawsze, gdy była zła. Drobnie znamiona two-

rzące regularny trójkąt na lewym policzku. Niemal niewidzialny jasny puszek na policzkach, który można było dostrzec tylko wtedy, gdy letnie słońce padło na jej twarz pod właściwym kątem. Widzę ją bardzo dokładnie. I słyszę jej głos, srebrzysty jak odgłos dzwoneczka. I jej rubaszny śmiech, chłopięcy, kontrastujący mocno z jej dziewczęcością. Widzę ją przed sobą, jak się śmieje. To jest jak cios w brzuch.

Myślę o jednej z pierwszych rozmów z moją terapeutką, krótko po śmierci Anny. Policja nie miała żadnego punktu zaczepienia, portret pamięciowy sporządzony z moją pomocą był bezużyteczny, nawet ja sama uznałam, że nie szczególnie przypominał mężczyznę, którego widziałam. Ale bez względu na to, jak bardzo się starałam, nie potrafiłam lepiej opisać tego człowieka. Pamiętam, jak powiedziałam do terapeutki, że po prostu muszę się dowiedzieć, dlaczego to się stało. Że dręczy mnie ta niepewność. Pamiętam, jak mówiła, że to normalne, że to właśnie jest dla bliskich najgorsze. Poleciała mi grupę samopomocy. Grupa samopomocy, można się uśmieć. Pamiętam, jak powiedziałam, że dałabym wszystko, żeby poznać powód. Przynajmniej tyle byłam winna siostrze. Przynajmniej tyle.

Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

„Obsesyjnie zadaje sobie pani to pytanie, pani Conrads. To niedobrze, musi pani dać sobie z tym spokój. Żyć swoim życiem”.

Próbuję wyrzucić z głowy obraz Anny i wszelkie myśli o niej. Nie chcę o niej myśleć, bo wiem, do czego to prowadzi. Już raz o mało nie oszalałam z tego powodu. Z powodu świadomości, że Anna nie żyje – a jej morderca nadal jest gdzieś tam na wolności.

Najgorsze było to, że nie mogłam nic zrobić. To lepiej już w ogóle więcej o tym nie myśleć. Zająć się czymś. Zapomnieć o Annie.

To właśnie próbuję zrobić także teraz, ale bez skutku. Dlaczego?

Widzę nagle przede mną twarz reportera w telewizji i – klik! – coś zaskakuje w mojej głowie. Nagle staje się dla mnie jasne, że przez ostatnie godziny byłam pod wpływem szoku.

Ale teraz widzę jasno. Mężczyzna w telewizji, którego widok tak wyprzewadził mnie z równowagi, istniał naprawdę.

To nie był zły sen, to była rzeczywistość.

Zobaczyłam mordercę swojej siostry. Może minęło już dwanaście lat, ale

pamiętam go bardzo dobrze. Uświadamiam sobie z całą mocą, co to oznacza.

Wypuszczam z ręki konewkę, którą właśnie napełniłam świeżą wodą. Z trzaskiem ląduje na podłodze, zawartość wylewa się na moje nagie stopy. Odwracam się, wychodzę z ogrodu zimowego, w drzwiach do domu uderzam palcem o próg, ignoruję ostry ból przenikający stopę, idę pośpiesznie dalej.

Szybkim krokiem pokonuję parter, wskakuję po stopniach na piętro, przelatuję przez korytarz, zdyszana docieram do sypialni. Laptop leży na łóżku. Otaacza go jakaś złowroga aura. Waham się tylko chwilę, potem siadam i przyciągam go drżącymi dłońmi. Prawie boję się go otworzyć, zupełnie tak, jakby można było obserwować mnie przez monitor.

Łączę się z siecią, otwieram Google'a, wpisuję nazwę stacji telewizyjnej, w której widziałam tego mężczyznę. Denerwuję się, myślę się parę razy, dopiero przy trzecim podejściu mi się udaje. Wchodzę na strony redakcji. Doklikuję się do listy współpracowników. Zaczynam myśleć, że to wszystko było tylko urojeniem, że tego mężczyzny wcale nie ma, że tylko mi się przyśnił.

Ale potem go odnajduję. Zaledwie kilka kliknięć i oto jest. Potwór. Wzdrygam się z przerażeniem, gdy na monitorze pojawia się nagle jego zdjęcie, instynktownie unoszę lewą rękę, żeby zasłonić tę twarz, żeby jej nie widzieć, jeszcze nie teraz, ściany znowu zaczynają tańczyć, serce bije mi jak szalone. Koncentruję się na oddechu. Zamykam oczy. Tylko spokojnie. Właśnie tak. Otwieram oczy na powrót, patrzę na stronę internetową. Czytam nazwisko. Jego biogram. Czytam, że dostawał nagrody. Że ma rodzinę. Prowadzi udane, spełnione życie. Coś się we mnie rozpada. Czuję coś, czego nie czułam od wielu lat i co jest gorące jak ogień. Powoli opuszczam rękę, która zasłaniała zdjęcie na monitorze.

Przyglądam się mu.

Patrzę na twarz mężczyzny, który zamordował moją siostrę.

Z wściekłości czuję ucisk w gardle, w głowie mam tylko jedną myśl:

Dopadnę cię.

Zamykam laptopa, odkładam go, wstaję. Gonitwa myśli. Serce wali jak młotem.

To zupełnie nieprawdopodobne: mieszka całkiem niedaleko! Każdy normalny człowiek bez trudu mógłby go dopaść. Ale ja jestem uwięziona we własnym domu. No i policja, policja nie wierzyła mi już wtedy.

Więc jeśli chcę z nim porozmawiać, skonfrontować się, pociągnąć go do odpowiedzialności, muszę najpierw skłonić go do tego, by przyszedł do mnie. Jak go zwabić?

Znowu przelatuje mi przez głowę rozmowa z terapeutką.

– Ale dlaczego? Dlaczego Anna musiała umrzeć?

– Musi pani zaakceptować możliwość, że nigdy nie pozna pani odpowiedzi na to pytanie, Lindo.

– Nie mogę tego zaakceptować. Nigdy.

– Nauczy się pani.

Nigdy.

Gorączkowo się zastanawiam. Jest dziennikarzem. A ja jestem słynną, znaną z nieprzystępności pisarką, z którą wszystkie duże europejskie czasopi-
sma i stacje telewizyjne od lat dopraszają się o wywiad. Zwłaszcza wtedy, gdy wychodzi nowa książka.

Znowu na myśl przychodzi mi rozmowa z psycholożką. I przypomina mi się rada, którą mi wtedy dała.

– Tylko pani siebie samą zamęcza, Lindo.

– Nie mogę powstrzymać tych myśli.

– Jeśli potrzebuje pani jakiegoś powodu, proszę go sobie wymyślić. Albo proszę napisać książkę. Proszę to wypłukać ze swojego ustroju. I wtedy musi pani dać sobie z tym spokój. Proszę żyć dalej swoim życiem.

Wszystkie włoski na karku stają mi dęba. Mój Boże. To jest to!

Całe moje ciało pokrywa się gęsią skórką.

To oczywiste.

Napiszę nową książkę. Opakuję tamte wydarzenia w powieść kryminalną.

Przynęta na mordercę i terapia dla mnie.

Z mojego ciała ulotnił się cały bezwład. Wychodzę z sypialni, moje członki znowu są posłuszne. Idę do łazienki, wchodzę pod prysznic. Wycieram się, ubieram, ruszam do gabinetu, włączam komputer i zaczynam pisać.

Z Sióstr krwi Lindy Conrads

1 - JONAS

Uderzył z całej siły. Kobieta upadła na podłogę, dźwignęła się i próbowała w panice uciekać, ale nie miała najmniejszych szans. Mężczyzna był dużo szybszy. Przygwoździł ją siłą do ziemi, ukląkł na jej plecach, chwycił ją za długie włosy i zaczął z całej siły uderzać głową o podłogę, raz po raz. Krzyk kobiety przeszedł w jęk, potem ucichł. Mężczyzna puścił ją. Na jego twarzy, którą przed chwilą wykrzywiała ślepa nienawiść, odmalował się wyraz niedowierzania. Ze zmarszczonym czołem przyglądał się swoim umazanym krwią rękoma, a z tyłu wschodził ogromny srebrny księżyc w pełni. Elfy zachichotały, podbiegły do kobiety, która leżała jak martwa, zanurzyły kilka szczupłych palców w jej krwi i zaczęły rozmazywać ją sobie na twarzach jak barwy wojenne.

Jonas westchnął. Od wieków nie był w teatrze i sam na pewno nie wpadłby na ten pomysł. To Mia wyraziła życzenie, by tym razem pójść do teatru, zamiast jak zawsze do kina. Jedna z przyjaciółek poleciła jej inscenizację *Snu nocy letniej* Szekspira. Zapalona Mia od razu załatwiła bilety. Jonas cieszył się na ten wieczór. Spodziewał się jednak jakiejś lekkiej komedii. Tymczasem oglądał jakieś koszarne elfy, diaboliczne koboldy i pary zakochanych, które pośród lasu pogrążonego w nocnym mroku masakrowały się wzajemnie z wielkim entuzjazmem, zużywając nieprawdopodobne ilości sztucznej krwi. Rzucił okiem w stronę żony, która błyszczącymi oczami śledziła wydarzenia na scenie. Pozostali widzowie też byli urzeczeni. Jonas poczuł się wykluczony. Najwyraźniej był jedynym człowiekiem na sali, który nie znajdował żadnej przyjemności w rozgrywającym się na scenie krwawym spektaklu.

Może kiedyś on też był taki jak oni, może grozę i przemoc też odbierał jako coś fascynującego. Ale już tego nie pamiętał. Prawdopodobnie było to zbyt dawno temu.

Jego myśli powędrowały gdzie indziej, daleko od Szekspirowskiej letniej

nocy, ku sprawie, którą akurat się zajmował. Mia dałaby mu dyskretne kuksańca w żebro, gdyby wiedziała, że siedzi obok niej w mroku teatralnej sali, a mimo to znowu myśli o pracy – ale tak właśnie było. Myślał o miejscu ostatniej zbrodni, przywoływał w pamięci tysiąc większych i mniejszych elementów układanki, które poskładał żmudnie wraz ze swoimi kolegami i które według wszelkich przewidywań doprowadzą do rychłego aresztowania męża ofia...

Jonas zląkł się, bo nagle zrobiło się zupełnie ciemno, a potem nagle bardzo jasno i rozległy się ogłuszające brawa.

Gdy widzowie dokoła – jakby złączeni tajnym porozumieniem, o którym tylko on nie miał pojęcia – podnieśli się do owacji, komisarz Jonas Weber poczuł się najsamotniejszym człowiekiem na świecie.

Mia milczała, a on prowadził samochód, jadąc nocą przez miasto do domu. Jej zachwyty nad przedstawieniem ulotnił się już w kolejce do szatni i w drodze na parking, a teraz słuchała muzyki płynącej z radia, uśmiechając się pogodnie, ale nie do niego.

Jonas włączył prawy kierunkowskaz i skręcił we wjazd. Światła reflektorów wyłuskały jego dom z ciemności jako plamy gruboziarnistej czerni i bieli. Właśnie zaciągał hamulec ręczny, gdy jego komórka zaczęła wibrować. Odebrał, spodziewając się, że siedząca obok Mia zareaguje, że zaklnie pod nosem, westchnie albo przynajmniej przewróci oczami, ale nic takiego nie nastąpiło. Jej wiśniowoczerwone wargi ułożyły się w nieme „dobranoc”, po czym wysiadła. Jonas odprowadził ją wzrokiem, podczas gdy z komórki dobiegał głos jego koleżanki, patrzył, jak żona się oddalała. Jak jej długie miodowoblonde włosy, obcisłe dzinsy, ciemnozielona bluzka powoli stawały się czarnobiałe, gdy pochłaniała ją ciemność.

Kiedyś walczyli we dwoje o każdą minutę, którą mogli spędzić razem, i zawsze żalowali, gdy coś zakłócało ich wspólny czas. Obecnie było im to coraz bardziej obojętne.

Jonas z wysiłkiem skupił się na telefonie. Koleżanka podała mu adres, więc szybko wpisał go do nawigacji.

– Tak, okej – powiedział. – Już jadę.

Odłożył telefon. Odetchnął głęboko. Ze zdziwieniem stwierdził, że myśli o ich zaledwie czteroletnim małżeństwie w kategoriach „kiedyś” i „teraz”.

Odwrócił wzrok od drzwi, za którymi zniknęła Mia, i zapalił silnik.

5

Rzeczy, których nie ma w moim świecie: kasztany spadające nagle z drzewa. Dzieci szurające nogami w jesiennych liściach. Przebierańcy w tramwajach. Brzemienne w skutki przypadkowe spotkania. Drobne kobiety ciągnięte po ulicach przez swoje wielkie psy, jakby jechały na nartach wodnych.

Spadające gwiazdy. Kacze pisklęta uczące się pływać. Zamki z piasku. Stłuczki. Niespodzianki. Ludzie przeprowadzający dzieci przez ulicę. Kolejki górskie. Oparzenia słoneczne.

Mojemu światu wystarcza niewiele kolorów.

Muzyka jest moim azylem. Filmy to forma spędzania czasu, książki to moja miłość, moja namiętność. Ale to muzyka jest azylem. Kiedy jest mi wesoło albo jestem szczególnie rozbawiona, co, muszę przyznać, zdarza się rzadko, puszczam taką właśnie płytę – może Elli Fitzgerald albo Sarah Vaughan – i wtedy jest prawie tak, jakby ktoś cieszył się wraz ze mną. Kiedy natomiast jestem smutna i przygnębiona, wtedy cierpi ze mną Billie Holiday albo Nina Simone. Chyba nawet trochę mnie pocieszają, czasami.

Stoję w kuchni, słucham Niny i wsypuję garść ziaren kawy do mojego staromodnego młynka. Rozkoszuję się zapachem kawy, tym intensywnym, ciemnym, dodającym otuchy aromatem. Zaczynam mleć ziarna ręcznie. Cieszę mnie trzaski, chrupanie, które się przy tym rozlega. Na koniec otwieram małą drewnianą szufladkę, w której wylądowała zmielona kawa, i napełniam nią filtr. Kiedy jestem sama w domu i potrzebuję kawy tylko dla siebie – czyli najczęściej – wtedy przygotowuję ją zawsze ręcznie. Napełnianie, mielenie, przesypanie, gotowanie wody, powolne, nieprzerwane parzenie się kawy, która kapie do filiżanki – to rytuał. Kiedy się prowadzi tak spokojne życie jak moje, wtedy warto znajdować radość w małych rzeczach.

Opróżniam filtr i przyglądam się czarnej kawie w filiżance, siadam z nią przy kuchennym stole. Zapach, który wisi w powietrzu, trochę mnie uspokaja.

Przez okno kuchenne widzę drogę dojazdową do mojego domu. Ciągnie się

spokojna. Ale już niedługo skręci w tę drogę potwór z moich snów. Zadzwoni do moich drzwi, a ja mu otworzę. Myśl o tym napełnia mnie strachem.

Biorę łyk, krzywię się. Normalnie lubię czarną kawę, ale dzisiaj wyszła za mocna. Wyjmuję z lodówki śmietankę, którą trzymam zawsze dla Charlotty i innych gości, i wlewam solidną porcję do kawy. Zafascynowana obserwuję maleńkie obłoczki śmietany, które wirują w filiżance, które skupiają się i znowu rozpraszają, całkowicie nieprzewidywalne w swoich ruchach, jak bawiące się dzieci. I uświadamiam sobie, że pakuję się w sytuację tak samo nieprzewidywalną jak te wirujące małe chmurki, których nie jestem w stanie kontrolować. Mogę zwabić tego mężczyznę do mojego domu, to prawda.

A potem?

Chmurki przestają tańczyć, opadają na dno. Biorę łyżeczkę, mieszam, piję kawę małymi łykami. Moje spojrzenie spoczywa na drodze dojazdowej. Jest wysadzona starymi drzewami, już niedługo okryją ją żółte, czerwone i brązowe liście kasztanowców. Po raz pierwszy czuję z jej strony zagrożenie. Oddychanie staje się nagle czymś bardzo trudnym.

Nie mogę tego zrobić.

Odrywam wzrok od drogi i biorę do ręki smartfona. Szperam w nim minutę czy dwie, aż znajduję funkcję wyłączenia identyfikacji numeru. Wstaję i ściśszam muzykę. Siadam z powrotem i wybieram numer komisariatu, który prowadził śledztwo w sprawie zabójstwa Anny. Znam go na pamięć, nawet jeszcze dzisiaj.

Serce zaczyna mi bić szybciej, bo słyszę, że numer nie jest zajęty. Staram się oddychać spokojnie. Mówię sobie w duchu, że dobrze robię. Że mam zaufanie do policji, mimo wszystko. Zawodowcom pozostawiam pochwycenie mordercy. Mówię sobie, że rozpoczęty rękopis wsadzę do najniższej szuflady biurka albo najlepiej od razu go wyrzucę na śmietnik i nigdy nie będę już o tym myśleć.

Sygnal w telefonie rozbrzmiewa po raz drugi, irytująco przeciągły.

Jestem zdenerwowana jak przed egzaminem, oddycham ciężko. Zaczynam się wahać, nagle przychodzi mi do głowy, że policja mi nie uwierzy, tak samo jak dawniej. Zaczynam już bawić się myślą, żeby odłożyć słuchawkę, gdy wreszcie ktoś odbiera i odzywa się kobiecy głos. Od razu rozpoznaję tę kobietę.

Andrea Brandt pracowała wówczas w wydziale zabójstw. Nie lubiłam jej i ona mnie też nie lubiła. Moja determinacja natychmiast zaczyna się chwiać.

– Halo000 – mówi przeciągle Brandt, lekko już zniecierpliwiona, bo milczę przez chwilę.

Biorę się w garść.

– Dzień dobry. Czy mogę mówić z komisarzem Julianem Schumerem? – pytam.

– Ma dzisiaj wolne. Kto mówi, jeśli można spytać?

Przełykam ślinę; nie wiem, czy mogę jej – akurat jej! – powierzyć sprawę, czy lepiej od razu odłożyć słuchawkę.

– Chodzi o starą sprawę – mówię w końcu, jakbym nie słyszała pytania. Nie potrafię się przemóc, żeby wyjawić swoje nazwisko. Jeszcze nie teraz. – O morderstwo, które wydarzyło się przeszło dziesięć lat temu – dodaję.

– Tak?

Czuję, że policjantka zaczyna słuchać z uwagą, i mam ochotę spoliczkować siebie za to, że nie przygotowałam się do tej rozmowy. Moja dawna impulsywność akurat teraz daje o sobie znać.

– Co by pani powiedziała – pytam – gdyby po dobrych dziesięciu latach pojawiły się nowe zeznania? Kogoś, kto jest przekonany, że zna mordercę?

Andrea Brandt zwleka krótką chwilę.

– Czy to pani jest tym świadkiem?

Cholera. Czy mam wyłożyć karty na stół? Toczę wewnętrzną walkę.

– Jeśli chce pani złożyć zeznania, może pani w każdym momencie przyjść na policję – naciska Brandt.

– Jak często wyjaśniane są takie stare sprawy? – pytam, ignorując jej słowa.

Czuję, że kobieta po drugiej stronie tłumi westchnienie, i zastanawiam się, jak często odbiera tego rodzaju telefony, z których nic konkretnego nie wynika.

– Nie podam pani konkretnej liczby, pani...

Całkiem sprytnie. Milczę. Policjantka wytrzymuje przez chwilę nieprzyjemną ciszę, potem porzuca próby poznania mojego nazwiska.

– Całkiem często się zdarza, że stare sprawy, to znaczy *cold cases*, wyjaśniane są z pomocą śladów DNA, tak zwanego genetycznego odcisku palca – mówi. – Te dane są absolutnie wiarygodne nawet dziesiątki lat po zdarzeniu.

W przeciwieństwie do zeznań świadków, dopowiadam w duchu.

– Ale jak powiedziałam, jeśli chciałaby pani złożyć zeznanie, jesteśmy w każdym momencie do pani dyspozycji – mówi Brandt. – O jaką sprawę konkretnie chodzi?

– Przemyszę to jeszcze – odpowiadam.

– Pani głos wydaje mi się znajomy – stwierdza nagle policjantka. – Czy już się kiedyś spotkałyśmy?

Wpadam w panikę. Przerywam połączenie. Dopiero teraz dostrzegam, że w czasie tej krótkiej rozmowy wstałam i nerwowo chodzę po pokoju. W moim brzuchu rozlewa się nieprzyjemne uczucie. Siadam znowu za kuchennym stołem, czekam, aż moje tętno powróci do normy, wypijam resztę kawy. Jest zimna i mdła.

Kierujący śledztwem policjant zapadł mi doskonale w pamięć, ale młodą, nieprzyjemną panią komisarz najchętniej bym zapomniała. Już wtedy, gdy składałam zeznania do protokołu, czułam, że Andrea Brandt mi nie wierzy. Przez jakiś czas miałam nawet wrażenie, że w duchu to właśnie mnie uważa za mordercę wbrew wszystkim dowodom, które temu przeczyły. I teraz to jej miałabym tłumaczyć, że rozpoznałam mordercę Anny w osobie znanego dziennikarza, którego zobaczyłam w telewizji? Dwanaście lat po zdarzeniu. I że w żadnym wypadku nie mogę przyjechać, aby złożyć zeznania. Bo robi mi się niedobrze już na samą myśl o tym, że mam przekroczyć próg...

Nie.

Jeśli chcę pociągnąć tego człowieka do odpowiedzialności, to jestem zdana tylko na siebie.

6

Zdarza się czasem, że nie rozpoznaję siebie w lustrze. Stoję w łazience i przyglądam się sobie. Dawno tego nie robiłam. Oczywiście patrzę w lustro rano i wieczorem, gdy myję zęby i twarz. Ale tak naprawdę nie patrzę świadomie. Ale dzisiaj jest inaczej.

Dzień X. Dziennikarz, którego zaprosiłam na wywiad, siedzi już prawdopodobnie w samochodzie, w drodze do mnie. Lada moment skęci w aleję prowadzącą do mojego domu. Potem wysiadzie, pokona te parę metrów do drzwi – i zadzwoni. Jestem przygotowana. Prześwietliłam go. Wiem, co zobaczą, gdy będzie siedział naprzeciw mnie. Ale co on zobaczy? Wlepiam w siebie wzrok. Moje oczy, nos. Moje usta, policzki i uszy, potem znowu oczy. I oto rodzi się we mnie coś w rodzaju lekkiego zdziwienia na widok mojej zewnętrznej powłoki: więc tak wyglądam. Zatem to jestem ja.

Wzdrygam się, gdy rozlega się dzwonek do drzwi. Jeszcze raz powtarzam sobie w myśli cały plan, potem wyprostowuję się i ruszam do drzwi. Serce bije mi tak głośno, że chyba odbija się to echem po całym domu, sprawia, że dzwonią szyby w oknach. Biorę głęboki oddech i otwieram drzwi.

Przez długie lata potwór prześladował mnie nawet w snach, a teraz stoi przede mną. Podaje mi rękę. Tłumię nagłą chęć, by uciec z krzykiem, by spanikować. Nie wolno się zawahać, nie wolno zadrzeć. Będę patrzyła mu w oczy, będę mówiła głośno i wyraźnie. Tak postanowiłam, przygotowałam się do tego. Ten moment nadszedł i teraz wydaje się niemal nierzeczywisty. Ściskam mężczyźni rękę. Uśmiecham się i mówię:

– Zapraszam do środka.

Nie waham się, nie drzę, patrzę mu w oczy, mój głos jest mocny i wyraźny. Wiem, że tutaj potwór nie może mi nic zrobić. Cały świat wie, że się tu zjawiał. Moje wydawnictwo, jego redakcja... Gdybyśmy nawet byli tylko we dwoje, nie mógłby mi nic zrobić. Nic mi nie robi. Nie jest głupi. A jednak... Odwró-

cenie się do niego plecami i poprowadzenie go w głąb domu wymagają ode mnie nieprawdopodobnego wysiłku. Idę pierwsza do pokoju, w którym ma się odbyć nasza rozmowa. Zdecydowałam się na jadalnię. Nie była to decyzja strategiczna, lecz czysto intuicyjna. Jadalnia. Charlotta przyłącza się do nas, bierze od niego płaszcz, krząta się, dogląda wszystkiego, papla, oferuje coś do picia, czaruje – robi wszystko to, za co jej płacę. Dla niej to tylko praca. Nie ma pojęcia, o co naprawdę chodzi, ale jej obecność wpływa na mnie uspokajająco.

Staram się sprawiać wrażenie rozluźnionej, nie gapić się na niego, nie tak-sować wzrokiem. Jest wysoki, kilka siwych pasemek przeplata jego krótkie ciemne włosy – ale uwagę przykuwają przenikliwe szare oczy. Jednym spojrzeniem lustrują pokój. Podchodzi do stołu, który jest tak duży, że nadawałby się do sali konferencyjnej. Stawia teczkę na pierwszym z brzegu krześle, otwiera ją, rzuca okiem do środka. Najwyraźniej sprawdza, czy wszystko zabrał.

Charlotta przynosi małe butelki z wodą i szklanki. Podchodzę do stołu, na którym leży kilka egzemplarzy mojej nowej powieści, zawierającej opis zabójstwa mojej siostry. Oboje wiemy, że to nie jest fikcja, lecz akt oskarżenia. Biorę jedną z butelek, otwieram ją, nalewam wody do szklanki; moje ręce są absolutnie spokojne.

Potwór wygląda dokładnie tak jak w telewizji. Nazywa się Victor Lenzen.

– To bardzo piękny dom – mówi i podchodzi do okna.

Jego wzrok wędruje w stronę skraju lasu.

– Dziękuję. Cieszę się, że się panu podoba.

Jestem zła na siebie za te ostatnie słowa. Zwykle „dziękuję” w zupełności by wystarczyło. Jasne komunikaty. Nie wahać się, nie drżeć, patrzeć mu w oczy, mówić głośno i wyraźnie.

– Od kiedy pani tu mieszka? – pyta.

– Od około jedenastu lat.

Siadam za stołem, na miejscu, które zarezerwowałam wcześniej, stawiając filiżankę do kawy. Jest to miejsce, które daje mi największe poczucie bezpieczeństwa: ściana za plecami, drzwi w zasięgu wzroku. Jeśli on usiądzie, drzwi będzie miał za plecami. Większość ludzi reaguje na to zdenerwowaniem, bo to osłabia ich zdolność do koncentracji. On akceptuje to bez sprzeciwu. Jeśli nawet jest tego świadom, nie daje nic po sobie poznać. Wyjmuje notatnik, ołówek i dyktafon z teczki, którą postawił na podłodze obok krzesła. Zadaje sobie

w duchu pytanie, co jeszcze się w niej znajduje.

Charlotta wycofała się dyskretnie do sąsiedniego pokoju. Victor Lenzen i ja siedzimy naprzeciwko siebie. Pora zaczynać partię.

Wiem o nim bardzo dużo, w ciągu ostatnich miesięcy zgromadziłam wiele informacji na jego temat. To on jest tu dziennikarzem, ale nie jest jedyną osobą w tym pokoju, która się starannie przygotowała do tej rozmowy.

– Mogę panią o coś zapytać? – zaczyna.

– Po to pan tu jest, czyż nie? – odpowiadam z uśmiechem.

Victor Lenzen ma 53 lata.

– *Touché.* Jednak to pytanie nie należy tak naprawdę do katalogu standardowych pytań w oficjalnym wywiadzie.

Victor Lenzen jest rozwiedziony i ma trzynastoletnią córkę.

– Zatem? – pytam z naciskiem.

– Zatem. Zastanawiam się po prostu, no bo jak wiadomo, żyje pani z dala od świata i ostatniego dużego wywiadu udzieliła pani przeszło dziesięć lat temu.

Victor Lenzen studiował politologię, historię i dziennikarstwo i odbył wolontariat we „Frankfurter Tageszeitung”. Przeniósł się do Monachium, szybko awansował, został kierownikiem redakcji „Münchner Tageszeitung”. Potem pracował za granicą.

– Stale udzielam wywiadów – mówię.

– W ciągu ostatnich dziesięciu lat udzieliła pani dokładnie czterech wywiadów, jednego telefonicznego, trzech mailowych, o ile moje informacje są rzetelne.

Victor Lenzen pracował przez wiele lat jako zagraniczny korespondent, był na Bliskim Wschodzie, w Afganistanie, w Waszyngtonie, w Londynie, w końcu w Azji.

– Odrobił pan pracę domową.

– Są ludzie, którzy uważają, że pani w ogóle nie istnieje – ciągnie. – Myślą, że autorka bestsellerów Linda Conrads to pseudonim jakiegoś innego pisarza.

– Jak pan widzi, jak najbardziej istnieję.

– W istocie. I teraz ukazuje się pani nowa książka. Cały świat zebrało o wywiad z panią, a pani rozmawia tylko ze mną. A ja nawet o niego nie prosiłem.

Pół roku temu Victorowi Lenzenowi zaproponowano pracę w niemieckiej stacji informacyjnej, odtąd znowu na stałe mieszka w Niemczech i pracuje

dla telewizji i różnych gazet.

– Jak brzmi pańskie pytanie?

Victor Lenzen jest uważany za najbardziej błyskotliwego niemieckiego dziennikarza; otrzymał dotychczas trzy ogólnokrajowe nagrody.

– Dlaczego wybrała pani właśnie mnie?

Victor Lenzen ma partnerkę życiową o nazwisku Cora Lessing, która mieszka w Berlinie.

– Może podziwiam pana pracę.

Victor Lenzen jest wierny Corze Lessing.

– Może – odpowiada. – Tylko że nie zajmuję się nawet pisaniem o kulturze, lecz relacjonuję wydarzenia polityczne za granicą.

Od powrotu do Niemiec Victor Lenzen co tydzień widuje się ze swoją córką Marie.

– Przyszedł pan wbrew sobie, panie Lenzen? – pytam.

– Mój Boże, nie, proszę mnie źle nie zrozumieć. Czuję się oczywiście zaszczycony. Zadawałem sobie tylko to pytanie.

Matka Victora Lenzena zmarła w latach dziewięćdziesiątych; jego ojciec żyje i mieszka w domu rodzinnym Lenzena, utrzymując się sam. Victor regularnie go odwiedza.

– Ma pan jeszcze inne nietypowe pytania? – Staram się przybrać ton rozbawienia. – Czy możemy już zaczynać?

Po pracy Victor Lenzen gra z kolegami w badmintona. Victor Lenzen wspiera Amnesty International.

– Zaczynajmy – mówi.

Ulubionym zespołem Victora Lenzena jest U2. Lubi chodzić do kina i mówi biegle w czterech językach: po angielsku, francusku, hiszpańsku i arabsku.

– No dobrze – mówię.

– Ale nie, jeszcze jedno pytanie – mówi Lenzen. Waha się albo udaje, że się waha.

Victor Lenzen jest mordercą.

– No więc... – mówi i urywa. Reszta zdania wisi w powietrzu jak groźba.

Victor Lenzen jest mordercą.

– Czy my się już kiedyś spotkaliśmy? – pyta w końcu.

Patrzę Victorowi Lenzenowi w oczy i oto nagle siedzi przede mną ktoś zupełnie inny niż przedtem i dostrzegam, jak bardzo się myliłam. Victor Lenzen

nie jest głupi. Victor Lenzen jest szalony.

Rzuca się na mnie, przez stół. Przewracam się na krześle do tyłu, uderzam mocno głową o podłogę, nie ma czasu, aby cokolwiek zrozumieć, nie ma czasu, abym wydała z siebie jakikolwiek dźwięk, bo on już mnie dopadł, chwyta mnie rękami za gardło, kopię, miotam się, wyginam, próbuję się uwolnić, ale on jest zbyt ciężki, o wiele za ciężki, zaciska palce na mojej szyi. Powietrze, nie mogę złapać powietrza! Od razu pojawia się panika, zalewa mnie jak fala. Wierzgam nogami, wiję się, jestem już tylko ciałem, czystą wolą przeżycia. Czuję krew w żyłach, tak ciężką, tak gorącą, tak gęstą, słyszę szum w uszach, jak nabrzmiewa i cichnie. Moja głowa eksploduje. Rozwieram szeroko oczy.

Wbija we mnie wzrok, ma łzy w oczach z wysiłku i nienawiści, nienawidzi mnie, myślę, dlaczego mnie nienawidzi? Jego twarz jest ostatnią rzeczą, którą widzę. Potem wszystko się kończy.

Nie jestem naiwna. Taki mogłoby to przybrać obrót. Dokładnie taki albo podobny. Wiem wszystko o Victorze Lenzenie, a jednocześnie nie wiem nic. A jednak przeprowadzę to wszystko. Jestem to winna Annie.

Biorę telefon, czuję w dłoni jego ciężar. Wciągam powietrze w płuca. Wybieram numer monachijskiej gazety, w której pracuje Victor Lenzen, i proszę o połączenie z redakcją.

Z okna swojego gabinetu widzę Starnberger See. Cieszę się, że gdy kupowałam ten dom, byłam na tyle przezorna, by zwrócić uwagę na piękny widok. Zaiste niewielu jest ludzi, dla których jest on tak ważny jak dla mnie. Mam w końcu tylko ten jeden widok. Choć w zasadzie to nie do końca prawda, bo zmienia się co dzień. Niekiedy jezioro jawi się jako zimne i nieprzystępne, potem znowu jest kuszące i orzeźwiające, kiedy indziej z kolei wygląda jak zaczarowane, aż prawie wyczuwam obecność syren o rybich ogonach pod powierzchnią wody, o których opowiadają stare podania z tych okolic. Dzisiaj jezioro jest lustrem dla kilku kokieteryjnych chmur na tle błękitnego nieba. Brakuje mi jerzyków, które latem przyozdabiają przestworza karkołomnymi akrobacjami. To moje ulubione zwierzęta. Żyją i kochają, śpią nawet w powietrzu, są ciągle w ruchu na bezkresnym niebie, tak dzikie, swobodne.

Siedzę przy biurku i myślę o sprawach, którym nadałam bieg. Za kilka miesięcy dziennikarz Victor Lenzen przeprowadzi wywiad z tajemniczą autorką bestsellerów Lindą Conrads. Będzie mowa o nowej powieści tej pisarki, jej pierwszym kryminale. Już to, że Linda Conrads udziela wywiadu, jest sporą sensacją. Od lat prasa ponawia prośby o rozmowę, proponuje kosmiczne sumy, lecz autorka za każdym razem odmawia. Nic dziwnego, że media z taką determinacją starają się o wywiad z Lindą Conrads. Bo o pisarce, która ukrywa się pod tym nazwiskiem, niemal nic nie wiadomo. Od wielu lat nie spotyka się z czytelnikami, nie udziela wywiadów, żyje w izolacji, nie ma konta na Facebooku, Instagramie czy Twitterze, krótko mówiąc: gdyby nie ukazujące się z niezwykłą regularnością książki, można by sądzić, że Lindy Conrads w ogóle nie ma. Nawet notka biograficzna i zdjęcie autorki na okładkach jej powieści nic w zasadzie nie mówią, ciągle te same od dobrych dziesięciu lat. Portret to czarno-białe zdjęcie, na którym widnieje być może ładna, być może brzydka, ewentualnie wysoka, może jednak niska kobieta o blond, względnie kasztanowych włosach i zielonych albo niebieskich oczach. Zdjęcie

wykonane z oddali. Z profilu. A krótka notka biograficzna na okładce zdradza jedynie rok urodzenia i to, że mieszkam z psem niedaleko Monachium. To wszystko.

Że oto zagraniczny korespondent Victor Lenzen, wyłącznie on i nikt inny, będzie mógł przeprowadzić wywiad z Lindą Conrads, to wywoła furorę.

Rzucę wyzwanie mordercy mojej siostry – i to za pomocą jedyne go środka, jaki mam do dyspozycji: literatury. Rzucę mu tę książkę w twarz. A potem spojrzę mu prosto w oczy. I chcę, żeby on patrzył mi w oczy, ze świadomością, że go przejrzałam, nawet jeśli nikt inny go nie przejrzał. Zdemaskuję Victora Lenzena i dowiem się, dlaczego Anna musiała umrzeć. Nieważne, jak tego dokonam.

To ogromne przedsięwzięcie, któremu muszę się poświęcić: pracuję nad powieścią kryminalną, w której opiszę zbrodnię odpowiadającą w najmniejszym szczególe zabójstwu mojej siostry.

Jeszcze nigdy nie pisałam tak złożonej powieści, w której z jednej strony chciałabym jak najbardziej zbliżyć się do prawdy, z drugiej strony zaś muszę wymyślić fabułę, która umożliwi ujęcie mordercy – a więc nastąpi finał, którego jak dotąd rzeczywistość mi odmówiła. I tak dziwnie się czuję, pisząc o zdarzeniach z własnego życia.

Nigdy dotąd w żadnej z moich książek nie próbowałam odtwarzać realnych zdarzeń. Byłoby to marnotrawstwo – od zawsze miałam nieposkromioną fantazję, głowę pełną opowieści, które chciały się wydostać na świat. Jeśli wierzyć moim rodzicom, już w przedszkolu lubiłam wymyślać historie. W mojej rodzinie utarło się takie wyrażenie: „Linda i jej historie”. Pamiętam, jak pewnego razu opowiadałam koleżance z podstawówki o spacerze z mamą w lesie, o tym, jak zbierałyśmy poziomki i nagle na polanie zobaczyłyśmy sarenkę. Taką małą w cętki, śpiącą w trawie. Chciałam do niej podejść, żeby ją pogłaskać, ale mama mnie powstrzymała i powiedziała, że potem sarenka będzie pachnieć człowiekiem i jej mama ją odtrąci, więc powinnyśmy zostawić zwierzątko w spokoju. I mówiłam, że miałam szczęście, bo wypatrzyłam taką małą sarenkę, a to bardzo rzadko się zdarza. Pamiętam, jakie wrażenie zrobiło to na mojej przyjaciółce; powiedziała, że często chodzi do lasu, kilka razy widziała nawet sarny, ale nigdy małej sarenki. Byłam taka dumna – miałam naprawdę ogromne szczęście. I pamiętam, że gdy koleżanka poszła już do domu, matka wzięła mnie na bok i zapytała, dlaczego opowiadam nieprawdziwe historie.

Tłumaczyła mi, że nie powinno się kłamać. A ja, oburzona, odpowiedziałam, że wcale nie skłamałam, po czym spytałam mamę, czy nie pamięta małej sarenki, bo ja pamiętam ją doskonale. Pokręciła głową – ech, Linda i jej historie – i dodała, że całe to zdarzenie z sarenką widzieliśmy niedawno w filmie. Wtedy sobie przypomniałam. Oczywiście, film!

Wyobraźnia to wspaniała rzecz, na tyle wspaniała, że zarabiam dzięki niej mnóstwo pieniędzy. Wszystko, co do tej pory napisałam, jest jak najdalsze ode mnie i mojego życia. Dziwnie tak zapraszać teraz innych ludzi do swojego życia. Uspokajam się tym, że tak naprawdę nie są to sceny z mojego życia, że świat, w który się zanurzam, to zniekształcona rzeczywistość. Wiele szczegółów jest innych, częściowo dlatego, że umyślnie je zmieniam, częściowo dlatego, że nie pamiętam wszystkich szczegółów. Tylko jeden rozdział – stanowiący oś całej powieści – będzie wiernym odzwierciedleniem rzeczywistości: pewna noc w środku lata. Mieszkanie Anny. Muzyka, ogłuszająco głośna. Krew i puste oczy.

Książka właściwie powinna zaczynać się tym rozdziałem, ale nie byłam w stanie jak dotąd zmusić się do tego, by wrócić w to miejsce. Wczoraj mówiłam sobie, że napiszę ten rozdział jutro. A dzisiaj znowu myślę: jutro.

Pisanie mnie męczy, ale w dobry sposób. To mój codzienny trening siłowy. Służy mi, że mam cel, prawdziwy cel.

Nikt poza mną nie dostrzega zmiany. Wszystko jest po staremu: Linda siedzi w swoim wielkim, samotnym domu i informuje agentkę i wydawnictwo o nowej książce. Czyli to, co zwykle Linda robi raz na rok. Nic szczególnego. Wszystko po staremu dla mojej agentki, której doniosłam właśnie, że wkrótce dostanie nowy manuskrypt, i która z natury rzeczy jest tym faktem zachwycona. Chociaż oczywiście dziwi się, że zmieniłam gatunek literacki i nagle chcę napisać thriller. Wszystko po staremu dla Charlotty, która zauważyła co najwyżej, że mniej czasu spędzam na czytaniu i oglądaniu telewizji, za to więcej w moim gabinecie. Wszystko po staremu dla Ferdiego, ogrodnika utrzymującego w należytym porządku teren wokół domu, no, być może rzuciło mu się w oczy, że w ciągu dnia rzadziej widuje mnie w piżamie. Wszystko po staremu. Tylko Bukowski jest spostrzegawczy, wie, że coś planuję, i rzuca mi porozumiewawcze spojrzenia współspiskowca. Wczoraj przyłapałam go na tym, jak przygląda mi się z troską tymi swoimi wielkimi, mądrymi oczami, i to

mnie wzruszyło.

Damy radę, stary.

Długo zastanawiałam się, czy powinnam kogoś wtajemniczyć. To byłoby rozsądne posunięcie. Mimo to zdecydowałam się tego nie robić. To, co zamierzam, jest całkowitym szaleństwem. Każdy normalny człowiek zadzwoniłby po prostu na policję i opowiedział o swoich podejrzeniach. Gdybym wtajemniczyła Norberta w tę sprawę, zareagowałby dokładnie tak samo: Zadzwoń na policję, Linda!

Nie mogę tego zrobić. Nawet gdyby mi uwierzyli, w najlepszym wypadku przesłuchaliby Victora Lenzena, i to w pierwszej kolejności. A wtedy zostałby ostrzeżony i już nigdy nie mogłabym się do niego zbliżyć. Nigdy nie dowiedziałabym się, co się wtedy stało. Ta myśl jest dla mnie nie do zniesienia. Nie, muszę to zrobić sama. Dla Anny.

Nie da się inaczej. Muszę zadać mu pytania, patrząc w oczy. Nie jakieś uprzejme pytania, które w jakiejś starej sprawie zadaje policjant wpływowemu dziennikarzowi, który wydaje się być ponad wszelkimi podejrzeniami. Żadne tam: „Proszę wybaczyć, że panu przeszkadzam, ale jest świadek, który uważa...”. Żadne: „Gdzie był pan dnia...”.

Prawdziwe pytania. To mogę zrobić tylko ja i mogę to zrobić tylko w pojedynkę. Gdybym wciągnęła kogoś w tę historię, zrobiłabym to ze strachu i egoizmu. Victor Lenzen jest niebezpieczny. Nie chcę, żeby miał kontakt z ludźmi, których cenię i kocham. Jestem więc zdana tylko na siebie. Poza tym – z wyjątkiem Norberta, mojego wydawcy i Bukowskiego – i tak nie ufam nikomu w stu procentach. W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach – tak. Ale w stu? Nie wiem nawet, czy samej sobie mogę w stu procentach ufać.

Powiedziałam więc wszystkim tylko to, co było absolutnie konieczne. Rozmawiałam z agentką, z szefową działu prasowego mojego wydawnictwa i z redaktorką. Były zdziwione, że chcę napisać kryminał, a jeszcze bardziej zbiło je z tropu to, że chcę udzielić wywiadu, jednak przyjęły to do wiadomości. Czeka mnie jeszcze rozmowa z wydawcą – pomówię z nim w spokoju w dogodnej chwili – ale grunt już sobie przygotowałam. Ustaliliśmy już nawet termin złożenia rękopisu i wydania gotowej książki.

To dobrze. Praca pod zadany termin wielokrotnie nadawała w ostatnich latach sens mojej egzystencji i więcej niż raz uratowała mi życie. Trudno żyć całkiem samotnie w tym wielkim domu i często przychodziło mi do głowy,

żeby się wynieść stąd na zawsze. Garść tabletek nasennych. Kąpiel z żyletką w wannie. W końcu jednak za każdym razem coś tak banalnego jak deadline było tym, co mnie powstrzymywało. To był konkret. Bez trudu wyobrażałam sobie ogrom nieprzyjemności, jakich przysporzyłabym wydawcy i innym ludziom, którzy rok w rok dbali o to, aby moje książki trafiły na rynek, gdybym nie dostarczyła tekstu. Były umowy i plany. Więc żyłam dalej i pisałam.

Próbuję nie myśleć za dużo o tym, że być może ta książka będzie moją ostatnią.

Uruchomiłam niebezpieczny proces, dzwoniąc do redakcji. To było z mojej strony sprytne posunięcie, bo teraz nie ma już odwrotu. Okazało się, że Lenzen pracuje zarówno dla telewizji, jak i dla jednej z gazet. To dobrze. Bo mój plan zapewne spaliłby na panewce, gdyby Lenzen zjawił się u mnie z ekipą telewizyjną. Dlatego umówiłam się na wywiad dla gazety. Tylko on i ja.

Wracam do Jonasa Webera, młodego komisarza o ciemnych włosach i poważnych oczach, z których jedno jest brązowe, drugie zielone. I do Sophie, bo tak zdecydowałam nazwać moje literackie alter ego. Sophie przypomina mi, jaka byłam kiedyś. Impulsywna, rozbrykana, niezdolna usiedzieć dłużej w jednym miejscu. Bieganie o świcie po lesie, wyprawy z namiotem. Seks w przebieralni, wspinaczka górską, mecze piłki nożnej.

Przyglądam się Sophie na kartach mojej powieści. Wygląda jak ktoś, kto czeka na wyzwanie, kto jeszcze się nie rozsypał. To nie jestem już ja. Nie mam już oczu, które przed dwunastu laty zobaczyły martwą Annę. Kawałek po kawałku zmieniły się w inne oczy. Moje wargi nie są już wargami, które zaciśkałam, gdy musiałam patrzeć, jak trumna z moją siostrą jest opuszczana do grobu. Moje ręce nie są już tymi rękami, które zaplatały jej włosy przed pierwszą rozmową rekrutacyjną. Jestem inną osobą. W każdym calu. To nie metafora. To prawda.

Nasze ciało stale wymienia komórki. Zastępuje stare innymi. Odnawia się. Po siedmiu latach człowiek jest w zasadzie nowy. Wiem takie rzeczy. W ostatnich latach miałam cholernie dużo czasu na czytanie.

Siedzę z Sophie w ciemności na schodach i marznę, chociaż na zewnątrz jest ciepło. Noc z rozgwieżdżonym niebem. Patrzę, jak Jonas i Sophie dzielą się papierosem. Moja historia mnie wchłania. Zatracam się. Dzielenie się z obcym człowiekiem papierosem ma w sobie coś magicznego. Piszę i obserwuję tych dwoje, prawie mam ochotę znowu zacząć palić.

Cała sceneria rozpada się, gdy rozlega się dzwonek u drzwi. Przerazenie przenika moje członki. Serce bije mi jak szalone i czuję, jak cienka granica dzieli moją dopiero co odzyskaną determinację od lęków. Zamieram w bezruchu z rękami nad klawiszami laptopa, jestem posągiem i ze strachem czekam na drugi dzwonek. Wzdrygam się, gdy się rozlega. I trzeci, i czwarty. Boję się. Nie oczekiwałam nikogo. Jest późny wieczór, siedzę tu sama, sama z moim małym psem w moim wielkim domu. Zadzwoiłam przed kilkoma dniami do redakcji informacyjnej, w której pracuje morderca mojej siostry, i pytałam o niego. Zwróciłam na siebie jego uwagę, popełniłam błąd i teraz się boję. Dzwonek ciągle rozbrzmiewa, w głowie gonitwa myśli, co robić, co teraz robić, co robić? Nie jestem w stanie jasno myśleć. Zignorować dzwonek? Udawać martwą? Zatelefonować na policję? Przemknąć do kuchni i wziąć nóż? Co mam robić? Bukowski zaczyna ujadać, biegnie do mnie, merdając ogonem, oczywiście, on kocha gości. Rozpędzony wskakuje na mnie, a rozszałały dzwonek zamiera na moment. Za to mój mózg znowu zaczyna pracować.

Tylko spokojnie, Linda.

Można podać milion sensownych wyjaśnień, dlaczego o wpół do jedenastej w czwartek wieczorem ktoś dzwoni do drzwi. I żadne z tych niezliczonych wyjaśnień nie ma nic wspólnego z Victorem Lenzenem. I w ogóle: dlaczego morderca miałby dzwonić do drzwi? Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, to oczywiste. To pewnie tylko Charlotta czegoś zapomniała. Albo moja agentka, która mieszka w pobliżu i od czasu do czasu wpada po prostu, choć prawie nigdy o tak późnej porze. Albo może w okolicy coś się stało? Może nawet ktoś potrzebuje pomocy! Znowu jestem zdolna do działania, otrząsam się z odrętwienia, zbiegam pośpiesznie po schodach i podchodzę do drzwi. Bukowski mi towarzyszy, ujadając i machając ogonem.

Cieszę się, że cię mam, stary.

Otwieram drzwi. Przedemną stoi mężczyzna.

4 - SOPHIE

Powietrze miało konsystencję żelu. Pochłonęło Sophie natychmiast, gdy wysiadła z klimatyzowanego samochodu. Nienawidziła takich nocy jak ta, przepełnionych i agresywnych, kiedy nie mogła zasnąć z powodu upału, kiedy skóra kleiła się pod każdym dotykiem, kiedy żarły ją komary.

Stała przed drzwiami do mieszkania swojej siostry i już po raz drugi naciskała dzwonek, długo i z irytacją. Parkując, widziała, że u Britty pali się światło, wiedziała, że ona jest w domu. Prawdopodobnie Britta nie otwiera dla zasady, po prostu dlatego, że nie lubi niespodziewanych wizyt i przy każdej nadarzającej się okazji daje do zrozumienia, że to po prostu nieuprzejmie tak kogoś nachodzić, bo można uprzedzić o swojej wizycie, dzwoniąc z komórki.

Sophie oderwała palec od dzwonka i przyłożyła ucho do drzwi. Z wnętrza dobiegała muzyka.

– Britta! – krzyknęła, ale nie doczekała się odpowiedzi.

Od razu przypomniała jej się matka. Matka, która martwiła się z powodu byle głupstwa, która w przypadku najmniejszego spóźnienia jednej lub drugiej córki uruchamiała ekspedycję poszukiwawczą, dla której najłżejszy kaszel był zapowiedzą raka płuc. Sophie natomiast należała do tych ludzi, którzy myślą, że prawdziwe nieszczęścia przytrafiają się tylko innym. Więc wrzuciła ramionami, wymacała w kieszeni pęk z zapasowym kluczem od mieszkania Britty, podłubała chwilę przy zamku i otworzyła drzwi.

– Britta?

Kilkoma krokami pokonała korytarz i kierując się muzyką, weszła do salonu. Tam stanęła, jakby wrosła w ziemię. Jej oczom ukazała się scena, której w pierwszej chwili umysł nie potrafił ogarnąć.

Tam była... Britta. Leżała na wznak na podłodze, oczy miała szeroko otwarte, a na twarzy wyraz niedowierzania i w pierwszym momencie Sophie myślała, że siostra upadła nieszczęśliwie i potrzebuje tylko pomocy, by się podnieść. Sophie zrobiła krok w kierunku Britty i wtedy zobaczyła krew, sta-

nęła więc nagle, zamarła. Było tak, jakby w pomieszczeniu zabrakło tlenu. Czerń i biel, scena z czarno-białej fotografii. Ani powietrza, ani dźwięków, ani kolorów, które ożywiałyby tę potworną martwą naturę. Jasne włosy Britty, jej ciemna sukienka, biały dywan, kawałki potłuczonego szkła, przewrócona szklanka, białe kwiaty, czarny sandał, który zsunął się ze stopy, krew, całkiem czarna. Rozlewała się wokół ciała Britty.

Sophie złapała ustami powietrze i muzyka nagle wróciła, dudniąca i groźna. *All you need is love, la-da-da-da-da*. I kolory także nagle powróciły, a wszystko, co Sophie widziała, było głęboką, jaskrawą czerwienią.

Gdy zszokowany mózg próbował pojąć makabryczną scenę, Sophie kątem oka dostrzegła ruch w rogu pokoju. Odwróciła głowę w panice, ale zorientowała się, że z powodu przeciągu zafalowały ospale zasłony na drzwiach prowadzących na taras. Lecz potem dostrzegła cień. Stał cicho, jak przyczajone zwierzę, jakby Sophie mogła go dostrzec tylko wtedy, gdyby się poruszył. Tkwił przy otwartych drzwiach na taras. Przyglądał się Sophie. Potem zniknął.

8

Wlepiam przerażony wzrok w Norberta, mojego wydawcę, który ciągle trzyma palec na dzwonku.

– Nareszcie – mówi i bez ceregieli, bez słów powitania wymija mnie, aby wejść do przedpokoju. Pierwszy powiew zimy przekracza wraz z nim próg mojego domu. Chcę coś powiedzieć, ale Norbert nie dopuszcza mnie do głosu.

– Czyś ty już całkiem zwariowała? – zaczyna mnie opieprzać.

Bukowski skacze na niego, uwielbia go. Co niewiele znaczy, bo lubi wszystkich. Norbert jest najwyraźniej wściekły, mimo to mięknie na moment, czochra psa po grzbiecie, ale potem odwraca się do mnie i wtedy między jego brwiami znowu pojawia się zmarszczka. Jeśli mam być szczerą, jestem cholernie szczęśliwa, że go widzę, nieważne, że jest wkurzony. Norbert to nie tylko patentowany choleryk, lecz także najbardziej dobroduszny człowiek, jakiego znam. Wszystko jest w stanie doprowadzić go do pasji: polityka, która coraz bardziej głupieje, branża wydawnicza, która schodzi na psy, jego autorzy, którzy robią się coraz bardziej zachłanni. Cały świat zna wybuchy złości Norberta i jego namiętne tyrady, które – gdy krew go zalewa – okrasza dosadnym słownictwem ze swojej przybranej południowofrancuskiej ojczyzny. *Putain! Merde!* Albo, gdy jest już zupełnie źle, połączeniem tych dwóch.

– Co się właściwie stało? – pytam, gdy już otrząsam się z zaskoczenia spowodowanego późnowieczorną wizytą. – Myślałam, że jesteś we Francji.

Parska z irytacją.

– Co się stało? To ja ciebie pytam!

Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego Norbert jest tak wściekły. Współpracujemy od lat. I jesteśmy przyjaciółmi. Co takiego zrobiłam? Albo czego zapomniałam zrobić? Czy w wirze pracy nad thrillerem przeoczyłam coś ważnego? W głowie mam pustkę.

– Wejdz najpierw do środka. To znaczy tak porządnie – mówię i ruszam do kuchni.

Nastawiam kawę, nalewam wody do szklanki, stawiam ją przed nim. Norbert, bez zachęty z mojej strony, usiadł już przy kuchennym stole, ale znowu wstaje, gdy odwracam się w jego stronę. Jest tak rozeźlony, że nie potrafi usiedzieć na miejscu.

– Zatem? – pytam.

– Zatem? – przedrzeźnia ton mojego głosu, aż skonsternowany Bukowski cofa się parę kroków. – Moja autorka Linda Conrads, którą otaczam edytorską opieką od przeszło dekady, postanowiła porzucić literaturę najwyższych lotów, którą co roku z precudowną regularnością wzbogacała kolejną powieścią, i napisać krwawy thriller chyba tylko po to, żeby rozdrażnić czytelników i krytykę. Bez uzgodnień, ot tak, po prostu. Jakby tego było mało, pani autorka od razu leci z tym genialnym pomysłem do prasy! Nie zamieniwszy ani słowa ze swoim wydawcą. Bo najwyraźniej uważa, że jestem nie tylko szefem dużej, całkiem dochodowej firmy zatrudniającej wielu pracowników, który dzień w dzień wypruwa sobie żyły także dla niej i dla jej książek, lecz że w pierwszej kolejności jestem jej osobistą, bezwolną maszyną drukarską. *Putain bordel de merde!*

Twarz Norberta przybrała kolor ciemnoczerwony. Mój wydawca bierze szklankę i wypija łyk wody. Chce powiedzieć coś jeszcze, otwiera usta, ale jednak zmienia zdanie, kręci tylko głową i pije dalej, gniewnie gulgocząc. Nie wiem, co mam odrzec, nawet przez sekundę nie pomyślałam, że Norbert będzie mi robił problemy. A może zrobić ogromne, uświadamiam sobie nagle. Podstawowym elementem mojego planu jest to, że książka uzyska promocyjne wsparcie ze strony wydawnictwa. Nie ma książki, nie ma wywiadu. Cholera, brak czasu i energii, żeby kłócić się z Norbertem albo szukać nowego wydawnictwa. Mam inne problemy. Oczywiście każde wydawnictwo weźmie moją powieść z pocałowaniem ręki, bo jestem wziętą autorką i bez wątpienia zmiana gatunku nie odstraszy moich czytelników. Może kilku, ale w miejsce tych, którzy odejdą, przyjdą następni. I nie o to przecież w ogóle chodzi. Jest mi zupełnie obojętne, ile egzemplarzy się sprzeda, byleby Lenzen złapał przywę. Ale przecież nie mogę powiedzieć tego Norbertowi. Że nie chodzi mi o jakąś tam książkę.

Nie chcę się kłócić. A już na pewno nie z jednym z moich niewielu przyjaciół na tej planecie. Mój mózg pracuje na przyspieszonych obrotach, zastanawiam się, czy powinnam wtajemniczyć Norberta. We wszystko. Tak często bawiłam się tą myślą. Byłoby tak dobrze mieć jego wsparcie.

– Powtarzam pytanie, które zadałem ci w drzwiach – mówi Norbert i odstawia szklankę na stół, wrywając mnie z rozmyślań. – Czy ty już całkiem zwa-riowałaś?

Chyba przydałby się wspólnik. Ktoś, komu mogę zaufać. W tej autentycznie kryzysowej sytuacji chciałabym mieć Norberta po swojej stronie. Chyba powinnam mu wszystko powiedzieć. Że nie poradzę sobie sama. Że się boję.

– Więc co się dzieje? – pyta zniecierpliwiony.

Pieprzyć to. Powiem mu. Zbieram się w sobie, wciągam powietrze w płuca.

– Norbercie...

– Nic teraz nie mów! – przerywa mi przez zaciśnięte zęby, podnosząc rękę, by mnie uciszyć. – Zapomniałem o czymś.

Wychodzi w pośpiechu. Zdezorientowana słyszę otwierające się drzwi wejściowe. Kilka minut później pojawia się znowu, z butelką wina w ręku.

– Dla ciebie – mówi z wciąż nadąsaną miną i stawia wino na stole.

Norbert zazwyczaj przynosi mi butelkę wina ze swojej przybranej ojczyzny – najlepsze rosé, jakie znam. Ale też zazwyczaj nie jest na mnie zły. Dostrzega wyraz konsternacji na mojej twarzy.

– To, że zachowujesz się jak głupia krowa, nie znaczy, że dam ci umrzeć z pragnienia. – RzUCA mi spojrzenie mówiące: „Taki jestem dla ciebie dobry”. Z trudem powstrzymuję uśmiech, a jednocześnie mam ochotę się rozpłakać. Myślę, że byłoby świetnie mieć Norberta w swojej drużynie, może by mi uwierzył, może nawet zrozumiał? Ale to zbyt niebezpieczne. Nie mogę go w to wciągać. Cholera. Co ja teraz zrobię?

Bulgot kafetierki przerywa moje rozmyślenia. Nalewam kawy do filiżanek.

– Nie myśl sobie, że ci się upiekło – mówi Norbert. – Jesteś mi winna wyjaśnienia.

Siadam, on zajmuje miejsce naprzeciwko. Gorączkowo próbuję wymyślić historyjkę, w którą by uwierzył.

– Jak to możliwe, że rozmawiałaś z ludźmi z wydawnictwa, tylko ze mną nie?

– Bo chciałam porozmawiać z tobą osobiście, jak wrócisz z urlopu, zamiast pisać durne maile. Ubiegłeś mnie po prostu! Nie wiedziałam nawet, że już jesteś.

To prawda. Norbert patrzy na mnie przenikliwie.

– Ale dlaczego thriller? – pyta. – Teraz już na poważnie!

Waham się przez chwilę, potem postanawiam trzymać się jak najbliżej prawdy, nie zdradzając jednak zbyt wiele.

– Masz rodzeństwo?

– Nie – mówi. – Jestem jedynakiem. Moja żona mówi, że to widać.

Z trudem powstrzymuję wybuch śmiechu. Potem poważnieję.

– Miałam siostrę. Miała na imię Anna.

Marszczy krzaczaste brwi.

– Miałaś? – pyta.

– Anna nie żyje. Została zamordowana.

– Mój Boże. Kiedy to się stało?

– Już kawał czasu temu. W lecie minęło dwanaście lat.

– *Merde!*

– No tak.

– Ujęto sprawcę?

– Nie – odpowiadam, przełykając ślinę – Nie udało się.

– *Putain* – mówi cicho Norbert. – To niedobrze.

Przez chwilę milczymy.

– Dlaczego mi tego nigdy nie powiedziałaś?

– Niechętnie o tym mówię. Nie za bardzo potrafię. Otworzyć serce przed innymi ludźmi. Może dlatego nigdy sobie z tym nie poradziłam. Wiesz, ja jakoś inaczej radzę sobie z trudnymi rzeczami. Przepracowuję traumy, pisząc. I właśnie teraz tak robię.

Norbert milczy przez długą chwilę. Potem kiwa głową.

– Rozumiem – mówi w końcu.

I tym samym sprawa jest dla niego zakończona. Wstaje, szuka otwieracza w szufladzie, znajduje go, odkorkowuje przyniesione wino i nalewa do kieliszków. Kamień, który spadł mi z serca, waży tony.

Po godzinie, wielu słowach, trzech filiżankach espresso, butelce znakomitego francuskiego rosé i trzech czwartych butelki whisky wciąż siedzimy przy kuchennym stole i skręcamy się ze śmiechu. Norbert opowiada mi dziesiąty już chyba raz historię o tym, jak to z pewnym heskim politykiem, w tamtych czasach jeszcze grubym i w sympatyczny sposób zaniedbanym, tak zabalowali w barze, że został przyłapany potem przez policję na tym, jak próbował otwierać swoimi kluczami cudze porsche, które przypadkiem też było czerwone i stało na tym samym parkingu co jego poobijany golf. Zawsze śmieję się z tej

historii tak, jakbym słyszała ją po raz pierwszy.

Uśmiecham się do Norberta, mimo że właśnie wspomina, jak to na imprezie z okazji jego pięćdziesiątych urodzin wpadłam w amok tylko dlatego, że zespół ośmielił się zagrać *All You Need is Love* Beatlesów. Pamiętam ten wieczór jak przez mgłę, to był jeden z tych lepszych wieczorów względnie nie-długo po śmierci Anny – w tym dziwnym okresie będącym interludium między szokiem a całkowitym załamaniem, kiedy wprawdzie byłam rozbita, ale wciąż jakoś funkcjonowałam.

Nie znaliśmy się jeszcze wtedy za dobrze, dopiero przeszłam do jego wydawnictwa, nie wiedział więc dużo o mojej przeszłości. Nie miał pojęcia, że w ogóle miałam siostrę. Pamiętam, że piłam prosecco mimo antydepresantów, że tańczyłam z moim narzeczonym Markiem wbrew temu, że nie czułam już nic do niego. Pamiętam, że podporządkowując się prośbie wyrażonej w zaproszeniu, byłam ubrana na biało, chociaż chodziłam wyłącznie w czerni. Pamiętam, że myślałam, że moje życie naprawdę mogłoby tak wyglądać, że będę świętować i pić prosecco, tańczyć i spełniać niewinne zachcianki moich ekscentrycznych przyjaciół. I pamiętam, że dopadło mnie to na parkiecie jak trzęsienie ziemi, akurat tańczyłam z Markiem, gdy to się zaczęło, pierwsze takty: *Love, love, love*. Pamiętam, jak rzeczywistość została wessana przez chciwy czarny wir i zostałam sam na sam z tamtym wspomnieniem, z krwią, z Anną i krwią, że z trudem łapałam powietrze, próbowałam wydostać się z czarnej powodzi, ale piosenka trzymała mnie w kleszczach, rozwarłam szeroko oczy, dotarły do mnie strzępy rzeczywistości, uchwyciłam się ich kurczowo, ludzie wokół mnie śpiewali razem z zespołem, złapałam ustami powietrze, przestańcie, przestańcie!, krzyczałam bezgłośnie, a ludzie wokół mnie śpiewali dalej, nie słyszeli mnie, *All you need is love, la-da-da-da*, i potem naprawdę krzyknęłam, tak głośno, jak tylko mogłam: Przestańcie, przestańcie, przestańcie!, krzyczałam, aż poczułam palący ból w gardle, aż ludzie wokół mnie przestali śpiewać, tańczyć, spojrzenia skupiły się na mnie, nawet skonsternowani muzycy przestali grać, a ja krzyczałam, wyłam na środku parkietu. Przestańcie, przestańcie, przestańcie!, ciągle jeszcze uwięziona w wirze, ciągle w mieszkaniu Anny, ciągle bezsilna, sama, i objęcia Marka, jego głos, cicho: Ssz, spokojnie, wszystko okej, i jego wyraźny głos: „Proszę wybaczyć, moja narzeczona za dużo wypięła, sorry, czy możemy przejść?”.

Norbert skręca się ze śmiechu na to wspomnienie. Nie ma przecież pojęcia, co wtedy się działo, myśli, że wypięłam o jeden kieliszek za dużo, a ponadto że

żywie jakąś niewytłumaczalnie głęboką niechęć do Beatlesów.

Nie mówię dzisiaj o tym, co się stało z Anną, i wtedy też o tym nie rozmawiałam. W zasadzie nie ma już dzisiaj w moim życiu ludzi, którzy wiedzą, że miałam kiedyś siostrę i co się z nią stało – jeśli nie liczyć rodziców. Nie ma starych przyjaciół ani kolegów szkolnych, ani wspólnych znajomych. Dla otaczających mnie ludzi Anna nigdy nie istniała.

Jak Norbert miałby skojarzyć mój amok z tym morderstwem? Dlatego nie przeszkadza mi, że się śmieje. Nie wie o tej chwili, kiedy weszłam do mieszkania Anny, znalazłam ją leżącą na podłodze, martwą albo umierającą. I kiedy zobaczyłam jej zabójcę. Przyczajonego. Jego zimne jasne oczy, ja skamieniała przez kilka strasznych sekund, Anna skamieniała na zawsze, wszystko wtedy zamarło, sztywne, nieruchome, cały pokój jakby zamrożony, tylko jeden ruch w kątku mojego oka, surrealistyczny, upiorny, niekończący się, gramofon, tak okrutny, tak nie na miejscu, kręcąca się w kółko płyta, jedna z moich starych płyt tak w ogóle, którą dałam Annie w prezencie. Beatlesi. *All you need is love, la-da-da-da-da, all you need is love, la-da-da-da-da, all you need is love, love, love is all you need.*

To właśnie z powodu tej piosenki nigdy, ale to naprawdę nigdy nie włączam radia – ze strachu, że ją puszcza.

Przełykam grudę dławiącą mi gardło, odpędzam te myśli jak najdalej od siebie. To dobrze, że Norbert się śmieje. Nieważne z czego.

Rozkoszuję się jego obecnością. Kocham jego poczucie humoru, kocham jego szelmowski cynizm, ten ton, na który mogą sobie pozwolić tylko ludzie traktowani łaskawie przez życie. Chciałabym, żeby został na noc, w tym domu jest w bród pokoiów gościnnych, ale stwierdza stanowczo, że musi wracać, mówi coś o jakiejś konferencji następnego ranka. Cholera, to takie miłe, takie normalne, przyjaciel siedzący naprzeciwko, bliski mi jak starszy brat, przy jego nogach śpiący pies, który unosi brwi przez sen, jakby właśnie natknął się na coś niesamowicie zadziwiającego. Jesteśmy tylko my troje, ale właśnie teraz, w tym momencie, mój dom jest pełen życia. Tłumię westchnienie. Jasne, że nie może zostać. W ogóle nie powinnam próbować zatrzymać tej chwili. Zaraz się coś wydarzy, co ją zniszczy. Co to będzie, co to będzie, co to będzie?

To Norbert. Wstaje. Tłumię odruch, żeby się go kurczowo ucześcić.

– Proszę, zostań – mówię cicho. – Boję się.

Nie słucha, może wcale tego nie powiedziałam? Norbert zgarnia płaszcz, rzuca mi surowe spojrzenie i mówi, że lepiej, aby ten mój nowy tekst był

dobry, skoro muszę pisać głupi thriller, po czym rusza chwiejnym krokiem. Nie powinnam pozwolić, żeby wracał samochodem, bo jest pijany. Idę za nim, ale ciało mam jak z ołowiu.

Odwraca się do mnie, chwyta mnie za ramiona i patrzy mi prosto w oczy. Czuć od niego whisky.

– Książka musi być siekierą na zamrożone morze w naszym wnętrzu – mówi niemal oskarżycielskim tonem.

– Kafka – odpowiadam, a on kiwa głową.

– To ty to ciągle cytowałaś. Książka musi być siekierą, Linda. Nie zapomnij o tym. Thriller czy nie thriller, chcę od ciebie czegoś autentycznego. Czegoś o życiu, o duszy, o...

Mamrocze coś niezrozumiale, puszcza mnie, zapina niezdarnie guziki płaszcza. Przeocza dziurkę u góry, próbuje naprawić błąd, znowu się gubi i bliski pasji daje za wygraną. Płaszcz pozostaje rozpięty.

– Ta książka jest siekierą, Norbercie.

Przygląda mi się nieufnie, potem wzrusza ramionami. Próbuję jednym spojrzeniem powiedzieć mu wszystko, czego chwilowo nie potrafię wyrazić słowami, krzyczę. Że potwornie się boję, że nie chcę umierać, że potrzebuję kogoś, z kim mogłabym pogadać, że zaraz umrę, jeśli on teraz pójdzie, że czuję się jak najbardziej osamotniony człowiek na całej planecie.

Mój wydawca żegna się ze mną buziakiem w lewy i prawy policzek – i chwiejnym krokiem wychodzi. Patrzę, jak znika w ciemności. Nie chcę, żeby odjechał. Chcę mu wszystko opowiedzieć. O trzęsieniu ziemi. O Annie. Chcę mu wyjawić, co planuję. I to, jak bardzo jestem samotna. On jest moją ostatnią szansą, zbawiennym lądem, kotwicą. Otwieram usta, żeby go zawołać, ale już zniknął, już go nie ma, już jest za późno, zniknął, rzucić cumy, jestem sama.

6 - Jonas

Chwycił broń oburącz, stanął na szeroko rozstawionych nogach, podniósł ją, wycelował i strzelił. Jonas Weber nienawidził myśli, że mógłby być kiedykolwiek zmuszony mierzyć do kogoś z pistoletu, był szczęśliwy, że nigdy nie musiał strzelać do człowieka. Raz oddał strzał ostrzegawczy i na tym się skończyło. Miał nadzieję, że tak już zostanie na zawsze. Ale uwielbiał trening na strzelnicy, bo zawsze lubił strzelać. Jako dziecko – z wiatrówki ojca do puszek, jako wyrostek – idiotyczne – ciągle z wiatrówki razem z kumplami do wróbli i gołębi. A dzisiaj ze swojej broni służbowej do tarczy. Lubił staranność, która jest niezbędna przy obchodzeniu się z bronią palną. Dokładność i rytuały z tym związane. Mózg nie ma wtedy czasu na inne myśli. Ale dzisiaj rytuał nie poskutkował, myśli nie chciały się uspokoić.

Myślał o miejscu zbrodni, na które został wezwany w nocy, o całej tej krwi. O widoku zwłok. Myślał o świadku, który odnalazł ofiarę, który zaskoczył sprawcę. Pod każdym względem szczególna historia. Tyle elementów wymagających uporządkowania, tyle pytań, na które zapewne nigdy nie uzyska odpowiedzi bez względu na to, ile pracy włoży w śledztwo.

To była długa noc, długa i męcząca – żadnych szans, żeby pojechać do domu przed świtem i położyć się obok Mii. A potem popełnił jeszcze taki głupi błąd. Nadal nie rozumiał, jak to się mogło stać. Zawsze postępował jak zawodowiec w kontaktach z bliskimi ofiar przestępstwa. Nie miał pojęcia, dlaczego to wszystko tak go poruszyło, po tylu latach. Prawda, ofiara wyglądała strasznie. Siedem ciosów nożem. Ale przecież naoglądał się takich rzeczy. Owszem, był nieprawdopodobnie przemęczony. Ale już do tego nawykł.

To chyba przez tę kobietę. Przez świadka. Była może kilka lat młodsza od niego; to ona znalazła swoją zakłutą nożem siostrę i podobno widziała uciekającego mordercę. Rozmawiając z kolegami, Jonas złapał się na tym, że ją obserwuje. Sanitariusz posadził ją na krzesło i okrył kocem, dość dziwne zachowanie, biorąc pod uwagę upał panujący tej nocy. Kobieta siedziała

pograżona w myślach. Nie trzęsa się, nie płakała. To pewnie szok, pomyślał Jonas, gdy nagle odwróciła głowę i spojrzała wprost na niego z niezwykle intensywnością. Nie była zapłakana czy oszołomiona, nie była otępiała, nie była pod wpływem szoku, nic z tych rzeczy, patrzyła przytomnym wzrokiem. Od tamtej pory wielokrotnie stawała mu przed oczami ta scena, nie mógł się od niej uwolnić. Kobieta zrzuciła koc, wstała i podeszła do niego. Popatrzyła mu w oczy i powiedziała tylko jedno słowo, zupełnie tak, jakby całe zdania kosztowały ją zbyt dużo energii.

– Dlaczego?

Odruchowo przełknął ślinę.

– Nie wiem.

Ale czuł, że to nie wystarczy, że musi jej coś dać, i zanim zdążył pomyśleć, dodał:

– Nie wiem, co tu się stało, ale obiecuję pani, że się tego dowiem.

Był na siebie wściekły. Jak mógł składać takie obietnice? Może nigdy nie znajdą sprawcy. Nic jeszcze nie wiedział o kulisach tej sprawy. Zachował się całkowicie nieprofesjonalnie! Jak jakiś dumny policjant w głupim filmie.

Myślał o karcącym spojrzeniu, które rzuciła mu Antonia Bug, a przecież był bardziej doświadczony i powinien lepiej kontrolować sytuację. Czekał potem na jej komentarz, gdy zostali sami. Był jej bardzo wdzięczny, że się powstrzymała.

Jonas przeładował broń, spróbował się skoncentrować i odegnać od siebie wspomnienie tej sceny. Miał już wystarczająco dużo problemów, nie powinien więc robić sobie teraz wyrzutów z powodu tej drobnej wpadki. Przecież tak naprawdę nic tej kobiecie nie obiecał. Nie mógł obiecać, to chyba było dla wszystkich jasne. Czasami tak się po prostu mówi: „Obiecuję”. To tylko takie słowo. Przesłuchanie świadków miał już za sobą, więc prawdopodobnie już nigdy nie zobaczy tej kobiety. Podniósł broń i próbując nie myśleć o niczym, strzelił.

9

Próbuję zapanować nad odruchem ucieczki. Przychodzi mi to z niewyobrażalnym trudem. Czuję, jak moje serce przyspiesza, zauważam, że oddech staje się coraz bardziej niespokojny. Staram się zastosować metody, których się nauczyłam, próbuję kontrolować doznania, a nie je ignorować. Koncentruję się na biciu serca, liczę oddechy, dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy. Kieruję uwagę na uczucie obrzydzenia, dzięki czemu unikam bezowocnych prób stłumienia go. Obrzydzenie tkwi w piersi, trochę poniżej strachu. Jest lepkie i ciągnie się jak gęsty śluz. Dotykam go ostrożnie, narasta i maleje jak ból zęba. Chcę je wyminąć, chcę znaleźć się od niego jak najdalej – to całkiem normalne, tego też się nauczyłam.

Odruch ucieczki – to całkiem normalne. Ale to nic nie da, omijanie, próby uniknięcia bólu i strachu. Sięgam po mantrę, którą wypracowałam z terapeutą, chwytam się jej kurczowo. Uwolnienie się od strachu prowadzi przez strach. Uwolnienie się od strachu prowadzi przez strach. Uwolnienie się od strachu prowadzi przez strach.

Mężczyzna rzuca mi pytające spojrzenie. Skinieniem głowy sygnalizuję mu, że jestem gotowa, chociaż jest dokładnie odwrotnie. Przyglądam się temu pajakowi już od wielu, wielu przerażających minut. Siedzi w swoim słoiku, przez większość czasu spokojnie, tylko od czasu do czasu porusza się ospale, a mnie włosy stają dęba. Wszystko w nim wygląda fałszywie: jego osobliwe ruchy, ciało, szeroko rozkraczone odnóża.

Terapeuta jest cierpliwy. Dzisiaj daleko zaszliśmy. Na początku nie mogłam nawet wysiedzieć w jednym pokoju z nim i tym zwierzęciem.

To Charlotta otworzyła mi drzwi i to ona przekonała mnie w końcu, że powinienam zdobyć się na odwagę i przywitać mężczyznę z pajakiem. Charlotta myśli, że zbieram materiały do książki. Że ta akcja dzisiaj, podobnie jak inne zwariowane rzeczy, które wyprawiam w domu w ostatnich tygodniach, ma związek

z pracą nad książką. To dobrze. Dzięki temu nie dziwi się, że zamykam się z ekspolicjantami i studiuje metody przesłuchań, że byli oficerowie szkolenia z Bundeswehry tłumaczą mi, jak można wytrenować psychikę żołnierzy z elitarnych jednostek, aby wytrzymali tortury i nie zdradzili niczego. Charlotta uprzejmie i dyskretnie wita ekspertów, którzy przychodzą dzień w dzień do mojego domu. I dlatego nie komentuje też wizyty terapeuty, który specjalizuje się w leczeniu fobii metodą terapii konfrontacyjnej. Myśli, że zbieram materiały. Nie ma pojęcia, że próbuję się dowiedzieć, jaki poziom strachu potrafię wytrzymać, zanim się załamie.

Jestem miękka, wiem, że jestem miękka. Życie, które prowadziłam w ostatnich latach, było wolne od najmniejszego dyskomfortu. Jestem tak wydelikaccona, że potrzebuję nieprawdopodobnego samozaparcia, by wziąć zimny prysznic zamiast – jak zwykle – gorącego. Muszę się zahartować, jeśli chcę dopaść mordercę mojej siostry.

Stąd ten pajak ptasznik. Trudno o większy dyskomfort. Od kiedy pamiętam, niczego się tak nie brzydziłam jak pajaków. Mężczyzna zdejmuję przykrywkę ze słoika, w którym przyniósł pajaka, abym mogła od razu przyzwyczajać się do jego widoku.

– Proszę poczekać – mówię. – Proszę poczekać.

Zastyga.

– Proszę za wiele nie myśleć – radzi. – Nie robi się łatwiej. Bez względu na to, jak długo będzie pani czekać.

Patrzy na mnie wyczekująco. Wszystko zależy od mojej zgody – taka jest umowa.

Przypomina mi się rozmowa na początku naszej sesji.

– Czego się pani boi, pani Conrads?

– Pajaka oczywiście – odpowiedziałam zirytowana tak głupim pytaniem. – Boję się pajaka.

– Ptasznika, który znajduje się w pojemniku w mojej torbie?

– Tak!

– Czujecie strach w tym momencie?

– Oczywiście, że czuję strach!

– A gdyby się okazało, że w mojej torbie wcale nie ma pojemnika z ptasznikiem?

– Nie rozumiem.

– Założmy, tak na moment, że w pobliżu nie ma żadnego pająka. Bo zapomniałem zapakować słoik. Czego by się pani tak strasznie bała? Bo na pewno nie pająka. Przecież by go tu nie było.

– Ale w tym momencie myślałam, że pan go przyniósł, więc dla mnie jest realny – odpowiedziałam.

– Otóż to. Myślała pani. Właśnie wtedy zaczyna się strach. W pani głowie, w pani myśleniu. Pająk nie ma z tym absolutnie nic wspólnego.

Zbieram się w sobie.

– Okej – mówię. – Spróbujmy.

Mężczyzna ponownie unosi pokrywkę ze słoika i kładzie go na boku. Pająk zaczyna się poruszać z prędkością, która mnie przeraża. Zmuszam się, żeby wytrzymać ten widok nawet wtedy, gdy mężczyzna pozwala, by pająk wpełzł mu na rękę. Tłumię w sobie pragnienie, żeby zerwać się i uciec. Czuję, jak po moim kręgosłupie spływają dwie kropelki potu. Zimnego potu. Zmuszam się, aby nadal siedzieć na miejscu i patrzeć. Pająk zatrzymuje się, tkwi na ręce mężczyzny, koszmarny złożony z nóg, włosków i ohydy, który stał się rzeczywistością.

Znowu próbuję zastosować to, czego nauczyłam się w ostatnich tygodniach. Kieruję uwagę na swoje ciało, uświadamiam sobie nienaturalność pozycji, którą przyjąłem. Z tułowiem przechylonym jak najdalej w lewo przysiadłam na skraju kanapy. I zadaję sobie pytanie, czy chcę taka być: jak królik w starciu z wężem. Czy mogę sobie na to pozwolić, teraz i w przyszłości? Wyprostowuję się, unoszę ramiona i brodę. Wyciągam rękę i skinieniem głowy daję znak mężczyźnie z pająkiem. Moje palce drżą, ale nie cofam dłoni.

– Wszystko okej? – pyta mężczyzna.

Kiwam w milczeniu głową. Pozwalam, aby cała moja energia przepłynęła ku ręce, która jest całkowicie spokojna.

– Wszystko jasne – mówi mężczyzna i przysuwa swoją rękę do mojej. Przez chwilę pająk tkwi w miejscu, w bezruchu. Patrząc na to coś, na jego grube owłosione nogi, jędrny odwłok, również owłosiony, ale z małym, łysym miejscem dokładnie na środku. Nogi są w prążki, głęboka czerń i jasny brąz, głęboka czerń i jasny brąz, i jedna pomarańczowa plamka w środku. Dopiero teraz to dostrzegam, nie widziałam tego wcześniej. Pająk siedzi całkiem spokojnie na ręce mężczyzny. Myślę, że dam radę.

Potem się decyduję. Wszystko w tym ruchu wydaje mi się błędne. Mój

żołądek się buntuje, przed oczami tańczą świetlne punkty, ale siedzę spokojnie, całkiem spokojnie, i zwierzę wpełza na moją rękę. Pierwsze ostrożne stąpanie nóg po mojej skórze wywołuje u mnie panikę, ale siedzę spokojnie. Ptasznik wdrapuje się na moją rękę. Czuję jego ciężar, dotyk jego nóg, czuję, jak jego odwłok muska powierzchnię mojej dłoni. Przez krótką straszliwą chwilę myślę, że będzie szedł dalej, że wdrapie mi się na ramię, po barkach na szyję, na twarz – ale on po prostu siedzi. Porusza tylko ospale nogami. Na mojej dłoni. Wpatruję się. To nie koszmar, myślę, to rzeczywistość, to się dzieje tu i teraz, i potrafię to znieść, oto mój strach, to jest to uczucie, a ja potrafię to wytrzymać. Kręci mi się w głowie, mam ochotę zemdleć, ale nie mdleję. Siedzę na miejscu. Z pająkiem na dłoni. Uspokaja się, przycupnął po prostu, wyczekująco. Badam swój strach. Jest ciemną studnią, w którą wpadłam. Unoszę się pionowo w wodzie i palcami u nóg próbuję wymacać dno, ale nie dosięgam go.

– Czy mam go zabrać? – pyta mężczyzna, wyrywając mnie z transu.

Znowu jestem zdolna tylko do skinięcia głową. Ostrożnie bierze ptasznika w dłonie i przenosi go z powrotem do małego, przenośnego terrarium, które nosi w torbie sportowej.

Gapię się na swoją rękę, czując bicie serca, suchość w ustach, napięcie mięśni. Przeпоcony T-shirt klei się do ciała. Wykrzywiam twarz, jakby chciało mi się płakać, ale łzy nie płyną tak, jak to bywało często w ostatnich latach, więc płaczę bez łez, targana suchym, bolesnym szlochem.

Dałam radę.

10

Siedzę w ulubionym fotelu, patrzę w mrok na zewnątrz i czekam na wschód słońca. Skraj lasu tchnie ciszą. Tak bardzo bym chciała zobaczyć w zimnym świetle gwiazd jakieś zwierzę, ale nic się nie porusza. Tylko niezmordowany puszczyk odzywa się raz po raz.

Nad wierzchołkami drzew rozciąga się bezchmurne sklepienie rozgwieżdżonego nieba. Kto wie, czy gwiazdy rzeczywiście są tam w górze. Gwiazdy mają jedną tylko możliwość, aby dać nam znać, że już nie istnieją: przestać świecić. Ale jeśli gwiazda oddalona jest o tysiąc lat świetlnych i zgasła ledwie wczoraj, to my na Ziemi dowiemy się o tym teoretycznie dopiero za tysiąc lat.

Tak naprawdę nie wiem zupełnie nic. Nic nie jest pewne.

Odrywam wzrok od firmamentu, zwijam się w kłębek w fotelu i próbuję trochę się przespać. Mam za sobą ciekawy dzień i pracowitą noc. Jutro czeka mnie ważna rozmowa z ekspertem, do której chciałabym się porządnie przygotować.

Zaledwie chwilę później znowu otwieram oczy, jest dla mnie jasne, że nie zasnę. Próbuję się odprężyć w fotelu, odzyskać trochę energii, nie zasypiając. Mój wzrok spoczywa na łące przed domem, na skraju lasu i migoczącym brzegu jeziora. I najpierw myślę, że to tylko złudzenie, gdy gwiazdy jakby świecą odrobinę jaśniej, a niebo zaczyna delikatnie zmieniać kolor. Ale potem słyszę świergot ptaków dochodzący przez uchylone okno, tak nagły, jakby jakiś niewidzialny dyrygent uniósł batutę, dając znak swojej małej opierzonej orkiestrze, i już wiem: wschodzi słońce. Najpierw to tylko smuga prześwitująca zza drzew, lecz chwilę później ono wznosi się, potężne i rozżarzone.

To wszystko jest jak cud. Uświadamiam sobie, że znajduję się na maleńkiej planecie, która porusza się z obłąkańczą prędkością przez nieskończony wszechświat, niezmordowana w swoim szaleńczym pędzie wokół Słońca, i myślę: to obłąd. Że w ogóle istniejemy, Ziemia, Słońce, gwiazdy, i że mogę

tu siedzieć i widzieć, i czuć to wszystko, to wprost nieprawdopodobne – cud. Jeśli to jest możliwe, to wszystko jest możliwe.

Mija chwila. Przede mną rozpościera się piękny, pogodny poranek. Patrzę na zegarek. Minie jeszcze parę godzin, zanim przyjedzie ten człowiek, który zapozna mnie z technikami przesłuchań.

Wstaję, zaparzam herbatę, przynoszę z gabinetu laptopa i siadam z nim przy kuchennym stole. Jeszcze raz przeglądam artykuły, nad którymi siedziałam poprzedniej nocy. Przyczłapał do mnie Bukowski, wypuszczam go na zewnątrz i przyglądam się, jak wita nowy poranek.

Gdy wreszcie nadchodzi właściwa pora, słońce już od dawna zniżkuje. Siedzę w kuchni z Charlottą, która przywiozła mi cotygodniowe zakupy.

– Czy byłby to kłopot, gdyby wyprowadziła pani jeszcze psa? – pytam.

– Skąd, to żaden problem.

Charlotta wie, że chcę być z ekspertem sam na sam i dlatego wysyłam ją po raz drugi na spacer z Bukowskim. Nie pyta o nic, tylko po prostu wychodzi. Wyglądam przez okno, widzę, jak ogrodnik kosi trawę. Dostrzega mnie za szybą i podnosi rękę w geście pozdrowienia. Macham w odpowiedzi i zamykam uchylone okno w pokoju, w którym zamierzam przyjąć doktora Christensena.

Niespełna pół godziny później siedzimy naprzeciw siebie. Amerykanin niemieckiego pochodzenia o blond włosach patrzy na mnie zielononiebieskimi oczami. Ma mocny uścisk dłoni, a jego spojrzenie wytrzymuję tylko dlatego, że w ostatnich tygodniach intensywnie ćwiczyłam. Charlotta dawno już poszła do domu; ściemnia się. Umówiłam się na tę prywatną konsultację już parę tygodni wcześniej i musiałam wysupłać niezłą sumkę, żeby Christensen raczył przyjechać. Jest mistrzem w doprowadzaniu sprawców do przyznania się do winy. Jego specjalność to słynna metoda Reida, technika przesłuchań zakazana w Niemczech, złożona z różnych zabiegów psychologicznych i całego arsenału trików, która sprawia, że sprawca w końcu się załamuje.

Może naiwnością jest oczekiwanie, że Lenzen się przyzna?

Ale skoro będę z nim rozmawiała, chcę być do tego optymalnie przygotowana. Muszę jakoś skłonić go do rozmowy poza ramami wywiadu. Muszę znaleźć sposób, zadać mu pytania, doprowadzić do tego, żeby zaczął wikłać się w sprzeczności, sprowokować go, jeśli będzie trzeba – i zdemaskować. Jeśli

jest człowiek, który może mi w tym pomóc, który może mnie nauczyć, jak narzucić sprawcy swoją wolę i wymusić przyznanie się do winy, to jest nim doktor Arthur Christensen.

A na wypadek gdybym miała sobie połamać zęby na Lenzenie, mam asa w rękawie... Gdy Christensen uświadomił sobie, że nie jestem zainteresowana jego teoretycznymi wywodami, bo bez trudu mogę zapoznać się z nimi w literaturze fachowej, tylko chcę wiedzieć konkretnie, jak złamać sprawcę i zmusić go do mówienia, a więc oczekuję praktycznych instrukcji, wydawał się odrobinę urażony. Zaoferowane honorarium oraz to, że nie jestem wyrachowaną przestępczynią, lecz chorą i słabą pisarką, skłoniły go w końcu do zademonstrowania swoich umiejętności.

Siedzimy więc teraz naprzeciw siebie. Odrobiłam pracę domową. Christensen zaproponował, że na mnie zaprezentuje swoje techniki – w jego mniemaniu tym sposobem najszybciej doświadczyłabym na własnej skórze metody Reida. Poprosił mnie, bym przed spotkaniem pomyślała o czymś, czego szczególnie się wstydzę i czego nie chciałabym nikomu wyjawić. Oczywiście jest coś takiego w moim życiu, jak w życiu każdego człowieka. Siedzimy teraz naprzeciwko siebie i Christensen próbuje wydobyć ze mnie to coś. Jest coraz bliżej. Już dobrą godzinę temu odgadł, że ma to związek z moją rodziną. Jego pytania są coraz bardziej przenikliwe, a ja reaguję z coraz większą nadwrażliwością. Początkowo miałam do niego obojętny stosunek, może nawet wydawał mi się sympatyczny. Z upływem czasu zaczynam czuć do niego niechęć. Z powodu tych jego pytań, tego, że tak drażni, nie dając mi spokoju. Za każdym razem, gdy wstaję, żeby wyjść do toalety, każe mi wracać na miejsce. Podobnie gdy chcę wziąć coś do picia. Będę mogła się napić dopiero wtedy, gdy się przyznam. Gdy zobaczył, że splatam ręce, bo jest mi zimno, pootwierał wszystkie okna.

Doprowadza mnie do szału. Ma nawyk ciągłego suchego chrząkania. Na początku w ogóle nie zwróciło to mojej uwagi. W pewnym momencie to dostrzegłam i uznałam za dość sympatyczną cechę. Z czasem jednak zaczęło mnie to doprowadzać do pasji i za każdym razem, kiedy wydaje z siebie ten odgłos, mam ochotę zerwać się i wrzasnąć na niego, żeby, do jasnej cholery, przestał wreszcie tak robić. Sytuacja stresowa wydobywa ze mnie wszystko, co złe, moją drażliwość, gwałtowny temperament. Każdy człowiek ma w sobie taki zapalnik, drobnostki, które doprowadzają go do szału. Moje zapalniki są przede wszystkim akustycznej natury. Nieustanne chrząkanie, ciągłe pociąganie

nosem. Albo gdy ktoś żuje gumę i ciągle robi balony, ten odgłos, kiedy pękają. Anna tak często robiła, często tylko dlatego, że wiedziała, że mnie to denerwuje, i mogłabym ją wtedy zabić! Ledwie to pomyślałam, już się wstydzę. Co za myśl! Christensen powoli mnie rozpracowuje. Zaczynam pękać. Jestem zmęczona, marznę, chce mi się jeść i pić. Zgodnie z zaleceniem Christensena nie spałam poprzedniej nocy i przez cały dzień prawie nic nie jadłam. Mówi, że gdybym była pod jego nadzorem w areszcie śledczym, zadbałby osobiście o to, bym nie pospała zbyt długo i była głodna.

– To zdumiewające, jak szybko się sypiemy, gdy ktoś pozbawi nas fizycznych podstaw dobrego samopoczucia – tłumaczył Christensen przez telefon, a ja bardzo uważnie go słuchałam.

Wprawdzie nie będę mogła pozbawić mordercy mojej siostry snu i jedzenia, ale przynajmniej nauczę się lepiej sobie radzić w sytuacji ogromnego stresu. Kto wie, czy w ciągu ostatnich dni przed wywiadem uda mi się zasnąć i czy będę w stanie przełknąć choć kęs jedzenia.

Christensen bez końca zadaje pytania. Mam ich tak strasznie dosyć. Tych ciągłych powtórzeń. Jestem zmęczona. Jednak przede wszystkim jestem wyczerpana emocjonalnie. Najchętniej powiedziałabym mu wszystko tylko po to, żeby to się po prostu skończyło. Dlaczego nie, w końcu to i tak tylko ćwiczenie!

Od razu uświadamiam sobie, że to niebezpieczna myśl. Próba samousprawiedliwienia, poszukiwanie czegoś, co będzie wstępem do załamania się. Czuję, że mimo zimna się pocę.

Gdy Christensen w końcu wychodzi, czuję się jak przepuszczona przez wyżymaczkę. Fizycznie i mentalnie kompletnie wyczerpana, wypalona, pusta.

– Każdy człowiek ma granicę wytrzymałości – powiedział Christensen na zakończenie konsultacji. – Jeden osiąga ją wcześniej, inny później. Co oczywiście zależy od tego, jaką wartość stanowi zachowanie czegoś w tajemnicy, albo od tego, jakie konsekwencje miałyby wyznanie prawdy.

Otwieram drzwi wejściowe, by wypuścić go na dwór. Jest noc. Kładzie mi jowialnie rękę na ramieniu. Ze wszystkich sił staram się nie wzdrygnąć pod tym dotykiem.

– Wykonała pani dzisiaj kawał dobrej roboty – mówi. – Twardy z pani orzech do zgryzienia.

Zastanawiam się, czy czułabym się lepiej, gdybym mu uległa. Czy czułabym

ulgę? Połowa mnie chciała wyjawic tajemnicę. Zadaję sobie pytanie, czy ludzie tacy jak Victor Lenzen czują się w tej sytuacji podobnie jak Linda Conrads. Chciałam wyznać prawdę.

Ale nie wyznałam. Moja granica wytrzymałości nie została jeszcze osiągnięta.

Próbuję się znowu pozbierać. Zamykam okna i staram się trochę ogrzać. Jem i piję. Biorę prysznic, zmywam z ciała zimny pot. Nie mogę tylko iść spać. Moje dni są ściśle uporządkowane. Wcześniej rano piszę, potem zbieram materiały i trenuję, a następnie wracam do biurka, często piszę do późna w nocy. Chętnie zrobiłabym sobie wolne dzisiejszej nocy, jestem wyczerpana, ale pozostało jeszcze tyle do zrobienia, jeśli chcę wyrobić się w terminie. A muszę się wyrobić.

Siadam przy biurku i otwieram dokument tekstowy w laptopie. Jeśli chcę postępować według przyjętej kolejności, muszę teraz napisać coś trudnego, o żałobie i poczuciu winy. Wpatruję się w puste okno edytora. Nie mogę, nie w tej chwili. Chcę stworzyć coś pięknego w ten wyczerpujący dzień, napisać piękny rozdział strasznej historii, tylko jeden.

Zastanawiam się. Wspominam czasy sprzed dwunastu lat, to, jaka byłam, co czułam, jak to wtedy było. Inne życie. Myślę o jednej konkretnej nocy w starym mieszkaniu i czuję, że na moją twarz wkradł się lekki, kwaśny uśmiech. Zupełnie zapomniałam, jak to jest – szczęśliwe wspomnienie. Nabieram głęboko powietrza w płuca i zaczynam pisać, całkowicie się zatracam. Wszystko staje mi przed oczami w pełnych barwach. Słyszę brzmienie znajomego głosu, czuję zapach mojego starego domu, przeżywam wszystko jeszcze raz. Jest mi tak dobrze, to wszystko wydaje się niemal prawdziwe, w ogóle nie chcę wracać do rzeczywistości, gdy zbliżam się do końca rozdziału, ale nie mam wyboru. Jest głęboka noc, kiedy wreszcie znowu podnoszę wzrok. Uświadamiam sobie, że jestem bardzo głodna i chce mi się pić, że przesiedziałam tak wiele godzin. Zapisuję tekst. Zamykam dokument. Ale potem nie mogę się powstrzymać, znowu go otwieram, czytam, chcę się trochę ogrzać wspomnieniami mojego dawnego życia. Czytam jeszcze raz. Myślę, że to zbyt osobiste. Myślę, że nie chodzi o mnie. Że piszę tę książkę dla Anny, nie dla siebie, i że piękne rozdziały nie mają żadnego uzasadnienia. Zamykam plik i umieszczam go w koszu. Nagle znowu zmieniam zdanie. Tworzę nowy katalog, nazywam go „Nina Simone” i przenoszę do niego plik. Otwieram nowy dokument w Wordzie. Postanawiam wziąć się w garść, pisać to, co jest do napisania, chronolo-

gicznie.

Nie jutro, tylko teraz.

9 - Jonas

Na schodach przed domem ktoś siedział i palił papierosa. Choć dawno już zapadł zmrok, Jonas dostrzegł tę postać z daleka, gdy tylko wyszedł zza rogu. Kiedy się zbliżył, zobaczył, że jest to kobieta. Zaciągała się papierosem, a jej twarz rozbliżyła w ciemności. To świadek w tej nowej sprawie o zabójstwo. Serce Jonasa zabiło mocniej. Czego ona tu chce?

Nagle poczuł się bardzo nieswojo w reakcji na to spotkanie. Był cały prze-pocony. Mia wyszła z przyjaciółkami, więc w końcu miał czas, żeby pobiegać, żeby zrobić wielką pętlę wiodącą przez pobliski las. Podczas biegania sporo rozmyślał. O tym, jak szybko zmieniły się pewne rzeczy między nim a Mią. Tak po prostu. Żadnych kłamstw, żadnych romansów na boku, żadnych kłótni o dziecko, kupno domu, w ogóle żadnych wielkich dramatów. Nadal się lubili. Bardzo. Ale już się nie kochali.

Ta świadomość zabolęła go mocniej, niż mogłaby zboleć zdrada. Prawdopodobnie to jego wina. Bo niezależnie od tego, co działo się z ich związkiem, w ostatnim czasie czuł się dziwnie. Jakby odcięty od życia, jakby pod kloszem. Przyczyna nie leżała po stronie Mii. To uczucie było mu znane już od dawna, ten nieokreślony ból fantomowy, to poczucie, że nigdy nie zrozumie innego człowieka i że nigdy nie zostanie przez innego człowieka zrozumiany. Czuł to w pracy. Czuł to, rozmawiając z przyjaciółmi. Czuł to w teatrze.

Czasami zadawał sobie pytanie, czy to jest normalne. To poczucie zamknięcia pod kloszem. A może tak czuje się człowiek, który ma kryzys wieku średniego? Byłoby na to trochę za wcześnie – w trzydziestym roku życia.

Jonas otrząsnął się z rozmyślań, wziął głęboki oddech i zbliżył się do palącej postaci.

– Dobry wieczór – powiedziała.

– Dobry wieczór – odparł Jonas. – Co pani tu robi...?

– Proszę mi mówić Sophie.

Wiedział, że powinien natychmiast ją odprawić, w zasadzie taka prywatna

wizyta wydawała się dość bezczelna. Powinien ją odprawić, wejść do domu, wziąć prysznic i zapomnieć o tym dziwnym spotkaniu. Zamiast tego usiadł.

– No dobrze. Sophie, co pani tu robi?

Jakby się zastanawiała przez chwilę.

– Chciałabym się dowiedzieć, co będzie dalej.

– Słucham?

– Zapytał mnie pan, co tu robię. Chciałam się dowiedzieć, co będzie dalej.

Z tym... – zająknęła się – ...z tą sprawą.

Jonas przyglądał się młodej kobiecie zasnutej obłokami dymu papierosowego. Podkuliła długie nogi jak ranny konik polny, ręce spłótła przy ciele, jak gdyby marzła mimo upału.

– Czy nie powinniśmy porozmawiać jutro w moim biurze? – Zdawał sobie sprawę, że musi się zachowywać bardziej zdecydowanie, jeśli chce się jej pozbyć.

Dlaczego więc tak nie robię? – zadał sobie pytanie w duchu.

– Ale skoro już tu jestem, to chyba możemy pomówić?

– Nie wiem, co mam pani powiedzieć – westchnął Jonas. – Prowadzimy śledztwo, gromadzimy dowody. Przyjrzymy się dokładnie wszystkim ustaleniom medycyny sądowej, przesłuchamy całą masę ludzi. Dołożymy wszelkich starań. Na tym polega nasza praca.

– Znajdzie pan mordercę – powiedziała Sophie.

To nie było pytanie.

Jonas stłumił westchnienie. Czy obiecał jej za dużo? Powinien się powstrzymać. To miejsce przestępstwa było koszmarem dla ekipy technicznej. Kilka dni przed swoją śmiercią Britta Peters urządziła w swoim mieszkaniu imprezę urodzinową dla przyjaciół, prywatkę dla prawie sześćdziesięciu osób. Prawie sześćdziesiąt osób zostawiło w mieszkaniu ofiary masę odcisków palców, śladów DNA. Jeśli poszukiwanie sprawcy na podstawie portretu pamięciowego skończy się fiaskiem i nie pojawią się żadne inne tropy z otoczenia ofiary, policję będzie czekało bardzo trudne zadanie.

– Zrobimy, co w naszej mocy.

Sophie skinęła głową. Zaciągnęła się papierosem.

– W mieszkaniu Britty coś było nie tak – powiedziała nagle. – Nie mogę jednak przypomnieć sobie, o co chodziło.

Jonas znał to uczucie, niepokojące napięcie, jak niski ton, którego nie słyszymy uszami, lecz brzuchem.

– Mogłaby mnie pani poczęstować? – zapytał. – Papierosem.

– To był mój ostatni. Ale może pan wziąć macha.

Sophie wyciągnęła rękę, a Jonas wziął od niej tłącego się papierosa. Końce ich palców zetknęły się na moment. Zaciągnął się głęboko i oddał papierosa. Sophie włożyła go do ust.

– Myślę, że Britta była przypadkową ofiarą – powiedziała między jednym a drugim sztachnięciem.

– Mogę zapytać, dlaczego pani tak myśli?

– Nikt z jej znajomych nie zrobiłby czegoś takiego. Nikt.

Jonas milczał. Znowu wziął papierosa od Sophie, zaciągnął się i oddał go z powrotem. Sophie zgasila niedopałek w milczeniu. Przez kilka chwil wpatrywała się w ciemność.

– Czy mam panu opowiedzieć o Britcie? – zapytała w końcu.

Kiwnął głową, bo nie miał serca odmówić. Sophie milczała przez moment, jakby zastanawiała się, od czego zacząć.

– Gdy Britta miała pięć lat, pięć albo sześć, wybraliśmy się z rodzicami na miasto – zaczęła w końcu. – Szliśmy ulicą, z lodami w rękach, było lato, pamiętam, jakby to było wczoraj. Na chodniku siedział ten bezdomny. W łachmanach sztywnych od brudu, a obok niego był pokryty świerzbem pies i butelki w wózku na zakupy. Jeszcze nigdy nie widziałyśmy bezdomnego. Byłam przerażona, gdy mijaliśmy tego mężczyznę, bo brzydko pachniał i wyglądał tak niezdrowo, i bałam się tego psa. Ale Britta była zaciekawiona, coś do niego powiedziała, chyba „cześć, wujku” albo coś w tym rodzaju, jak to dzieci mówią do obcych. Mężczyzna wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu i powiedział: „cześć, dziewczynko”. Rodzice szybko pociągnęli nas dalej, ale ona ciągle myślała o tym facecie. Godzinami wierciła rodzicom dziurę w brzuchu, co jest temu człowiekowi i dlaczego tak dziwnie wygląda, i dlaczego tak dziwnie mówił, i dlaczego tak dziwnie pachniał, a rodzice powiedzieli jej, że ten człowiek jest pewnie chory i nie ma domu. Od tamtej pory za każdym razem, gdy byliśmy w mieście, Britta zabierała coś do jedzenia i szukała go.

– Znalazła?

– Nie. Ale to nie chodzi tylko o tego człowieka, rozumie pan? W dzieciństwie przynosiła do domu niezliczone ranne zwierzątka, które rodzice musieli pielęgnować, żeby wyzdrowiały. Gdy Britta miała dwanaście lat, zaczęła pracować jako wolontariuszka w schronisku dla zwierząt. A od kiedy przeniosła się do miasta, pracowała w jadłodajni dla bezdomnych. Nigdy nie zapomniała

tego człowieka, rozumie pan?

Jonas kiwnął głową. Próbował wyobrazić sobie tę drobną blondynkę, która leżała teraz w zakładzie medycyny sądowej, jako żywą istotę, biegającą po mieście, załatwiająca codzienne sprawy, rozmawiającą z siostrą, uśmiechniętą. Ale nie udało mu się. Nigdy nie potrafił wyobrazić sobie ofiar zbrodni jako żywych ludzi. Przecież nie znał ich za życia, zawsze widział ich po śmierci i nie umiał wskrzesić w swojej wyobraźni.

– Tak łatwo się z tego śmiać – rzekła Sophie, przerywając nagle milczenie.
– Tak łatwo jest pomniejszać takich ludzi jak Britta, nazywać ich naiwniakami. Ale Britta naprawdę taka była. Nie była sentymentalnym naiwniakiem, lecz dobrym człowiekiem.

Jonas patrzył na Sophie, próbując wyobrazić ją sobie z siostrą. Były tak skrajnie różne. Britta drobna i delikatna jak elf, z nieprawdopodobnie długimi włosami; ze wszystkich zdjęć, które widział, tchnęła nieśmiałością i kruchością. Z drugiej strony Sophie, krótkowłosa, zachowująca się jak chłopczyca, najwyraźniej dostatecznie silna, by poradzić sobie z tą tragedią.

– Siedem ciosów nożem – powiedziała i Jonas wzdrygnął się niedostrzeżalnie. – Wiem to z gazety.

Milczała przez chwilę.

– Może pan sobie wyobrazić, co poczuli moi rodzice, gdy o tym przeczytali.

Jonas przytaknął odruchowo skinieniem głowy, ale zaraz potem nią pokręcił. Nie mógł sobie wyobrazić.

– Musi go pan znaleźć.

Odwrócił głowę w jej stronę. Zgasło światło, zapalone wcześniej przez czujnik ruchu, gdy Jonas zbliżał się do domu. Oczy Sophie błyszczały w ciemności. Popatrzył na nią przez chwilę. Sophie odwzajemniła spojrzenie.

– Muszę już iść – powiedziała nagle i wstała.

Też się podniósł, sięgnął po jej skórzaną torbę, leżącą na schodkach, i podał ją jej.

– Mój Boże, jaka ciężka. Co pani tam ma? Kamienie?

– Kilka książek – odpowiedziała Sophie i zarzuciła torbę na ramię. – To mnie jakoś pociesza, że zawsze mam przy sobie coś do poczytania.

– Rozumiem.

– Tak? Pan też lubi czytać?

– No, szczerze mówiąc, nie wiem, kiedy ostatnio miałem w ręku książkę –

odpowiedział Jonas. – Nie mam cierpliwości do powieści. Kiedyś ubóstwiałem lirykę. Verlaine, Rimbaud, Keats. Te klimaty.

– O Boże – jęknęła Sophie. – Już w szkole używali liryki jako straszaka na mnie. Gdybym w dziewiątej klasie musiała wyrecytować *Panterę* Rilkego jeszcze jeden raz, to wpadłabym w obłąd. „Jej wzrok znużony gonitwą wytrzymała nie widzi nic, miganie tylko krat”.

Wzdrygnęła się z udawanym wstrętem.

Jonas uśmiechnął się mimowolnie.

– Krzywdzi pani dobrego, starego Rilkego – powiedział. – Kto wie, może spróbuję kiedyś przekonać panią, by dała pani poezji jeszcze jedną szansę. Whitman mógłby się pani spodobać. Albo Thoreau.

W tym samym momencie przeklął się w duchu za te słowa. Co on wyrabia?

– Bardzo chętnie – powiedziała Sophie.

Odwróciła się, by odejść.

– Dziękuję za poświęcony mi czas. I przepraszam, że panu przeszkodziłam.

Zniknęła w ciemności. Jonas patrzył za nią przez chwilę, potem odwrócił się i ruszył po schodach do domu.

Nagle stanął zdumiony.

Poczucie zamknięcia pod kloszem zniknęło.

11

Moje mięśnie płoną. Postanowiłam jak najlepiej przygotować się na dzień X, a to obejmuje także sprawność fizyczną. Jeśli w sytuacji skrajnego stresu chcę mieć chociaż minimalne szanse na sukces, muszę odbyć trening nie tylko mentalny, lecz także fizyczny. Wyćwiczone ciało lepiej radzi sobie ze stresem i napięciem. Więc ćwiczę. W piwnicy mam od lat siłownię, z której jednak dotąd rzadko korzystałam. Przez jakiś czas dokuczały mi bóle pleców, z którymi poradziłam sobie dzięki pomocy trenera osobistego i ścisłemu reżimowi treningowemu. Poza tym miałam niewiele powodów, żeby dbać o moje ciało. Jestem dość szczupła i względnie sprawna, natomiast to, jak wyglądam w bikini, jest mi co najmniej obojętne. W moim świecie nie ma plaż.

To dobre uczucie znowu poćwiczyć. Dopiero teraz, kiedy skupiam się na swoim ciele, dostrzegam, jak bardzo zaniedbałam je w ostatnich latach. Żyłam wyłącznie w głowie i zupełnie zapomniałam o ramionach, nogach, barkach, plecach, rękach i stopach. To dobre uczucie być w swoim ciele, więc trenuję ciężko, ból przy ostatnim podniesieniu ciężarków sprawia mi przyjemność, to pieczenie, to przejmujące uczucie, które mówi mi, że mimo wszystko ciągle żyję. To sprawia, że coś się we mnie zmienia. Moje ciało pamięta inne rzeczy niż mój mózg. Bieganie po lesie i bolące łydki. Przetknięte noce i poranione stopy. I to, jak to jest, gdy skaczemy w upalny dzień do basenu, jak kurczy się serce, po czym bije dalej. Ciało przypomina mi o odczuwaniu bólu. I przypomina mi, jakie to uczucie kochać, ciemne, ciemne i odurzające, i purpurowe. Uświadamiam sobie, od jak dawna nikt mnie nie dotknął i ja nikogo nie dotknęłam.

Tak bym chciała móc wybiec stąd z tym dzikim, tęsknym poczuciem, które mnie przenika. Ale poruszam się tylko na stacjonarnej bieżni. Nieważne, jak szybko biegnę – nigdy nie ruszę z miejsca. Odtrącam tę myśl, podkręcam prędkość bieżni o dwa, trzy poziomy.

Tętno mi przyspiesza, z trudem łapię ustami powietrze – i nagle dopada

mnie myśl o minionej nocy. O straszliwym koszmarze, z którego udało mi się wyzwolić z ogromnym trudem, z którego obudziłam się, dysząc i wierzgając. Nie był to mój pierwszy koszmar o spotkaniu z Lenzenem, ale stanowczo najgorszy. Wszystko poszło okropnie na opak. I wszystko było takie realne. Mój strach. Uśmieszek na twarzy Lenzena. Krew Charlotty na moich rękach.

Ale z tego koszmara wynikło coś dobrego. Wiem teraz, że muszę przełknąć tę gorzką pigułkę, trzymać Charlotte z dala od moich planów. Nie chcę, ale muszę. Niby zdawałam sobie z tego sprawę, ale powodowana strachem postępowałam samolubnie i nie pozwalałam tej myśli zakiełkować. Nie chciałam spotkać się z Lenzenem sam na sam, bez zaufanej osoby u boku, dlatego ignorowałam to, że narażając Charlotte na kontakt z zabójcą, wystawiam ją być może na niebezpieczeństwo. Nie wiem, dlaczego Lenzen mordował, czy z wyrachowania, czy z jakiegoś popędu, nie wiem, czy przed Anną lub potem zamordował innych ludzi, nie wiem absolutnie nic. Nie chcę, aby Charlotta się z nim spotkała, i zadbam, aby nic jej się nie stało. Być może fizyczna napaść jest mało prawdopodobna, ale nie chcę narażać jej na to ryzyko.

Z samego rana wzięłam telefon, zadzwoniłam do Charlotty i dałam jej wolne w dniu wywiadu. Będę więc z Lenzenem sama.

Kończę trening, zatrzymuję bieżnię, schodzę z niej kompletnie mokra od potu. Moje ciało jest zupełnie wyczerpane i to uczucie sprawia mi przyjemność. W drodze do łazienki mijam przywiedłą starą orchideę, która stoi nieśmiała i niepozorna na parapecie w korytarzu. Nie wiem, czemu nagle poczułam potrzebę, by wnieść ją do domu i trochę o nią zadbać. Pewnie dlatego, że zaczęłam właśnie dbać o samą siebie. W łazience ledwie daję radę ściągnąć przez głowę koszulkę, tak mocno się klei do spoconego ciała. Wchodzę pod prysznic, odkręcam ciepłą wodę i rozkoszuję się tym, jak spływa po moich ramionach, plecach, udach. Czuję się tak, jakby moje ciało wybudzało się z wieloletniej narkozy.

Nagle nachodzi mnie ochota, by poczuć jeszcze więcej. Mam chęć posłuchać głośno rocka, mam chęć na pieszczony w uszach, które po tym zostaje, na zawrót głowy wywołany alkoholem, na boleśnie pikantne jedzenie, na miłość.

Moja głowa wylicza rzeczy, których nie ma w moim świecie: obce koty, które nagle się ufnie łaszą. Monety znalezione na ulicy. Podróż windą w krępującej ciszy. Ogłoszenia na latarniach: „Widziałem cię w ostatni czwartek na koncercie Coldplay, ale zgubiłaś się w tłumie, nazywasz się Myriam przez y, masz brązowe włosy i zielone oczy, proszę zadzwoń 0176...”. Zapach roz-

grzanego asfaltu latem. Ukąszenia os. Strajki na kolei. Gwałtowne hamowania.
Sceny na świeżym powietrzu. Spontaniczne koncerty. Miłość.

Zakręcam wodę i odsuwam od siebie te myśli. Jest tyle do zrobienia.

Niecałe dziesięć minut później znowu siedzę w gabinecie i piszę, podczas
gdy na moim oknie mróz maluje pierwsze kwiaty.

10 - SOPHIE

Idealny moment znajdował się między jawą a snem.

Gdy Sophie zasypiała, dopadała ją zawsze ta sama nocna mara. A gdy się budziła, wpadała od razu w bolesną rzeczywistość. Ale ten krótki moment dokładnie pomiędzy – był absolutnie idealny.

Mijał, także dzisiaj, ulotny jak mgnienie powiek i Sophie znowu sobie wszystko przypomniała. Britta nie żyje. Stąd brała się rozpacz w jej sercu. Britta nie żyje. Britta nie żyje. Nic już nie będzie w porządku.

Sophie leżała godzinami w łóżku, nie mogąc zasnąć, aż w końcu, po wielu nocach bez snu, oczy same jej się zamknęły. Mrugała teraz, próbowała rozpoznać świecące na czerwono liczby, które pokazywał budzik. Nie przespała nawet dwóch godzin, a przecież wiedziała, że leżenie dłużej w łóżku nie ma najmniejszego sensu.

Zsunęła nogi z łóżka, zamarła w tej pozycji. Mignął jej przed oczami obraz mieszkania Britty. Coś się nie zgadzało. Od samego początku coś nie pasowało. Całymi nocami leżała, nie zmrużywszy oka, i rozmyślała o tym, ale ta świadomość była śliska, nieuchwytna. Teraz właśnie miała wrażenie, że ten ważny szczegół objawił się jej we śnie. Zamknęła oczy, wstrzymała oddech – ale sen się ulotnił. Wstała, po cichu, żeby nie obudzić Paula, wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Odetchnęła z ulgą, bo spał dalej. Tego tylko brakowało, żeby narzeczony się obudził, wstał, zaczął ją wypytywać, otaczając ją swoją lepką, duszącą opiekuńczością. Nie zniosłaby, gdyby jeszcze raz zapytał ją, jak się czuje.

Sophie rozebrała się w łazience i weszła pod prysznic. Czowała, jak trzęsą jej się nogi. Jakby przebiegła maraton. Od dawna nic nie jadła. Odkręciła wodę, która popłynęła powoli, gęsta jak nie do końca stężała galaretka. Sophie zamknęła oczy, wystawiła twarz na strumień. Woda spływała leniwie, lepka jak miód. Nie, nie do końca jak miód, pomyślała Sophie. Raczej jak krew. Otworzyła oczy i zobaczyła, że ma rację. Krew, wszędzie! Spływała po jej

głowie gęsta i lepka, tworzyła małą kałużę w jej pępku, kapiała na palce u nóg. Sophie oddychała ciężko, zamknęła oczy, zaczęła liczyć. Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć. Zmusiła się, żeby znowu otworzyć oczy. Woda miała znowu swoją normalną konsystencję, a czerwień zniknęła.

Niecałe pięć minut później Sophie wytarła się i ubrała, po czym poszła do atelier. Niezliczone pokryte farbą płótna. Zapach wyschniętych farb olejnych i akrylu. W ostatnim czasie atelier stawało się powoli za małe. Całe mieszkanie się takie stawało. Mogli sobie teraz pozwolić na większą przestrzeń, dużo większą, gdyby tylko chcieli. Nowy marszand sprzedawał obrazy Sophie jak świeże bułeczki, i to za sumy, o których nigdy nie marzyła. A kancelaria Paula też świetnie prosperowała. Sophie nie zmieniła dotąd mieszkania tylko dla świętego spokoju. Bo nie miała ochoty męczyć się z pośrednikiem. Ale czas najwyższy zrobić ruch.

Sophie podeszła do sztalugi, zamieszała farby, zanurzyła pędzel i zaczęła malować, szybko i bez zastanowienia, tak po prostu, wielkimi pociągnięciami pędzla. Gdy skończyła, wyczerpana i zdyszana, z płótna patrzyła na nią martwymi oczami Britta. Sophie cofnęła się o krok, potem jeszcze jeden, odwróciła się i chwiejnym krokiem wyszła z pracowni.

Malowanie było dla niej zawsze azylem, miejscem, które przynosiło jej ulgę, ale w ostatnich tygodniach znajdowała tam tylko krew i ból.

Sophie poszła do kuchni i chciała otworzyć lodówkę, ale uchwyt w drzwiach dygotał jak galareta. Gwiazdy zawirowały jej przed oczami. Szybko przysunęła sobie krzesło i usiadła. Z najwyższym trudem zachowała świadomość.

Nie mogła jeść. Nie mogła spać. Nie mogła malować. Nie mogła z nikim rozmawiać. A gdzieś tam, na wolności, chodził morderca Britty. Dopóki to się nie zmieni, jest tylko jeden powód, żeby w ogóle wstawała z łóżka: dopaść tego człowieka.

Sophie podniosła się z wysiłkiem. Weszła do gabinetu, znalazła czysty notatnik i włączyła laptopa, rozpoczynając swoje śledztwo.

12

Coś się czai w ciemności, w kącie pokoju. Jakiś cień.

Wiem, co to jest, ale nie patrzę w tamtym kierunku. Nie mogę spać, boję się. Leżę w łóżku, kołdra zaciągnięta pod brodę. Jest środek nocy, a jutro – nie, już dzisiaj, jest dzień wywiadu. W normalnych warunkach w takie długie blade noce, kiedy sen nie chce przyjść, oglądam telewizję. Ale dzisiaj nie mogę chłonąć niekontrolowanego strumienia informacji. Chcę precyzyjnie selekcjonować, jakie obrazy i myśli mają wstęp do mojej głowy.

Gdy się przebudziłam, zanim jeszcze otworzyłam oczy i spojrzałam na zegarek, miałam nadzieję, że nie jest to akurat wilcza godzina – najgorszy czas, między trzecią a czwartą w nocy. Kiedy budzę się o tej porze, wtedy złe myśli przyklejają się do mnie jak pijawki. Wszyscy ludzie tak mają. Złe samopoczucie o tej godzinie to normalność. O tej porze noc jest najchłodniejsza, ludzkie ciało funkcjonuje najwolniej. Ciśnienie krwi, metabolizm, temperatura ciała – wszystko spada. Między trzecią a czwartą w nocy jesteśmy najbliżej śmierci. Nic dziwnego, że o tej porze podobno umiera najwięcej ludzi.

Pomyślałam o tym wszystkim, potem otworzyłam oczy i odwróciłam głowę, żeby zobaczyć cyfry na wyświetlaczu budzika – i przełknęłam ślinę. Krótco po trzeciej, no oczywiście.

Leżę dalej i wymawiam z satysfakcją te słowa: wilcza godzina. Jestem oswojona z tą porą, znam ją aż za dobrze. Ale dzisiaj jest inaczej. Jeszcze ciemniej, jeszcze głębiej. Cień w kącie się porusza. Widzę go tylko kątem oka. Technie zamętem, strachem i krwią. Jeszcze tylko parę godzin i się zacznie: wywiad.

Próbuję się uspokoić. Powtarzam sobie, że dam radę. Że Victor Lenzen też będzie odczuwał presję, może nawet większą niż ja. Ma bardzo wiele do stracenia. Karierę, rodzinę, wolność. Na tym polega moja przewaga. Bo ja nie mam nic do stracenia. Ale to wcale nie znaczy, że boję się mniej.

Myślę, że mnóstwo ludzi uznałoby mnie za szaleńca, gdyby wiedzieli, co

zamierzam zrobić. Sama dostrzegam sprzeczności w swoim postępowaniu. Tak bardzo się boję, a jednak sprowadzam do domu mordercę. Czuję się bezbronna, a mimo to wierzę, że wyjdę z tego zwycięsko. Moje życie wygląda teraz tak, że gorzej już być nie może. A jednak boję się, że i to utracę.

Zapalam światło przy szafce nocnej, jakbym mogła w ten sposób odpędzić ponure myśli. Owijam się ciasno kołdrą, a i tak marznę. Sięgam po stary, wytarty tomik poezji leżący na stoliku przy łóżku, prezent od jednego z moich czytelników. Przesuwam palcami po książce, obmacuję rozdarcia i zagięcia na twardym papierze okładki. Byłam zawsze zwolenniczką prozy, nigdy poezji, ale w tych wierszach często znajdowałam oparcie. Książka sama otwiera się na stronie z fragmentem *Pieśni o sobie* Whitmana – czytałam to tak często, że chyba to zapamiętała.

Sam sobie zaprzeczam?

No cóż, więc sam sobie zaprzeczam

– jestem wielki, składam się z mnogości.

Dobrze przeczytać, że ktoś czuje tak samo jak ja. Moje myśli znowu wędrują ku Lenzenowi. Nie umiem nawet mgliście wyobrazić sobie, jak przebiegnie nadchodzący dzień. Chociaż tak strasznie się boję, nie mogę się doczekać. Niszczy mnie to bezczynne czekanie i niepewność. Świt wydaje się tak odległy. Tęsknię za słońcem, za jego światłem. Siadam po turecku na łóżku. Owijam się kołdrą jak peleryną. Kartkuję tomik poezji, znajduję miejsce, którego szukałam.

Patrzeć, jak wstaje dzień!

Pierwsze światło sprawia, że bledną wielkie,
przezroczyte cienie,

Powietrze smakuje memu podniebieniu.

W najciemniejszą godzinę nocy ogrzewa mnie wschód słońca, który amerykański poeta opisał ponad sto lat temu, i czuję się odrobinę lepiej, jest mi trochę cieplej.

Potem znowu to dostrzegam, na skraju pola widzenia. Cień w ciemnym kącie sypialni porusza się.

Mobilizuję całą moją odwagę i zsuwam nogi z łóżka. Wstaję, idę niepew-

nym krokiem w stronę cienia, wyciągam rękę. Napotykam pomalowaną na biało ścianę. W kącie mojej sypialni niczego nie ma, w powietrzu unosi się tylko lekki zapach trzymanego w zamknięciu zwierzęcia.

13

Nadszedł dzień, którego wyczekiwałam tak samo, jak się go bałam.

Przywitałam go z okna mojej sypialni. Po kilku naprawdę ciepłych dniach dzisiaj jest chłodno i pogodnie. Na łące leży gruby szron, połyskuje kusząco w słońcu. W drodze do szkoły dzieci napotkają zamrożone kałuże, będą się na nich ślizgać, stukać w lód czubkami butów, aż pęknie. Nie mam czasu cieszyć się tym widokiem. Jest tyle rzeczy, o które muszę zadbać dzisiejszego ranka, zanim w południe pojawi się Lenzen.

Będę przygotowana.

Pułapka to urządzenie służące do łapania lub zabijania.

Dobra pułapka powinna mieć dwie cechy: być niezawodna i prosta.

Stoję w jadalni i przyglądam się cateringowi, który zamówiłam do domu. Starczyłoby dla całej kompanii, choć będzie nas tylko troje: Lenzen, fotograf, którego przywiezie ze sobą, i ja. Mam jednak nadzieję, że fotograf uwinie się w godzinę i wyjdzie. Skromny obiad, który zamówiłam, składa się ze ślicznie zaaranżowanych szklanych miseczek wypełnionych różnymi sałatkami i innymi drobiazgami, z wrapów z warzywami i kurczakiem. Do tego małe kawałki ciasta na eleganckiej porcelanie i pięknie udekorowany kosz owoców. Cały ten posiłek wybrałam ze względu nie na walory smakowe, lecz na prawdopodobieństwo pozostawienia wyraźnych śladów DNA podczas jedzenia. Małe porcje sałatek i ciast są idealne. Kto chce je zjeść, musi użyć widelczyka – i nieuchronnie pozostawi na nim swoją ślinę. Talerz z owocami też się świetnie nadaje. Gdyby Lenzen zjadł jabłko, mogłabym po jego wyjściu zabezpieczyć ogryzek, a potem go zbadać. A wrapy? Przy każdym ugryzieniu tryska z nich sos, więc prawie zawsze trzeba wycierać usta i palce serwetką. A wtedy na serwetkach zostają ślady.

Zgarniam sztucze i serwetki dostarczone przez firmę cateringową. Następnie wciągam gumowe rękawiczki, biorę własne widelce i łyżki, które wyjąłowałam poprzedniego wieczoru, i układam je na stoliku na kółkach. Następnie

otwieram świeżą paczkę serwetek i kładę je obok sztućców. Cofam się o krok i przyglądam się swojemu dziełu. Jedzenie wygląda nieprawdopodobnie apetycznie. Doskonale.

Ściągam rękawiczki, wyrzucam je do śmieci w kuchni, wkładam świeżą parę i wyjmuję z szafy jedyną popielniczkę, jaką mam w domu. Stawiam ją na stole w jadalni, przy którym usiadziemy z Lenzenem. Kilka egzemplarzy mojej książki, kawa w termosie, śmietanka, cukier, filiżanki i łyżeczki już są na miejscu, tak samo jak butelki wody mineralnej i szklanki. Popielniczka jest absolutnie najważniejszym przedmiotem na tym stole. Dowiedziałam się, że Lenzen pali. Gdyby zostawił niedopałek, byłoby to jak trafienie szóstki w lotto. Nawet nie będzie musiał pytać, czy może zapalić, bo od razu zobaczy popielniczkę na stole.

Rzucam okiem na swojego smartfona. Zanim pojawi się Lenzen, mam jeszcze mnóstwo czasu. Biorę głęboki oddech, ściągam rękawiczki i wyrzucam je do kosza. Następnie padam na kanapę w salonie, zamykam oczy, w myślach przebiegam przez wszystkie pozycje na mojej liście rzeczy do zrobienia i stwierdzam, że zadbałam o wszystko.

Otwieram znowu oczy i rozglądam się dokoła. Rzeczywiście, nie widać kamer ani mikrofonów zainstalowanych na całym parterze na moje polecenie przez dwóch dyskretnych pracowników firmy ochroniarskiej. Dobrze. Jeśli ja ich nie widzę, chociaż wiem, że tam są, to tym bardziej nie zobaczy ich Lenzen. Cały parter jest na podsłuchu. Być może to naiwność zakładać, że Lenzen obciąży samego siebie. Ale jeśli wierzyć psychologom – i innym ekspertom takim jak na przykład doktor Christensen – niejednen zabójca skrycie pragnie przyznać się do winy.

Jestem gotowa. Po wstaniu z łóżka spędziłam pół godziny na bieżni – wystarczająco długo, by porządnie dotlenić mózg, na tyle krótko, żeby się zanadto nie zmęczyć. Wzięłam prysznic. Ubrałam się starannie. Na czarno. Nie na niebiesko, co sugerowałyby zaufanie, nie na czerwono, co jest uznawane za wyraz agresji i namiętności, nie na biało, co kojarzyłoby się z niewinnością, lecz na czarno. Powaga. Surowość i naturalnie żałoba. Zjadłam obfite śniadanie. Był łosoś i szpinak, najlepszy pokarm dla mózgu, jak zapewnił mnie żywienio-
wiec, z którym rozmawiałam. Potem nakarmiłam Bukowskiego, a następnie zamknęłam go z miską napełnioną wodą, przekąską i kilkoma ulubionymi zabawkami w sypialni na piętrze. Wreszcie zajęłam się cateringiem.

A teraz siedzę na kanapie.

Myślę o rozmowie telefonicznej, którą odbyłam kilka tygodni temu z ekspertem z Federalnego Urzędu Kryminalnego. Przypomina mi się pogodne usposobienie profesora Kenera, ostro kontrastujące z tematem naszej rozmowy.

Zdecydowałam, że najpierw poproszę go o zachowanie dyskrecji, a następnie wyłożę karty na stół, powiem mu o wszystkim. O mojej siostrze Annie i o niewyjaśnionym morderstwie. W końcu zadałam mu kluczowe pytanie: czy ślady DNA zebrane wtedy na miejscu zbrodni są nadal przechowywane.

A on odpowiedział: „Ależ oczywiście!”.

Sadowię się wygodnie na kanapie, próbuję się trochę zrelaksować. Cieszę się, że rozmawiałam z Kenerem. Bo przede wszystkim chcę jednego: chcę, żeby morderca mojej siostry załamał się na moich oczach. Muszę się wreszcie dowiedzieć, co wydarzyło się tamtej cholernej nocy, i muszę to usłyszeć z jego ust. Myśl o Kenerze i próbkach DNA trochę mnie uspokaja. To moja sieć, moje podwójne dno. Dopadnę Lenzena. Tak czy inaczej.

Zerkam na zegarek.

Jest krótko po jedenastej, mam jeszcze prawie godzinę, żeby się rozluźnić i poukładać wszystko jeszcze raz w głowę... Dzwonek do drzwi! Zszokowana zrywam się z miejsca, adrenalina wypełnia mój brzuch i zalewa mnie całą jak zimna fala, odprężenie momentalnie znika. Tracę równowagę, trzymam się kurczowo oparcia kanapy, biorę trzy głębokie oddechy, potem cofam rękę i podchodzę do drzwi. Może to kurier? Albo akwizytor? Czy w ogóle na świecie są jeszcze akwizytorzy? Otwieram drzwi.

Przez wiele lat potwór prześladował mnie nawet w snach, a teraz stoi przede mną.

– Dzień dobry – mówi z przepaszającym uśmiechem i wyciąga rękę. – Jestem Victor Lenzen. Jesteśmy trochę przed czasem. Wyjechaliśmy dość wcześnie z Monachium, aby mieć pewność, że się nie spóźnimy, no i jesteśmy szybciej, niż myśleliśmy.

Tłumię odruch, żeby uciec z krzykiem, w panice. Jestem całkowicie zaskoczona, ale nie daję tego po sobie poznać.

– Nie ma problemu – odpowiadam. – Linda Conrads.

Ściskam mu rękę, uśmiecham się. Uwolnienie się od strachu prowadzi przez strach.

– Proszę, niech pan wejdzie.

Nie waham się, nie drżę, patrzę mu w oczy, mój głos brzmi mocno i zdecydowanie. Dopiero teraz moje pole widzenia się rozszerza i dostrzegam fotografa. Jest młody, ma najwyżej dwadzieścia pięć lat, sprawia wrażenie trochę zdenerwowanego, gdy podaję mu rękę, zdenerwowanego i pełnego entuzjazmu, mówi coś, że jest moim wielbicielem, ale trudno mi skupić na nim uwagę.

Wpuszczam obu mężczyzn do domu. Grzecznie wycierają mokre buty; Lenzen ma na sobie czarny płaszcz, pod którym widać nienagannie eleganckie ubranie. Ciemne spodnie, biała koszula, czarna marynarka, bez krawata. Bardzo mu do twarzy z siwizną. Elegancki, absolutnie właściwy rodzaj zmarszczek.

Biorę od niego mokry płaszcz, parkę od fotografa, wieszam rzeczy w garderobie w korytarzu i przyglądam się ukradkiem obu mężczyznom. Lenzen należy do ludzi, których urok wyparowuje na fotografiach. Typ osoby, której obecność odmienia atmosferę panującą we wnętrzu. Jest zaskakująco atrakcyjny, w niezwykły, niebezpieczny sposób.

Jestem zła na siebie za te dziwne myśli, próbuję się skoncentrować.

Wydaje się, że obaj mężczyźni czują się trochę nieswojo w wielkim eleganckim holu egocentrycznej pisarki, która nigdy nie opuszcza domu. Intruzi. To świetnie, dobre jest to poczucie dyskomfortu. Idę przodem, pokazując im drogę do jadalni, wykorzystuję tę chwilę, żeby się pozbierać. Zaczyna się. Ten przedwczesny przyjazd... – rzecz jasna było to umyślne posunięcie, Lenzen zrobił to celowo, żeby zbić mnie z tropu, żeby odebrać mi inicjatywę, dyktować przebieg zdarzeń, od początku pokazać, że nie mogę kontrolować sytuacji – na moment wytrącił mnie z równowagi, to prawda. Ale już się pozbierałam. I jestem zaskoczona tym, jak niewiele czuję, teraz, kiedy rzecz się rozpoczęła. Jestem jak ogluszona, czuję się jak aktorka po podniesieniu kurtyny, aktorka, która gra rolę Lindy Conrads. W sumie jest to przecież swego rodzaju spektakl, przedstawienie dla wszystkich tych kamer i mikrofonów, w którym występujemy Lenzen i ja.

Prowadzę obu mężczyzn do jadalni. Wybór jadalni na miejsce rozmowy był czysto intuicyjny, nie strategiczny. Salon wydawał się niewłaściwym miejscem. Musielibyśmy siedzieć na kanapie, blisko siebie. Wygodnie, na miękkich obiciach. Nie. Gabinet znajduje się na piętrze, schodami na górę, dalej korytarzem, drzwi na samym końcu. Za daleko. Jadalnia jest idealna. Drzwi wejściowe są dość blisko. Wielki stół tworzy dystans. I jeszcze jedna zaleta: nie licząc tych chwil, kiedy z wielkiego okna obserwuję skraj lasu, właściwie

nigdy nie korzystam z jadalni. Kiedy jestem sama, jem w kuchni. A sama jestem często. Wolę siedzieć naprzeciwko Lenzena w pokoju, który nie znaczy dla mnie zbyt wiele, inaczej niż na przykład kuchnia tuż za ścianą, gdzie zwykle rozmawiam z Norbertem, popijając rosé i mieszając w garnkach. Czy biblioteka na piętrze, w której podróżuję, marzę, Kocham. W której żyję.

Staram się sprawiać wrażenie, że jestem rozluźniona, nie wlepiac wzroku w Lenzena. Kątem oka widzę, jak kilkoma spojrzeniami lustruje pomieszczenie. Podchodzi do stołu, który jest tak duży, że mógłby służyć jako stół konferencyjny.

Lenzen stawia teczkę na pierwszym krześle z brzegu, otwiera ją, rzuca okiem do środka. Najwyraźniej upewnia się, że wszystko zabrał. Jego ruchy wydają się odrobinę niepewne, niemal nerwowe, jak u fotografa. Gdybym nie znała prawdy, mogłabym pomyśleć, że obaj chcą po prostu dobrze wykonać swoje zadanie i to właśnie jest przyczyną ich nerwowości. W przypadku fotografa pewnie tak jest w istocie.

Mój wzrok wędruje po wielkim pustym stole, na którym leży kilka egzemplarzy mojej nowej powieści. Nie musiałam rozkładać tych książek, jestem pewna, że cała nasza trójka zna treść mojego nowego dzieła, ale ze względów psychologicznych dobrze jest mieć pod ręką ten „akt oskarżenia”. Fotograf pomyśli po prostu, że chcę, aby książki znalazły się na zdjęciach ze względów marketingowych. Gmera teraz przy swoim sprzęcie, podczas gdy potwór rozgląda się po pokoju.

Siadam. Biorę jedną z małych butelek, otwieram ją, nalewam sobie wody do szklanki. Ręce mam spokojne. Moje ręce. Zadaję sobie w duchu pytanie, czy pierwszy raz w życiu uścisnęłam dłoń mordercy. Nigdy nie wiadomo, prawda? Zastanawiam się, ilu ludziom ścisnęłam rękę w swoim życiu. I jak długo żyję. Liczę szybko w głowie. Trzydzieści osiem lat to około trzynastu tysięcy osmiuset siedemdziesięciu dni. Jeśli na jeden dzień mojego życia przypada jedna osoba, której uścisnęłam rękę, daje to razem mniej więcej czternaście tysięcy ludzi. Zastanawiam się teraz, na ilu ludzi przypada statystycznie jeden morderca, i dochodzę do wniosku, że Lenzen prawdopodobnie nie jest pierwszym mordercą, któremu podałam rękę. Ale jedynym, o którym wiem. Rzuca spojrzenie w moją stronę. Wysiłkiem woli uspokajam myśli. Kłębiły się jak stado spłoszonych kur. Ale teraz są mi posłuszne. Jestem zła. Jestem zła, że jestem zła. Taką nieuwagą mogę przypłacić życiem. Pełna koncentracja. Jestem to winna Annie.

Patrzę na potwora, patrzę na Victora Lenzena. Nienawidzę jego imienia. Nie tylko dlatego, że to imię potwora. Także dlatego, że wiem, że Victor zna-
czy „zwycięzca”, a wierzę w magię, w moc imion. Jednak tym razem cała
historia zakończy się inaczej.

– Ma pani piękny dom – mówi Lenzen i podchodzi do okna.

Spogląda na skraj lasu.

– Dziękuję – odpowiadam. Wstaję i przyłączam się do niego.

Gdy otwierałam drzwi, przez chmury przeświecało słońce. Teraz pada
lekka mżawka.

– Kwietniowa pogoda w marcu – stwierdza Lenzen.

Milczę.

– Od kiedy pani tu mieszka?

– Od ponad dziesięciu lat.

Wzdrygam się, bo słyszę, że w salonie dzwoni telefon stacjonarny. Przecież
nikt nigdy nie dzwoni do mnie pod stacjonarny numer. Wszyscy, którzy chcą się
ze mną skontaktować, dzwonią na komórkę, ponieważ zawsze mam ją przy
sobie, gdziekolwiek akurat jestem w tym wielkim domu. Widzę, że Lenzen
obserwuje mnie ukradkiem. Telefon ciągle dzwoni.

– Nie chce pani odebrać? – pyta. – Możemy chwilę poczekać, nie ma pro-
blemu.

Kręcę głową i w tym samym momencie dzwonek cichnie.

– To na pewno nic ważnego – mówię, mając nadzieję, że tak właśnie jest.

Odrywam wzrok od skraju lasu, znowu siadam na krześle, które zarezerwo-
wałam dla siebie, stawiając przed nim filiżankę kawy. To miejsce daje mi naj-
większe poczucie bezpieczeństwa: ściana za plecami, drzwi naprzeciwko.

Jeśli usiądzie naprzeciw mnie, drzwi będzie miał za plecami. Większość
ludzi czuje się wtedy nieswojo, bo takie usytuowanie osłabia ich zdolność
koncentracji. Lenzen bez sprzeciwu akceptuje ten rozwój sytuacji. Jeśli nawet
zwrócił na to uwagę, nie daje nic po sobie poznać.

– Możemy zacząć? – pytam.

Kiwa głową i zajmuje miejsce naprzeciwko mnie.

Wyjmuje notatnik, ołówek i dyktafon z teczki, którą odstawił na podłozie
obok krzesła. Zadaję sobie pytanie, co jeszcze się w niej znajduje. Lenzen
układa swoje rzeczy na stole. Spinam się, czuję odruchową chęć, żeby założyć
nogę na nogę, skrzyżować ręce na piersi, ale się powstrzymuję. Żadnych
gestów obronnych. Obie stopy na podłozie, rozsunięte na szerokość bioder.

Łokcie oparte na stole. Pochyliam się lekko do przodu. Zdecydowanie. Zająć przestrzeń. „Power poses”, jak mówi doktor Christensen. Przyglądam się Lenzenowi porządkującemu swoje rzeczy, ustawiającemu precyzyjnie dyktafon na brzegu stołu.

– No tak – zaczyna w końcu. – Chciałbym najpierw serdecznie podziękować za to, że zechciała pani poświęcić mi trochę czasu. Wiem, że niezwykle rzadko udziela pani wywiadów, i czuję się niezwykle zaszczycony, że zaprosiła mnie pani do swojego pięknego domu.

– Bardzo cenię pańską pracę – mówię, mając nadzieję, że brzmi to niezobowiązująco.

– Naprawdę? – Ma taką minę, jakby moje słowa rzeczywiście mu pochlebiały. Zapada cisza i uświadamiam sobie, że on czeka na jakieś konkrety.

– O tak. Pańskie reportaże z Afganistanu, z Iranu, z Syrii. Bardzo ważne jest to, co pan robi.

Spuszcza wzrok i uśmiecha się powściągliwie, jakby pochwała, którą właściwie na mnie wymógł, sprawiła mu przykrość.

Co to ma być, Lenzen?

Moja wyprostowana postawa, kontrolowany, powolny oddech – wysyłam ciału sygnały, aby było skoncentrowane i zarazem rozluźnione, jednak nerwy mam napięte do granic wytrzymałości. Nie mogę się doczekać pytań. Jakie pytania przygotował Lenzen i jak zamierza poprowadzić wywiad? Z pewnością jest nie mniej spięty niż ja. Z pewnością zastanawia się, o co mi chodzi. Co mam w zanadrzu. Jakie asy trzymam w rękawie. Chrząka, rzuca okiem na swoje notatki. Fotograf zajęty jest swoim aparatem, pstryka na próbę, potem znowu wpatruje się w światłomierz.

– No dobrze – mówi Lenzen. – Moje pierwsze pytanie jest chyba takie samo jak to, jakie obecnie zadają sobie pani czytelnicy. Stała się pani znana za sprawą wysmakowanych literacko, niemal poetyckich powieści. A teraz, pisząc *Siostry krwi*, stworzyła pani swój pierwszy thriller. Skąd ta zmiana gatunku?

Właśnie takiego pytania spodziewałam się na wstępie, więc trochę się rozluźniam, ale zanim zdążam odpowiedzieć, z przedpokoju dobiega hałas. Słychać odgłos klucza przekręcanego w zamku, potem kroki. Wstrzymuję oddech.

– Przepraszam – mówię, wstając.

Muszę go zostawić na chwilę samego. Ale przecież jest z nim fotograf. A może on jest w zмовie z Lenzenem? – nie, to bez sensu. Wchodzę do holu

i aż opadają mi ręce.

– Charlotta! – wołam, nie potrafiąc ukryć przerażenia. – Co pani tu robi?

Patrzy na mnie, marszcząc czoło, kompletnie zdezorientowana. Ma całkiem przemoczony płaszcz.

– No, czy to nie dzisiaj ten wywiad?

Słyszy szmer rozmowy dwóch mężczyzn w jadalni i zerka poirytowana na zegarek.

– O Boże, spóźniłam się? Myślałam, że wszystko zaczyna się dopiero o dwunastej!

– Myślałam, że pani w ogóle nie przyjdzie – mówię cicho, bo nie chcę, by Lenzen mnie słyszał. – Dzwoniłam do pani i nagrałam się w poczcie głosowej. Nie dostała pani mojej wiadomości?

– A, zapodziałam gdzieś ostatnio komórkę – rzuca Charlotta. – Ale teraz, skoro już tu jestem...

Zupełnie się mną nie przejmując, kładzie pęk kluczy na szafce przy drzwiach i wiesza cienki płaszcz Czerwonego Kapturka.

– To co mam robić?

Z trudem się powstrzymuję, aby nie chwycić jej za ramiona, nie spoliczkować, nie wyrzucić z domu. W jadalni ucichły szmery, dwaj mężczyźni zapewne nasłuchują, co się dzieje przy drzwiach wejściowych.

Muszę wziąć się w garść. Charlotta patrzy na mnie wyczekująco. W ten krótki moment ciszy wdziera się znowu dzwonek telefonu. Próbuję go zignorować.

– Sama już wszystko przygotowałam – odpowiadam. – Ale gdyby zaparzyła pani kawę, byłoby super.

Zaparzyłam wcześniej kawę, stoi w termosie na stole, ale próbuję za wszelką cenę zapobiec spotkaniu Charlotty i Lenzena, choć nie wiem, czy mi się uda.

– Chętnie – mówi Charlotta i zerka w stronę salonu, skąd dobiega przenikliwy dzwonek. Nie komentuje tego jednak.

– Zaraz przyniosę dzbanek! – wołam za nią. – Tymczasem proszę nam nie przeszkadzać.

Charlotta znowu marszczy czoło, bo normalnie zachowuję się inaczej, ale zapewne kładzie to na karb wyjątkowej sytuacji – wie, że nie przyjmuję obcych ludzi w swoim domu, a już na pewno nie udzielam wywiadów – pozostawia to jednak bez komentarza. Telefon cichnie. Przychodzi mi do głowy, aby

sprawdzić, kto tak uparcie dzwonił, ale się powstrzymuję. Najważniejsza jest moja rozgrywka z Lenzenem.

Zamykam oczy na sekundę, potem wracam do jadalni.

12 - SOPHIE

Sophie siedziała w samochodzie, przyglądając się kotu w rudo-białe prążki, który mył się starannie na leżącym na łące przed domem. Już od dobrych dziesięciu minut próbowała zmusić się do tego, by wejść jeszcze raz do budynku, w którym mieszkała Britta.

Już początek dnia był nieprzyjemny. Najpierw, gdy po nieprzespanej nocy w końcu się zdrzemnęła, obudził ją jakiś dziennikarz, który chciał porozmawiać z nią o jej siostrze. Sophie odłożyła z wściekłością słuchawkę. Potem zadzwoniła do właściciela mieszkania Britty, by dowiedzieć się, kiedy mogłaby zabrać z mieszkania jej rzeczy osobiste. Nie zastała go, porozmawiała za to chwilę z jego synem, który przekazał jej wyrazy współczucia, a następnie płynnie przeszedł do opowieści o tym, jak to jeszcze w latach szkolnych jego brat zginął w wypadku samochodowym. Więc oczywiście wie, jak Sophie się teraz czuje.

A teraz siedziała tutaj. Dzień był upalny, słońce prażyło, rozgrzewając czarny dach samochodu. Sophie nie miała ochoty wychodzić z samochodu. Chciała siedzieć tu i patrzeć na kotka. Jeszcze tylko troszeczkę. Lecz zwierzak jakby usłyszał jej myśli, bo nagle stracił ochotę do bycia obiektem obserwacji, podniósł się z gracją, rzucił w stronę Sophie lekceważące spojrzenie i odmaszerował godnym krokiem.

Westchnęła, zebrała się w sobie i wysiadła.

Był środek dnia i skądś, być może zza domu, dochodziły odgłosy dziecięcej zabawy. Nic nie wskazywało na to, że wydarzyło się tu coś złego. A jednak każdy krok w kierunku drzwi wejściowych wymagał od Sophie wielkiego wysiłku. Przełknęła ślinę, gdy wreszcie stanęła przed wejściem do kamienicy i przyjrzała się tabliczkom przy dzwoneczkach. Tabliczka Britty wciąż wisiała na miejscu, przymocowana kawałkiem taśmy klejącej. Nazwisko napisane dziewczęcą ręką. Sophie odwróciła wzrok i zadzwoniła z zaciśniętymi ustami do mieszkania starszej pani, która mieszkała na drugim piętrze. Trzaski wskazy-

wały na to, że ktoś podnosi domofon.

– Tak? – chwilę potem rozległ się cichy głos. – Kto tam?

– Dzień dobry, tu Sophie Peters, siostra Britty Peters.

– O. Aha. Ależ proszę wejść na górę.

Zabrzączał zamek. Sophie pokonała wewnętrzny opór i weszła na klatkę schodową. Zaciskając zęby, przebiegła jak najszybciej obok drzwi do mieszkania Britty na parterze i skierowała się na górę. Na drugim piętrze czekała na nią starsza kobieta ze starannie uczesanymi krótkimi włosami i sznurem pereł. Sophie podała jej rękę.

– Proszę. Niechże pani wejdzie.

Sophie ruszyła za nią w głąb korytarza do staroświecko urządzonego pokoju.

Pastelowe kolory, koronki na meblach, staromodna meblościanka i zapach ugotowanych ziemniaków wiszący w powietrzu, wszystko to podziało na Sophie nieprawdopodobnie uspokajająco.

– Dobrze, że pani tak szybko przyszła – powiedziała kobieta, wskazując miejsce na kanapie i proponując herbatę.

– Ależ to oczywiste – odpowiedziała Sophie. – Gdy tylko odsłuchałam pani wiadomość na automatycznej sekretarce, od razu wsiadłam w samochód.

Podmuchała ostrożnie herbatę i wzięła mały łyk. Kobieta kiwnęła głową.

– Sąsiedzi mówili, że była tu pani i pytała, czy ktoś coś widział – powiedziała.

– Myślałam, że może ludzie powiedzą mi więcej niż policji – odparła Sophie. – Nigdy nie wiadomo. I szczerze mówiąc, nie jestem w stanie usiedzieć teraz w domu.

Starsza pani kiwnęła głową.

– Dobrze to rozumiem – powiedziała. – Gdy byłam młoda, też taka byłam. Ciągle musiałam coś robić, robić, robić.

Łyknęła odrobinę herbaty.

– Byłam u lekarza, gdy pani przyszła popytać sąsiadów. Dlatego mnie pani nie zastała.

– Rozumiem. Poinformowała pani policję o tym, co pani widziała? – zapytała Sophie.

– Ach, ci... – Nie było jasne, co starsza pani ma na myśli. Machnęła tylko ręką.

Sophie zmarszczyła brwi.

– Widziała pani kogoś?

Starsza pani zaczęła ścierać z ubrania plamę, która była widoczna tylko dla niej. Sophie odstawiła herbatę, pochyliła się spięta do przodu. Nie była w stanie powstrzymać drżenia rąk.

– Mówiła pani, że widziała mężczyznę, który zamordował moją siostrę – zaczęła niecierpliwie ponaglać, bo nie wyglądało na to, że gospodyni zacznie mówić sama z siebie.

Starsza kobieta wpatrywała się w nią przez moment, potem się rozkleiła i zaczęła szlochać.

– Ciągle jeszcze nie mogę w to uwierzyć – zachlipała. – Taka miła dziewczyna! Wie pani, ona zawsze robiła mi zakupy. Nogi u mnie już nie te.

Przez kilka chwil Sophie przyglądała się płaczącej kobiecie. Uświadomiła sobie, że sama nie jest w stanie czuć czegokolwiek. Potem wygrzebała z torebki chusteczki i podała je gospodyni. Ta otarła oczy.

– Mówiła pani, że kogoś widziała – powtórzyła Sophie, gdy jej rozmówczyni trochę się uspokoiła.

Z napiętą twarzą czekała na odpowiedź.

Gdy niedługo potem Sophie skręciła na autostradę, odtwarzając w pamięci przebieg rozmowy, z trudem tłumiała złość. Co za rozczarowanie! Kobieta była samotna i chciała jedynie porozmawiać z kimś o Britcie, bo ta regularnie ją odwiedzała i robiła jej zakupy. Poza tym cierpiała na zaćmę i była niemal ślepa. Sophie wysłuchiwała jej przez chwilę, po czym uciekła, gdy tylko nadarzyła się okazja.

Przygotowując się do wyprzedzenia samochodu na autostradzie, pomyślała znowu o Britcie. O Britcie, która pomagała starszej pani w zakupach i prawdopodobnie wysłuchiwała z anielską cierpliwością jej opowieści o tym, jak to było dawniej.

Sophie prowadziła samochód jak w transie. W końcu zwolniła, włączyła kierunkowskaz. Wreszcie dotarła do celu.

Młoda kobieta, która otworzyła drzwi, od razu rzuciła się jej na szyję.

– Sophie!

– Cześć, Rike.

– Dobrze, że jesteś. Wejdz. Usiądziemy sobie w kuchni.

Sophie ruszyła za młodą kobietą.

– Jak się czujesz? A twoi rodzice? Jak to znosicie?

Sophie przywykła już do tych pytań, więc miała gotową dyżurną odpowiedź.

– Jakoś się trzymamy – odpowiedziała.

– Byliście tacy dzielni na pogrzebie.

Wargi Friederike zadrżały. Sophie otworzyła torebkę i po raz drugi tego popołudnia wyjęła chusteczki. Podała jej jedną.

– Tak mi przykro – powiedziała Friederike przez łzy. – Przecież to ja powinnam cię pocieszać!

– Britta była twoją najlepszą przyjaciółką – rzekła Sophie. – Masz prawo rozpaczać tak samo jak ja.

Friederike wytarła nos.

– Na pogrzebie było tak dziwnie – powiedziała. – Rzucac kwiaty na jej trumnę. Przecież Britta nienawidziła ciętych kwiatów.

– Wiem – odparła Sophie i omal się nie uśmiechnęła. – O tym samym pomyśleliśmy z rodzicami, planując pogrzeb. Przedsiębiorca pogrzebowy popatrzył na nas jak na wariatów, gdy mu powiedzieliśmy, że Britta nie lubiła ciętych kwiatów. „Jak to możliwe? Każda kobieta kocha przecież kwiaty!”.

Friederike parsknęła cicho ze śmiechu przez zasmarkany nos.

– Ale nie Britta – powiedziała. – Biedne kwiaty. Wyobraź sobie, że rośniesz spokojnie na łące i nagle przychodzi ktoś i urywa ci głowę!

Zaśmiały się obie.

– Czasami Britta naprawdę nieźle świrowała – powiedziała Sophie.

Friederike uśmiechnęła się, ale radosna chwila minęła tak szybko, jak nadeszła. Do jej oczu znowu napłynęły łzy.

– To jest po prostu tak nieprawdopodobnie przerażające. Mój mózg w ogóle nie może tego pojąć. – Otarła łzy.

– Naprawdę go widziałaś? – zapytała.

Sophie się wzdrygnęła.

– Tak – powiedziała tylko.

– Mój Boże.

Oczy Friederike znowu wypełniły się łzami.

– Tak się cieszę, że tobie nic się nie stało.

Szlochała przez chwilę, wreszcie z trudem się opanowała.

– Wiesz, czego mi najbardziej brakuje? – zapytała.

– Czego?

– Że nie mogę zadzwonić do Britty, kiedy potrzebuję rady – powiedziała

Friederike. – To dziwne, bo jestem od niej trzy lata starsza. Ale ona była zdecydowanie doroślejsza. Nie mam pojęcia, co bez niej zrobię.

– Wiem, o co ci chodzi. Britta zawsze mówiła głośno to, co inni tylko myśleli. „Trochę ci przybyło, siostrzyczko. Może powinnaś bardziej uważać na to, co jesz! Sophie, jesteś pewna, że Paul to właściwy facet dla ciebie? Nie podoba mi się, jak patrzy na inne kobiety w twojej obecności. Siostrzyczko, ta torebka jest z prawdziwej skóry, prawda? Uważasz, że to w porządku?”.

Friederike zaśmiała się krótko.

– To rzeczywiście cała Britta – zachichotała. – Dziwne. Wcześniej czasami mnie to denerwowało. A teraz marzę o tym, żeby posłuchać jednej z tych jej tyrad o plastiku zaśmiecającym oceany albo o okropnościach masowej hodowli zwierząt.

Friederike pociągnęła nosem, potem wydmuchała go z hałasem.

– O czym chciałaś ze mną porozmawiać, Sophie?

– Chciałam cię o coś zapytać.

– Okej, dawaj.

– Wiesz może, czy Britta spotykała się z kimś ostatnio?

– Masz na myśli mężczyzn?

– Dokładnie.

– Nie. Od kiedy Leo od niej odszedł, to już nie.

Sophie westchnęła. Zbrodnia popełniona w afekcie, czyli – o ile mogła wywnioskować z rozmów – wersja głównie brana przez policję pod uwagę, była coraz mniej prawdopodobna. Britta nie była ostatnio z nikim związana.

– Dlaczego oni w ogóle się rozstali? – spytała Sophie. – Nigdy o tym nie mówiła.

– Bo Leo to skończony idiota, oto dlaczego. On naprawdę twierdził, że Britta go zdradza.

– Słucham?

– Tak! – prychnęła Friederike. – Britta i zdrada! Masz pojęcie? Jeśli chcesz znać moje zdanie, to on już od dawna coś kręcił z tą Vanessą, z którą jest teraz, i tylko próbował zwalić na Brittę winę za rozstanie.

– Dlaczego miałyby to robić?

Friederike wzruszyła ramionami.

– Teraz to i tak bez znaczenia – powiedziała w końcu.

Sophie pokiwała głową w zamyśleniu. Była coraz bardziej przybita. Nie wierzyła, że Britta została zabita przez kogoś w afekcie, niemniej miała

nadzieję, że ta hipoteza, przyjęta przez policję, okaże się prawdziwa. Że siostra spotykała się z kimś w tajemnicy. Sprawcy zbrodni w afekcie prawie zawsze zostają wykryci. Ale jeśli nie ma oczywistego związku łączącego sprawcę i ofiarę, wtedy śledczy mają o wiele trudniejsze zadanie. A wskaźnik wykrywalności drastycznie spada.

– To nie miałoby sensu, żeby Britta chodziła na randki – powiedziała Friederike, wrywając Sophie z rozmyślań. – Dlaczego miałyby to robić?

– Jak mam to rozumieć?

– O mój Boże! To ty nic nie wiesz?

14

Z wielkim trudem przychodzi mi pogodzić się z tym, że Charlotta, którą za wszelką cenę chciałam trzymać z dala od tej sprawy, stoi teraz w kuchni i parzy kawę. Ale stało się, nie da się już tego zmienić.

Gdy wchodzę do jadalni, Victor Lenzen patrzy na mnie z lekko uniesionymi brwiami.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Mimo wszystko czuję wielki podziw dla jego zimnej krwi, bo oczywiście bardzo dobrze wie, że absolutnie nic nie jest w porządku.

Siedzi tak samo jak wcześniej, z dyktafonem i smartfonem przed sobą, a fotograf zdążył już przygotować swój sprzęt i teraz je ciasto.

– W jak najlepszym – odpowiadam, uważając, aby mową ciała nie zdradzić niczego. Patrzę na szklankę wody stojącą na stole przed moim krzesłem. Uświadamiam sobie, że nie wolno mi już z niej pić, bo przecież zostawiłam ją na kilka minut bez nadzoru.

Nagle zadaję sobie w duchu pytanie, czy Lenzen tak samo myśli o mnie? – że mogłabym próbować go otruć. Czy z tego powodu nic nie je?

Chcę znowu usiąść, ale fotograf mnie powstrzymuje.

– Pani Conrads, czy możemy najpierw zrobić zdjęcia? Nie będę musiał potem przerywać wywiadu.

Nienawidzę być fotografowana, ale oczywiście tego nie mówię. Lęk przed aparatem to słabość. Być może drobna, ale słabość.

– Chętnie – odpowiadam. – Gdzie mam się ustawić?

Zastanawia się przez moment.

– Który pokój w tym domu lubi pani najbardziej?

Bibliotekę, to jasne, ale ona znajduje się na piętrze, a ja za żadne skarby świata nie zaprowadzę dobrowolnie tych dwóch mężczyzn do mojego sanktuarium.

– Kuchnię.

– Zatem kuchnia – mówi fotograf. – Super!

– Do zobaczenia za chwilę – rzuca Lenzen.

Dostrzegam błyskawiczne spojrzenie rzucone mu przez fotografa i uświadamiam sobie, że ci dwaj się nie lubią. Dlatego fotograf natychmiast budzi moją sympatię.

Idę pierwsza, on za mną. Lenzen zostaje w jadalni. Widzę kątem oka, że bawi się smartfonem. Nie chciałam spuścić go z oczu, ale nie mam wyboru. To wszystko nie zaczyna się zbyt dobrze.

Wchodzimy do kuchni, gdzie zastajemy Charlotte, która właśnie nastawiła kawę. Bulgotanie kafetierki, ten zapach, znajomy, uspokajający.

– Zrobimy tylko szybko parę zdjęć – mówię.

– Już mnie nie ma – odpowiada Charlotta.

– Ależ proszę zostać i popatrzeć, jeśli pani ma ochotę – mówię, by nie poszła do jadalni, ale czuję, że to brzmi dość dziwnie, bo dlaczego niby miałabym chcieć, żeby się przyglądała, jak jestem fotografowana?

– Pójdę zobaczyć, co porabia Bukowski – mówi Charlotta. – Gdzie on jest?

– W mojej sypialni. Proszę uważać, żeby nie zwiął, chcemy mieć spokój tu na dole – mówię, ignorując pełne dezaprobaty spojrzenie Charlotty.

Ulatnia się. Fotograf ustawia mnie przy stole, układa starannie przede mną gazety, filiżanki, kadruje, pstryka.

Z trudem skupiam się na pozowaniu, myślę bowiem o Lenzenie w jadalni. Co teraz robi? Co myśli? Z jaką strategią w głowie tu przyszedł?

Zastanawiam się, co o mnie wie. Przeczytał książkę, to jasne. Rozpoznał zapewne zbrodnię, której sam dokonał. Co czuł przy tej lekturze, mogę tylko spekulować. A godziny, dni, tygodnie później? Wściekłość? Strach przed zde-maskowaniem? Niepewność? Miał dwie możliwości: nie zgodzić się na wywiad, unikać mnie. Albo przyjść tutaj i skonfrontować się ze mną. Zdecydował się na to drugie. Nie spanikował. Pochwyił przynętę. Teraz będzie chciał się dowiedzieć, co planuję, co na niego mam. Na pewno myślał często o świadku swojej zbrodni. O tej chwili przeszło dziesięć lat temu, kiedy przez straszliwy ułamek sekundy patrzyliśmy sobie w oczy w mieszkaniu naznaczonym przez śmierć. Czy ta zbrodnia go prześladuje? Czy bał się wykrycia? Czy próbował dowiedzieć się, kim jest kobieta – świadek zbrodni? Czy się dowiedział? Czy zastanawiał się nad tym, aby się jej pozbyć? Jej, czyli mnie?

– Inaczej sobie panią wyobrażałem – mówi fotograf, wyrывая mnie

z zadumy.

Skup się, Linda.

– Ach tak? Jak mianowicie?

– No, jako starszą, zdziwaczałą kobietę. Mniej ładną.

To dość niezręczne, ale widzę, że mówi szczerze, więc rewanżuję się uśmiechem.

– Brał mnie pan za starszą panią? – mówię z udawanym zdziwieniem, starając się zareagować tak, jak w moim przekonaniu powinna reagować żyjąca w odosobnieniu, lecz bynajmniej nie szalona autorka bestsellerów. A potem kokieteryjnie:

– Wspominał pan, że jest pan moim czytelnikiem.

– No jasne, uważam, że pani książki są super – mówi, nastawiając ostrość w aparacie. – Ale wyobrażałem sobie, że autorka powieści jest stara.

– Rozumiem.

Naprawdę rozumiem. Norbert powiedział mi kiedyś, że mam duszę osiemdziesięcioletniego mężczyzny, i odgadłam, co miał na myśli. Jestem uduchowiona. Nic mnie nie łączy z kobietami w moim wieku. Rzeczywistość mojego życia nie ma nic wspólnego z życiem normalnej trzydziestoosmioletki. Prowadzę egzystencję staruszki, dzieci poszły w świat, mąż dawno zmarł, większość przyjaciół tak samo, niedołączna, uwięziona w domu. Bezcielesna. Aseksualna. Jednym słowem uduchowiona. Tak żyję, taka jestem, tak się czuję i takie zapewne wrażenie sprawia moje pisanie

– A poza tym – ciągnie fotograf – w przypadku kobiety, która nie opuszcza domu, od razu przychodzi na myśl stara dziwaczka żyjąca z dwudziestoma kotami. Albo kompletnie świrnięta ekscentryczka w stylu Michaela Jacksona.

– Przykro mi, że nie odpowiadam pańskim wyobrażeniom.

Powiedziałam to bardziej oschle, niż zamierzałam, jakbym chciała, by zamilkł. Zajął się znowu aparatem. Przykłada go do oka, pstryka. Przyglądam mu się. Promieniuje zdrowiem. Opalony i wysportowany. Chociaż jest zima, ma na sobie T-shirt. Na lewej dłoni widać niewielkie obtarcie, prawdopodobnie jeździ na skateboardzie czy coś w tym rodzaju.

Nalewa parującej kawy do filiżanki i podaje mi ją.

– To będzie świetnie wyglądać, pani twarz i para unosząca się z kawy. Może uda mi się to uchwycić.

Biorę filiżankę, piję, fotograf naciska spust migawki.

Patrzę na niego, próbując oszacować jego wiek. Wydaje się taki młody.

Prawdopodobnie ma dwadzieścia parę lat, dzieli więc nas trochę więcej niż dziesięć, ale ja mam wrażenie, jakbym była od niego starsza o co najmniej sto lat. Skończył. Dziękuje mi. Pakuje sprzęt. Ruszam pierwsza z powrotem do jadalni.

Czuję bolesny skurcz żołądka. Charlotta siedzi naprzeciw Lenzena. Coś jest nie tak z jej twarzą, wygląda... inaczej. Fałszywie. Coś nie w porządku z jej oczami, z ustami, z rękami, z całym jej ciałem. Jej cała postawa jest jakaś... nieszczerza. Podnosi wzrok, gdy wchodzę do pokoju, wstaje szybko, przerwałam im rozmowę, cholera, tych dwoje rozmawiało, kto wie, jak długo już, sesja zdjęciowa trwała przecież jakiś czas. Mnóstwo mogło się w tym czasie wydarzyć! Myślę o swoim koszmarze, o zakrwawionych rękach Lenzena, myślę o Charlocie z poderżniętym gardłem, myślę o jej małym synku, szatańskim pomocie, jak siedzi w kałuży krwi, myślę o Lenzenie, jak patrzy na swoje ręce i szczerzy się w uśmiechu, myślę o tym, ile Charlotta o mnie wie, zadaję sobie pytanie, czy mogła mu powiedzieć coś, co obróci się przeciwko mnie, ale ona nic nie wie, Bogu dzięki nie wie nic o mikrofonach w domu i o kamerach i w ogóle; ale stoi naprzeciw mordercy mojej siostry i rzuca mu jeszcze spojrzenie, zatyka sobie kosmyk włosów za ucho, muska się leciutko w szyję, i Lenzen to dostrzega, jego zmarszczki mimiczne pogłębiają się w uśmiechu, ma zmarszczki mimiczne, nienawidzę go za te zmarszczki, nie zasłużył na nie, na te swoje zmarszczki mimiczne, i przez chwilę patrzę na niego oczami Charlotty, widzę interesującego mężczyznę w średnim wieku, wykształconego światowca, i wiem wreszcie, co jest nie tak z Charlottą, dlaczego wygląda tak fałszywie. Ona flirtuje. Uświadamiam sobie, że mam bardzo jednostronny obraz Charlotty, że nigdy nie widziałam jej w interakcji z innymi ludźmi, uświadamiam sobie, jak bardzo jestem oderwana od życia, jak niewiele wiem o ludziach i ich powiązaniach, że całą moją wiedzę czerpię z odległych wspomnień i z książek. Charlotta otwarcie flirtuje z Lenzenem! Gdy Lenzen mnie dostrzega, odwraca się do mnie z przyjaznym uśmiechem.

– Czy nie przeszkadzam? – pytam, próbując przybrać lekki, dowcipny ton, sama jednak słyszę, że kiepsko mi to wyszło.

– Proszę wybaczyć – mówi ze skruchą Charlotta. – Nie chciałam przeszkadzać.

– Nie ma problemu, wszystko w porządku – odpowiadam. – Ale chyba nie będę pani już dzisiaj potrzebować. Może wziąć pani wolne na resztę dnia.

Chyba Charlotta zrozumiała, że chcę jej się pozbyć, ale nie zamierza przystać na moją propozycję.

– Czy nie powinnam jeszcze zajrzeć do Bukowskiego? – pyta.

– Kto to jest Bukowski? – wtrąca się Lenzen.

Moje serce ściska skurcz.

– Pies pani Conrads – papla Charlotta, zanim zdążam cokolwiek odpowiedzieć. – Taki słodziak, że nie wyobraża pan sobie.

Zaciekawiony Lenzen unosi brwi. Chce mi się płakać. Nie powinien rozmawiać z Charlottą i nie powinien wiedzieć o Bukowskim. W tym strasznym momencie uświadamiam sobie, że moje założenie, że nie mam nic do stracenia, jest fałszywe. Wciąż zostało kilka rzeczy, które są mi drogie i bliskie. Rzeczy, które muszę chronić, bo mogę je stracić. I potwór teraz wie o tym.

Lenzen uśmiecha się. Groźba w jego uśmiechu jest skierowana do mnie.

Nagle czuję okropny zawrót głowy, muszę się skoncentrować, odnaleźć drogę do krzesła, nie potknąć się przy tym, nie upaść. Na szczęście Lenzen skupia się na czym innym.

– Już po wszystkim? – pyta fotografa, który pojawił się w drzwiach za moimi plecami i którego ominęła niepewnie uśmiechnięta Charlotta, wykonując zgrabny manewr.

– Prawie. Chętnie pstryknąłbym jeszcze kilka zdjęć podczas rozmowy. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, pani Conrads.

– Żaden problem.

Trzymam się mocno krawędzi stołu. Muszę się uspokoić. Może powinnam coś zjeść. Puszczam stół, czuję, że nogi już nie odmawiają mi posłuszeństwa, chwiejnym krokiem podchodzę do wózka z jedzeniem. Biorę wrapa i odgryzam kęs.

– Proszę, niech panowie też coś zjedzą – mówię, zwracając się do Lenzena i fotografa. – Bo się to wszystko zmarnuje.

– Mnie nie trzeba długo prosić – odpowiada fotograf i bierze porcję sałatki z soczewicą.

Ku mojej ogromnej uldze Lenzen też się podnosi i podchodzi do wózka. Wstrzymuję oddech, gdy bierze wrapa z kurczakiem i zaczyna go jeść na stojąco. Staram się za wszelką cenę nie wpatrywać się w niego, ale widzę, że na jego górnej wardze zostaje odrobina sosu, widzę, jak go zlizuje, pochłania resztę wrapa. Obserwuję w napięciu, jak Lenzen wyciera sobie palce serwetką i jak w końcu ociera nią twarz, rozluźniony wracając do stołu.

Niepojęte. To naprawdę było aż tak proste? Siadam na swoim miejscu. Lenzen spogląda na mnie. Zajęliśmy miejsca naprzeciw siebie, jak finaliści turnieju szachowego. Uśmiech znika z twarzy Lenzena.

14 - JONAS

Sophie siedziała spokojnie i mniej wytrawny obserwator nie zauważyłby, jak jest spięta. Ale Jonas widział, jak mięśnie jej szczęki napinały się za każdym razem, gdy Antonia Bug zadawała jej pytanie. Widział, jak Sophie walczy, jak zaciska zęby. Odwrócił wzrok. Było mu jej żal. Zawsze starał się widzieć zdarzenia oczami świadków, którzy mu o nich opowiadali. I wystarczająco często to, co widział, zostawało mu w głowie dłużej, niżby sobie życzył. Sophie po raz kolejny, szczegółowo i precyzyjnie, nie roniąc ani jednej łzy, opowiedziała, jak znalazła zamordowaną siostrę w jej mieszkaniu. Tylko bielone kostki pod skórą zaciśniętych pięści zdradzało, jak bardzo to wszystko przeżywa. Za wszelką cenę starał się widzieć w niej tylko przesłuchiwanego kolejnego świadka. Świadka morderstwa, a nie kobietę na schodach jego domu, która sprawiła, że ulotniło się towarzyszące mu od dawna poczucie wyobcowania – dokonała tego kilkoma zdaniem, kilkoma spojrzeniami, jednym uśmiechem i połówką papierosa. To tylko świadek, powtarzał sobie w myśli, nic więcej.

Antonia Bug zamierzała właśnie zadać kolejne pytanie, lecz Sophie ją uprzedziła.

– Jest jeszcze coś – powiedziała. – Nie wiem oczywiście, czy to ważne.

– Wszystko jest ważne – stwierdził Jonas.

– Byłam wczoraj u Friederiki Kamps, najlepszej przyjaciółki mojej siostry. Powiedziała mi, że Britta zamierzała wynieść się z Monachium.

– I? – zapytała Bug.

– Nie wiem – odparła Sophie. – Wydaje mi się to dziwne. Britta kochała Monachium. Nie chciała wyjeżdżać. Przed paru laty zaproponowano jej po studiach świetną pracę w Paryżu, ale odrzuciła tę propozycję, bo nie chciała przeprowadzać się do innego miasta. – Sophie się zawahała. – Tak jak mówię, nie wiem, czy to ważne. Ale może ma to jakiś związek. Może Britta czuła się zagrożona i dlatego chciała wyjechać z Monachium?

– Czy pani siostra wspominała kiedykolwiek, że czuje się zagrożona? – zapytał Jonas.

– Nie! Nigdy! Mówiłam to już panu tysiąc razy – zachnęła się Sophie.

– Ale mimo to uważa pani... – zaczęła Bug, ale Sophie jej przerwała.

– Niech pani posłucha! Ja się chwytam brzytwy. Z tego, co wiem, u Britty wszystko było w porządku.

– I mówi pani, że byliście z siostrą zżyte? – zapytała Bug.

Sophie stłumiła westchnienie. Jonas czuł, że jej cierpliwość jest na wyczerpaniu.

– Tak – odpowiedziała tylko.

– Czego pani właściwie chciała od siostry o tak późnej porze? – zapytała Bug.

– Niczego szczególnego. Miałam głupią kłótnię z narzeczoną i chciałam porozmawiać z Brittą.

– Co było przedmiotem tej kłótni? – zapytała Bug.

Jonas zobaczył, że Sophie zmienia lekko pozycję, że zaczyna się niespokojnie wiercić na krześle, co widać było u wielu ludzi, gdy wystarczająco długo zadawało się im nieprzyjemne pytania. Zerknął na swoją koleżankę. W dziedzinie przesłuchań Bug była jak pitbull.

– Nie wiem, co to ma wspólnego z zabójstwem mojej siostry – odparła wyraźnie zdenerwowana Sophie.

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie – rzekła spokojnie Antonia Bug.

– Proszę posłuchać. Podałam rysopis mężczyzny, który uciekł z mieszkania mojej siostry. Czy on nie powinien interesować państwa bardziej niż moje problemy w związku?

– Oczywiście – odrzekła Bug niezobowiązująco. – Jeszcze tylko kilka pytań. O której godzinie przyszła pani do siostry?

– Przecież wszystko już mówiłam – odpowiedziała Sophie, wstając. – Jadę teraz do rodziców. Jest wiele spraw do załatwienia. Opróżnić mieszkanie Britty i...

Jej słowa zawisły w powietrzu.

– Jeszcze nie skończyliśmy – zaprotestowała Bug, ale Sophie ją zignorowała i chwyciła pęk kluczy, który wcześniej położyła obok siebie na krześle.

– Proszę mnie poinformować, gdy czegoś się pan dowie – zwróciła się do Jonasa. – Proszę.

Spojrzała mu w oczy ostatni raz i po chwili już była za drzwiami.

Antonia Bug popatrzyła z zaintrygowaniem na Jonasa.

– Gdy czegoś się pan dowie? – powtórzyła jak echo. – Co to niby ma znaczyć? Od kiedy to jesteśmy usługodawcami świadków?

Jonas wzruszył ramionami. Jego młoda koleżanka nie wiedziała, że ta kobieta czekała na niego przed jego domem – a precyzyjniej: że siedzieli razem na schodach przed domem. Całe szczęście, że nie wiedziała. Gdyby się okazało, że rozmawia ze świadkiem o toczącym się śledztwie, miałyby poważne problemy.

– Czyżby pan jej wierzył? – zapytała Bug.

– Oczywiście, że jej wierzę – odpowiedział Jonas. – I pani też jej wierzy. Nawet jeśli jej pani nie lubi.

Prychnęła zirytowana.

– Ma pan rację – powiedziała. – Nie lubię jej.

Jonas przyglądał się z uśmiechem swojej koleżance. Czasami straszliwie grała mu na nerwach, mimo to bardzo cenił jej bezpośredniość. Bug należała do jego zespołu dopiero od kilku miesięcy, ale jej energia i nieustępliwość sprawiły, że stała się niezastąpiona.

– Czy nie najwyższy czas, żebyśmy przeszli na ty? – zapytał.

Twarz Antonii Bug się rozpromieniła.

– Toni.

– Jonas.

Podawała mu rękę przesadnie oficjalnym gestem, by przypieczętować rytuał.

– Tak czy inaczej – powiedziała w końcu, rzucając okiem na zegarek – musimy się przenieść do pokoju obok. Zebranie zespołu.

– Rzeczywiście. Idź pierwsza, zaraz cię dogonię. Pójdę jeszcze zapalić.

– Okej.

Jonas patrzył, jak jego koleżanka oddała się do sali konferencyjnej, kołysząc włosami zebranymi w koński ogon. Jego myśli powędrowały ku Sophie Peters. Cholernie dobrze się trzymała przez całe przesłuchanie. Żadnych spazmów, żadnych łez. Zadumany Jonas włożył sobie papierosa do ust, wyjął zapalniczkę i już miał ją zapalić, gdy nagle zobaczył Sophie. Siedziała na małym murku odgradzającym pas zieleni przed budynkiem.

Wyglądała na załamana. Twarz ukryła w dłoniach. Drżenie ramion zdradzało, że zanosi się płaczem. Jonas stanął w pół kroku. Sophie go nie dostrzegła. Przez chwilę zastanawiał się, czy do niej podejść, ale nie zdecydował się na to.

W sali konferencyjnej patrzył na wchodzących kolegów, ale wciąż myślał o Sophie. Nagle poczuł odrazę do tego pomieszczenia, w którym – w świetle jarzeniówek i smrodzie PCW, z kawą na stole – spędził wcześniej tak wiele godzin. Potem zapadła cisza i Jonas zauważył, że wszyscy patrzą na niego wyczekująco. Skupił się z wysiłkiem.

– No więc? – spytał, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Kto chciałby zacząć?

Antonia Bug od razu wyskoczyła przed szereg.

– Z jednej strony mamy jej byłego chłopaka, ale w chwili popełnienia zbrodni prawdopodobnie przebywał za granicą. Jeszcze to sprawdzamy – zaczęła w swoim typowym staccato i Jonas od razu wyobraził sobie, jaka była jako dziecko. Przemądrzała, nadgorliwa, kujonka. Mimo to lubiana. Włosy blond, koński ogon, okulary, tygrysie kaczki Janoscha w pedantycznie prowadzonych zeszytach.

Jego myśli zaczęły błędzić i wcale się przed tym nie bronił. Wcześniej już przeczytał wszystkie informacje, które jego zespół zebrał na temat ofiary i jej otoczenia. Britta Peters, dwadzieścia cztery lata, graficzka w internetowym start-upie, singielka, zdrowa. Zginęła od siedmiu pchnięć nożem. Zabójstwo bez tła seksualnego. Narzędzie zbrodni, prawdopodobnie nóż kuchenny, zniknęło. To wszystko aż nadto wyraźnie wskazywało na kłótnię z kimś, kogo znała, na nagły napad gniewu, działanie w afekcie, na wybuch wściekłości. Partner. Gdy zdarzało się coś takiego, zawsze zamieszany był w to partner ofiary. Tajemniczy nieznajomy żył tylko w filmach. A jednak siostra podobno widziała kogoś takiego. Nie tylko ona, ale także wszyscy inni twierdzili stanowczo, że ofiara była singielką. Przeżyła bolesne rozstanie z chłopakiem, nie miała więc ochoty na randki, skupiła się wyłącznie na pracy. Praca, praca i jeszcze raz praca.

Jonasa przywołał do rzeczywistości głos Volkera Zimmera, jego rówieśnika znanego z pedanterii. Najwyraźniej Bug skończyła już swój monolog.

– Rozejrzałem się w domu i wśród sąsiadów ofiary. Początkowo niewiele to dało. Ale potem pomówiłem z sąsiadką, która mieszka bezpośrednio nad ofiarą i jest mniej więcej w tym samym wieku.

Jonas czekał cierpliwie, aż Zimmer przejdzie do sedna. Jego kolega często mówił rozwlekle, zarazem jednak zabierał głos wyłącznie wtedy, gdy naprawdę miał coś do powiedzenia.

– Ona twierdzi, że Britta Peters była wściekła, bo właściciel wynajmujący

jej mieszkanie wiele razy wchodził do tego mieszkania pod jej nieobecność. Najwyraźniej ją to oburzało. Zastanawiała się nawet, czy nie powinna się wyprowadzić z tego powodu.

– To zrozumiałe – wtrąciła Bug.

– Czy właściciel mieszka w tym samym domu? – zapytał Jonas.

– Tak – odpowiedział Zimmer. – Ma duże mieszkanie na samej górze, na poddaszu.

– Rozmawiałaś z nim?

– Nie było go. Ale zajrzę tam jeszcze raz.

Jonas pokiwał powoli głową i znowu się rozkojarzył, bo Michael Dzierzewski, starszy i zawsze pogodny kolega, z którym czasem grał w piłkę, zaczął przedstawiać ustalenia z miejsca pracy ofiary.

Narada dobiegła końca, a członkowie zespołu rozeszli się, by zebrać więcej informacji na temat właściciela mieszkania, byłych chłopaków ofiary i jej kolegów z pracy. Jonas odprowadził wzrokiem kolegów, którzy z profesjonalnym zapałem ruszyli do swoich zadań. Myślał o Sophie, o złożonej jej obietnicy. Zastanawiał się, czy dotrzyma słowa.

Po powrocie do swojego gabinetu usiadł za biurkiem. Jego wzrok padł na zdjęcie w ramkach stojące na blacie, ukazujące jego i Mię w szczęśliwym okresie. Wpatrywał się przez moment w fotografię, potem doszedł do wniosku, że nie czas teraz na rozmyślania o jego dogorywającym małżeństwie, i zabrał się do pracy.

15

Victor Lenzen ma zadziwiające oczy. Takie czyste, takie zimne. Kontrastują ostro z licznymi zmarszczkami na ogorzałej od słońca i wiatru twarzy. Victor Lenzen wygląda jak starzejący się piękny wilk. Patrzy na mnie, a ja wciąż nie przyzwyczaiałam się do tego spojrzenia. W czasie mojej nieobecności zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Podwinął odrobinę rękawy białej koszuli.

Moje spojrzenie zatrzymuje się na jego przedramieniu, na fakturze naskórka, potrafię dostrzec poszczególne komórki, z których jest utkany, głaszczę w myślach żyły, które odznaczają się pod skórą, w górę i w dół, czuję ciepło, które promieniuje od niego, to doznanie, które jest mi potrzebne najmniej na świecie, ściska mnie za gardło. Od bardzo dawna jestem sama. Podanie komuś dłoni czy przelotny uścisk to maksimum fizycznego kontaktu, na który sobie pozwalałam w ostatnich latach. Dlaczego akurat teraz przychodzą mi do głowy takie rzeczy?

– Możemy? – pyta Lenzen.

Zaczyna się. Muszę się skupić. Sesję zdjęciową mam już za sobą. Teraz się zacznij. Wywiad.

– Jestem gotowa.

Siedzę wyprostowana, świadoma napięcia w moim ciele.

Lenzen kiwa szybko głową. Jego rzeczy leżą przed nim na stole, ale nawet nie rzuca na nie okiem.

– Pani Conrads, jeszcze raz dziękuję, że zechciała pani zaprosić nas do swojego pięknego domu.

– Nie ma za co.

– Zatem jak się pani miewa?

– Słucham? – odpowiadam zaskoczona, a słysząc ciche pstryknięcie z lewej strony, orientuję się, że fotograf uwiecznił ten moment. Ciągle walczę z zawro-

tami głowy i nawracającymi mdłościami, ale nie dają tego po sobie poznać.

– Cóż, żyje pani w odosobnieniu, to powszechnie znany fakt. W tej sytuacji liczni czytelnicy zadają sobie oczywiście pytanie, jak się pani miewa.

– Miewam się dobrze.

Lenzen prawie niedostrzegalnie kiwa głową. Ignoruje swoje notatki, patrzy mi prosto w twarz, nie spuszcza mnie z oka. Czy próbuje mnie przejrzeć?

– Pani książki odniosły ogromny sukces. Dlaczego w takim razie zmieniła pani gatunek literacki i napisała thriller?

Znowu to samo pytanie, na które wcześniej nie udało mi się odpowiedzieć, bo przeszkodziła nam Charlotta. Dobrze. Na to pytanie – w przeciwieństwie do dziwaczного zagajenia – jestem oczywiście przygotowana. Było naprawdę oczywiste, odtwarzam więc z pamięci wyuczoną odpowiedź.

– Jak pan już wspomniał, warunki, w jakich żyję, są dalekie od normalności. Nie opuszczam domu, nie chodzę do pracy, nie robię zakupów w piekarni czy supermarkecie, nie podróżuję, nie spotykam się z przyjaciółmi w kawiarniach ani klubach. Żyję w całkowitej izolacji, skutkiem tego moje życie jest bardzo proste. W tej sytuacji niełatwo uciec przed nudą. Pisanie to okazja do małej ucieczki od czasu do czasu. Chciałam po prostu spróbować raz nowego. Rozumiem oczywiście, że miłośnicy moich dotychczasowych powieści mogą zareagować zdziwieniem na ten zwrot w mojej twórczości. Ale potrzebowałam po prostu czegoś w rodzaju literackiego przemeblowania.

Gdy to mówiłam, Lenzen wypił łyk wody. To dobrze. Im więcej śladów tu pozostawi, tym lepiej.

– Ale dlaczego ze wszystkich gatunków, które może wybrać autor, zdecydowała się pani akurat na thriller?

– Może dlatego, że to największe przeciwieństwo mojej dotychczasowej twórczości.

Brzmi to całkiem przekonująco. Ważne, żeby na początku wywiad toczył się utartym torem. Lenzen może się do woli zastanawiać, jaki mam plan. Zaatakuję, gdy nie będzie się tego spodziewał.

Zagląda szybko w notatki, a ja zerkam na stojącą na stole popielniczkę. Decyduję się podjąć kolejną próbę.

– Przepraszam, czy mógłby mnie pan poczęstować papierosem? – pytam.

Patrzy na mnie zaskoczony.

– Ależ oczywiście – mówi.

Serce mi podskakuje, gdy Lenzen wyjmuje z kieszeni niebieską paczkę gau-

loise'ów i wyciąga ją w moją stronę. Częstuję się. Każdy porządny palacz odruchowo wzięby w takiej chwili papierosa dla siebie.

– Ma pani ogień? – pyta Lenzen.

Kręcę głową. Mam nadzieję, że nie dostanę od razu napadu kaszlu, przecież od wielu lat nie paliłam. Tak bardzo liczę na to, że to wszystko odniesie skutek, że Lenzen też zapali. Obmacuje kieszenie marynarki w poszukiwaniu zapalniczki, znajduje ją. Podaje mi ogień nad stołem, wstaję, nachylam się do niego, jego twarz jest coraz bliżej, tętno mi przyspiesza odrobinę, widzę piegi, jakie to dziwne, kilka piegów pośród zmarszczek.

Nasze spojrzenia się spotykają, spuszczam wzrok, mój papieros się rozżarza, pstryknięcie zdradza mi, że fotograf nacisnął spust.

Tłumię kaszel, czując piekący ból w płucach. Lenzen obraca w rękach paczkę papierosów, raz, drugi, potem odkłada ją na bok.

– Za dużo palę – stwierdza i znowu zerka w notatki.

Szkoda!

Dzielnie wypalam papierosa, zaciągając się nieśpiesznie. Smakuje ohydnie. Kręci mi się w głowie, moje ciało buntuje się przeciwko nikotynie, do której nie nawykło, jest mi słabo.

– Na czym stanęliśmy... – odzywa się Lenzen. – Ach tak. Zmiana gatunku. Czy czyta pani thrillery?

– Czytam wszystko – odpowiadam.

Miałam nadzieję, że po dłuższej chwili przyzwyczaję się do jego wilczych oczu. Od kilku minut staram się nie przyczesać dłonią włosów, bo wiem, że to gest wyrażający niepewność, teraz jednak nie mogę się powstrzymać. Fotograf znowu naciska spust.

– Jakie thrillery zwróciły pani uwagę w ostatnim czasie? – pyta Lenzen.

Wymieniam autorów, których rzeczywiście cenię, kilku amerykańskich, kilku skandynawskich, paru niemieckich.

– Żyje pani w skrajnym odosobnieniu. Gdzie znajduje pani inspirację?

– Dobre historie leżą praktycznie na ulicy – odpowiadam, gaszę papierosa.

– Tylko że pani nigdy nie wychodzi na ulicę – ripostuje Lenzen z szelmowskim uśmiechem.

Puszczam jego uwagę mimo uszu.

– Bardzo interesuje mnie to, co się dzieje na świecie – mówię. – Czytam gazety, oglądam wiadomości, spędzam dużo czasu w internecie, gromadzę informacje. Świat jest pełen różnych historii. Trzeba tylko mieć oczy otwarte.

Naturalnie jestem niezwykle wdzięczna, że dzięki nowoczesnym środkom komunikacji i mediom cały świat może zawitać do mojego domu

– Jak gromadzi pani materiały? Także przez internet?

Już chcę odpowiedzieć, gdy nagle to słyszę. Swój oddech. Serce gwałtownie mi przyśpiesza.

To niemożliwe. Tylko złudzenie.

Zaciskam kurczowo szczęki.

– Zwykle zbieram materiały, robiąc... – Za wszelką cenę usiłuję się skupić.
– Do tej książki...

Nie ubzdurałam sobie tego, to się dzieje naprawdę. Słyszę muzykę. Czuję zawrót głowy, wszystko wokół wiruje.

– Zebrałam dużo informacji o psychice... zrobiłam...

Love, love, love. Muzyka narasta, mrugam powiekami, oddech zupełnie wymyka mi się spod kontroli, jestem bliska hiperwentylacji, Lenzen naprzeciw mnie, jego zimne jasne oczy wpatrzone we mnie, okrutne i cierpliwe, a ja dyszę ciężko. Odchrząkuję, żeby to zamaskować. Przerywam. Na moment robi mi się ciemno przed oczami. Musisz oddychać spokojnie! Po omacku szukam jakiejś kotwicy, znajduję szklanekę wody, czuję ją w dłoni, to jest rzeczywiste, nie ta muzyka, nie ta muzyka, ale ciągle ją słyszeć. Słyszę ją, całkiem wyraźnie, ta melodia, ta straszna melodia. *All you need is love, la-da-da-da-da-da...*

Zaschło mi w gardle, biorę szklanekę wody, próbuję podnieść ją do ust, rozlewam trochę, trzęsę się, piję z trudem, przypominam sobie, że miałam tego nie pić, odstawiam szklanekę z powrotem na stół.

– Przepraszam – chrypię z wysiłkiem.

Lenzen coś mówi, ale słyszę go jak przez ścianę. W moje pole widzenia wchodzi fotograf, całkiem rozmyty, staram się skupić na nim, wyregulować ostrość, udaje mi się chwycić brzeg basenu, wynurzam się na powierzchnię. Chociaż muzyka ciągle gra, *la-da-da-da-da-da*, wynurzam się. Patrzę na fotografa. Patrzę na Lenzena. Nie reagują. Słyszę muzykę, ale oni jej nie słyszą. Nie mam odwagi o to zapytać. Nie chcę, nie wolno mi wyjść na szaleńca.

– Przepraszam, jak brzmiało pytanie? – Odchrząkuję, próbując pozbyć się żaby w gardle.

– Jak gromadziła pani materiały do najnowszej książki?

Biorę się w garść, machinalnie odtwarzam przygotowaną odpowiedź, fotograf krąży wokół i pstryka, jestem znowu na chodzie, mówię jak automat, ale

wewnętrznie jestem rozbita. Moje nerwy płatają mi figła, słyszę coś, czego nie ma, złe rzeczy. I to akurat teraz, kiedy muszę być skupiona, przytomna.

Cholera, Linda. Cholera!

Lenzen zadaje kolejne błahe pytanie, a ja odpowiadam. Muzyka cichnie. Świat wokół wraca do normalności. Fotograf, którego egzotyczne nazwisko wypadło mi z pamięci, spogląda na wyświetlacz aparatu. Lenzen rzuca mu wyczekujące spojrzenie.

– Skończyłeś?

– Skończyłem – odpowiada fotograf, którego egzotyczne nazwisko wyleciało mi z pamięci, nie patrząc na Lenzena.

– Dziękuję, pani Conrads – mówi. – To była dla mnie wielka przyjemność poznać panią.

– Dla mnie również – odpowiadam i wstaję na uginające się nogi, niepewna jak nowo narodzone ciele. – Odprowadzę pana do drzwi.

Ruch dobrze mi robi. Krew znowu znacznie szybciej krążyć w żyłach. Przecież przed chwilą o mało nie zemdlałam. Niewiele brakowało. Tak niewiele. To nie może się powtórzyć, dopóki Lenzen jest w moim domu.

Fotograf pakuje się, zarzuca na ramię torbę ze sprzętem. Skinieniem głowy żegna się z Lenzenem, po czym rusza za mną do drzwi. Zawroty głowy ustępują bardzo powoli, właściwie ciągle nawracają.

– Do zobaczenia – mówi fotograf, biorąc z garderoby swoją parkę. Podaje mi ciepłą rękę i patrzy przez moment w oczy.

– Proszę na siebie uważać – dodaje i znika.

16

Przez kilka sekund odprowadzam go wzrokiem, potem prostuję ramiona i idę szybko do jadalni. Zatrzymuję się nagle, bo moje spojrzenie pada na płaszcz Lenzena. Warto go szybko przeszukać, nigdy nie wiadomo. Rzucam okiem na drzwi jadalni, nasłuchuję, ale nic nie słyszę. Szybko sprawdzam kieszenie płaszcza, są puste. Serce skacze mi do gardła, bo słyszę jakiś odgłos za plecami. Odwracam się gwałtownie. Przede mną stoi Victor Lenzen. Serce mi zamiera.

Patrzy na mnie badawczo.

– Wszystko okej? – pyta.

Jego spojrzenie jest nieprzeniknione.

– W najlepszym porządku. Szukam chusteczki – mówię, wskazując na swój blezer wiszący obok płaszcza Lenzena.

Przez chwilę stoimy tak naprzeciw siebie w milczeniu.

Cisza się przeciąga. Potem twarz Lenzena się rozjaśnia, pojawia się uśmiech. Co za aktor!

– Czekam na panią w jadalni.

Po tych słowach odwraca się i znika.

Oddycham głęboko, liczę do pięćdziesięciu, potem również wracam do jadalni. Lenzen siedzi przy stole i patrzy na mnie przyjaźnie. Już chcę mu powiedzieć, że możemy kontynuować, gdy znowu dzwoni telefon. Jęczę. Kto to może być?

– Może powinna pani odebrać – mówi Lenzen. – Wygląda, że to coś ważnego.

– Tak – odpowiadam. – Chyba powinienam. Proszę mi wybaczyć.

Idę do salonu, podchodzę do aparatu, który dzwoni jak szalony. Zirytowana marszczę czoło, bo na wyświetlaczu widzę monachijski numer. Znam go, niedawno go wykręcałam. Drżącą dłonią podnoszę słuchawkę, świadoma, że Lenzen będzie słyszał każde słowo.

– Linda Conrads.

– Jak dobrze, że udało mi się panią złapać – mówi profesor Kerner.

Jego głos brzmi dziwnie.

– O co chodzi? – pytam zaniepokojona.

– Muszę pani przekazać niemiłą wiadomość.

Wstrzymuję oddech.

– Dowiadywała się pani o ślady DNA pobrane z miejsca, w którym zamordowano pani siostrę. Cóż, zaciekało mnie to i przyjrzałem się sprawie bliżej.

Zwleka. Ogarnia mnie złe przeczucie. Jeśli trafnie zgaduję, co chce mi powiedzieć, to nie chcę tego słyszeć. Zwłaszcza teraz.

– Te ślady DNA są niestety całkowicie bezużyteczne – mówi Kerner.

Robi mi się ciemno przed oczami. Siadam na gołej posadzce, oddycham z wysiłkiem.

Kenera słyszę jakby zza ściany. Mówi, że czasem ślady ulegają zanieczyszczeniu albo giną. Że bardzo mu przykro. Że to się wydarzyło, zanim zaczął pracować w Monachium, w przeciwnym razie byłoby to wykluczone. Że długo się zastanawiał, czy mnie o tym informować, że w końcu uznał, że każdy człowiek zasługuje na prawdę, nawet jeśli nie jest przyjemna.

Próbuję złapać ustami powietrze. Za ścianą siedzi potwór i czeka na mnie. Pomijając Charlotte, która bawi się na górze z Bukowskim, jesteśmy całkiem sami w tym wielkim domu, a mój plan właśnie wziął w łeb, wszystkie próbki DNA na tym świecie są bezwartościowe. Żadnej sieci. Żadnego podwójnego dna. Tylko Lenzen i ja.

– Przykro mi, pani Conrads – mówi Kerner. – Ale pomyślałem, że powinna pani to wiedzieć.

– Dziękuję – mówię bezbarwnym głosem – Do usłyszenia.

Siedzę dalej. Moje spojrzenie wędruje za okno. Z chłodnego, słonecznego poranka zrobił się ponury dzień z nisko wiszącymi chmurami. Nie wiem, jakim cudem znajduję siły, by wstać i wrócić do jadalni. Lenzen odwraca głowę w moją stronę, gdy wchodzi do pokoju. Ten niebezpieczny człowiek siedzi sobie przy moim stole, rozluźniony, niewiarygodnie opanowany. Obserwuje każdy mój ruch, przycajony jak wąż, a ja myślę: Potrzebuję przyznania się do winy.

17 - SOPHIE

Chmury grube jak matrony wisiały nad domami naprzeciwko, dramatycznie i ciężko. Sophie wyglądała przez okno, patrząc na niebo, na którym krążyło kilka jerzyków. Gdzieś pod tym niebem żył i oddychał morderca Britty. Ta myśl miała metaliczny zimny smak. Sophie się wzdrygnęła.

Zastanawiała się, jak by to było, gdyby nigdy nie opuszczała mieszkania. Nigdy nie wychodziła na zewnątrz, na ten przerażający świat. Odsunęła od siebie te myśli, spojrzała na zegarek. Jeśli chce się zjawić na imprezie w miarę punktualnie, będzie musiała się pośpieszyć. Wcześniej uwielbiała imprezy, często sama je urządzała. Ale po śmierci Britty unikała śmiechu i kontaktu z ludźmi. A właśnie coś takiego czekało ją dziś wieczorem. Jej nowy marszand Alfred obchodził pięćdziesiąte urodziny i z tej okazji zorganizował huczne przyjęcie. Plusem było to, że obecni będą przede wszystkim ludzie ze środowiska artystycznego, ekscentryczni malarze, bogaci miłośnicy sztuki, krótko mówiąc, osobnicy, z którymi poza zamięłowaniem do malarstwa Sophie nie miała nic wspólnego i których w większości nie знаła. Zaletą było także to, że nikt – nie wyłączając gospodarza – nie wiedział, że niedawno zamordowano jej siostrę, więc nie zostanie wciągnięta w żadną niezręczną rozmowę okraszoną kondolencjami. Przynajmniej tego nie musiała się obawiać. Właściwie najchętniej wykręciłaby się od tego, przyszło jej nawet do głowy, żeby odwołać swoją wizytę. Ale Paul był zdania, że to byłoby strasznie nieuprzejme i że tak czy owak dobrze jej zrobi, jeśli zajmie myśli czymś innym.

Stała teraz przed szafą z ubraniami, usiłując sprostać wymogom przyjęcia, a więc wybrać kreację w kolorze letniej bieli. W ostatnich tygodniach ubierała się wyłącznie w czerń, a wystrojenie się na białe było jak włożenie kostiumu przebierańca. Westchnęła ciężko, sięgnęła po białe lniane spodnie i biały top na ramiączkach.

Był upalny letni wieczór. Chmury odpłynęły, nie przynosząc obiecanego desz-

czu ani ochłodzenia. Gdy Sophie i Paul dotarli do willi Alfreda, impreza już się rozkręciła na całego. Ogród był duży, otoczony gęstym szpalerem drzew i krzewów, aż wyglądał prawie jak polana w lesie. W zaroślach i na drzewach połyskiwały niezliczone światła, które nadawały ogrodowi i tłoczącym się w nim ludziom nierzeczywisty wygląd. Nie było gdzie usiąść, pomijając małą huśtawkę w odosobnionym zakątku, na której przytulało się dwóch bardzo zajętych sobą panów. Pod wielkim kasztanem, z którego zwisały niezliczone lampiony jak dojrzałe owoce, urządzono prowizoryczne miejsce do tańca, obok stała niewielka estrada dla zespołu, którego jednak nigdzie nie było widać. Z głośników płynęła cicha muzyka, zagłuszana gwarem wiszącym nad całą tą scenerią jak brzęczenie trzmieli. Raz po raz tłum rozstępował się, żeby zrobić miejsce dla kelnerów przynoszących drinki i przekąski z kuchni i rozdających je gościom. Wszyscy kelnerzy zgodnie z hasłem imprezy byli ubrani na biało i nie wyróżnialiby się spośród gości, gdyby nie małe poroża na głowach.

Sophie postanowiła usłuchać Paula i przyłączyć się do zabawy na tyle, na ile mogła. Wypiła drinka, potem jeszcze jednego i jeszcze jednego. Zjadła kilka kanapek. Złożyła życzenia marszandowi. Wzięła kolejny kieliszek.

W końcu na scenę wkroczył Alfred, wygłosił krótką mowę, w której podziękował gościom, zaprosił ich na parkiet, zapowiedział zespół muzyczny i ogłosił, że pierwszą piosenkę wieczoru dedykuje swojej żonie. Sophie uśmiechnęła się mimowolnie, gdy właściciel galerii i jego żona – jako jedyna ubrana nie w biel, lecz w jaskrawą czerwień – przesyłali sobie na odległość całuski. Uśmiech zamarł jednak na jej twarzy, gdy czteroosobowy zespół zain-tonował pierwsze takty *All You Need is Love* Beatlesów. Świat zniknął, otwo-rzyła się otchłań, która ją pochłonęła, połknęła żywcem.

Melodia ciągle rozbrzmiewa echem w mojej głowie, gdy wracam do jadalni. Siadam z mocnym postanowieniem, że nie dam się ponownie wyprowadzić z równowagi.

Lenzen ma niezmiennie przemiły wyraz twarzy.

– Błado pani wygląda – stwierdza. – Jeśli potrzebuje pani chwili przerwy, to żaden problem. Mam dużo czasu i mogę się w pełni dostosować.

Gdybym nie wiedziała, że jest to wilk w owczej skórze, dałabym się nabrać na tę troskę w jego głosie.

– Nie ma potrzeby – odpowiadam oschle. – Może pan kontynuować.

Gotuję się w środku. Staram się przywołać w pamięci wszystko, czego nauczył mnie doktor Christensen. Ale szok tkwi we mnie głęboko, mam całkowitą pustkę w głowie.

– Więc dobrze. Jak wygląda kwestia pisania? Lubi pani pisać?

Patrzę mu w oczy.

– Bardzo lubię – odpowiadam machinalnie.

Moja siostra miała na imię Anna.

– Nie należy więc pani do autorów, u których każde zdanie okupione jest męką?

Jako dziecko zazdrościłam jej, że jej imię można czytać tak samo od przodu i wstak, a ona była z tego bardzo dumna.

– Absolutnie nie. Pisanie jest dla mnie jak kąpiel pod prysznicem albo mycie zębów. Tak, można wręcz powiedzieć, że to element mojej codziennej higieny. Kiedy nie piszę, czuję się tak, jakby wszystkie moje pory się pozapychały.

Anna brzydziła się krwi.

– Kiedy pani pisze?

Gdy w dzieciństwie obtarłam sobie kolano, po prostu to ignorowałam, a kiedy zacięłam się w palec, wkładałam go po prostu do ust i potem dziwi-

łam się posmakowi żelaza i tym, że wiem, jak smakuje żelazo. Gdy Anna jako dziecko obtarła sobie kolano albo zacięła się w palec, krzyczała i jęczała, a ja mówiłam: „Nie bądź dziewczynką!”.

– Najchętniej zaczynam z samego rana. Kiedy głowę mam świeżą, kiedy jeszcze nie przesiąkłam wiadomościami i telefonami i wszystkim tym, co zwykle oglądam, czytam, słucham w ciągu dnia.

– Jak wygląda proces pisania?

Moja siostra Anna zginęła od siedmiu pchnięć nożem.

– Jest poddany ścisłej dyscyplinie. Siadam za biurkiem, rozkładam notatki, otwieram laptopa i piszę.

– To wydaje się takie proste.

– Niekiedy takie jest.

– A kiedy nie jest?

Ludzkie ciało zawiera od czterech i pół do sześciu litrów krwi.

Wzruszam ramionami.

– Pisze pani codziennie?

Ciało kobiety wzrostu mojej siostry zawiera około pięciu litrów krwi. Przy utracie ponad trzydziestu procent organizm wpada w stan szoku. Krążenie spowalnia w celu zmniejszenia tempa wypompowywania krwi z rany oraz ograniczenia zapotrzebowania organizmu na energię i tlen.

– Prawie codziennie, tak. Oczywiście jest taki etap, kiedy właśnie skończyłam pracę nad książką, kiedy szukam nowych pomysłów, zbieram materiały i przygotowuję się do następnego projektu.

– Na jakiej podstawie decyduje pani, co będzie kolejnym projektem?

Zabójca był ostatnią rzeczą, którą widziała Anna.

– Decyduje intuicja.

– Wydawnictwo daje pani całkowicie wolną rękę?

Zanim zrobiłam prawo jazdy, ukończyłam kurs pierwszej pomocy.

– Obecnie już tak.

– Ile z samej siebie wkłada pani w swoje postacie?

Wykorzystałam go jednak głównie do flirtowania z instruktorami.

– To nigdy nie jest kwestia świadomej decyzji. Nie siadam i nie zastanawiam się, czy dana postać będzie w trzydziestu procentach odczuwać tak jak ja, a ta będzie miała takie same wspomnienia z dzieciństwa. Ale oczywiście w każdej z moich postaci jest odrobina z Lindy.

– Jak długo pracowała pani nad tą powieścią?

Sanitariusze i policjanci zgodnie mówili, że Anna już nie żyła, gdy weszłam do mieszkania.

– Pół roku.

– To niedługo.

– Prawda, to nie jest długo.

Nie jestem tego taka pewna.

– Co skłoniło panią do napisania tej książki?

Możliwe, że ostatnią rzeczą, którą widziała Anna, była jej bezużyteczna siostra.

Nie odpowiadam. Sięgam po świeżą butelkę z wodą, otwieram ją, moje dłonie drżą, wypijam łyk. Oczy Lenzena śledzą moje ruchy.

– Właściwie to na jaką chorobę pani cierpi? – rzuca jakby mimochodem, nalewając sobie wody do szklanki.

Szczwany lis. Mówi to tak, jakby moja choroba była sprawą powszechnie znaną. A przecież oboje wiemy, że nigdy nie wypowiadałam się publicznie na ten temat

– Nie chcę o tym mówić.

– Kiedy ostatnio wyszła pani z domu? – drąży.

– Mniej więcej jedenaście lat temu.

Lenzen kiwa głową.

– Co się wtedy stało? – pyta.

Nie mam na to gotowej odpowiedzi.

– Nie chciałabym rozmawiać na ten temat – powtarzam.

Lenzen przyjmuje to do wiadomości, unosi tylko na moment brwi.

– Jakie to poczucie, gdy człowiek jest tak uwięziony w mieszkaniu?

Biorę głęboki oddech.

– Cóż mam odpowiedzieć? – mówię. – Nie wiem, jak to opisać komuś, kto tego nie doświadczył. Świat robi się nagle bardzo mały. I w pewnym momencie ma się wrażenie, że własna głowa to cały świat, że poza nią nie ma nic. Wszystko, co widzimy przez okno, wszystko, co słyszymy, szum deszczu, sarny na skraju lasu, letnia burza nad jeziorem, wszystko to wydaje się takie odległe.

– Czy to jest bolesne doświadczenie?

– Na początku było bardzo bolesne, tak – przyznaję. – Ale to zdumiewające, jak szybko stan, który początkowo wydaje się nie do zniesienia, staje się normalnością. Potrafimy pogodzić się ze wszystkim, tak sędzę. Może nie zaprzyjaźnić się. Ale pogodzić się. Ból. Beznadzieja. Niewolnictwo...

Staram się odpowiadać wyczerpująco. Aby rozmowa przebiegała płynnie. Całkiem normalny wywiad. Niech się ma na baczności. Niech wątpi, niech się szamocze.

– Czego pani najbardziej brakuje?

Zastanawiam się przez chwilę. Wielu rzeczy, których nie ma w moim świecie: jasno rozświetlonego salonu u obcych ludzi, do którego można zajrzeć przez okno, przechodząc wieczorem ulicą. Turystów, którzy pytają o drogę, ubrań przemokniętych od deszczu. Ukradzionych rowerów.

Galek lodów, które komuś upadły i rozplývają się na gorącym asfalcie. Drzewek pierwszomajowych.

Walk o miejsca parkingowe. Kwitnących łąk. Obrazków, które dzieci rysują kredą na asfalcie. Kościelnych dzwonów.

– Wszystkiego – odpowiadam w końcu. – Wcale niekoniecznie wielkich rzeczy, takich jak safari w Kenii czy skok ze spadochronem w Nowej Zelandii albo huczne wesele, chociaż to też byłoby całkiem przyjemne. Raczej małych, normalnych rzeczy.

– Na przykład?

– Tego, żeby tak iść ulicą i minąć kogoś, kto mi się podoba, uśmiechnąć się do niego i widzieć, że on rewanżuje się uśmiechem. Chwili, kiedy się dostrzega, że w lokalu, który tak długo stał pusty, ktoś urządza nową, dobrze zapowiadającą się restaurację.

Lenzen się uśmiecha.

– Tego, jak dzieci wpatrują się w człowieka.

Kiwa głową, jakby chciał dać do zrozumienia, że dokładnie wie, co mam na myśli.

– Albo zapachu w kwiaciarni... tego typu rzeczy. Doświadczając tego samego, co wszyscy inni, i czuć się przez to – jak by to powiedzieć – czuć więz z innymi w życiu i śmierci, i pracy, i rozrywce, i młodości, i starości, i śmiechu, i złości, we wszystkim.

Przerywam na chwilę, dostrzegając, że chociaż nie chodzi tak naprawdę o wywiad, bardzo się staram szczerze odpowiadać na pytania, sama nie wiem dlaczego. To przyjemne uczucie – mówić. Może dlatego, że tak rzadko mam z kim porozmawiać. Że tak rzadko ktoś mnie o coś pyta.

Cholera, Linda.

– I oczywiście brakuje mi przyrody – mówię. – Bardzo.

Tłumię westchnienie, bo tęsknota podchodzi mi do gardła jak zgaga, nawet

teraz, nawet w tej sytuacji, cholera jasna.

Może byłoby łatwiej, gdyby Lenzen był odpychającym człowiekiem.

Lenzen milczy, jakby chciał, aby moje słowa wybrzmiały do końca. Wydaje się jeszcze przez chwilę zastanawiać.

Ale on nie jest odpychający.

– Czy pani czuje się samotna? – pyta.

– Sama siebie nie opisałabym słowem „samotna”. Utrzymuję mnóstwo kontaktów towarzyskich i nawet jeśli nie każdy może mnie odwiedzać, obecnie mamy do dyspozycji wiele sposobów utrzymywania więzi bez bezpośredniego kontaktu.

Trudno pozostać obojętnym na silną osobowość Lenzena. Jest doskonałym słuchaczem. Patrzy na mnie i mimowolnie zadaje sobie pytanie, co widzi. Spogląda mi w oczy, na usta, na szyję. Serce zaczyna mi bić szybciej, ze strachu i z powodu tego czegoś.

– Kim są najważniejsi ludzie w pani życiu? – pyta w końcu i w mojej głowie natychmiast zapala się czerwona lampka.

Nie mam najmniejszego zamiaru odsłaniać przed mordercą moich czułych punktów. Mogłabym skłamać, myślę jednak, że sprytniejszym posunięciem będzie zgrywanie nieprzystępnej gwiazdy.

– Proszę posłuchać, to wszystko staje się powoli zbyt osobiste. Będę wdzięczna, jeśli skupimy się, jak to było od początku ustalone, na pytaniach dotyczących książki.

Mój umysł pracuje na najwyższych obrotach. Muszę jakoś doprowadzić do tego, żeby Lenzen odpowiadał na pytania, a nie tylko je zadawał.

– Pardon – mówi Lenzen. – Nie chciałem być wścibski ani pani urazić.

– W porządku.

– Czy jest pani w związku? – pyta Lenzen, a ja mimo woli marszczę czoło.

Od razu rezygnuje i rzuca następne pytanie:

– Jak to się właściwie stało, że po tak długim czasie znowu udziela pani wywiadu?

Jakby się domyślał, dlaczego się tutaj znalazł.

– Stało się tak na życzenie mojego wydawnictwa – kłamię bez zająknięcia.

Na jego ustach błądzi uśmiezek.

– Wracając do mojego poprzedniego pytania. Czy jest pani z kimś związana?

– Czy nie powiedział pan przed chwilą, że nie chciał być pan wścibski?

– Oj, przepraszam, nie wiedziałem, że pytanie o partnera życiowego jest zbyt osobiste.

Przybiera skruszony wyraz twarzy, ale oczy ma roześmiane.

– No więc dobrze, wróćmy do książki – mówi. – Pani główna bohaterka, Sophie, to postać, która załamuje się po śmierci siostry. Fragmenty, w których zanurzamy się w wewnętrzny świat Sophie, podobają mi się szczególnie. Jak udało się pani wniknąć w duszę tak pogruchotanej, pod koniec wręcz autodestrukcyjnej postaci?

Ten cios poniżej pasa nadszedł nagle i niespodziewanie. Sophie, ta pogruchotana kobieta, to w końcu jestem ja. Przełykam z trudem ślinę. Mówię sobie w duchu, że muszę podołać tej grze, która się właśnie rozpoczyna. Jestem tu jako oskarżyciel, jako ławnik i jako sędzia. Rozprawa, proces dowodowy, wyrok.

A więc dobrze.

– Uważam, że jedną z moich mocnych stron jest umiejętność wczuwania się w kreowane postacie – odpowiadam nie wprost. – Jednak moim zdaniem Sophie wcale nie jest pogruchotana. Śmierć siostry omal jej nie zniszczyła, to prawda. Ale w końcu dziewczyna zmobilizowała się do tego, aby zdemaskować mordercę siostry. To się jej ostatecznie udaje.

Tak jak i mnie się uda, taki jest podtekst tego, co powiedziałam. Victor Lenzen to wie. Lecz nie daje tego po sobie poznać.

– Inną ciekawą postacią jest w moim przekonaniu komisarz. Czy jest wzorowany na kimś rzeczywistym?

– Nie – kłamię. – Tu muszę pana rozczarować.

– Czy przy pisaniu książki korzystała pani z rad prawdziwych policjantów?

– Nie. Choć cenię kolegów po fachu, którzy podejmują takie wysiłki i przygotowują się niezwykle starannie. Dla mnie jednak ważniejsza jest raczej dynamika między postaciami. Bardziej interesuje mnie psychologia, a nie techniczne subtelności.

– Podczas lektury odniosłem wrażenie, że główna bohaterka i żonaty komisarz zbliżyli się do siebie, że zanoszą się na jakąś historię miłosną – mówi Lenzen.

– Ach tak?

– Tak! Między wierszami wyczuwałem, że między nimi mogłoby się coś wydarzyć.

– W takim razie wie pan więcej niż autorka. Oboje czują do siebie sympat-

cię, owszem, to było ważne w tej historii. Kilka ciepłych chwil między dwój-
giem ludzi. Nic więcej.

– Czy umyślnie nie wplotła pani wątków miłosnych?

Nie wiem, do czego zmierza.

– Szczerze mówiąc, nie przyszło mi to nawet do głowy.

– Czy myśli pani, że pisałyby pani inne książki, gdyby prowadziła pani nor-
malny tryb życia?

– Myślę, że wszystko, co robimy i przeżywamy, ma wpływ na sztukę, którą
tworzymy.

– Gdyby była pani z kimś związana, to może wtedy pani bohaterka i komi-
sarz zostaliby na końcu parą?

Powstrzymuję się, żeby nie prychnąć ze złości. Ma mnie za idiotkę? Ale to
dobrze, że znowu porusza prywatne sprawy, bo przychodzi mi do głowy
pewien pomysł.

– Nie do końca pojmuję pański tok rozumowania. Poza tym już mówiłam
wrażnie, że nie chcę rozmawiać o moim życiu osobistym.

Mam nadzieję, że tym razem Lenzen się nie cofnie. Szanse na to są spore,
bo z pewnością dostał polecenie od redakcji, aby wyciągnąć ode mnie jak naj-
więcej prywatnych informacji. Nowa książka cieszy się być może zaintereso-
waniem, ale większą ciekawość z pewnością budziłoby obnażenie duszy słyn-
nej, tajemniczej Lindy Conrads.

– Zawsze trudno oddzielić dzieło od twórcy – stwierdza Lenzen.

Przytakuję skinieniem głowy.

– Ale musi pan też zrozumieć, że rozmowa z obcą osobą o moich sprawach
osobistych jest dla mnie bardzo krępująca.

– Okej – odpowiada z ociąganiem. Najwyraźniej zastanawia się, o co spy-
tać w następnej kolejności.

– Wie pan co? – rzucam.

Udaję, że w tej sekundzie przyszedł mi do głowy świetny pomysł.

– Odpowiem na wszystko, jeśli w zamian za każde pańskie pytanie będę
mogła też zadać jedno.

Patrzy na mnie osłupiały, jednak natychmiast bierze się w garść i przywo-
łuje na twarz nieszczery wyraz rozbawienia.

– Pani też chciałaby mnie o coś zapytać?

Kiwam głową. Oczy mu błyszczą. Wstępne harce dobiegły końca. Wreszcie
rozpocznę prawdziwy pojedynek.

– To brzmi całkiem fair – mówi.

– A więc proszę pytać.

– Kim są najważniejsze osoby w pani życiu? – powtarza Lenzen bez zastanowienia.

Moje myśli wędrują ku Charlotte, która ciągle jeszcze kręci się gdzieś po domu, nieświadoma, że stała twarzą w twarz z mordercą, może nawet z psychopatą. Ku Norbertowi, który jest teraz Bóg wie gdzie i prawdopodobnie się wścieka. Ku moim rodzicom. Ku mojej siostrze. Która od dawna nie żyje – i dopiero po swojej śmierci stała się autentycznie najważniejszą osobą w moim życiu. Jak uparta melodia, która uparcie krąży nam po głowie.

Love, love, love, la-da-da-da-da.

– Dzisiaj to przede wszystkim ludzie z mojego otoczenia zawodowego – mówię. – Mój wydawca, moja agentka, inni ludzie z wydawnictwa, garstka przyjaciół.

Bardzo ogólnie. I dobrze. Teraz moja kolej. Zacznę od zupełnie niewinnych pytań, żeby zobaczyć, jak Lenzen odpowiada i reaguje, gdy jest rozluźniony, a potem przejdę do pytań bardziej prowokacyjnych. Jak w teście z użyciem wykrywacza kłamstw.

– Ile pan ma lat?

– Jak pani sądzi?

– To ja tu zadaję pytania.

Lenzen szczerzy się w uśmiechu.

– Mam pięćdziesiąt trzy lata – odpowiada.

Jego oczy się zwężają.

– Czy jest pani w jakimś związku? – pyta ponownie.

– Nie.

– Rany.

Irytuje mnie to.

– Co rany?

– No cóż, jest pani młoda. Prześliczna. Ma pani obłądne powodzenie jako autorka. A mimo to jest pani sama. Jak udaje się pani opisać związki międzyludzkie, skoro pędzi pani życie samotnika?

Staram się z całych sił natychmiast zapomnieć wszystko, co właśnie powiedział. Nie zastanawiać się, czy to prawda. Że uważa, że jestem piękna, na przykład.

– Moja kolej – mówię po prostu.

Lenzen wzrusza ramionami.

– Gdzie pan się wychował? – pytam.

– W Monachium.

Rozparł się na krześle, przyjął lekko defensywną postawę. Może moja mała zabawa w pytania jest dla niego dużo bardziej nieprzyjemna, niż jest gotów przyznać? A przecież dopiero zaczęliśmy. Teraz jego ruch.

– Jak udaje się pani opisywać związki międzyludzkie, skoro pani nie jest w związku?

– Jestem pisarką. Po prostu to potrafię. Poza tym nie zawsze żyłam tak jak teraz.

Mój ruch.

– Ma pan rodzeństwo?

Mały cios poniżej pasa. W powietrzu jakby unosi się myśl o mojej nieżyjącej siostrze. Chyba jest dla niego oczywiste, że zbliżam się do sedna. Ale Lenzen nawet nie mrugnie.

– Tak. Starszego brata. A pani ma rodzeństwo? – odwraca pytanie.

Z zimną krwią.

Tłumię wszelkie reakcje mojego ciała.

– Tak.

– Brata czy siostrę?

– Teraz moja kolej, panie Lenzen.

– Jest pani bardzo skrupulatna, pani Conrads – odpowiada, szczerząc się w uśmiechu.

– Siostrę – mówię, patrząc na niego zdecydowanie.

Wytrzymuje moje spojrzenie.

– Jest pan w dobrych stosunkach z rodzicami?

– Tak. Względnie. Moja matka już nie żyje. Ale z ojcem tak. I z matką też, gdy jeszcze żyła...

Dotyka swojej skroni, obserwuję go uważnie. Ale nie jest to *tell*, jak mówią pokerzyści, mikrogest, który zdradziłby, że kłamie. Bo jeszcze nie skłamał. Wiem mnóstwo rzeczy o Victorze Lenzenie. Mam nadzieję, że nie zrewanżuje się tym samym pytaniem, nie chciałabym myśleć teraz o moich rodzicach.

– Tęskni pani za związkiem? – pyta.

– Czasami – mówię i natychmiast odparowuję: – Ma pan dzieci?

– Córkę.

Lenzen bierze łyk wody.

– Chciała mieć pani rodzinę? Męża, dzieci?

– Nie.

– Nie?

– Nie – powtarzam. – Jest pan żonaty?

– Rozwiedziony.

– Dlaczego pana małżeństwo się rozpadło?

– Teraz moja kolej – upomina mnie Lenzen. – Brakuje pani seksu?

Znowu pochyła się do przodu.

– Słucham?

– Czy brakuje pani seksu?

Boję się. Ale nie okazuję tego.

– Nie tak bardzo – odpowiadam. Ruszam dalej: – Dlaczego pańskie małżeństwo się rozpadło?

– Bo za dużo pracuję, jak mi się wydaje, ale o to musiałaby chyba pani zapytać moją byłą żonę.

Ręka znowu wędruje ku skroni, to pytanie jest dla niego nieprzyjemne, temat jego rodziny jest dla niego nieprzyjemny, muszę to zapamiętać. Ale potrzebuję jakiegoś kłamstwa, chcę wiedzieć, jak Lenzen wygląda, kiedy kłamie. Lecz teraz jego kolej.

– Jest pani w dobrych stosunkach ze swoimi rodzicami?

– Tak.

To już trzecie moje kłamstwo.

– Czy zdarzyła się panu zdrada?

– Nie – odpowiada. Natychmiast strzela jak z procy: – Jaka była pani jako dziecko?

– Dzika – mówię. – Przypominałam raczej typowego chłopca.

Kiwa głową, jakby umiał to sobie wyobrazić

– Korzystał pan kiedyś z usług prostytutki? – pytam.

– Nie.

Nie potrafię się zorientować, czy kłamie.

– Jest pani w dobrych relacjach z siostrą? – pyta.

Alarm.

– Dlaczego pan o to pyta?

– Bo dynamika między siostrami w książce wydaje mi się fascynująca, bo powiedziała mi pani wcześniej, że ma siostrę, wreszcie dlatego, że zastanawiam się, czy to z tego powodu opisała pani miłość między siostrami z taką

empatia. Zatem?

– Tak. W bardzo dobrych stosunkach.

Przełykam ślinę. Nic nie czuć, żadnego bólu. Idziemy dalej.

– Uważa się pan za dobrego ojca? – pytam.

– Tak. Owszem – mówi Lenzen.

Oho, czuły punkt. Dobrze. Mam nadzieję, że zastanawia się, dokąd zmierza to moje przesłuchanie, mam nadzieję, że to wprawia go w zdenerwowanie. Zdenerwowanie jest dobre. Nie musi wiedzieć, że nie zmierzam donikąd i nie mam żadnego innego celu poza zirytowaniem go

– Czy inspiruje się pani rzeczywistymi zdarzeniami? – pyta.

– W jakiejś części.

– A w przypadku pani ostatniej książki?

Jakby nie wiedział.

– Tak.

Czas na mocny cios poniżej pasa.

– Czy zdarzyło się panu zgwałcić kobietę? – pytam.

Lenzen marszczy czoło, patrzy na mnie zszokowany.

– Jak mam to rozumieć? Coraz mniej podobają mi się te gierki, pani Conrads.

Wygląda na szczerze oburzonego. Aż mam ochotę bić brawo.

– Proszę odpowiedzieć.

– Nie.

Gniewna zmarszczka między brwiami wcale nie znika. Zapada chwila ciszy.

– Proszę mi przypomnieć, jak się nazywa pani pies – odzywa się w końcu Lenzen.

– Czy to jest pańskie pytanie?

– Nie, tylko wypadło mi to z głowy.

Czy to ma być groźba? Schodzi na temat mojego psa, bo domyśla się, jak bardzo go kocham? I że nie zniosłabym, gdyby coś mu się stało?

– Bukowski – odpowiadam i chcę zadać kolejne pytanie, gdy w drzwiach staje Charlotta.

Wzdrygam się, bo kompletnie o niej zapomniałam.

– Proszę wybaczyć, że znowu przeszkadzam – mówi. – Ale jeśli nie ma tu dla mnie nic więcej do roboty, może rzeczywiście poszłabym do domu?

– Nie ma problemu. Jest pani wolna.

– W ogóle to dzisiaj wieczorem ma być burza z piorunami, proszę pozamykać wszystkie okna przed pójściem spać.

– W porządku – mówię. – Dziękuję.

Myśl, że za chwilę zostanę w domu sama z Lenzenem, wcale mi się nie podoba. Ale jego groźne oczy wpatrzone są w Charlotte – a to podoba mi się jeszcze mniej. Ona podchodzi do Lenzena, wyciąga do niego rękę. On wstaje z uprzejmości, odwzajemnia uścisk dłoni.

– To była dla mnie prawdziwa przyjemność poznać pana – mówi Charlotta i zatyka za ucho nieistniejący kosmyk włosów. Z rumieńcem na twarzy.

Lenzen uśmiecha się niezobowiązująco i siada. Odwraca się z powrotem w moją stronę. Znowu widzę go oczami Charlotty. Jego spokój, jego charyzmę. Ludzie tacy jak on umieją poradzić sobie niemal w każdej sytuacji.

– Może się jeszcze zobaczymy – mówi z kokieterią Charlotta.

Lenzen nie podejmuje gry, uśmiecha się tylko uprzejmie. Dostrzegam wyraźnie, że to nie on flirtuje z nią – lecz ona z nim. On nie zwraca na nią uwagi, skupia się wyłącznie na mnie. Charlotta stoi jeszcze przez chwilę na środku jadalni, nie wiadomo po co, bo Lenzen już od dłuższej chwili patrzy w moją stronę. Żegna się krótkim skinieniem głowy i wychodzi. Oddycham z ulgą.

– Rozmawiałem wcześniej przez chwilę z pani asystentką i okazało się, że mieszkamy zaledwie kilka ulic od siebie – wyjaśnia Lenzen, zupełnie mimochodem. – Dziwne, że nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy w Monachium. Ale wie pani, jak to jest. Kiedy już ludzie wiedzą o sobie nawzajem, to spotykają się na każdym kroku.

Szczerzy do mnie zęby, wstaje, łapie wrapa z wózka cateringowego, bierze kęs, żuje. Znowu jest górą.

Zrozumiałam jego groźbę. Zorientował się, że jestem przywiązana do Charlotty. I dał mi do zrozumienia, że jeśli będzie chciał, potrafi ją znaleźć, a ja nie będę mogła nic na to poradzić.

19 - JONAS

Czuł, że traci kontrolę. Że zaczął się zachowywać irracjonalnie. Ale nie mógł nic na to poradzić. Właściwie nie miał tu czego szukać. Po co spotykać się ze świadkiem na prywatnym gruncie?

Przez noc coś się zmieniło w atmosferze wiszącej nad miastem. Inne światło. Liście na drzewach nie zaczęły jeszcze zmieniać koloru, ale już to czuł, idąc ulicą: późne lato konało, nadchodziła jesień.

Jonas zaparkował, wysiadł, nacisnął dzwonek. Zamek szczęknął. Jonas wszedł na klatkę i ruszył na czwarte piętro. Sophie czekała już na niego w drzwiach.

– To pan – powiedziała, rozpoznając go. – Proszę, niech pan powie, że go pan złapał!

Przełknął ślinę. Nie pomyślał o tym, że na jego widok Sophie natychmiast uzna, że nastąpił przełom w śledztwie.

– Nie – powiedział. – Przykro mi, ale przychodzę z innego powodu.

– Z jakiego? Chce pan zadać jeszcze więcej pytań?

– Niezupełnie. Czy mogę wejść?

Odgarnęła włosy z twarzy. Zawahała się na moment.

– Oczywiście – powiedziała wreszcie. – Proszę wejść. Właśnie zrobiłam kawę.

Jonas ruszył za nią korytarzem zastawionym kartonami.

– Przeprowadza się pani?

– Nie – rzuciła tylko. – Mój narzeczony się wyprowadza.

Potem prychnęła ze złością i się poprawiła:

– Mój były narzeczony.

Jonas nie wiedział, jak zareagować, więc nie powiedział nic.

– Chce pan usiąść?

Sophie wskazała jedno z krzeseł w kuchni.

– Wolę postać. Dziękuję.

Rozglądał się po dużym jasnym pomieszczeniu z wysokim stropem. Ściany pomalowane na biało, kilka artystycznych druków oprawionych w ramki, Egon Schiele, jak przypuszczał, nie był jednak pewny. Samotna orchidea na parapacie, obok pusta filiżanka. Pracowała zmywarka, jej delikatny szum miał w sobie coś uspokajającego.

– Mleko i cukier? – zapytała Sophie.

– Tylko mleko poproszę.

Otworzyła karton i skrzywiła się z obrzydzeniem.

– Cholera. Skwaśniałe.

Wylała z wściekłością zawartość do zlewu.

– Jasna cholera! – Odwróciła się tyłem do Jonasa, oparła ręce na biodrach i wykrzywiła twarz w grymasie, z wysiłkiem powstrzymując się od płaczu.

– Może być czarna – powiedział Jonas. – Byle była kofeina.

Opanowała się, zmusiła się do uśmiechu. Nalała kawy do filiżanki i podała ją Jonasowi.

– Dziękuję.

Jonas wypił łyk kawy i podszedł do wielkiego okna, za którym jaśniał czysty błękit nieba.

– Ma pani wspaniały widok.

– Tak.

Sophie stanęła obok niego. Milczeli przez chwilę.

– Czasami myślę, żeby zostać tu na zawsze – powiedziała nagle Sophie. – Po prostu nie wychodzić z domu. Zgromadzić zapasy jedzenia na parę lat i nie wystawiać nosa za próg.

– Brzmi kusząco – odparł z uśmiechem.

– Nieprawdaż? – Sophie parsknęła krótkim śmiechem, potem znów spoważniała.

Pobiegła spojrzeniem ku niebu.

– Wie pan, co to? – zapytała, gdy tuż za oknem śmignęły jak strzała dwa ptaki i w karkołomnych manewrach wykonały zwrot, wymijając dachy domów naprzeciwko.

– Jerzyki – odrzekł Jonas. – Całe swoje życie spędzają w powietrzu. Żyją, kochają się, a nawet śpią w powietrzu.

– Hm.

Obserwował Sophie, która z uśmiechem przyglądała się jerzykom. Rozstała się z narzeczonym. Co to oznacza? Wypił łyk kawy.

– Czy powie mi pan, dlaczego pan do mnie przyszedł? – zapytała Sophie, odwracając się w jego stronę.

– Tak. Naturalnie.

Odchrząknął.

– Na początek powiem, że doskonale rozumiem, przez co pani teraz przechodzi. Naprawdę. Ale musi pani natychmiast przestać prowadzić śledztwo na własną rękę.

Sophie spojrzała na niego tak, jakby uderzył ją w twarz. W jej oczach pojawiły się agresywne błyski.

– Skąd przyszło panu do głowy, że prowadzę prywatne śledztwo?

Stłumił westchnienie.

– Pewni ludzie się skarżyli – powiedział.

Zmarszczyła czoło i wsparła ręce na biodrach.

– Ach tak? Kto na przykład?

– Sophie, ja naprawdę dobrze pani życzę. Musi pani z tym skończyć. Nie tylko utrudnia pani policyjne śledztwo, ale też w najgorszym wypadku może się pani narazić na niebezpieczeństwo.

Przez moment słychać było tylko cichy szum zmywarki.

– Nie mogę siedzieć beczynn timer – odpowiedziała wreszcie Sophie. – I nie zrobiłam nic niewłaściwego. Nie może mi pan zabronić rozmawiania z ludźmi.

– Odwróciła się i zapatrzyła ze złością w okno.

– Jest doniesienie na panią – powiedział Jonas.

– Co?

Sophie odwróciła się gwałtownie, spojrzała na niego wielkimi oczami.

– Nie zajmuję się tego typu wykroczeniami, dowiedziałem się o tym przypadkiem – powiedział Jonas. – Ale koledzy na pewno niedługo zgłoszą się do pani w związku z tym. Jakiś mężczyzna twierdzi, że śledziła go pani i na koniec zaatakowała fizycznie. Czy to prawda?

– Zaatakowała fizycznie, jak to brzmi. Chwyciłam go za ramię, żeby go zatrzymać, nic poza tym. Ten facet był o prawie dwie głowy wyższy ode mnie, jak miałabym go na serio zaatakować?

– Dlaczego chciała go pani zatrzymać? – spytał Jonas, chociaż znał odpowiedź.

Sophie patrzyła w milczeniu przez okno.

– Myślała pani, że rozpoznała mężczyznę, którego widziała tamtej nocy – dopowiedział Jonas.

Kiwnęła głową.

Pomyślał o tym, co powiedziała Antonia Bug.

„Ta kobieta nie jest całkiem normalna. Kto wie, czy w ogóle kogoś widziała”.

Próbował odpędzić od siebie to wspomnienie.

– Widziałam tego mężczyznę – odezwała się nagle Sophie, jakby czytała w jego myślach. – Tak wyraźnie jak teraz pana.

Przełknął ślinę.

– Wierzy mi pan?

Odwróciła się nerwowo w jego stronę, strącając pustą filiżankę z parapetu. Porcelana roztrzaskała się z hukiem na podłodze.

– Cholera – zaklęła.

Przykucnęli jednocześnie, żeby zebrać skorupy, i zderzyli się głowami. Parsknęli spontanicznym śmiechem i zmieszani zaczęli pocierać sobie czoła. Zbrali okruchy. Wstali. Popatrzyli na siebie.

Jonas miał wrażenie, że w pomieszczeniu zrobiło się nagle cieplej. Sophie należała do tego rzadkiego gatunku ludzi, którzy umieją po prostu stać i patrzeć na drugiego człowieka, nie powodując niezręcznej sytuacji. Jak ona to robi?

Dzwonek do drzwi zakończył tę chwilę.

Sophie odgarnęła włosy z twarzy.

– To pewnie moja przyjaciółka Karen, chciałyśmy pójść pobiegać.

– I tak zbieram się już do wyjścia.

Sophie kiwnęła głową. Jonas ruszył do wyjścia, zatrzymał się jednak w drzwiach.

– Wierzę pani – powiedział.

Potem wyszedł z mieszkania, czując przyspieszone bicie serca.

Myśl, że Lenzen mógłby zrobić krzywdę Charlotte, wywołuje w moim ciele falę mdłości. Prawdopodobnie ta niema groźba jest bez pokrycia, ale nie mogę przestać o tym myśleć. Patrzę na Victora Lenzena, widzę, że z wielkim trudem powściąga uśmiezek satysfakcji błędzący po jego twarzy Oto wreszcie jest. Potwór z moich snów.

Deszcz się wzmógł, za oknem od frontu widzę niezliczone wodne strzałki kłujące taflę jeziora. Ludzie w prawdziwym świecie będą na to narzekać. Ci rozważniejsi będą szli pod uginającymi się od wiatru parasolami, jak gigantyczne żywe grzyby. Inni, przemoczeni, będą pędzić z jednego upatrzonego zadaszonego miejsca w inne, jak spłoszone zwierzęta.

– Lubi pan zwierzęta? – pytam Lenzena, zanim znowu usiadł. Jedziemy, jedziemy. Trzeba utrzymać tempo.

– Słucham?

Osuwa się na krzesło.

– Moja kolej. Zanim przzerwaliśmy, zapytał mnie pan, jak nazywa się mój pies, ja powiedziałam, że Bukowski, i teraz pytam pana, czy lubi pan zwierzęta.

– Ach, ciągle jeszcze się w to bawimy?

Milczę.

– Jest pani ekscentryczną kobietą, pani Conrads – mówi Lenzen.

Nie odpowiadam.

– No dobrze, niech będzie. Nieszczególnie. Nigdy nie trzymałem w domu zwierząt, jeśli to pani ma na myśli.

Zerka okiem na swoje notatki, potem znowu patrzy mi w oczy.

– Nie podoba mi się ton, jaki przybrała nasza rozmowa – stwierdza. – Jeśli panią sprowokowałem, to bardzo przepraszam.

Nie wiem, co mam odpowiedzieć, więc tylko kiwam głową.

– Pozwoli pani, że wrócimy do pani twórczości. Co w pracy lubi pani naj-

bardziej?

– Kreowanie mojej własnej rzeczywistości. I oczywiście dawanie czytelnikom czegoś, co sprawia im radość – mówię całkiem szczerze. – A pan? Co pan lubi najbardziej w swojej pracy?

– Wywiady – odpowiada Lenzen i szczerzy się w uśmiechu.

Patrzy w swoje notatki.

– Chociaż nie pojawia się pani publicznie, a może właśnie dlatego, dużo się o pani pisze w prasie i internecie.

– Ach tak?

– Czyta pani artykuły na swój temat?

– Czasami. Kiedy dręczy mnie nuda. Większość z nich to rzeczy wysane z palca.

– Czy jest pani urażona, gdy czyta o sobie nieprawdziwe doniesienia?

– Nie. To mnie bawi. Im większe wymysły, tym lepiej.

To też prawda.

– Moja kolej – mówię. – Dwa pytania.

Zastanawiam się przez chwilę.

– Czy myśli pan, że jest pan dobrym człowiekiem?

Łowią ryby w mętnej wodzie. Wszystkie moje dotychczasowe pytania spływały po nim jak woda po gęsi. Nie wiem, czego szukam. Chciałam działać systematycznie. Dowiedzieć się, jak Lenzen wygląda, gdy mówi prawdę, i jak wygląda, gdy kłamie. A potem dokręcić śrubę. Ale jest śliski jak piskorz. Może powinnam spróbować sprowokować go jeszcze raz?

– Dobrym człowiekiem? Mój Boże, ależ pani zadaje pytania. Nie. Chyba nie. Ale staram się, każdego dnia.

Ciekawa odpowiedź. Milczy przez chwilę, jakby wciąż analizował swoje słowa i w końcu uznał je za trafne. Trzeba iść za ciosem.

– Czego w swoim życiu żałuje pan najbardziej?

– Nie wiem.

– W takim razie proszę się zastanowić.

Lenzen udaje, że się namyśla.

– Tego, co doprowadziło do rozpadu mojego małżeństwa. A pani? Czego pani żałuje?

– Że nie byłam w stanie uratować mojej siostry – walę bez ogródek.

To prawda.

– Pani siostra nie żyje?

Sukinsyn.

– Dajmy temu spokój – mówię.

Marszczy brwi, przez chwilę jest wyraźnie poirytowany, ale zaraz się opamiętuje.

– Na czym stanęliśmy? Ach tak. Historie o pani, które krążą w internecie. Stwierdziła pani, że nie ma z nimi problemu. A czy przeszkadza pani krytyka?

– Tylko wtedy, gdy jest uzasadniona – mówię. Trzeba szybko przeć do przodu. – Czego żałuje pan najbardziej z rzeczy, których pan nie zrobił? – pytam.

Znowu kontroluje sytuację, bo odpowiada natychmiast.

– Powiniennem poświęcać więcej czasu córce, gdy była mała. Jeden z krytyków napisał kiedyś, że pani postaci są wyraziste, ale fabuła jest słabo skonstruowana.

– Jak brzmi pańskie pytanie? – pytam.

– Jeszcze go nie sformułowałem. Bo jeszcze większy problem niż z fabułą mam mianowicie z niektórymi postaciami z pani książki. Jest dwoje bohaterów, którzy są mniej sugestywnie nakreśleni niż inni, co ciekawe, są to ofiara morderstwa i morderca. Ofiara to – proszę wybaczyć nieco przejawiskawione sformułowanie – przemiłe niewiniątko ze wsi, morderca zaś to bezduszny socjopata, który lubi zabijać młode kobiety. Dlaczego wykreowała pani dwie tak mocno archetypiczne figury, skoro słynie pani z bardzo subtelnie zarysowanych charakterów?

Wszystkie włoski na karku stają mi dęba.

– To proste – mówię. – Nie postrzegam tych postaci jako ograne archetypy.

– Nie? Weźmy na przykład zamordowaną. Brittę. Takie imię ma ta postać literacka.

Skóra na mojej głowie napina się boleśnie. Takie imię ma ta postać, powiedział. Jakby chciał dać do zrozumienia, że wie, że rzeczywista osoba nazywała się inaczej.

– Czy uważa pani, że postać Britty jest realistyczna?

– Absolutnie.

Oczywiście, że tak uważam. Britta to Anna, Anna to Britta, ona istnieje, ona istniała, znałam ją tak dobrze jak samą siebie.

– Czy nie jest raczej wyidealizowanym obrazem młodej kobiety? Pastelowym snem? Cukierkowo słodka, mądra, miła i tak straszliwie moralna. Na przykład ten fragment, w którym widzi bezdomnego, ot, małe dziecko, które

chce zabrać bezdomnego z ulicy...

Wydaje z siebie pogardliwe prychnięcie. Z trudem powstrzymuję się, żeby nie przeskoczyć przez stół i nie uderzyć go w twarz. Ale pohamowuję się. Postanawiam pozwolić mu zadawać pytania, nie przerywać. Więcej wynoszę z jego pytań niż z odpowiedzi.

– Mam wrażenie, że Britta jest nieprawdopodobnie przemądrzała – ciągnie.
– Ta scena retrospektywna, w której próbuje przekonać siostrę, aby nie nosiła niczego ze skóry przez wzgląd na zwierzęta. Dla mnie to było wręcz parodystyczne. Britta ciągle poucza ludzi i mówi im, co mają robić. Wiem oczywiście, że przedstawia to pani jako coś pozytywnego, ale w prawdziwym życiu takie osoby nieprawdopodobnie grają wszystkim na nerwach i nikt ich za to nie ubóstwia tak, jak to jest przedstawione w książce. O ile tacy kryształowi ludzie w ogóle istnieją. Ale może pani widzi to inaczej?

Z trudem łapię ustami powietrze. Wkładam ogromny wysiłek w to, żeby nie dać się sprowokować. Co za drań.

– Myślę, że istnieją ludzie tacy jak Britta – wydobywam z siebie słowa. – Myślę, że istnieją ludzie wyjątkowo dobrzy i wyjątkowo źli, a reszta jest pomiędzy. Możliwe, że mamy taką obsesję na punkcie niuansów, na punkcie tego pomiędzy, że zupełnie nie widzimy ludzi, którzy znajdują się na końcu skali. Mówimy o nich, że są stereotypowi albo nierealistyczni. Ale tacy ludzie się zdarzają. Niezwykle rzadko, naturalnie.

– Ludzie jak pani siostra? – pyta Lenzen.

Temperatura w pokoju skacze co chwila o parę stopni w górę. Pot występuje mi na czoło.

– Co?

– Mam wrażenie, że rozmawiamy o pani siostrze.

– Ach tak?

Biel przeciwległej ściany zaczyna falować mi w oczach.

– Tak pomyślałem. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę. Opisuje pani nieprawdopodobnie wyidealizowaną wersję związku dwóch siostr, sama ma pani siostrę, o której mówi, że nie była pani w stanie jej uratować. Może nie żyje? Może używa pani słowa „uratować” w sensie metaforycznym, w końcu jest pani pisarką. Może nie udało się jej pani uratować od narkotyków albo brutalnego męża?

– Skąd przychodzi to panu do głowy?

Słona ślina zbiera mi się w ustach.

– Nie wiem. Ma pani najwyraźniej wiele sympatii dla tej postaci, dla Britty. Choć w istocie jest taka straszna – mówi Lenzen.

– Straszna?

Błyskawicznie dopada mnie nieprawdopodobny ból głowy. Przeciwnie ściana jakby się odkształcała w moją stronę, jakby było w niej uwięzione coś, co chce się wydostać.

– Tak! – potwierdza Lenzen. – Taka dobra, taka piękna, taka czysta. Istna disneyowska księżniczka. W prawdziwym życiu taka kobieta byłaby nie do wytrzymania!

– Czyżby?

– Cóż, w każdym razie dla mnie to zdumiewające, że starsza siostra, jakże się ona nazywa? Przepraszam...

Głowa mi pęka.

– Sophie.

– Że Sophie tak dobrze rozumie się z tą postacią. Gdy Britta mówi siostrze, że jej narzeczony jest dla niej niedobry. Jak jej wytyka nową świetną pracę. Jak ciągle krytykuje nadwagę i wygląd swojej siostry. Cała Britta. Disneyowska księżniczka na tronie. Mam być szczery? Gdybym był kobietą, gdybym był Sophie, Britta by mnie denerwowała. Może nawet czułbym do niej niechęć.

Ja też, dodaję w duchu.

Świadomość tego, co właśnie pomyślałam, jest jak cios. Co ma znaczyć ta myśl? Nie jest nowa – czuję to. Przychodziła mi do głowy już wcześniej, tylko z o wiele mniejszą wyrazistością. Skrycie. Po drugiej stronie bólu.

Co z ciebie za człowiek, Linda?

Nie wolno mi mieć takich myśli, a jednak nie mogę się od nich opędzić. Tak, czułam do niej niechęć. Tak, była zarozumiała, tak, była arogancka, tak, księżniczka na tronie, święta Anna. Anna, która umiała nosić białe ubrania, nie brudząc ich. Anna, dla której mężczyźni pisali wiersze. Anna, dla której Marc by mnie porzucił, gdyby tylko ona go zapragnęła, o czym wciąż mi przypominała. Anna, której włosy pachniały szamponem nawet po kilkudniowym biwaku pod namiotem. Anna, której imię można było czytać od przodu i wstak, Anna, Anna, Anna.

Co tu się dzieje?

Wierzę nogami, wynurzam się na powierzchnię, znowu myślę jasno. Wiem, z czym mam do czynienia. To poczucie winy. Nic innego jak poczucie winy, podstępne i podłe. Moje poczucie winy, bo nie umiałam uratować Anny.

Zżera mnie i w odruchu samoobrony mój mózg szuka jakiegoś wyjścia – nawet jeśli to wyjście jest tak małe i nędzne jak myśl, że ona wcale nie była taka dobra, moja siostra.

Jakże podła, jakże małostkowa była ta zagrywka Lenzena sprzed chwili. I jak podła i małostkowa była moja reakcja, moja podatność. Jestem za bardzo pobudzona, za bardzo wyczerpana, za bardzo otwarta. Ból w mojej głowie pulsuje. Muszę wziąć się w garść. Lenzen zbił jedną z moich wież, ale król i królowa nadal uczestniczą w grze. Koncentruję się. I kiedy zbieram siły, uświadamiam sobie, co właściwie usłyszałam. Co on właśnie powiedział. Jak on to powiedział. Prawie tak, jakby żywił do niej osobistą urazę. Do Britty. Do Anny. I nagle to staje się dla mnie jasne. Mój Boże...

Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Zawsze zakładałam, że policja ujęłaby sprawcę, gdyby miał jakiś związek z Anną, gdyby nie była przypadkową ofiarą. Myślałam, że Anna zginęła, bo ktoś wykorzystał to, że piękna młoda kobieta mieszka sama na parterze i często zostawia otwarte drzwi od tarasu. Ale może tak nie jest. Może to nie był okrutny przypadek? Czy to możliwe? Czy Anna jednak знаła potwora?

– Tak czy inaczej – ciągnie Lenzen, jakby zupełnie nie zauważył, że toczą walkę wewnętrzną – bardzo interesujący wydał mi się opis morderstwa, względnie rozdział, w którym Sophie znajduje swoją siostrę. To naprawdę boli, gdy się to czyta, głęboko porusza. Jak się pani to pisało?

Moja prawa dolna powieka drży, nic nie mogę na to poradzić.

– Ciężko – mówię tylko.

– Pani Conrads, mam nadzieję, że nie powstało wrażenie, że pani książka mi się nie podoba, bo tak nie jest. Sophie jest na przykład postacią, której losy chętnie śledziłem do samego końca powieści. Ale moim zdaniem kilka elementów odrobinę odstaje od reszty. Dlatego chętnie korzystam z tej niezwyklej okazji i pytam panią jako autorkę, dlaczego to i owo przedstawiła pani tak, a nie inaczej.

– Ach tak? – wzdygam. Potrzebuję chwili, żeby opanować mdłości, muszę zyskać na czasie. – Co pana zdaniem nie pasuje poza ofiarą morderstwa?

– Cóż, sam morderca, na przykład.

– Tak?

Robi się ciekawie.

– Tak. Zabójca przedstawiony jest jako bezduszne monstrum, jako typowy psychopata. A do tego jeszcze ten stary chwyt, że koniecznie musi coś zosta-

wić na miejscu zbrodni. Od pisarki formatu Lindy Conrads oczekiwałbym postaci nakreślonej w bardziej zróżnicowany sposób.

– Socjopaci istnieją.

Przecież siedzę w tej chwili naprzeciwko jednego z nich. Nie mówię tego.

– Naturalnie, to jasne. Ale zdarzają się niezwykle rzadko, a mimo to można odnieść wrażenie, że dziewięćdziesiąt procent wszystkich kryminałów i thrillerów kręci się wokół tego typu sprawcy. Dlaczego zdecydowała się pani na tak jednowymiarowego bohatera?

– Wierzę w to, że zło i dobro naprawdę istnieją. Chciałam dać temu wyraz.

– Zło? Naprawdę? Czy nie tkwi ono w każdym z nas?

– Być może. Mniej lub bardziej.

– Co fascynuje panią w sprawcach takich jak morderca w pani książce? – pyta Lenzen.

– Zupełnie nic.

Niemal wypluwam te słowa.

– Zupełnie nic. W zimnej, chorej duszy takiej jak dusza mordercy z mojej powieści nie fascynuje mnie absolutnie nic. Poza perspektywą wpakowania go na zawsze za kratki.

– Przynajmniej w sferze literatury może pani do tego doprowadzić – mówi Lenzen z kpiną w głosie.

Milczę.

Jeszcze się przekonamy, myślę.

Naprawdę? – pyta inna część mnie. Niby jak?

– Czy jakiś złożony motyw psychologiczny nie byłby bardziej interesujący?

Dawno już stało się dla mnie jasne, że Lenzen nie mówi o mojej książce, lecz o sobie, że może nawet próbuje się usprawiedliwić. Ja to wiem, on to wie, oboje wiemy, że drugie wie. Może powinnam wreszcie powiedzieć to głośno? Zmieść ze stołu wszystkie te metafory i ogólniki.

– Na przykład jaki? – pytam.

Oczy Lenzena zmieniają się, przejrzał mój niezdarny trik. Oboje wiemy, że pytam w ten sposób o jego motyw.

Wzrusza ramionami. Śliski jak piskorz.

– Przecież ja nie jestem pisarzem – wykręca się inteligentnie. – Ale proszę mi powiedzieć, dlaczego nie uśmierciła pani na końcu swojej bohaterki? Byłoby to bardziej realistyczne. A jednocześnie dramatyczne.

Patrzy wprost na mnie.

Ja patrzę na niego.
Zadaje kolejne pytanie.

Nie słyszę go.

Love, love, love.

O nie.

Love, love, love.

Proszę nie.

Love, love, love.

Proszę nie, już nie mogę.

Jęczę. Trzymam się kurczowo krawędzi stołu. Rozglądam się w panice po pokoju w poszukiwaniu źródła muzyki. Nic. Tylko wielki pająk pełźnie po parkiecie, słyszę odgłos, jaki wydają jego nogi dotykające podłoga, plik-plik-plik-plik.

Twarz Lenzena znajduje się nagle tuż przede mną, widzę maleńkie żyłki przecinające bardzo białe białka oczu. Potwór z moich snów – twarzą w twarz. Czuję jego oddech na policzkach.

– Czy boi się pani śmierci? – pyta Victor Lenzen.

Mój strach jest jak głęboka studnia, w którą wpadłam. Unoszę się w wodzie, koniuszkami palców u nóg staram się wymacać dno, ale nie ma tam nic, tylko czern.

Otrząsam się, próbuję utrzymać się na powierzchni wody, zachować przytomność.

– Co pan przed chwilą powiedział? – pytam.

Lenzen patrzy na mnie ze zmarszczonym czołem.

– Nic nie powiedziałem. Wszystko z panią w porządku?

Oddycham z trudem. Bóg raczy wiedzieć, jak udaje mi się wziąć w garść.

– Wie pani – ciągnie Lenzen nieporuszony – najbardziej zdziwiło mnie rozwiązanie. Naprawdę przez cały czas myślałem, że nie ma żadnego mordercy i że na końcu to rzekomo załamana siostra okaże się morderczynią.

Tracę grunt pod nogami. Pode mną tylko ciemność. Rów Mariański, jedenaście tysięcy metrów czerni. Twarz Anny, roześmiana, szydercza, moje palce zaciskające się na nożu, zimna wściekłość, zadaję cios.

Zadaję cios? Ja? Nie, nie. To niemożliwe. To trwa tylko przez jedno straszliwe mgnienie oka. Nie. Tak nie było! To ta muzyka! Obecność potwora! To moje zszargane nerwy! Może nawet podał mi jakiś specyfik! Nie jestem sobą!

Przed chwilą nie byłam sobą! Przez krótką, straszliwą chwilę zastanawiałam się, czy moje ogromne poczucie winy nie wynika z tego, że ja – że ja... Cóż. Może wcale nie było uciekającego mężczyzny? Czy byliśmy tylko ja i Anna? Może uciekający mężczyzna to tylko historyjka, piękna historyjka, którą potrafi wymyślić jedynie mózg pisarza?

Całkiem niezła historyjka. Uciekający mężczyzna, tak samo realny jak tamto sarniátko na polanie. Linda i jej historie.

Zbieram się w sobie. Nie. To było inaczej niż z tą sarenką. Nie jestem kłamcą, nie jestem wariatką. Nie jestem morderczynią. Otrząsam się z czarnych myśli. I znowu skupiam się na Lenzenie. Niewiele brakowało, żeby mnie zmanipulował. Patrzę na niego. Promienieje... radością. Przenika mnie dreszcz. Ten zimny, ledwie dostrzegalny uśmieszek w jego jasnych oczach. Nie wiem, co dzieje się w czaszce Lenzena, ale nie mam już wątpliwości, że przyszedł, aby mnie zabić. Myliłam się, on nie jest wilkiem, nie zabija skutecznie i szybko. Delektuje się całą tą sytuacją, delektuje się grą.

W głowie rozbrzmiewa mi jego głos: „Boi się pani śmierci?”.

Victor Lenzen mnie zabije. Jego ręka wędruje płynnie do marynarki. Nóż. Mój Boże.

Nie mam wyboru.

Chwytam broń, którą przymocowałam taśmą pod blatem stołu, i podnoszę rękę. Celuję w Victora Lenzena i naciskam spust.

22 - SOPHIE

Sophie powraca myślami do mieszkania Britty. Ciągle dręczy ją pytanie, co wydało jej się takie dziwne na miejscu zbrodni. Coś. Widziała to w mieszkaniu siostry i widziała to w koszmarach, ale pozostawało nieuchwytnie. Zarazem miała pewność, że ten szczegół jest kluczem do wszystkiego. Ale jej umysł był zbyt przepełniony innymi rzeczami, aby mogła jasno myśleć. Na przykład wczoraj tak wiele się wydarzyło. Najpierw przyszedł ten komisarz i prawil jej kazania. Potem ojciec Sophie trafił do szpitala z podejrzeniem zawału, matka oczywiście się załamała, chociaż alarm okazał się fałszywy. Mimo to Sophie wciąż była zdenerwowana. O zaśnięciu nie było mowy. A noc była tak cicha. Paul odszedł, więc jego oddech nie wypełniał sypialni regularnym spokojnym szmerem. W gruncie rzeczy Sophie cieszyła się, że odszedł. Była w zbyt kiepskim stanie, aby ratować ten związek, aby myśleć o ślubie i dzieciach, jak chciał Paul. Była za bardzo wściekła, na siebie, na świat. To tylko objaw żałoby, stwierdziła terapeutka. To całkiem normalne. Ale Sophie nie czuła się normalnie. W tej chwili miała wszystkim wszystko za złe. Może wyjątkiem był ten młody komisarz obdarzony tą niepokojącą umiejętnością znajdowania zawsze właściwych słów.

Sophie nie mogła zaznać spokoju. Musiała być ciągle w ruchu. Słyszała kiedyś, że wielu ludzi dotkniętych głęboką stratą albo się załamuje, albo kamienieje i wszystko dociera do nich jak przez ścianę. W ostatnich tygodniach widziała jedno i drugie. Odrętwienie ojca, załamanie matki, która – nafaszerowana silnymi środkami uspokajającymi przepisywanymi przez lekarzy – właściwie też niewiele czuła. Sophie natomiast czuła wszystko.

Uświadomiła sobie, że tej nocy sen też nie przyjdzie, wstała i poszła do gabinetu. Usiadła przy biurku, które zasłane było wydrukami i wycinkami z gazet. Włączyła komputer.

W ciągu ostatnich dni sporządziła dokładną mapę życia swojej siostry, rozmawiała ze zrozpaczonymi przyjaciółkami Britty i z jej wstrząśniętym byłym

chłopakiem, ale pytania do niczego nie prowadziły. Znała przyjaciół swojej siostry, ale żaden z nich nie był w stanie jej pomóc, żaden nie mógł uwierzyć, że ktoś chciałby zrobić Britcie coś złego. Może Britta zaskoczyła włamywacza? Albo łaził za nią jakiś chory porąbaniec, coś w tym rodzaju. Ktoś obcy. Straszny przypadek. To jedyna możliwość, taka była jednomyślna opinia. Ale Britta nie skarżyła się, że ktokolwiek ją prześladowuje. Nic jej nie gnębiło. Absolutnie. Przyjaciele Britty byli tak samo bezradni jak Sophie. Zostało tylko jedno.

Weszła do internetu i wyszukała stronę agencji, dla której pracowała Britta. Praca była właściwie jedynym elementem w życiu Britty, o którym Sophie niewiele wiedziała. Jeśli Britta znała mordercę, to mógł to być tylko jakiś kolega z pracy. Sophie znała wszystkich innych mężczyzn obecnych w życiu siostry. Ciebie widziała wprawdzie tylko przez krótką chwilę, bo zaraz potem zniknął na tarasie, ale nigdy nie zapomni tej twarzy. Dlatego te pytania zadawane przez policjantkę na temat rodziny i otoczenia Britty były takie niedorzeczne. Sophie wiedziała, co zobaczyła. Kogoś obcego.

Znalazła adres internetowego start-upu, dla którego Britta pracowała od niecałego roku, i rzuciła okiem na zegarek. Dochodziła druga. Pamiętała, że Britta często siedziała w biurze do późnych godzin, często tam nawet nocowała, kończąc projekty tuż przed terminem. Zastanawiała się, czy koledzy Britty też pracują o tak nieludzkich porach. Wzięła telefon, wybrała numer podany w internecie, długo czekała, ale nikt nie odebrał. Szkoda. Koledzy Britty byli ostatnią możliwością. Sophie nie miała pojęcia, co dalej robić. Po chwili przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Czasem na stronach przedsiębiorstw można znaleźć zdjęcia i krótkie życiorysy współpracowników – zwłaszcza w przypadku takich nowych, małych firm jak ta, dla której pracowała Britta. Znowu otworzyła stronę. Owszem, znalazła zakładkę oznaczoną „Team”. Kliknęła ją drżącymi palcami.

Widok tego zdjęcia był jak cios w splot słoneczny.

Patrzyła na nią uśmiechnięta promiennie Britta. Blond włosy, szaroniebieskie oczy, piegi na nosie. Britta, która zawsze tak ładnie pachniała, Britta, która zawsze łapała pająki – budzące lęk u Sophie – w stare słoiki po dżemie, wynosiła je ostrożnie na dwór i wypuszczała na łące, Britta łakomczuch, stale żująca gumę.

Sophie z wysiłkiem oderwała wzrok od fotografii i zaczęła oglądać zdjęcia innych pracowników. Dwie kobiety, a więc odpadają. Sześciu mężczyzn. Dwaj

prezesa, art director, trzech informatyków. Sophie od razu zobaczyła, że żaden nie jest mężczyzną, którego widziała w mieszkaniu Britty.

Przewinęła stronę dalej i zatrzymała się zaskoczona. Zobaczyła dwa puste miejsca, pod którymi widniały nazwiska i nazwy funkcji. Brakowało jednak zdjęć. Serce Sophie zabiło mocniej. Szybko zanotowała nazwiska: Simon Plat-zek, social media. André Bialkowski, programista.

Znowu spojrzała na zegarek. Jakie jest prawdopodobieństwo, że ktoś pracuje w środku nocy w tym biurze? Niezbyt duże. Jaka była alternatywa? Wrócić do łóżka i wpatrywać się w sufit? Niemożliwe. Ubrała się, wzięła kluczyki od samochodu i zamknęła za sobą drzwi.

Ciało wydawało jej się dziwnie lekkie, gdy opuszczała parking sąsiadujący bezpośrednio z kompleksem budynków w centrum miasta. Siedemdziesiąt dwie godziny bez snu. Sophie się rozejrzała. Spośród trzech biurowców w zasięgu wzroku tylko w jednym paliło się światło, poza tym cała okolica, która już za kilka godzin miała wypełnić się gwarem, była opustoszała, czarny asfalt, kilka samotnych latarni, kilka taksówek pośpiesznie jadących ledwie widoczną pobliską ulicą. Sophie podeszła do budynku, w którym paliło się światło, i zatrzymała się rozczarowana. Numery 6-10, a Britta pracowała pod 2-4 – w mrocznym i opuszczonym kłocu ze szkła. Zawiedziona ruszyła z powrotem do samochodu. Wsiadła do windy, weszła do garażu podziemnego. Na dole powietrze było trujące, śmierdziało spalinami. Dotarła już prawie do samochodu, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu klucza, gdy nagle to poczuła. Pojęła. Nie rozpoznała mordercy. Dlatego założyła, że on też jej nie zna.

A jeśli jest inaczej?

Wtedy by ją śledził. Próbował ją zabić, bo była naocznym świadkiem. Ta myśl przyniosła prawdziwy wstrząs. Ktoś tu jest, za jej plecami. Z dziko walącym sercem Sophie się odwróciła. Nikogo nie było. Jej kroki i ciężki oddech niosły się echem po pustym garażu, gdy podbiegła do samochodu, już prawie, jeszcze tylko parę kroków – i znowu zamarła. Coś tam jest, skulony cień, na tylnym siedzeniu. Czy na pewno? Nie. Tylko złudzenie. A może?

Sylwetka się poruszyła. Serce Sophie zamarło, potem w panice znowu zaczęło walić jak szalone. Mnie też zabije, pomyślała odrętwiała. Nie miała szans. Nie mogła nawet krzyknąć, mogła tylko stać i patrzeć. Potem paraliż przysł. Uciekać, pomyślała Sophie, muszę stąd uciec. I: jestem za blisko, jestem

dużo za blisko. Trzy kroki i mnie dopadnie. Trzy kroki i mnie zabije. I wreszcie mózg zaczął funkcjonować, oderwał ją od wszelkich innych myśli i wypełnił ciało uczuciem absolutnego przerażenia. Tylko parę kroków. Śmiertelny strach zalał ją jak potok lodowatej wody, przemoczył jej ciało, ubranie, włosy, odebrał jej na moment oddech. Potem włączył się tryb przetrwania, Sophie odwróciła się i rzuciła biegiem, a skulony cień wysunął się z jej samochodu i też zaczął biec, słyszała to, był szybki, zbliżał się, jak prędko potrafisz biec, Sophie, jak szybko? Pędziła do wyjścia, serce jakby tłukło się w jej głowie, brak tlenu, ten mężczyzna i ten nóż tuż za jej plecami. Sophie gnała, nagle zderzyła się z drzwiami windy, zdyszana złapała się w panice za głowę, szybkie kroki za jej plecami, nie odwróciła się, pomyślała o Orfeuszu i podziemnym świecie, obejrzyj się i jesteś martwa, obejrzyj się i jesteś martwa, winda nie nadjeżdża, nie nadjeżdża, nie nadjeżdża, nie nadjeżdża, Sophie popędziła ku schodom, szarpnęła za skrzypiące drzwi, przepchnęła się do środka, stopnie, stopnie, słyszała, jak drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem, czy mężczyzna z nożem pojechał windą? A jeśli mężczyzna z nożem pojechał windą? A jeśli? Jeśli mężczyzna z nożem czeka już na nią na górze, jeśli...? Z brutalnym piskiem otworzyły się drzwi na piętrze poniżej, czyjeś kroki zaczęły sprintem pokonywać stopnie. Sophie biegła dalej, metaliczny smak w ustach, potknęła się, upadła, zerwała na nogi, dalej, mężczyzna z nożem za plecami, coraz bliżej, coraz bliżej, nie odwracać się, nie odwracać, jeśli się odwrócisz, jesteś martwa, a jeśli on rzuci nożem w moje plecy? Sophie dotarła do wyjścia z garażu podziemnego, rzuciła się na drzwi, zderzyła się z nimi, zamknięte, zamknięte, jak to możliwe?, zamknięte, zamknięte, proszę, proszę, proszę, jak cię dopadnie, nie żyjesz, proszę, proszę, otwórzcie się, zamknięte, zamknięte, za nią mężczyzna, tuż za nią!, kroki coraz bliżej, sprint, finisz, dasz radę, szybko, coraz bliżej, Sophie jeszcze raz rzuciła się na drzwi, otworzyły się, nie były zamknięte, nawet się nie zacięły, po prostu nie nacisnęła mocno klamki, za głupia, żeby otworzyć drzwi, biegnij do cholery, Sophie, nie myśl, biegnij!, wypadła na zewnątrz i biegła. Obok biurowca, opustoszałą ulicą, kroki i nóż za jej plecami, biegła, czarna krew, otwarte oczy Britty, wyraz zdziwienia na jej twarzy, postać w cieniu, postać w cieniu, Sophie biegła, biegła, biegła, biegła, już nie wiedziała, gdzie jest. Aż zostały już tylko jej własne kroki i jej własny oddech. Dopiero wtedy się zatrzymała.

19

Nie. Nie naciskam spustu. Wyciągam broń, celuję w Lenzena, moja ręka drży, ale nie naciskam spustu. Przysięgłam sobie, że nie nacisnę spustu. Że użyję broni tylko jako środka nacisku. Jestem człowiekiem słowa, nie walki. Decyzja, żeby postarać się o broń palną, kosztowała mnie bardzo wiele, ale w końcu zrozumiałam, że to konieczne.

Co się potwierdziło.

Nie naciskam spustu, ale widok pistoletu robi na potworze takie wrażenie, jakbym już wystrzeliła. Skamieniał, jest jak martwy. Patrzy na mnie pustymi oczami. Ściskam mocniej broń, jest ciężka. Wpatruję się w Lenzena. On wpatruje się we mnie. Mruga. Pojmuje. Stół, przy którym siedzimy, obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni.

– Mój Boże – mówi. Jego głos drży. – Czy... – przetyka ślinę – ...czy jest prawdziwy?

Nie odpowiadam. Nie odpowiadam już na żadne pytania. Pora sięgnąć po radykalne środki. Minał czas czystych, eleganckich rozwiązań z próbkami DNA i dobrowolnym przyznaniem się do winy. Słów „radykalne środki” nie używam pochwycenie. Jestem gotowa ubrudzić sobie ręce. Koniec z potyczkami słownymi. Koniec gier.

Lenzen siedzi przede mną z uniesionymi rękami.

– Na miłość boską! – mówi ochrypłym głosem. – Nie rozumiem, co to... – Jąka się, przerywa, stara się opanować.

Na jego czole lśni pot, patrzę, jak jego klatka piersiowa unosi się i opada, jak intensywnie oddycha. Wygląda na zupełnie zszokowanego. Czy naprawdę nie pomyślał, że mogę być uzbrojona? Przecież musiał pomyśleć o takiej ewentualności, przychodząc do domu kobiety, której siostrę zamordował! Absolutne przerażenie na twarzy Lenzena irytuje mnie. A co, jeśli...?

Odsuwam od siebie wszelkie wątpliwości. Lenzen opuści ten dom tylko wtedy, gdy przyzna się do winy – nie ma innej możliwości.

Myślę o tym, czego nauczyłam się od doktora Christensena. Techniki przesłuchań Reida. Wywołać stres. Nękać niekończącym się potokiem pytań. Rozliczać każdą nieścisłość. Pytania banalne i rozluźniające przeplatać prowokującymi i wywołującymi stres. Fałszywe dowody, szantaż, przemoc – wszystko jest dozwolone.

Stresować. Nękać. Stresować. Nękać. W pewnym momencie zaproponować wyjście w postaci przyznania się do winy. Stresować. Nękać. I w końcu złamać.

Ale najpierw muszę sprawdzić, czy on nie jest uzbrojony.

– Proszę wstać! – mówię. – Natychmiast!

Spełnia polecenie.

– Proszę zdjąć marynarkę i położyć ją na stole. Powoli.

Robi to. Biorę marynarkę, nie spuszczając go z oka. Obmacuję ją lewą ręką, a w prawej trzymam broń. Ale w kieszeniach nic nie ma. Upuszczam marynarkę na podłogę.

– Proszę opróżnić kieszenie spodni, tylko powoli.

Wypełnia polecenie, kładzie zapalniczkę na stole. Patrzy na mnie niepewnie.

– Proszę się odwrócić!

Jest posłuszny. Nie potrafię się zmusić do tego, żeby go obszukać, ale widzę, że nie ma broni ani w spodniach, ani przy pasku.

– Proszę pchnąć teczkę w moją stronę. Powoli.

Bierze teczkę, przesuwa ją w moim kierunku. Podnoszę ją, otwieram, obmacuję wnętrze – nic, tylko niewinne drobiazgi. Lenzen nie jest uzbrojony, ale to niczego nie zmienia. O ile wiem, mógłby mnie zabić także gołymi rękami. Jeszcze mocniej ściskam pistolet.

– Siadać!

Robi to.

– Mam do pana kilka pytań i oczekuję szczerych odpowiedzi – mówię.

Milczy.

– Czy pan mnie zrozumiał?

Kiwa głową.

– Proszę odpowiedzieć! – krzyczę.

Przełyka z wysiłkiem ślinę.

– Tak – mówi gardłowym głosem.

Przyglądam mu się dokładnie, wielkość źrenic, skóra na twarzy, pulsująca

tętnica szyjna. Jest przestraszony, ale już się otrząsnął z szoku. To dobrze.

– Ile ma pan lat? – pytam.

– Pięćdziesiąt trzy.

– Gdzie pan się wychował?

– W Monachium.

– Ile lat ma pana ojciec?

Lenzen patrzy na mnie z najwyższym zdumieniem.

– Możemy to skrócić – mówię. – Czy wie pan, dlaczego pan tu jest?

– No, żeby zrobić wywiad – mówi Lenzen drżącym głosem.

Naprawdę zachowuje się tak, jakby nie wiedział, o czym mówię.

– Więc nie ma pan pojęcia, dlaczego tu pana sprowadziłam? – mówię –
Właśnie pana.

Patrzy na mnie, jakbym mówiła w obcym języku, którego nie rozumie.

– Odpowiadać! – warczę.

Zwleka przez krótką chwilę, jakby się bał, że strzelę natychmiast, gdy powie coś niewłaściwego.

– Powiedziała pani wcześniej, że wybrała właśnie mnie, ponieważ ceni pani moją pracę – odpowiada, starając się opanować głos. – Ale powoli zaczyna mi świtać, że to nie był prawdziwy powód.

Nie mieści mi się w głowie, że on ciągle zgrywa niewiniątko. Doprowadza mnie to do takiej wściekłości, że potrzebuję chwili, żeby się opanować. W porządku, myślę, jak chce.

– Zatem dobrze – mówię. – Jeszcze raz od początku. Ile ma pan lat?

Nie odpowiada od razu, unoszę odrobinę broń.

– Pięćdziesiąt trzy – mówi.

– Gdzie pan się wychował?

– W Monachium.

Stara się patrzeć na mnie, a nie w wylot lufy mojego pistoletu.

– Ma pan rodzeństwo?

Nie udaje mu się to.

– Mam starszego brata.

– Jest pan w dobrych stosunkach z rodzicami?

– Tak.

– Ma pan dzieci?

Jego dłoń wędruje ku skroni.

– Proszę posłuchać, przecież pytała mnie już pani o to wszystko! – mówi

z wymuszonym spokojem. – Co to ma być? Jakiś żart?

– To nie żart – odpowiadam, znowu unosząc niezauważalnie broń.

Lenzen wybałusza oczy.

– Czy ma pan dzieci? – pytam.

– Córkę.

– Jak ma na imię pana córka?

Zwleka. Tylko chwilę, ale czuję jego opór.

– Sara.

– Jaka jest pana ulubiona drużyna piłkarska?

Wyczuwam, że mu ulżyło, bo porzuciłam temat jego córki. Dobrze.

– 1860 Monachium.

Czas na cios poniżej pasa.

– Czy lubi zadawać pan ból innym ludziom?

Wydaje z siebie pogardliwy odgłos.

– Nie.

– Czy zdarzyło się panu męczyć zwierzęta?

– Nie.

– Jakie jest panińskie nazwisko pana matki?

– Nitsche.

– Ile lat ma pana ojciec?

– Siedemdziesiąt osiem.

– Czy uważa pan, że jest pan dobrym człowiekiem?

– Robię, co w mojej mocy.

– Woli pan psy czy koty?

– Koty.

Niemal widzę, jak jego mózg pracuje na najwyższych obrotach, jak próbuje się połapać, do czego zmierzam, a przede wszystkim: jak mógłby odebrać mi broń. Trzymam broń w prawej ręce, opieram się przy tym o stół, trzymam broń prawidłowo, nie pozwalam sobie na niedbalstwo. Ćwiczyłam to. Rozdzielający nas stół jest szeroki. Nie ma mowy, aby Lenzen dosięgnął mnie albo broni. Musiałby okrążyć stół. Bez szans. Ja to wiem, on to wie. Podkręcam tempo.

– Jaki jest pański ulubiony film?

– *Casablanca*.

– Ile lat ma pańska córka?

– Dwanaście.

– Jaki kolor włosów ma pana córka?

Jego szczęka pracuje.

– Blond.

Pytania o córkę budzą w nim strach i nie potrafi tego ukryć.

– Jaki kolor oczu ma pana córka?

– Brązowy.

– Ile lat ma pana ojciec?

– Siedemdziesiąt siedem.

– Wcześniej powiedział pan, że siedemdziesiąt osiem.

Rozliczać z każdego błędu.

– Siedemdziesiąt osiem. Ma siedemdziesiąt osiem lat.

– Myśli pan, że to zabawa?

Nie odpowiada. Oczy mu błyszczą.

– Myśli pan, że to zabawa? – powtarzam.

– Nie. Po prostu się przejęzyczyłem.

– Lepiej niech się pan weźmie w garść – ostrzegam.

Stresować. Nękać.

– Jak brzmi panińskie nazwisko pana matki?

– Nitsche.

– Ile lat ma pański ojciec?

Lenzen tłumi jęk.

– Siedemdziesiąt osiem.

– Jaki jest pana ulubiony zespół?

– U2. Nie, Beatlesi.

Ciekawe.

– A ulubiona piosenka Beatlesów?

– *All You Need is Love*.

Touché. Staram się nie dać tego po sobie poznać, ale nie udaje mi się.

Lenzen patrzy na mnie nieprzeniknionym wzrokiem. Przyczajony.

Czas, by dokręcić śrubę.

– Okłamał mnie pan, panie Lenzen – mówię. – Ale to nie szkodzi. Wiem i tak, że pana córka ma na imię Marie, a nie Sara.

Czekam chwilę, aż moje słowa wywołają spodziewaną reakcję.

– Wiem o panu bardzo dużo. Więcej, niż pan myśli. Od dawna każę pana obserwować. Każdy pański krok.

To kłamstwo. Ale to nie ma najmniejszego znaczenia.

– Pani jest szalona – mówi Lenzen.

Ignoruję to.

– Dokładnie rzecz biorąc, znam odpowiedź na każde pytanie, które panu zadałam, i na każde, które jeszcze zadam.

Prycha ze złości.

– Dlaczego w takim razie mnie pani przepytuje?

Jaki on teraz jest przewidywalny.

– Bo chcę usłyszeć odpowiedzi od pana.

– Odpowiedzi na co? Dlaczego? Nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi!

Rozpacz w jego głosie przynajmniej w jakiejś części brzmi autentycznie. Nie mogę dać mu teraz chwili wytchnienia.

– Czy brał pan kiedyś udział w bójce?

– Nie.

– Czy uderzył pan kiedyś kogoś w twarz?

– Nie.

– Czy uderzył pan kiedyś kobietę?

– Myślałem, że „kogoś” obejmuje też kobiety.

Wydaje się znowu bardziej pewny siebie. Cholera. Przemoc nie wyprowadza go z równowagi. Zimny sukinsyn.

– Czy zgwałcił pan kiedyś kobietę?

Jego twarz nie wyraża już żadnych uczuć.

– Nie.

Jego jedyny słaby punkt, który udało mi się do tej pory znaleźć, to córka. Postanawiam używać jej, formułując wszystkie trudne i prowokacyjne pytania.

– Ile lat ma pana córka?

Mięśnie jego szczęki napinają się.

– Do której klasy chodzi?

– Do siódmej.

– Jaki jest ulubiony przedmiot pana córki?

Moją uwagę zwraca żyła na skroni Lenzena, której wcześniej nie widziałam. Pulsuje.

– Matma.

– Jak nazywa się koń pana córki?

I pulsuje.

– Lucy.

– Uważa się pan za dobrego ojca?

Jego szczęka pracuje.

– Tak.

– Czy zgwałcił pan kiedyś kobietę?

– Nie.

– Jak nazywa się najlepsza przyjaciółka pana córki?

– Tego nie wiem.

– Annika – mówię. – Annika Mehler.

Lenzen przełyka ślinę. Ja nie czuję zupełnie nic.

– Jaki jest ulubiony kolor pana córki?

– Pomarańczowy.

Jego ręka znowu wędruje ku skroni, ma tak bardzo dosyć tych pytań o córkę. Dobrze.

– Jaki jest jej ulubiony film?

– *Mała syrenka*.

– Czy zabił pan kiedyś człowieka?

– Nie.

Odpowiedź padła natychmiast, tak jak pozostałe. A przecież Lenzen wie, że dochodzimy do sedna sprawy. Na co liczy? Jak zamierza wywinąć się z tego wszystkiego?

– Boi się pan śmierci?

– Nie.

– Jakie było najbardziej traumatyczne przeżycie w pańskim życiu?

Odchrząka.

– To, co dzieje się teraz.

– Czy jest coś, dla czego gotów byłby pan zabić?

– Nie.

– Zabiłby pan kogoś w obronie swojej córki?

– Tak.

– Ale przed chwilą powiedział pan...

Traci panowanie nad sobą.

– Wiem, co przed chwilą powiedziałem! – krzyczy. – Jezu Chryste! Oczywiście, że zrobiłbym wszystko, żeby chronić moje dziecko.

Próbuje się opanować, ale bez skutku.

– Proszę mi wreszcie powiedzieć, co to wszystko ma znaczyć!

Wrzeszczy.

– Co to ma być, do cholery? Czy to jakaś gra? Wymyśla pani nową powieść kryminalną? Stałem się królikiem doświadczalnym w pani rękach? Czy o to chodzi? Cholera jasna!

Uderza pięścią w stół. Jego wściekłość jest jak żywioł, przeraża mnie, choć mam w ręku broń, ale nie pozwalam żadnej mojej emocji przeniknąć na zewnątrz. Na dworze znowu świeci słońce, czuję jego promienie na policzku.

– Proszę się uspokoić, panie Lenzen – mówię, machając groźnie ręką. – Ten pistolet to nie zabawka.

– Widzę! – warczy rozwścieczony. – Myśli pani, że naprzeciwno siedzi naiwny chłopiec z kościelnego chóru? Wiem, do cholery, jak wygląda broń. Dwa razy o mało nie zostałem uprowadzony w Algierii. W Afganistanie robiłem reportaż o przywódcach talibów, potrafię więc odróżnić prawdziwą broń od pistoletu na wodę, może mi pani wierzyć.

Poczerwieniał jak burak. Traci samokontrolę. Nie wiem jeszcze, czy to dobrze, czy źle.

– Nie podoba się panu ta sytuacja – mówię trzeźwo.

– Owszem, do cholery! Proszę mi przynajmniej powiedzieć... – zaczyna.

– Ależ może pan w każdym momencie to zakończyć – przerywam mu.

Staram się mówić jak najbardziej spokojnie. Jestem świadoma jak nigdy dotąd, że dokoła poukrywane są mikrofony.

– Jak mianowicie? – pyta rozdrażniony Lenzen.

– Dając mi to, czego chcę.

– Czego więc pani chce, na litość boską?

– Prawdy. Chcę, żeby się pan przyznał do winy – mówię.

Wlepia we mnie wzrok. Napotyka moje spojrzenie i wycelowaną w niego lufę pistoletu.

Potem mruga oczami.

– Żebym przyznał się do winy? – powtarza z niedowierzaniem.

Wszystko we mnie wibruje. Tak.

– Dokładnie tego chcę.

Lenzen gulgocze jakby poirytowany.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że to śmiech. Pozbawiony wesołości, histeryczny.

– W takim razie proszę mi jeszcze powiedzieć, do czego, u diabła, mam się przyznać! Co ja pani zrobiłem? To nie ja prosiłem o ten wywiad!

– Nie wie pan, o czym mówię?

– Nie mam bladego pojęcia.

– Trudno mi w to...

Nie zdążam dokończyć. Ten ruch jest błyskawiczny. Rzuca się na mnie przez stół, w ułamku sekundy jest po drugiej stronie, nade mną, zmiata mnie z krzesła, moja głowa uderza twardo o podłogę, Lenzen nade mną. Pada strzał, mój mózg eksploduje, widzę już tylko rozbryzganą czerwień, świst w uszach, kopię, wierzgam, próbuję zwalić z siebie ciało Lenzena, ale jest za ciężki, chcę znaleźć się jak najdalej od niego, byle dalej, walę pistoletem, raczej instynktownie niż świadomie, w czaszkę Lenzena. Wydaje z siebie krzyk, wiotczeje, spycham go z siebie, dźwigam się na nogi, cofam o kilka kroków, potykam się o krzesło, o mało się nie przewracam. Udaje mi się utrzymać równowagę, chwytam ustami powietrze. Celuję z pistoletu w Lenzena. Nagle jestem absolutnie spokojna, nie ma już we mnie złości, tylko zimna nienawiść. Mam ochotę po prostu nacisnąć spust. Lenzen siedzi w kucki przede mną, w bezruchu, patrzy w wylot lufy. Widzę jego szeroko otwarte oczy, pot połyskujący na twarzy, unoszącą się i opadającą klatkę piersiową – wszystko jak w zwolnionym tempie. Moja prawa ręka, trzymająca broń, drży. Mija chwila. Odzyskuję panowanie nad sobą. Opuszczam nieco pistolet. Czuję, że wstrzymałam oddech, zmuszam się, żeby zacząć znowu oddychać. Lenzen dyszy, oboje dyszymy. Krwawi obficie z rany na głowie. Podnosi się na kolana, patrzy na mnie zimnymi, metalicznymi oczami, ranne zwierzę.

– Proszę wstać – mówię.

Wstaje. Obmacuje sobie głowę, patrzy z przerażeniem na to mnóstwo zbyt czerwonej czerwieni. Tłumię mdłości.

– Proszę się odwrócić i iść do drzwi wejściowych. Powoli.

Patrzy na mnie, nic nie rozumiejąc.

– Proszę iść – powtarzam.

Wykonuje polecenie. Idę za nim na miękkich nogach, z uniesioną bronią, kierując go do łazienki dla gości, która na szczęście znajduje się obok jadalni. Każę mu wziąć ręcznik, zwilżyć go, przycisnąć do krwawiącej rany. Okazuje się wkrótce, że rana jest nieduża, że tak naprawdę nic się nie stało. Żadne z nas dwojga nie mówi ani słowa, słychać tylko nasze ciężkie oddechy.

Następnie kieruję Lenzena z powrotem do jadalni, każę mu usiąść na krzesło, sama też siadam naprzeciwko.

W jadalni zrobiło się ciemniej, grube chmury zakrywają słońce. Na zewnątrz już się zmierzcha, znajdujemy się na wąskiej krawędzi między dniem

a wieczorem. W oddali grzmi. Burza, którą wróżyła Charlotta, jednak nadeszła. Może jest jeszcze daleko stąd, ale powietrze w pokoju jest tak naładowane elektrycznością, jakby wisiała już wprost nad nami.

– Proszę – mówi Lenzen. – Proszę pozwolić mi odejść.

Wlepiam w niego wzrok. Co on sobie myśli?

– Nie wiem, o co chodzi. Nie wiem, czego pani ode mnie chce. Nie wiem, w jaką grę pani gra. Ale wygrała pani.

W jego oczach błyszczą łzy. Całkiem nieźle. Cios w głowę jednak coś dał.

– Nie wie pan, o co chodzi?

– Nie!

To słowo wyrzuca z siebie niemal jak krzyk.

– Dlaczego powiedział pan wcześniej, że siostra z książki wygląda na morderczynię? – pytam. – Chciał mnie pan sprowokować?

– Dlaczego miałoby to panią prowokować? Nie rozumiem tego! – krzyczy Lenzen. – To przecież pani chciała rozmowy o pani książce!

Całkiem nieźle.

– A to z Charlottą?

Gapi się na mnie, jakbym mówiła w jakimś obcym narzeczu.

– Z Charlottą?

– Z Charlottą, moją asystentką. Co to miało być?

Lenzen wzdycha ciężko. Z najwyższym trudem odpowiada spokojnie:

– Proszę posłuchać. Pani asystentka otwarcie mnie kokietowała. Nic na to nie poradzę. Ja tylko chciałem być miły, nie może mnie pani za to winić, ja...

– Co miały znaczyć pytania o mojego psa?

– Zadając te pytania, nie miałem żadnych ukrytych zamiarów, pani Conrads. Niech pani spróbuje sobie przypomnieć, proszę. Jestem tu na pani życzenie. To pani mnie zaprosiła. Płacą mi za to, żebym z panią rozmawiał. Przez cały czas traktowałem panią uprzejmie. Nie zrobiłem nic, co mogłoby usprawiedliwiać pani zachowanie względem mnie.

– Co miały znaczyć pytania o mojego psa? – powtarzam.

– Jesteśmy tu, żeby zrobić wywiad, prawda? – mówi Lenzen.

Patrzy na mnie, jak gdybym była niebezpiecznym zwierzęciem, które w każdej chwili może się na niego rzucić. Czuję, jak wiele wysiłku kosztuje go zachowanie spokoju.

Nie odpowiadam.

– Wspomniała pani, że ma psa. To przecież całkiem normalne, że o niego

pytam.

Być może myśli teraz, że naprawdę jestem wariatką. Zupełnie nieobliczalną. To dobrze. Przy odrobinie szczęścia niedługo będę go miała w garści.

– Dlaczego zapytał pan, czy boję się śmierci?

– Co?

– Dlaczego zapytał pan, czy boję się śmierci? – powtarzam.

Znowu słyszę grzmot, daleko, daleko stąd. Groźny pomruk, jakby jakiegoś olbrzymia.

– Nic takiego nie zrobiłem – mówi.

Patrzy na mnie całkowicie osłupiały. Znowu mam ochotę wstać i bić mu brawo.

– Proszę pozwolić mi odejść – błaga. – Jestem gotów zapomnieć, co tu się wydarzyło. Tylko...

– Nie mogę pozwolić panu odejść – przerywam mu.

Patrzy na mnie wstrząśnięty.

To jego zgrywanie niewiniątka, te krokodyle łzy, te lamenty, to wszystko budzi moją odrazę. Aż chce mi się rzygać. Siedem ciosów nożem. A on się rozkleja z powodu małej ranki. Wciągam głęboko powietrze.

– Czy ma pan dzieci? – pytam.

Lenzen wydaje z siebie jęk i chowa głowę w dłoniach.

– Proszę... – mówi.

– Czy ma pan dzieci? – pytam.

– Proszę, niech pani nie miesza w to mojej córki – jęczy.

Widzę, że płacze.

– Jak ma na imię pana córka? – pytam.

– Czego pani chce od mojej córki?

Niemal błaga mnie. Dopiero teraz pojmuję. Czy on naprawdę myśli, że mam zamiar zrobić coś jego córce? Że dlatego go o to pytam? Że to swego rodzaju groźba? Nigdy bym na to nie wpadła. Ale to dobrze. Nie nabiorę się na jego skomlenie. Może wreszcie da mi to, czego chcę.

– Wie pan, czego chcę – mówię.

Daj mi to, a zostawię twoją córkę w spokoju, sugeruję między wierszami. Lenzen to wie i ja to wiem. Nie mam czasu na wyrzuty sumienia.

– Żebym przyznał się do winy – mówi Lenzen.

Fala adrenaliny, która zalała moje ciało, gdy Lenzen mnie zaatakował, i która przed chwilą trochę opadła, powraca z całą mocą. Gorąca.

– Tak – potwierdzam.

– Ale ja nie wiem...

Znowu się zaczyna? Jak długo ma zamiar próbować tej sztuczki?

– W takim razie panu pomogę – mówię.

Patrzy na mnie niepewnie.

– Gdzie pan mieszkał dwanaście lat temu? – pytam.

Zastanawia się przez chwilę.

– W Monachium – odpowiada wreszcie. – To był mój ostatni rok w Monachium.

– Czy zna pan Annę Michaelis?

W jego oczach nie ma nic, absolutnie nic.

– Nie. Kto to?

Kłamca. Czuję niemal podziw dla niego. Trzyma się cholernie długo jak na człowieka, w którego wycelowana jest broń. Może rzeczywiście nie boi się śmierci.

– Dlaczego mnie pan okłamuje?

– Okej, okej, okej! Proszę pozwolić mi się zastanowić. To nazwisko wydaje mi się znajome.

Jaką grę prowadzisz, Victorze Lenzenie?

– Przygotowując się do wywiadu, znalazłem informację, że pani prawdziwe nazwisko brzmi Michaelis. Conrads to pseudonim literacki. Od Josepha Conrada, pani ulubionego autora, prawda?

Najchętniej dałabym upust swojej wściekłości. Ciągle jeszcze gra!

– Czy Anna Michaelis jest pani krewną? – pyta Lenzen.

– Gdzie był pan dwudziestego trzeciego sierpnia dwa tysiące drugiego roku?

Patrzy na mnie zdezorientowany. Niewątpliwie mógłby wzbudzić litość, tak jak tu siedzi. Krwawiący, pociągający nosem.

– Gdzie był pan dwudziestego trzeciego sierpnia dwa tysiące drugiego roku? – powtarzam.

Stresować. Nękać. Złamać.

– Do jasnej cholery, jakim cudem miałbym to pamiętać? – pyta.

– Proszę się zastanowić.

– Nie wiem!

Znowu chowa głowę w dłoniach.

– Dlaczego zabił pan Annę Michaelis?

– Co?

Lenzen zrywa się, wywracając krzesło. Ten nagły ruch i hałas sprawiają, że aż podskakuję. Przez moment myślę, że znów chce mnie zaatakować, więc cofam się o kilka kroków. Ale tylko gapi się na mnie z przerażeniem.

– Chcę wiedzieć, czemu zamordował pan moją siostrę – mówię.

Patrzy na mnie. Ja patrzę na niego. Nic nie czuję. W środku jestem cała zimna i odrętwiała. Tylko pistolet parzący moją dłoń, jakby był rozgrzany do czerwoności.

– Co? – mówi Lenzen. – Teraz to już na sto procent pani...

– Dlaczego pan to zrobił? – przerywam mu. – Dlaczego Annę?

– O Boże – mówi głosem pozbawionym wyrazu.

Chwieje się.

– Myśli pani, że zamordowałem pani siostrę? – występuje.

Sprawia wrażenie zamroczonego, z trudem łapie powietrze. Patrzy tępo w podłogę, jakby widział tylko pustkę.

– Ja to wiem – poprawiam go.

Victor Lenzen podnosi wzrok, patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Potem łapie się krawędzi stołu i zaczyna w krótkich, silnych spazmach wymiotować. Patrzę na to zszokowana. Krwawi, płacze, wymiotuje.

Dochodzi do siebie, kaszle chrapliwie, spogląda na mnie. Na jego górnej wardze błyszczą kropelki potu. Ten dziwny wyraz na jego twarzy, jak u zbitego dziecka. Przez chwilę widzę dziecko zamiast potwora, który przez cały czas siedział naprzeciw mnie, i współczucie ściska mi żołądek. Czuję jego strach, strach o siebie samego, ale przede wszystkim strach o swoje dziecko, jest wypisany na jego twarzy.

Ta twarz. Znowu dostrzegam, że ma kilka pojedynczych piegów. Nagle potrafię sobie wyobrazić, jak mógł wyglądać jako mały chłopiec. Przed życiem, przed zmarszczkami. Interesujące zmarszczki. Łapię się na tym, że chętnie dotknęłabym jego twarzy, ot, tak tylko. To uczucie głaskania po zmarszczkach. Przypomina mi się moja przepiękna, pomarszczona babcia, te jej kochane bruzdy na twarzy. Twarz Lenzena byłaby pewnie inna pod moimi palcami. Twardsza.

Odganiam te myśli. Co ja wyrabiam? Co to za myśli? Jestem jak dziecko, które chce pogłaskać tygrysa w zoo, chociaż już dawno jest na tyle duże, by wiedzieć, że zostałyby rozszarpane.

Weź się w garść, Linda.

Nie mogę iść za głosem współczucia.

Lenzen znowu ma torsje.

– Jest pan mordercą – mówię.

Potrząsa półprzytomnie głową.

Nie posiadam się ze zdumienia. Albo Victor Lenzen nie ma żadnej granicy wytrzymałości, albo... brak mi odwagi, by sformułować tę myśl do końca. A jeśli będący pod presją Lenzen już dawno przekroczył swoją granicę wytrzymałości? Jeśli nie przyznał się do zabójstwa tylko dlatego, że nie ma się do czego przyznać?

Nie!

Zdaję sobie sprawę, jak niebezpieczna jest ta myśl. Muszę wziąć się w garść. Pamiętać o tym, czego nauczyłam się od doktora Christensena – że takie myśli mogą zapowiadać załamanie. Ta sytuacja wykańcza nerwowo nie tylko Lenzena, ale i mnie. Nie wolno stracić determinacji, okazać współczucia, a już na pewno nie wolno mi mieć wątpliwości. Posunęłam się już za daleko, żeby mieć teraz wątpliwości. Victor Lenzen jest winny. A każdy człowiek ma swoją granicę wytrzymałości. Najwyraźniej granica Lenzena nie została jeszcze przekroczona. Jest przyzwyczajony do skrajnych sytuacji. Sam to powiedział. Może to odpowiedni moment, by zaoferować mu owo słynne wyjście z sytuacji. Zachęcić, aby się przyznał?

– Panie Lenzen – mówię. – Jeśli da mi pan to, czego chcę, wtedy obiecuję, że pozwolę panu odejść.

Kaszele, dysząc ciężko, potem spogląda na mnie.

– Proszę mi dać to, czego chcę, a ten koszmar tutaj się skończy – powtarzam.

Słyszę, jak przetyka ślinę.

– Ale pani chce, żebym przyznał się do winy! – mówi, ciągle lekko odwrócony bokiem, z ręką na żołądku.

– Dokładnie tak.

Wyobrażam sobie, co odpowie: Ale jak się przyznam, pani natychmiast mnie zastrzeli! Dlaczego miałbym pani wierzyć? A ja mogłabym odrzec tylko jedno: Chwilowo nie ma pan innego wyjścia, panie Lenzen.

Milczy. Potem spogląda na mnie zdecydowanie.

– Nie mam się do czego przyznać.

– Proszę się porządnie zastanowić, panie Lenzen. Ma pan dwie opcje. Opcja numer jeden: powiedzieć prawdę. To wszystko, czego chcę. Chcę wie-

dzieć, co stało się z moją młodszą siostrą tamtej nocy przed dwunastoma laty. Powie mi pan, a ja pozwolę panu odejść. Oto opcja numer jeden. Opcja numer dwa: ten pistolet.

Lenzen wlepia wzrok w wylot lufy.

– Poza tym – dodaję, unosząc nieco broń – moja cierpliwość ma swoje granice.

– Proszę – mówi Lenzen. – Ma pani przed sobą niewłaściwą osobę!

Tłumię jęk. Jak długo będzie się wypierał? Postanawiam zmienić taktykę.

– Chce pan chusteczkę, żeby wytrzeć usta? – pytam. Staram się, by mój głos brzmiał przy tym jaśniej, delikatniej.

Kręci głową.

– Szklankę wody?

Kręci głową.

– Panie Lenzen, rozumiem, że pan się wypiera – mówię. – Prawdopodobnie nie może pan uwierzyć, że pozwolę panu odejść, jeśli powie mi pan to, na czym mi zależy. W pana sytuacji to całkowicie zrozumiałe. Ale nie kłamię. Jeśli mi pan powie to, co chcę wiedzieć, pozwolę panu odejść.

Znowu zapada głucha cisza, słychać tylko ciężki oddech Lenzena. Pochyla się. Wydaje się nagle sporo niższy.

– Nie chcę pana okłamywać – mówię. – Oczywiście poinformuję policję. Ale bezpiecznie opuści pan ten dom.

Zaczyna słuchać uważnie. Zerka na mnie.

– Nie jestem mordercą – mówi. W jego oczach błyszczą łzy. Nie wiem, czy to z powodu mdłości, czy rzeczywiście znowu jest bliski płaczu. Żal mi go w tym momencie, mimo wszystko.

Lenzen prostuje się ponownie na krześle, zdejmuje dłoń z okolic żołądka, zwraca się znowu w moją stronę, spogląda na mnie. Ma zaczerwienione oczy, wygląda starzej. Zmarszczki mimiczne zniknęły. Widzę, jak walczy z odruchem, by wytrzeć usta rękawem eleganckiej koszuli. Czuję woń tej kałuży u jego stóp. Pachnie strachem.

Tłumię współczucie, mówię sobie, że to dobrze. Im gorzej on się czuje, tym lepiej. Ta sytuacja jest poniżająca i to właśnie daje mu się we znaki. Świetnie! Ściskam broń tak mocno, że bieleją mi kłykcie. Lenzen wpatruje się we mnie w milczeniu. Próba sił. Przetrzymam go, nie odezwę się pierwsza. Chcę zobaczyć, jak Lenzen wykorzysta tę sytuację. A wyjście leży jak na dłoni. Musi się przyznać.

Zapada idealna cisza. Na zewnątrz się błyska. Słyszę własny oddech i oddech Lenzena, ciężki, nieregularny. Dopiero kilka chwil później dobiega grzmot. Poza tym jest absolutnie cicho.

Lenzen zamyka oczy, jakby chciał w ten sposób uwolnić się od koszmaru, w którym się znalazł. Bierze głęboki wdech, następnie otwiera oczy i zaczyna mówić. Wreszcie.

– Proszę, niech mnie pani posłucha, pani Conrads – mówi.

Milczę, tylko na niego patrzę.

– Doszło do pomyłki! Nazywam się Victor Lenzen. Jestem dziennikarzem. I ojcem rodziny. Może nieszczególnie dobrym, ale...

Traci czas.

– Gardzę przemocą. Jestem pacyfistą. Jestem aktywistą praw człowieka. Jak żyję, nie zrobiłem nikomu krzywdy.

Ma przenikliwe spojrzenie. Zaczynam się wahać.

– Musi mi pani uwierzyć! – dodaje.

Ale mnie nie wolno mieć wątpliwości.

– Jeśli jeszcze raz pan skłamię, nacisnę spust.

Mój głos brzmi obco. Sama nie wiem, czy naprawdę tak myślę, czy tylko tak mówię.

– Jeśli jeszcze raz mnie pan okłamię, nacisnę spust – powtarzam, jakbym w ten sposób mogła odzyskać stuprocentową pewność.

Lenzen nic nie mówi. Wpatruje się we mnie.

Czekam, a burza się zbliża. Zrywa się wichura. Czekam długo. Pojmuję, że postanowił się więcej nie odzywać.

Ja muszę to rozstrzygnąć.

23 - JONAS

Przecucie, czy jakaś sprawa zostanie szybko wyjaśniona, czy raczej nigdy, pojawiało się zazwyczaj bardzo wcześnie. Intuicja mówiła Jonasowi, że sprawy eterycznej kobiety, która została znaleziona w swoim mieszkaniu zakłuta nożem, nie rozwikłają tak szybko, jak zakładali koledzy. Niektórzy zakładali, że lada dzień zostanie zatrzymany zazdrosny kochanek albo mściwy były narzeczony. Zwłaszcza że znalazł się naoczny świadek. Ale Jonasa ogarniało nieprzyjemne uczucie, tak przytłaczające i mroczne, że nie pozostawiało miejsca na jakikolwiek optymizm. Jasne, na kilometr śmierdziało zbrodnią w afekcie. Do tego policja miała portret pamięciowy sprawcy. Ale nikt z otoczenia ofiary go nie rozpoznał. Jak to możliwe? Owszem, być może ofiara miała potajemny romans, tego nie można wykluczyć. Ale to raczej nie pasowało do Britty Peters.

Jonas wziął głęboki oddech i wszedł do sali odpraw. W pomieszczeniu woń PCW mieszała się z aromatem kawy. Cały zespół już się zebrał. Michael Dzierzewski, Volker Zimmer, Antonia Bug i Nilgün Arslan, powszechnie lubiana kobieta, która dopiero niedawno wróciła z urlopu macierzyńskiego. Pokój wypełnił gwar, bo koledzy rozmawiali o wczorajszym meczu, wieczorze spędzonym w kinie albo w knajpie. Nieodłączny blask jarzeniówek, chociaż na dworze było jasno. Jonas zgasił światło i stanął przed zgromadzonymi.

– Dzień dobry wszystkim – powiedział. – Co tam macie? Volker!

Wskazał kolegę w dżinsach i koszulce polo.

– Rozmawiałem z właścicielem mieszkania ofiary – odparł Zimmer. – Jak wiemy, jedna z sąsiadek opowiadała, że Britta Peters skarżyła się, jakoby ten mężczyzna nachodził jej mieszkanie. Bez pytania o zgodę.

– Pamiętamy – rzucił Jonas zniecierpliwiony.

– Cóż, jedyna zbrodnia, o jaką można oskarżyć właściciela mieszkania, niejakiego Hansa Feldmanna, to to, że zanudził prawie na śmierć swojego syna i synową zdjęciami z ostatnich wakacji w Szwecji.

- Ma alibi? – zapytał Jonas.
- Tak. Syn i synowa nocowali u niego.
- Nie mógł wymknąć się na moment?
- Nie można tego wykluczyć – opowiedział Zimmer. – Ale jeśli mamy wierzyć zeznaniom naszego naocznego świadka, to osobą, którą widział on na miejscu zbrodni, nie był Hans Feldmann. Bo ten ma przeszło siedemdziesiąt lat.
- Okej – powiedział Jonas. – Micha.
- Były chłopak odpada – stwierdził Michael Dzierzewski.
- Młodzieńcza miłość? – zapytał Bug.
- Właśnie. Oni bardzo długo byli razem i rozstanie nie było najprzyjemniejsze. Ale to on z nią zerwał, a nie odwrotnie.
- Okej, a więc nie wygląda na to, że to on zabił – skwitował Jonas. – Ale to nie znaczy, że skreślamy go z listy.
- Niestety chyba musimy go skreślić. Był wtedy w podróży. Z nową panią swojego serca, niejaką Vanessą Schneider. Miłosny urlop na Malediwach.
- Okej, coś jeszcze?
- Krótkie pytanie jeszcze w sprawie byłego chłopaka – odezwała się Nilgün. – Wiadomo, dlaczego z nią zerwał?
- Był przekonany, że go zdradza – odpowiedział Dzierzewski. – Ale wszystkie jej przyjaciółki i siostra zarzekają się, że to nonsens i że szukał tylko pretekstu, bo z niego jest, cytuję teraz, „tchórzliwa świnia”.
- No dobrze. Tchórzliwa świnia czy nie, skreślamy go z listy podejrzanych. Coś jeszcze?
- Niewiele – powiedziała Antonia. – Żadnych innych partnerów, żadnych byłych, żadnych konfliktów w pracy, długów, wrogów, zatargów. Można wręcz powiedzieć: Britta Peters była niewyobrażalnie nudnym człowiekiem.
- Albo nieprawdopodobnie dobrym – rzucił Jonas.
- Współpracownicy milczeli.
- No więc dobrze – westchnął. – Nie pozostaje nam nic innego jak dalej szukać tajemniczego nieznanego, którego świadek widziała na miejscu zbrodni.
- Rzekomo widziała – powiedziała Antonia Bug. – Uważam, że siostra kłamie. No bo, proszę was, nawet nasz rysownik mówi, że brzmiało to, jakby tę twarz od początku do końca zmyśliła.
- Jonas westchnął.

– Niektórzy ludzie nie mają pamięci do twarzy – powiedział. – Tym bardziej w takich stresujących sytuacjach. Dlaczego Sophie Peters miałyby zabić swoją siostrę? Natychmiast po tym, jak ją znalazła, zawiadomiła policję. Na jej ubraniu nie było śladów krwi. Nawet charakter ran, które odniosła ofiara, wskazuje na to, że sprawca był znacznie wyższy od Sophie Peters. Według wszelkiego prawdopodobieństwa był to mężczyzna. Ponadto...

– Ja to wszystko wiem – przerwała mu Antonia. – Nie powiedziałam, że uważam, że to siostra jest zabójcą. Ale jeśli kryje mordercę? Nie powiesz mi chyba, że wierzysz w tę historię o tajemniczym nieznajomym.

– To kogo podejrzewasz?

– Bo ja wiem? Może to jej narzeczony? Pamiętasz, jak Sophie Peters zareagowała, gdy zapytałam o przyczynę ich kłótni?

Jonas pomyślał o kartonach w mieszkaniu Sophie. Jej narzeczony się wyprowadzał. Co znaczyło to rozstanie?

– Sophie Peters i jej narzeczony tymczasem się rozstali – powiedział Jonas.

W pokoju zapanowało poruszenie. Antonia uderzyła się otwartą dłonią w udo.

– No proszę! – zawołała. – No proszę!

Jonas uniósł ręce, uciszając wszystkich.

– Czy cokolwiek wskazuje na to, że narzeczony Sophie Peters miał romans z ofiarą? – zapytał.

Volker Zimmer chciał coś powiedzieć, lecz nie zdążył, bo Bug go ubiegła.

– Przyjaciółka Britty Peters zeznała, że rzeczony Paul Albrecht był totalnie zadurzony w Britcie i że Sophie Peters podobno o tym wiedziała. Miała jej to powiedzieć sama Britta.

– Sorry, ludzie – dorwał się wreszcie do głosu Zimmer – ale muszę wam popsuć zabawę. Wczoraj sprawdziłem jeszcze raz tego narzeczonego. Rzeczywiście pokłócił się z Sophie Peters w noc popełnienia zbrodni. A gdy ta wybiegła wściekła z mieszkania, by szukać pocieszenia u siostry, on z dwoma kolegami z kancelarii tak dali w palnik w knajpie, że właściciel musiał ich w końcu wyrzucić i wezwać taksówkę. To nie mógł być on. Ostatecznie odpada.

– Cholera – mruknęła Bug.

Zapadła cisza wyrażająca bezradność.

– W porządku – powiedział Jonas. – Antonia, Michael, porozmawiajcie jeszcze raz z kolegami denatki. Sprawdźcie, czy rzeczywiście chciała się

wyprowadzić, czy już wypowiedziała umowę najmu, może się czegoś dowiedzieć. Volker i Nilgün, porozmawiajcie jeszcze raz z byłym chłopakiem ofiary. Może dowiedzie się czegoś. Może w życiu Britty pojawił się jakiś nowy mężczyzna. Zapytajcie go, dlaczego myślał, że Britta Peters go zdradza. Ja skontaktuję się jeszcze raz z laboratorium.

Gdy jego zespół znowu się rozszedł, Jonas poczuł dojmującą potrzebę, by wyjść na zewnątrz i zapalić papierosa. Stawało się coraz bardziej oczywiste, że jeśli mordercy nie uda się wytypować z otoczenia ofiary, wtedy sprawa bardzo się skomplikuje. Nie będzie mógł dotrzymać obietnicy, którą złożył Sophie.

20

Victor Lenzen patrzy na mnie z pochyloną głową w milczeniu. Wytrzymuję jego wzrok. Nie ustąpię, nieważne, co się stanie.

Znowu siedzimy na swoich miejscach. Wezwałam go do tego, wymachując bronią.

– Gdzie pan mieszkał dwanaście lat temu? – pytam.

Lenzen wydaje z siebie udręczony jęk, ale nic nie mówi.

– Gdzie pan mieszkał dwanaście lat temu?

Powtarzam zwyczajnie pytanie, nie podnosząc głosu. Nie wrzeszczę, tylko pytam, tak jak się nauczyłam.

– Czy znał pan Annę Michaelis?

Wpatruje się we mnie. Ja odpowiadam takim samym spojrzeniem.

To irytujące tak długo patrzeć komuś w oczy. Oczy Lenzena są bardzo jasne, szare, niemal białe. Ta szarość ma dodatkowo różne odcienie, kilka maleńkich zielonych i szarych plamek, i jest obramowana czarnym okręgiem. Oczy Lenzena wyglądają jak zaćmione słońca.

– Czy znał pan Annę Michaelis?

Milczenie.

– Gdzie był pan dwudziestego trzeciego sierpnia dwa tysiące drugiego roku?

Milczenie.

– Gdzie był pan dwudziestego trzeciego sierpnia dwa tysiące drugiego roku?

Nic. Tylko zmarszczone czoło. Całkiem tak, jakby ta data coś mu mówiła i dopiero teraz sobie o tym przypomniał.

– Nie wiem – odpowiada słabym głosem.

Odezwał się. To dobrze.

– Dlaczego mnie pan okłamuje, panie Lenzen?

W filmie odbezpieczyłabym teraz broń, aby przydać wagi moim słowom.

– Gdzie pan mieszkał dwanaście lat temu?

Milczy.

– Proszę mówić, do cholery!

– W Monachium.

– Czy znał pan Annę Michaelis?

– Nie.

– Dlaczego mnie pan okłamuje, panie Lenzen? To przecież bezcelowe.

– Ja nie kłamię.

– Dlaczego zabił pan Annę Michaelis?

– Nikogo nie zabiłem.

– Czy zabił pan więcej kobiet?

– Nikogo nie zabiłem.

– Kim pan jest?

– Co?

– Kim pan jest? Czy jest pan gwałcicielem? Morduje pan, żeby okraść ofiary? Znał pan Annę?

– Annę – powtarza Lenzen i wtedy włosy stają mi dęba. – Nie.

Gdy słyszę z jego ust imię Anny, które można czytać od przodu i wspak, z czego była dumna, działa to na mnie w przedziwny sposób. Drzę. Widzę Annę, która boi się krwi, ale leży w kałuży krwi. Wiem, że nie pozwolę tak po prostu odejść Lenzenowi. Victor Lenzen przyzna się do winy albo umrze.

Nic nie mówi.

– Czy zna pan Annę Michaelis?

– Nie. Nie znam żadnej Anny Michaelis.

Znowu milczenie.

– Gdzie pan był dwudziestego trzeciego sierpnia dwa tysiące drugiego roku?

– Ja... – waha się. – Nie jestem pewny.

Irytuje mnie to. Wie dokładnie, gdzie wtedy był. Wie, do czego zmierzam. Karty już dawno zostały wyłożone na stół. Więc co to ma być?

– Co to ma znaczyć? – pytam, nie mogąc ukryć zniecierpliwienia.

– Pani Conrads, proszę, niech pani mnie wysłucha. Proszę. Proszę to zrobić dla mnie.

Mam go dość. Chciałam go złamać, ale teraz sama mięknę. Nie mogę już znieść jego widoku, jego głosu, jego kłamstw. Już nie wierzę, że się przyzna.

– No dobrze.

– Nie wiedziałem, że straciła pani siostrę – mówi Lenzen, a jego hipokryzja sprawia, że moja uzbrojona ręka zaczyna drżeć.

Jest taki zagubiony, gdy to mówi. Tak, jakby nie był temu wszystkiemu winien. Mam ochotę znowu go uderzyć, mocniej niż za pierwszym razem, więcej niż jeden raz.

Widzi to w moim spojrzeniu i podnosi ręce w uspokajającym geście. Jaki jest pokorny, jak się kuli, niczym zbite dziecko, jak próbuje odwoływać się do mojej litości. Żałosne.

– Nie wiedziałem – powtarza. – Jest mi przykro.

Mam ochotę go zastrzelić. Zobaczyć, jakie to uczucie.

– Naprawdę sądzi pani, że to ja jestem sprawcą?

– Wiem, że to pan jest sprawcą – poprawiam. – Tak.

Lenzen milczy przez chwilę.

– Skąd pani to wie? – pyta wreszcie.

Mimowolnie marszczę czoło.

– Skąd może pani to wiedzieć?

Co to za gra, Victorze Lenzen? Ty to wiesz. Ja to wiem. I ty wiesz, że ja wiem.

– Skąd może pani to wiedzieć? – pyta ponownie.

Coś we mnie pęka, nie mogę już dłużej.

– Bo cię widziałam! – wrzeszczę. – Bo patrzyłam ci w oczy, dokładnie jak patrzę ci w oczy teraz. Więc oszczędź mi tych kłamstw, tego całego teatru, bo cię przejrzałam. Przejrzałam cię.

Serce bije mi strasznie szybko, dyszę jak po sprincie. Lenzen patrzy z niedowierzaniem. Znowu unosi ręce w obronnym geście.

Drzę. Z trudem przypominam sobie, że jeśli teraz go zastrzelę, nigdy nie dowiem się, dlaczego Anna musiała umrzeć.

– To niemożliwe, pani Conrads – mówi Lenzen.

– A jednak.

– Nie znałem pani siostry.

– Dlaczego w takim razie ją zamordowałeś?

– Nikogo nie zamordowałem! Myli się pani!

– Nie myślę się!

Patrzy na mnie jak na krnąbrne dziecko, które za nic nie chce zachowywać się rozsądnie.

– Co się w takim razie wtedy wydarzyło? – pyta.

Zamykam na chwilę oczy, na krótki moment. Czerwone plamki tańczą na mojej siatkówce.

– W jakich okolicznościach zginęła pani siostra? I gdzie? – pyta Lenzen. – Gdybym wiedział coś więcej o tej całej sprawie, wtedy może udałoby mi się przekonać panią...

Boże drogi, daj mi siłę, żeby go nie zastrzeliła.

– Od razu cię rozpoznałam, gdy zobaczyłam cię w telewizji.

Wypływam te słowa w jego stronę.

– Może rzeczywiście kogoś pani widziała...

– Tak, cholera jasna! Oczywiście, że kogoś widziałam!

– Ale nie mnie!

Jak może coś takiego mówić? Jak może coś takiego mówić? Oboje tam byliśmy, jak może tak mówić i myśleć, że w ten sposób się wywinie? Skoro oboje tam byliśmy, w tym pokoju, w ten upalny letni dzień, z zapachem żelaza w powietrzu.

Wzdrygam się, bo Lenzen płynnym ruchem wstaje od stołu. Instyktownie też się podnoszę i celuję wprost w jego pierś. Nieważne, co będzie chciał zrobić, zdążę go powstrzymać. Podnosi ręce.

– Proszę pomyśleć, Lindo – mówi. – Gdybym miał się do czegoś przyznać, już bym to zrobił.

Broń jest ciężka.

– Proszę pomyśleć. Tu chodzi o ludzkie życie, pani jest ławą przysięgłych, teraz to zrozumiałem. Uważa mnie pani za mordercę. I chce mnie pani osądzić, czy tak?

Kiwam głową.

– W takim razie proszę dać mi przynajmniej prawo do obrony – mówi Lenzen.

Znowu kiwam głową, niechętnie.

– Czy ma pani przeciwko mnie jakieś dowody poza tym, że jest pani przekonana, że mnie widziała?

Nie odpowiadam. To pytanie mnie dręczy. Nie mam.

– Proszę pomyśleć, Lindo. Minęło dwanaście lat, prawda? Prawda?

Kiwam głową.

– Minęło dwanaście lat. I nagle w telewizji widzi pani mordercę swojej siostry? Jak bardzo jest to prawdopodobne?

Chciałabym zignorować to pytanie. Sama zadawałam je sobie tak wiele

razy, w te długie noce po trzęsieniu ziemi. Jest mi niedobrze. Głowa mi pęka. Wszystko wiruje.

– Proszę pomyśleć. Jak bardzo jest to prawdopodobne?

Nie odpowiadam.

– Jest pani pewna, że to ja zabiłem? Nie chodzi mi o to, czy jest pani raczej pewna, na dziewięćdziesiąt procent, lecz czy jest pani absolutnie pewna, bez najmniejszych wątpliwości? Jeśli tak, proszę mnie zastrzelić od razu, tu i teraz.

Wszystko wiruje.

– Jest pani absolutnie pewna, Lindo?

Czuję mdłości. Pęka mi głowa, pokój kręci się jak karuzela, kreśląc leniwe elipsy, a ja myślę o tym, że Ziemia porusza się z niepojętą prędkością w pustym, zimnym kosmosie. Mam zawroty głowy.

– Czy dwudziesty trzeci sierpnia dwa tysiące drugiego roku to dzień, kiedy zabito pani siostrę? – pyta Lenzen.

– Tak.

Bierze głęboki oddech. Jakby się nad czymś zastanawiał. Milczy. Jakby podejmował decyzję.

– Wydaje mi się, że już wiem, gdzie byłem tego dnia – mówi w końcu.

Wpatruję się w niego w napięciu. Stoi przede mną z podniesionymi rękami. Przystojny, inteligentny mężczyzna, którego zapewne lubiłabym, gdybym nie wiedziała, co skrywa się pod tą czarującą fasadą. Muszę uważać, aby nie uspił mojej czujności.

– Gdzie została zamordowana pani siostra? – pyta Lenzen.

– Przecież pan doskonale wie.

Czuję, że tracę samokontrolę, i nic nie mogę na to poradzić.

– Właśnie że nie wiem – odpowiada Lenzen. – Zbierając materiały do wywiadu, nie natknąłem się na żadną informację, że miała pani siostrę, która została zamordowana.

– Chce pan wiedzieć, gdzie moja siostra została zamordowana? – pytam. – W swoim mieszkaniu. W Monachium.

Lenzen oddycha z ulgą.

– Nie było mnie wtedy w Monachium – mówi.

Prycham ze złości.

– Nie było mnie wtedy w Monachium i mogę to udowodnić.

Gapię się na niego. Parska krótkim, pełnym ulgi i całkowicie pozbawionym

wesołości śmiechem. I mówi to jeszcze raz, niemal z niedowierzaniem:

– I mogę to udowodnić.

Siada.

Powtarzam sobie w duchu, że muszę uważać, nie dać się nabrać na ten tani blef. Siadam ostrożnie. Lenzen znowu się śmieje. Histerycznie. Sprawia wrażenie człowieka, który przeżył straszne rzeczy, który już pożegnał się z życiem, ale nagle widzi przebłysk nadziei.

Co się dzieje?

– Jeśli nie było pana we wspomnianym czasie w Monachium, to gdzie pan był?

Lenzen patrzy na mnie zaczerwienionymi oczami. Wygląda na absolutnie wyczerpanego.

– W Afganistanie – odpowiada. – Byłem w Afganistanie.

24 - SOPHIE

Wydarzenia minionej nocy jawiły się w jej pamięci jak zły sen. Skulony cień w jej samochodzie, kroki tuż za plecami, nagi atawistyczny strach. Taki sam jak ten, który zapewne czuła Britta w ostatnich chwilach życia.

Sophie zastanawiała się, czy powinna zawiadomić policję, że ktoś ją śledzi. Ale co miałyby powiedzieć? Dla niej to wydawało się takie nierzeczywiste. Jak miałyby wyjaśnić to, co się stało, tej aroganckiej młodej komisarz, od której nie mogła się uwolnić nawet wtedy, gdy wyraźnie mówiła, że chce rozmawiać z komisarzem Jonasem Weberem? To dotykało ją dużo bardziej, niż gotowa była przyznać. Wprawdzie wycofano doniesienie, ale z pewnością policja nie miała o niej najlepszej opinii. Z drugiej strony istniała szansa, że mężczyzna, który gonił ją w garażu podziemnym, został nagrany przez kamery monitoringu. Byłby to niezbity dowód, że ktoś taki istnieje.

Problem polegał na tym, że teraz, w świetle dnia, w bezpiecznych czterech ścianach własnego mieszkania, całe to zdarzenie wydawało się tak bardzo nierzeczywiste. A jeśli policja przejrzy nagrania i nikogo na nich nie będzie? To ostatecznie podważyłoby wiarygodność Sophie.

Poradzi sobie jakoś, tak czy inaczej. Bez niczyjej pomocy. Usiadła przy biurku. Było zavalone notatkami i artykułami prasowymi na temat zabójstwa Britty. Sterta sprzecznych informacji i fałszywych śladów, nieprzebyty gąszcz.

Sophie zakryła twarz dłońmi. Czuła, że jej życie się rozpada. Nie uświadała sobie tego dotąd, było przecież tyle spraw do załatwienia, ciągle się śpieszyła, śpieszyła, aby nie musieć myśleć. Ale teraz nie zostało już nic do zrobienia. Musiała odpocząć.

Dotarła do ściany. Rozmawiała już ze wszystkimi ludźmi z otoczenia Britty i z największą dokładnością zrekonstruowała jej ostatnie dni. Przyjrzała się obu nowym kolegom z firmy, ale żaden nie był nawet minimalnie podobny do mężczyzny, którego zaskoczyła w mieszkaniu Britty. Sprawdziła po kolei wszystkich gości, którzy uczestniczyli w imprezie urządzonej przez Britte

krótko przed śmiercią dla przyjaciółki. Bez rezultatu. Przeczesała profile Britty na portalach społecznościowych w poszukiwaniu nowych znajomych, o których mogła nie wiedzieć – i nic. Za każdym razem, gdy miała wrażenie, że następuje przełom, jej nadzieje natychmiast się rozwiewały. A policja brnęła w ślepią uliczkę w postaci tej głupiej hipotezy, że Britta zginęła w trakcie kłótni z brutalnym kochankiem. Przesłuchali nawet Paula – ale ich podejrzenia okazały się absurdalne. Podobnie jak w przypadku właściciela mieszkania, który miał już pierwsze symptomy starczego otępienia, nic więcej. Beznadziejne. Policja nigdy nie znajdzie mordercy.

Zadzwoiła komórka. Sophie rozpoznała numer rodziców. Nie czuła żadnej potrzeby, by odebrać. Podczas ostatniej rozmowy matka zarzuciła jej, że zachowuje się nienaturalnie, bo nie opłakuje siostry, w dodatku powinna być przy rodzicach, zamiast biegać po mieście i zgrywać Jamesa Bonda. Naprawdę powiedziała „zgrywać Jamesa Bonda”. Dzwonek ucichł. Sophie wpatrywała się w tablicę, na której powiesiła wszystkie informacje i ustalenia dotyczące morderstwa i która zajmowała niemal całą pracownię. Wielu rzeczy nie rozumiała. Jak to możliwe, że nikt nie widział mordercy? Dlaczego ten mężczyzna jej nie zaatakował, przecież była naocznym świadkiem? Co by zrobił, gdyby się nie pojawiła? Dlaczego nie uciekł natychmiast, słysząc, że ona wchodzi do mieszkania? Czy był włamywaczem? Jeśli tak, czemu nic nie ukradł? I co to, do cholery, za szczegół, który nie pasował do całości, a którego nie mogła zidentyfikować bez względu na to, jak bardzo wysilała swoje szare komórki? Ze wszystkich tych dręczących ją pytań, na które być może nigdy nie będzie odpowiedzi, jedno było najgorsze: Dlaczego? Dlaczego jej siostra musiała umrzeć? Kto tak bardzo nienawidził Britty? Britty, która wysłuchiwała każdego, Britty, która tak bardzo troszczyła się o innych, tej Britty! Pozostawało jedno wytłumaczenie: to musiał być obcy człowiek. Ale jak znaleźć obcego?

Nagle mieszkanie wydało się Sophie nie do zniesienia duszne. Sophie wciągnęła sportowe buty, wyszła z domu i ruszyła przed siebie. Była sobota, chyba zbliżał się jakiś mecz, bo gdy dotarła do stacji metra, panował tam potworny tłok. Nie wiedząc, dokąd zmierza, dała się ponieść ludzkiej fali na ruchome schody i wkrótce stanęła na końcu peronu, z którego odjeżdżały pociągi do śródmieścia. Smród strachu i podenerwowania. Wszędzie wokół kibice z piwnym oddechem i agresywnymi przyśpiewkami. Tłum wciągnął

Sophie do pociągu. Stała ściśnięta między trzema osiłkami, w wagonie trzęsło, na twarzy miała plecak jakiegoś mężczyzny, suwak zadrapał ją w policzek, gdy pociąg skręcił, szyby były zaparowane, to już nie ludzie, tylko jedna wielka masa wdychająca w tym samym rytmie wilgotne, niezdrowe powietrze. Sophie próbowała wywalczyć sobie łokciami trochę miejsca, ale ścisk nie ustępował nawet na milimetr, powietrze przestało być powietrzem, było gorącą, zakalcowatą i lepłą substancją, ktoś włączył ghettoblaster, *Seven Nation Army*, zachwycony tłum wybuchnął głośnym rykiem. Sophie zacisnęła zęby. Czowała się jak bomba wypełniona gwoździemi. Na Dworcu Głównym wyrzucona została z wilgotnej duchoty pociągu na peron, tłum porwał ją w kierunku wyjścia. Przepychała się przez ludzki gąszcz, w końcu wyrwała się i zaczęła biec. Gdy przekroczyła próg muzeum, odetchnęła. Tego potrzebowała, jeśli nie chciała zwariować: kilka godzin z ukochanymi malarzami, trochę czasu z Rafaelem, Rubensem i van Goghem, odrobiny piękna, odrobiny zapomnienia. Sophie kupiła bilet, przez chwilę błąkała się tu i tam i w końcu stanęła przed jedną z wersji *Słoneczników* van Gogha. Podziwiała lśniące barwy i nastrój pozornej radości życia, którym tchnął obraz. Na moment zapomniała o swoich lękach i troskach i właśnie wtedy uświadomiła sobie nagle, jaki szczegół w mieszkaniu Britty nie pasował do całości.

21

Znowu zmienia się pogoda, znowu grozi gwałtowna zmiana układu sił. Lenzen nie kuli się już przede mną jak zbity pies. Odzyskał trochę pewności siebie.

– Mam alibi – mówi Victor Lenzen.

Siedzimy w półmroku, nadchodzi burza, słyszę grzmoty, coraz bliższe, i nagle dopada mnie złe przeczucie, że wydarzy się coś przerażającego, gdy burza do nas dotrze. Odpędzam od siebie tę myśl, wmawiam sobie, że moja babka bała się burzy i zaraziła mnie tym strachem, że to przesąd, nic więcej.

Lenzen kłamie. Z całą pewnością. Widziałam go.

– Mam alibi – powtarza.

– Jak zamierza pan to udowodnić? – pytam.

Mój głos jest zachrypnięty. Narasta we mnie strach, zimny i bezlitosny.

– Pamiętam to lato. Dwa tysiące drugiego. Mistrzostwa świata w piłce nożnej w Japonii i Korei. Brazylia i Niemcy w finale.

– Jak zamierza pan udowodnić, że ma pan alibi? – rzucam ponownie ze zniecierpliwieniem.

– Dwudziestego sierpnia poleciałem do Afganistanu – przekonuje Lenzen. – Pamiętam to dokładnie, bo moja była żona ma urodziny dwudziestego pierwszego i się wściekła, że ominie mnie uroczystość.

Mój świat zaczyna się chwiać w posadach.

Ściskam mocniej pistolet, szukam oparcia. To tylko kolejny podstęp.

– Jak zamierza pan to udowodnić? – pytam.

Zmuszam się, żeby oddychać spokojnie.

– Prawie codziennie przesyłałem wtedy relacje. Z miejsca zdarzeń. Interwencja militarna Bundeswehry była stosunkowo świeżą sprawą, ludzie wciąż interesowali się tym, co dzieje się u stóp Hindukuszu. Towarzyszyłem grupie żołnierzy na każdym kroku. Te relacje muszą być gdzieś w internecie. Do dzisiaj.

Wpatruję się w niego. Gęsia skórka pokrywa całe moje ciało. Nie wierzę

mu. Blefuje.

– Proszę sprawdzić – mówi Lenzen, spoglądając zachęcająco w stronę mojego smartfona, leżącego na stole, ale przejrzałam ten jego trik, Bogu dzięki przejrzałam go. Sukinsyn. Liczy na moment mojej nieuwagi, żeby znowu mnie zaatakować i odebrać mi broń, za wszelką cenę, on albo ja, to jego ostatnia szansa.

Potrząsam głową i wskazuję brodą jego własnego smartfona, nie rozluźniając uścisku na kolbie pistoletu. Dobrze pamiętam, jak szybko i zwinnie Lenzen przeskoczył wcześniej nad stołem. Nie dam mu drugi raz takiej okazji.

Zrozumiał i bierze swojego smartfona. Zaczyna coś wstukiwać.

Denerwuję się. A jeśli przewidział moją reakcję i chciał po prostu dorwać się do komórki, żeby zadzwonić na policję?

– Jeśli spróbuje pan jakichś sztuczek, nie wyjdzie pan stąd żywy.

Wzdrygam się w środku na dźwięk tych słów. Dlaczego miałby chcieć wezwać policję, jeśli zamordował Annę?

Nie myślisz już jasno, Linda.

Lenzen spogląda na mnie i zaraz stuka dalej w aparat, ze zmarszczonymi brwiami. W końcu podnosi wzrok. Ma nieprzenikniony wyraz twarzy. Odkłada smartfona na stół i przesuwa go ostrożnie w moją stronę. Biorę aparat, nie spuszczać wzroku z Lenzena. Następnie zerkam w dół i czytam.

„Spiegel” online. Czytam, przewijam, czytam jeszcze raz, przewijam do góry, przewijam w dół. Porównuję nazwiska, daty. „Spiegel” online. Archiwum. Victor Lenzen. Afganistan, 21 sierpnia, 22 sierpnia 2002 roku, 23 sierpnia 2002, 24, 25, 26, 27, 28 sierpnia 2002 roku.

Czytam, czytam, jeszcze raz i jeszcze.

Mój umysł desperacko szuka jakiegoś wytłumaczenia.

– Linda...

Przewijam tekst w górę i w dół.

– Linda!

Słyszę go jak przez ścianę.

– Linda!

Podnoszę wzrok.

– Jak zginęła pani siostra?

Moje dłonie drżą jak u starej kobiety.

– Jak została zamordowana pani siostra? – powtarza Lenzen.

– Siedem ciosów nożem – odpowiadam jak w transie.

Taka wielka wściekłość. I krew, wszędzie krew.

Nie wiem, czy mówię to na głos, czy tylko myślę.

– Linda. To nie ja. Proszę, niechże się pani zastanowi.

Nie rozumiem tego.

W ogóle nie mogę się skupić na tym, co mówi Lenzen. Nie nadążam, to wszystko dzieje się dla mnie zbyt szybko, wciąż próbuję dojść do ładu z tym, że Lenzen zaprezentował mi właśnie alibi. To niemożliwe, to niemożliwe.

– Proszę zrozumieć, co to znaczy – mówi cicho i powoli, jakby zaklinał jadowitego węża. – Nie wymierzy pani sprawiedliwości, jeśli mnie pani zastrzeli. Wręcz przeciwnie. Nieważne, co pani ze mną zrobi, prawdziwy morderca jest ciągle gdzieś tam na wolności.

Te słowa trafiają mnie jak pocisk. Jeśli to nie był Lenzen, to kto?

Nie. Nie. Nie. Widziałam Lenzena.

– Linda? – Wrywa mnie z rozmyślań. – Proszę, niech pani opuści broń.

Patrzę na niego.

Zaczynam powoli rozumieć.

Victor Lenzen był w Afganistanie od 21 do co najmniej 28 sierpnia. Nie mógł zamordować mojej siostry.

Boli mnie głowa, jest mi niedobrze i myślę, że to trwa już tak długo, ból, zawroty głowy, halucynacje, piosenka, ta cholerna piosenka, cień w kącie sypialni, bezsenność, chwilowe zaniki świadomości. Zaczynam rozumieć i to jest nieprawdopodobnie bolesne.

Jestem szalona.

Albo na najlepszej drodze, żeby oszaleć.

Oto prawda, oto moje życie.

Do następstw długotrwałej izolacji należą zaburzony sen, złe odżywianie się, ograniczenie funkcji poznawczych z urojeniami włącznie. Dużo czytam, wiem takie rzeczy.

Moje ataki paniki, trauma, to, że dałam literacko ponieść się tematowi, wyrzuty sumienia z tego powodu, że nie mogłam uratować Anny, długoletnia samotność...

To wszystko układa się w spójną całość. To ma sens, ale niczego nie wyjaśnia. Spoglądam na Lenzena. Przychodzi mi to z większym trudem niż kiedykolwiek.

Mężczyzna siedzący przede mną jest niewinny. Wszystko to, co powiedział, a co w moich uszach brzmiało jak aluzje nawiązujące do morderstwa, było

tylko obserwacjami na temat fikcyjnych postaci z powieści.

Co ty narobiłaś, Linda?

Ból w krtani. To uczucie, kiedy zbiera nam się na płacz, pamiętam je doskonale, chociaż od dobrych dziesięciu lat nie płakałam. Z mojego gardła wyrывa się jeden suchy szloch. Wszystko wiruje. Sufit nade mną pokrywają robaki, wygląda jak pełzający, ruszający się dywan. Tracę kontrolę. Przez chwilę nie wiem już, gdzie jestem. Ani gdzie jestem, ani jak się nazywam, ani co się dzieje. Jestem całkowicie oszołomiona. I jeszcze ten głos.

– Odłóż broń, Lindo.

Głos Lenzena. Teraz dopiero czuję ciężar w dłoni. Wlepiam wzrok w rękę ściskającą broń tak mocno, że bieleją kostki. Lenzen wstaje powoli, z podniesionymi rękami rusza ostrożnie w moim kierunku.

– Odłóż broń, Lindo.

Słyszę go jakby z oddali.

– Spokojnie – mówi. – Tylko spokojnie.

Już po wszystkim. Nie mam siły. Obezwładnia mnie przerażenie z powodu tego, co się właśnie wydarzyło, co zrobiłam. Telefon wypada mi z dłoni, łąduje z trzaskiem na podłodze, drzę na całym ciele. Moje mięśnie przestają funkcjonować, zsuwam się z krzesła, upadłabym, ale Lenzen doskakuje i łapie mnie, trzyma, razem osuwamy się, siedzimy na podłodze, zdyszani, spoceni, przestraszeni, on mnie trzyma, pozwalam na to, nie mam już siły, jestem otępiała, jak sparaliżowana, nie mam innego wyboru niż pozwolić na to. Czekam, trwam. Jestem jak supeł. Supeł w kształcie kobiety, twardy i zakleszczony. Ale coś się zaczyna dziać, płyty tektoniczne mojego mózgu przesuwają się, węzeł się rozplątuje, bardzo powoli, i czuję, że płaczę. Szlocham, drzę w ramionach Lenzena, całkiem w nich zatracona, sól w morzu, pozwalam po prostu, by nieprawdopodobne napięcie wypłynęło z mojego rozdygotanego ciała. Mój mózg szaleje, nie jest w stanie zaakceptować fizycznej bliskości, nie przywykł do niej, a przecież tęskni za nią tak bardzo od dobrych dziesięciu lat. Lenzen ma ciepłe i twarde ciało, jest wyższy ode mnie, moja głowa spoczywa we wgłębieniu między jego szyją a klatką piersiową, jęczę, nie rozumiem, co się dzieje, nie rozumiem, dlaczego robi to, co robi, pozwalam po prostu, by mnie trzymał, czuję się jego częścią, czuję się żywa, to prawie ból. Potem odsuwa się ode mnie i znowu tracę grunt pod nogami. Lenzen wstaje. Patrzy na mnie z góry. Odpływam, próbuję uchwycić się brzegu.

– Ale ja cię widziałam – mówię zupełnie bez sił.

Lenzen patrzy na mnie całkiem spokojnie.

– Wierzę, że jesteś o tym przekonana – mówi.

Patrzmy sobie w oczy, widzę, że mówi szczerze. Widzę jego strach, ulgę i coś jeszcze, czego nie umiem nazwać. Może współczucie?

Znowu milczymy. Cieszę się, że nie muszę nic mówić. Mój mózg myślał nieustannie, na najwyższych obrotach, a teraz przestał i milczy wyczerpany. To dobrze, nie chcę teraz zamartwiać się oficjalnym aktem oskarżenia, skandalem, więzieniem albo psychiatrykiem. Chcę po prostu posiedzieć trochę w ciszy, tak długo, jak to możliwe. Przyglądam się mężczyźnie obok. Często jestem sama, rzadko mam okazję przypatrzeć się uważniej jakiejś twarzy. Więc patrzę na Lenzena, na moich oczach potwór przeistacza się w całkiem normalnego człowieka.

Siedzę tak i pociągam nosem, wsłuchana, jak moje łzy spadają na podłogę. Potem Lenzen podchodzi do stołu i bierze broń. Patrzę tępo i dopiero gdy ścisną pistolet w dłoni, pojmuję, że popełniłam wielki błąd.

– Pani mi ciągle nie wierzy.

To nie pytanie, lecz stwierdzenie. Patrzy na mnie przez chwilę, mówi jeszcze „potrzebuje pani naprawdę profesjonalnej pomocy”, odwraca się i wychodzi.

Patrzę za nim kompletnie zszokowana. Dopiero po upływie kilku chwil otrząsam się z odrętwienia. Słyszę, jak Lenzen otwiera drzwi, odgłos burzy narasta nagle, jakby ktoś podkręcił niewidzialny potencjometr. Słyszę oddalające się kroki Lenzena na żwirowej ścieżce. Podnoszę się chwiejnie, nogi ledwie unoszą mój ciężar, idę za nim. Drzwi wejściowe stoją otworem, serce wali mi jak szalone. Co on robi? Ostrożnie wyglądam na zewnątrz, nie mam pojęcia, która jest godzina, jak długo rozmawialiśmy, krążąc wokół siebie. Na dworze od dawna jest ciemno. Widzę Lenzena w świetle księżyca, z bronią w ręku, idzie zdecydowanym krokiem w stronę jeziora. Zatrzymuje się między jeziorem a skrajem lasu, jakby waha się przez moment, potem podnosi rękę, bierze rozmach i wrzuca pistolet do wody. Zdaje mi się, że słyszę, jak broń trafia w gładką powierzchnię jeziora, ale to absolutnie niemożliwe. Jestem za daleko. W czarno-białym świetle księżyca widzę, że Lenzen odwraca się w moją stronę. Nie można rozpoznać jego twarzy, jest tylko sylwetką, ale czuję na sobie jego spojrzenie. Zastanawiam się, jak wyglądam stamtąd, z jego perspektywy, mała i rozmemłana w drzwiach mojego olbrzymiego, jasno rozświetlonego domu. Patrzmy na siebie ze sporej odległości i przez chwilę myślę, że

Lenzen odwróci się po prostu i odejdzie. Ale robi coś odwrotnego. Rusza w moją stronę. Wraca z własnej woli.

Mianem syndromu sztokholmskiego określa się zjawisko psychologiczne polegające na tym, że w zakładniku budzą się pozytywne emocje wobec porywacza. Wiem takie rzeczy. Przez ostatnie dziesięć, jedenaście lat miałam dużo czasu na czytanie.

Przeszywa mnie dreszcz, nie tylko z zimna, które wdziera się z zewnątrz, ale także dlatego, że uświadamiam sobie, że w tym scenariuszu to ja jestem sprawcą.

Mój Boże, Linda.

Groziłam bronią niewinnemu człowiekowi, uderzyłam go i więziłam w swoim domu. I jeszcze to wszystko nagrałam. Nigdy nie znajdę mordercy swojej siostry. Najlepiej, gdybym wpakowała sobie kulę w łeb. Ale Lenzen właśnie wrzucił moją broń do jeziora.

Znowu staje przede mną. Patrzy na mnie.

– Czy teraz wierzy pani, że nie chcę zrobić pani nic złego?

Kiwam leciutko głową.

– Dlaczego nie zadzwoni pan na policję? – pytam.

– Bo najpierw chcę z panią porozmawiać – mówi. – Czy możemy usiąść?

Prowadzę go na sztywnych nogach do kuchni. Filizanki po kawie i gazety, które porozkładał fotograf w zupełnie innych czasach, w zupełnie innym życiu, znajdują się tam, gdzie wcześniej. Jakby przed chwilą nie nastąpił koniec świata.

– Dlaczego wrzucił pan broń do jeziora? – pytam.

– Nie wiem – odpowiada Lenzen. – Czynność zastępcza.

Kiwam głową. Rozumiem, co ma na myśli.

– Ja... – zaczynam i urywam. Nie wiem, co mam powiedzieć. Nie wiem, jak przeproszać.

– Pani się cała trzęsie. Proszę usiąść.

Osuwam się na krzesło, on siada naprzeciw mnie. Znowu milczymy przez długą chwilę. To już nie jest próba sił, po prostu nie wiem, co mam powiedzieć. Liczę zmarszczki na czole Lenzena. Gdy dochodzę do dwudziestu, jego głos wyrywa mnie nagle z rozmyślań:

– Linda, czy mogę mówić pani po imieniu?

– Każdy, komu choć raz groziłam bronią palną, ma prawo mówić do mnie po imieniu – oświadczam.

Aż dygoczę w reakcji na tę żalospną próbę obrócenia całej sytuacji w żart.
Co to ma, do diabła, być, Linda?

Na Lenzenie nie robi to szczególnego wrażenia.

– Czy jest ktoś, do kogo mogłaby pani teraz zadzwonić? – pyta.

Patrzę na niego zdeorientowana.

– Rodzina? Przyjaciele? – podpowiada.

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że ma ładny głos. Jak ten aktor dubbin-
gujący starzejącego się hollywoodzkiego gwiazdora, nie mogę przypomnieć
sobie nazwiska. Po prostu nie mogę sobie przypomnieć.

– Linda?

– Dlaczego mnie pan o to pyta?

– Myślę, że nie powinna być pani teraz sama.

Gapię się na niego. Nie rozumiem. Groziłam mu śmiercią. Ma prawo
wezwać policję. Albo odpłacić mi pięknym za nadobne. Zemścić się.

– A może ma pan jednak coś do ukrycia i dlatego nie chce pan zawiadomić
policji.

Dopiero sekundę po tym, jak ostatnie słowo wychodzi z moich ust, uświa-
damiam sobie, że nie tylko to pomyślałam, ale też powiedziałam to głośno.

Ale Lenzen nad tym także przechodzi do porządku dziennego. Wydaje się,
że pogodził się z tym, że jestem kompletną wariatką. Bo jestem. Szalona,
wariatka, niebezpieczna dla otoczenia.

Autorka bestsellerów (38) zastrzeliła dziennikarza (53) podczas wywiadu.

Lenzen ma alibi. Lenzen jest niewinny. Potrzebuję czasu, żeby przywyknąć
do nowych faktów.

– Może pani rodzice? – sugeruje.

– Co?

– Może zadzwoni pani do rodziców. Żeby nie była pani sama.

– Nie, tylko nie rodzice. Moi rodzice i ja, my...

Nie wiem, jak to zdanie brzmi dalej.

– Nie rozmawiamy ze sobą zbyt często. – Jednak doprowadzam je do
końca, chociaż właściwie chciałam powiedzieć coś zupełnie innego.

– To trochę nietypowe – mówi Lenzen.

Jego opalone dłonie opierają się o kuchenny stół i nagle czuję szokującą
potrzebę, żeby ich dotknąć. Odrywam wzrok od rąk Lenzena. Omiata mnie
spojrzenie jasnych oczu.

– Co ma pan na myśli? – pytam, gdy jego słowa wreszcie przebijają się

przez otaczającą mnie błonę otępienia.

– No cóż, mówiła mi pani, że pani siostra została zamordowana. Naturalnie nie jestem ekspertem, ale normalnie tego typu dramatyczne zdarzenia zbliżają do siebie członków rodziny.

Mogę tylko wzruszyć ramionami. Słowo „normalnie” nie ma w moim świecie żadnego znaczenia.

– A z nami jest inaczej – mówię w końcu.

Nie powinno go to obchodzić, ale czuję się nieco lepiej, że to powiedziałam. Moi rodzice nie interesują się mną, nie interesują się moimi książkami, nie pozwalają mi nawet kupić im większego domu. Interesuje ich nieżyjąca córka.

Lenzen wzdycha.

– Muszę pani coś wyznać, Lindo.

Wszystkie włoski na moim karku stają dęba.

– Nie byłem z panią całkiem szczery, jeśli chodzi o kontekst naszego wywiadu.

Przełykam ślinę. Nie jestem w stanie wydukać ani jednego słowa.

– Wiedziałem o pani siostrze.

Brakuje mi powietrza.

– Co? – chrypię.

– Zaraz, zaraz, to nie tak, jak pani myśli – dodaje szybko Lenzen, wykonując uspokajający gest.

– Zbierając materiały, natknąłem się na informację o tamtym morderstwie. Dziwi mnie, że nikt tego dotąd nie wygrzebał, ale internet nie był jeszcze takim szaleństwem jak teraz, nie o wszystkim pisano. No nieważne.

Nie nadążam.

– Tak czy owak, znam sprawę pani siostry. Straszna historia. Rozumiem panią, Lindo. Niełatwo poradzić sobie z czymś takim.

– Ale udawał pan, że nie wie nawet, że miałam siostrę.

– Jestem dziennikarzem, Lindo. To oczywiste, że nie wyłożyłem od razu wszystkich kart na stół, lecz chciałem usłyszeć najpierw, co pani ma do powiedzenia na ten temat. Proszę wczuć się w moją sytuację. Główna podejrzana w sprawie morderstwa sprzed wielu lat pisze książkę, w której szczegółowo opisuje to właśnie morderstwo. To przecież sensacja! Ale gdybym wiedział, że jest pani tak... – Przerywa. – Tak przeczulona, wtedy...

Te słowa bardzo powoli przenikają do mojej świadomości.

– Główna podejrzana? – odpowiadam bezbarwnym głosem.

Lenzen patrzy na mnie zaskoczony.

– Nigdy mnie nie podejrzewano – stwierdzam.

– Hm – mruczy Lenzen, jakby nie wiedział, co ma odrzec. – Przypuszczam, że osoba, która znajduje zwłoki, zaliczana jest automatycznie do kręgu podejrzanych.

Głośno przełykam ślinę.

– Co pan wie? – pytam.

Zaczyna się wykręcać.

– Nie sądzę, aby to...

– Co pan wie?! Z kim pan rozmawiał?! – wrzeszczę. – Mam prawo wiedzieć!

Lenzen aż się wzdrygnął.

– Proszę! – dodaję ciszej.

– No dobrze – mówi. – Rozmawiałem z policjantami, którzy prowadzili tamto śledztwo. I naprawdę była pani przez długi czas główną podejrzaną. Nie wiedziała pani o tym?

– Z którymi policjantami? – pytam.

– Nie wiem, czy mogę pani powiedzieć. Czy to takie ważne?

Przed oczami pojawia się ta twarz, jedno oko zielone, drugie brązowe. Nie, niemożliwe!

– Nie – mówię. – Nie takie ważne.

Robi mi się gorąco, powietrze naładowane jest elektrycznością. Tęsknię za deszczem, ale nie nadchodzi. Burza nas ominęła, szaleje gdzie indziej. Słychać tylko wichurę świszczącą dokoła domu.

– To dość oczywiste, że jest pani niewinna – mówi Lenzen. – Nie można było pani nic udowodnić. I nie miała pani żadnego motywu.

Nie mieści mi się w głowie, że rozmawiamy o mojej winie lub niewinności.

– I na to, że nie opuszcza pani domu, też nie może pani nic poradzić – dodaje Lenzen.

– Co?

Przerażenie znowu przenika całe moje ciało.

– Co to ma wspólnego z tamtą sprawą?

– Ależ nic – odpowiada pośpiesznie Lenzen.

– Tylko?

– Tak mi się powiedziało.

– Panu się nigdy nic samo nie mówi.

– Cóż, niektórzy ze śledczych z tamtych lat zinterpretowali pani... wycofanie się z życia, no, jak mam to ująć... jako przyznanie się do winy.

– Moje wycofanie się z życia?

Głos łamie mi się ze złości i rozpacz, ale nie mogę nic na to poradzić.

– Nie wycofałam się! Jestem chora!

– To przecież nie jest moja opinia, powtarzam tylko to, co słyszałem. Są jednak tacy, którzy nie wierzą w tę podejrzaną chorobę, lecz widzą w niej ucieczkę sprawcy. Są ludzie, którzy uważają, że skazała się pani jakby na dobrowolne więzienie.

Kręci mi się w głowie.

– Nie powinienem pani tego mówić – dodaje Lenzen. – Myślałem, że od dawna pani o tym wie. To świetny materiał na artykuł, nic więcej.

– Tak.

Brakuje mi słów.

– Najgorsze są wątpliwości. Cień wątpliwości zawsze pozostaje – ciągnie Lenzen. – To jest najgorsze. Wątpliwość jest jak cień, którego nie można wyciągnąć. To straszne, gdy coś takiego niszczy rodzinę.

Mrugam powiekami.

– Chce mi pan powiedzieć, że moja rodzina, że rodzice uważają mnie za morderczynię?

– Co? Nie! Boże... Nigdy bym...

Nie kończy zdania.

Zastanawiam się, kiedy ostatnio rozmawiałam z rodzicami, ale tak naprawdę, pomijając standardowe „U mnie wszystko okej, a u was?”. Nie pamiętam. Lenzen ma rację. Moi rodzice się ode mnie odsunęli.

A tam na zewnątrz są ludzie, którzy opowiadali Victorowi Lenzenowi, że uważają, że to ja zabiłam swoją siostrę.

Przypominam sobie, że Lenzen wydawał się bardzo zdenerwowany, gdy wszedł do mojego domu. Rozumiem teraz, że ta nerwowość nie brała się z poczucia winy, lecz z tego, że nie wiedział, jak bardzo szalona i niebezpieczna jest pisarka, z którą ma przeprowadzić wywiad.

Victor Lenzen przyszedł nie po to, aby odbyć rozmowę ze światowej sławy autorką bestsellerów, lecz aby dowiedzieć się, czy powieściopisarka jest nie tylko dziwaczką, lecz także morderczynią.

Oboje chcieliśmy skłonić drugie do przyznania się do winy.

W brzuchu czuję rozlewające się bolesne pieczenie, które podchodzi mi do gardła i wydobywa się z ust jako głośny gorzki śmiech. Sprawia mi to ból, ale nie mogę przestać. Śmieję się i śmieję. A potem mój śmiech przechodzi w płacz. Ogarnia mnie paraliżujący strach, że zwariuję do reszty.

Mój strach jest jak głęboka studnia, do której wpadłam. Unoszę się w wodzie, koniuszkami palców u nóg próbuję wyczuć dno, ale nie ma tam nic, tylko czern.

Lenzen patrzy na mnie. Czeka, aż osłabnie i minie wstrząsający mną atak śmiechu. Zostaje tylko ból. Tłumię jęk.

– Dlaczego mnie pan nie nienawidzi? – pytam, odzyskując mowę.

Lenzen wzdycha.

– Widziałem wojnę, Lindo. Walki. I to, co przychodzi potem. Widziałem, jak to wygląda, kiedy już nic nie da się naprawić. Widziałem jeńców wojennych. Dzieci z pourywanymi kończynami. Wiem, jak wygląda ktoś, kto jest głęboko straumatyzowany. W tych ludziach coś pękło, Lindo, widzę to w ich oczach. Nie różnimy się tak bardzo od siebie, pani i ja.

Milczy przez chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Lindo, czy obieca pani, że zostawi mnie pani w spokoju?

Wstyd odbiera mi mowę.

– Oczywiście – dukam z trudem. – Oczywiście.

– Jeśli mi pani obieca, że zostawi pani w spokoju mnie i moją rodzinę, i jeśli pani obieca, że podda się pani leczeniu psychiatrycznemu, to... – zdaje się przez chwilę wahać, potem jakby podjął decyzję – ...jeśli obieca mi pani jedno i drugie, to nikt się o tym nie dowie. O tym, co się dzisiaj wydarzyło.

Patrzę na niego z niedowierzaniem.

– Ale... Co pan powie w redakcji? – pytam bezbarwnym głosem.

– Że nie czuła się pani dobrze. Że musieliśmy przerwać wywiad. I że nie będzie powtórki.

Mój umysł nie nadąża.

– Dlaczego? Dlaczego pan taki jest? Zasługuję na karę.

– Myślę, że spotkała już panią wystarczająca kara.

Patrzę na niego. On patrzy na mnie.

– Czy może mi pani obiecać te dwie rzeczy? – pyta Lenzen.

Kiwam głową.

– Obiecuję – mówię.

Jest to właściwie tylko chrapliwy skrzek.

– Mam nadzieję, że odnajdzie pani spokój.

Potem odwraca się i wychodzi. Słyszę, jak bierze w korytarzu płaszcz z wieszaka, idzie do jadalni, żeby zabrać marynarkę i teczkę.

Wiem, że opuści na zawsze mój obszar działania, gdy tylko przekroczy próg. Wiem, że wtedy nigdy już go nie zobaczę, że już nic nie będę mogła zrobić.

A co chciałabyś zrobić?

Słyszę kroki Victora Lenzena w korytarzu. Słyszę, jak otwierają się drzwi wejściowe. Stoję w kuchni i wiem, że go nie zatrzymam. Drzwi zatrząskują się za nim. Cisza zalewa cały dom jak powódź. Już po wszystkim.

Deszcz jednak nadszedł. Wiatr zacina nim w moje kuchenne okno, jakby chciał zbić szybę. Wkrótce jednak opada z sił i w końcu całkiem ustaje. Burza jest już tylko wspomnieniem, niemym pobłyskiem w oddali.

Po prostu stoję, jedną ręką oparta o stół, żeby nie upaść, i próbuję sobie przypomnieć, jak się oddycha. Każdy oddech muszę wykonać świadomie, moje ciało przestało robić to za mnie automatycznie, więc koncentruję się na tym. Na nic innego nie ma siły, nie myślę o niczym. Przez długi czas tylko tak stoję.

Jedna myśl do mnie dociera i skłania mnie do tego, by ruszyć się z miejsca, i dziwiąc się, że ręce i nogi, i wszystko inne ciągle funkcjonuje, idę przez kolejne pomieszczenia i po schodach na górę, popycham drzwi i wtedy go znajduję. Śpi, ale budzi się, gdy siadam obok niego, budzi się najpierw jego nos, potem ogon, potem reszta ciała. Jest zmęczony, ale się cieszy.

Sorry, że cię obudziłam, stary. Nie chcę być sama dziś w nocy.

Zwijam się w kłębek obok niego, tak po prostu na podłodze, częściowo na jego kocyku. Przytulam się do niego mocno, próbuję ogrzać się trochę jego ciepłem, ale on się wykręca, nie podoba mu się to, potrzebuje przestrzeni, nie jest pieśczochem, wolność, przestrzeń, miejsce. Wkrótce Bukowski z powrotem zasypia i śni swoje psie sny. Leżę jeszcze chwilę i nadal próbuję nie myśleć o niczym, ale coś zwierzęcego budzi się w mojej piersi i znam straszliwe imię tego czegoś, i próbuję nie myśleć o niczym, ale we wspomnieniu powracają objęcia Lenzena, to, jak były mocne, ciepłe, i jeszcze to uczucie w żołądku, jakbym swobodnie spadała, i próbuję ciągle nie myśleć o niczym, ale myślę o objęciach Lenzena i o zwierzęciu w mojej piersi, i jego straszliwym imieniu: tęsknota. I wiem, że jestem żalosna, i jest mi to obojętne.

Wiem, że nie chodzi o Lenzena, że to nie za jego objęciami tęsknię, że moja tęsknota nie dotyczy tego mężczyzny, wiem, kogo dotyczy, ale nie wolno mi o tym myśleć.

Lenzen tylko to we mnie wyzwolił, a teraz bołą mnie wspomnienia o tym, jak mogłoby być, wśród ludzi, spojrzenia, dotyk, ciepło, nie chcę o tym myśleć, a i tak pograżam się we wspomnieniach. A potem znowu włącza się racjonalna część mojego mózgu, tak po prostu, okres ochronny minął, i myślę: policja przyjedzie lada chwila.

Wiem, że popełniłam przestępstwo, mało tego, sama je utrwalłam. Wszystkie te mikrofony i kamery w moim domu. Dopuściłam się złych rzeczy; przyjedzie policja i mnie aresztuje, nieważne, co Lenzen mówił przed chwilą, gdy tylko znowu zacznę jasno myśleć, zadzwoni na policję. Ale to nie ma większego znaczenia: czy będę dalej wegetowała samotnie tutaj, z supłem tęsknoty w sercu, czy w więzieniu.

Więc nie robię nic, nie niszczę nagrań z kamer, które tak bezlitośnie udokumentowały mój obłąd. Kładę się na łóżku i czekam, i cieszę się, że wydarzenia ostatnich godzin nie przenikają do mojej świadomości, bo wiem, że jest tam tak wiele rzeczy, które mogłyby mnie boleśnie skaleczyć. I w tym momencie wydarza się to, pojawia się myśl, ubrana w głos Lenzena, chociaż jest to także moja myśl: „Najgorsze są wątpliwości. Cień wątpliwości zawsze pozostaje. To jest najgorsze. Wątpliwość jest jak cierń, którego nie można wyciągnąć. To straszne, gdy coś takiego niszczy rodziny”.

Myślę o rodzicach. O tym, jacy byli po tej straszliwej nocy i w zasadzie już zawsze potem. Przytłumieni. Jakby ktoś przyciszył im głośność. Jak ostrożnie się ze mną obchodzili. Jakbym była ze szkła. Ostrożnie i... z dystansem. Z uprzejmością, jakbym była obcą osobą. Staralam się zawsze interpretować to jako delikatność, ale w gruncie rzeczy wiedziałam, że jest w tym jeszcze coś innego, nie trzeba było Victora Lenzena, bym sobie uświadomiła, co to jest. Wątpliwości.

Linda kochała Annę. Nie, przecież Linda nie miała żadnego motywu. Nie, Linda nie byłaby zdolna do czegoś takiego i niby dlaczego miałyby to zrobić, niemożliwe. Nie, nigdy, absolutnie, zupełnie nieprawdopodobne. Ale co, jeśli jednak?

W końcu żyjemy w świecie, w którym wszystko jest możliwe, w którym dzieci powstają w próbkach, a roboty badają Marsa; w którym teleportuje się małe cząstki z A do B, w świecie, w którym wszystko, wszystko jest możliwe. Dlaczego więc nie to? Cień wątpliwości zawsze pozostaje.

Nie mogę tego znieść. Siadam na łóżku i sięgam po telefon, wybieram numer, którego moi rodzice używają od przeszło trzydziestu lat i którego już

tak dawno nie wybierałam, i czekam. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, ile to już lat minęło? Pięć? Osiem? Myślę o szufladzie w kuchni, pełnej kartek świątecznych od rodziców, bo tak właśnie obchodzimy Boże Narodzenie: pisząc do siebie kartki. Nie rozmawiamy od śmierci Anny. Skończyły nam się słowa. Z długich rozmów zrobiły się zdania, ze zdań pojedyncze słowa, ze słów sylaby, a potem całkiem zamilkliśmy. Jak to możliwe, że zaszło to tak daleko? Czy możemy wrócić do kartek pocztowych, jedynej rzeczy, która chroni nas przed całkowitym zerwaniem kontaktu? Do rozmów? A jeśli moi rodzice naprawdę uważają mnie za morderczynię? Co wtedy?

Naprawdę chcesz to wiedzieć, Linda?

Tak, chcę wiedzieć.

Dopiero gdy rozlega się pierwszy sygnał, przychodzi mi do głowy pytanie: Która może być godzina? W tym innym świecie, w którym żyją moi rodzice, ma to dużo większe znaczenie niż w moim. Rozlega się drugi sygnał, rzucam nerwowe spojrzenie na zegarek, jest trzecia w nocy, cholera, za późno, straciłam tyle czasu, jak długo stałam w kuchni i gapiłam się w przestrzeń, jak długo przyglądałam się śpiącemu psu, jak długo leżałam, podczas gdy zimne oczy kamer monitoringu patrzyły na mnie z góry jak obojętni bogowie? Chcę już odłożyć słuchawkę, myślę, że jest za późno na rozmowę, rozlega się kolejny sygnał, a potem słyszę zatrwożony głos matki.

– Halo?

– Halo. Tu Linda.

Matka wydaje z siebie odgłos, którego nie umiem zidentyfikować, jęk, bolesny i głęboki, nie wiem, co oznacza. Szukam właściwych słów, słów, które wyjaśniłyby, dlaczego wyciągnęłam ją w środku nocy z łóżka, no i że muszę ją o coś zapytać, a to mnie wiele, bardzo wiele kosztuje, gdy nagle w słuchawce słyszę trzask i ciągły sygnał oznaczający, że połączenie zostało przerwane. Dopiero po dłuższej chwili dociera do mnie, że matka odłożyła po prostu słuchawkę.

Odkładam telefon i gapię się przez chwilę na ścianę, potem opadam znowu na łóżko.

Nazywam się Linda Conrads. Mam trzydzieści osiem lat. Jestem pisarką, jestem morderczynią. Dwanaście lat temu zabiłam swoją młodszą siostrę Annę. Nikt nie potrafi wyjaśnić przyczyny. Prawdopodobnie sama jej nie znam. Prawdopodobnie jestem po prostu szalona. Jestem oszustką i morderczynią. Oto moje życie. Oto prawda. Przynajmniej dla moich rodziców.

Czarna myśl, która błąka się luzem w mojej podświadomości, odrywa się nagle od innych i wypływa na powierzchnię, duża i ciężka, tworzy wir, który wsysa inne myśli. Głos Lenzena.

– Disneyowska księżniczka na swoim tronie. Gdybym był kobietą, to na miejscu Sophie czułbym do Britty wstręt.

Myślę: tak jak ja.

Ból, który towarzyszy temu nowemu odkryciu. Wspomnienia. Tak, czułam do niej wstręt, tak, nienawidziłam jej, tak, byłam zazdrosna, tak, uważałam, że to nie w porządku, że moi rodzice ją faworyzują, tę mniejszą, ładniejszą, tę, która tak dobrze umiała nimi manipulować, tę, która wyglądała tak ślicznie i niewinnie z blond włosami i wielkimi dziecięcymi oczami, dzięki którym owijała sobie wszystkich wokół palca, wszystkich poza mną, bo ja wiedziałam, jaka jest naprawdę, wiedziałam, jak potrafi być okrutna, jak bezwzględna, jak nieczuła, jak nieskończenie podła.

Mama i tata ci nie uwierzą, założymy się?

Podoba ci się ten facet? To ja zaciągnę go do domu, założymy się?

Nic dziwnego, że Theo w pewnym momencie nie mógł już jej znieść, po tylu latach związku mógł zajrzeć za dekoracje, poznał ją tak dobrze jak ja. Przy czym to nie do końca prawda – nikt nie znał Anny tak dobrze jak ja.

Ależ nie, Anna nie zrobiłaby czegoś takiego, czegoś takiego Anna nigdy by nie powiedziała, musiałas coś źle zrozumieć, przecież jest jeszcze mała; Anna miała niby coś takiego zrobić? To na pewno jakieś nieporozumienie, to nie w jej stylu, szczerze, Linda, dlaczego ty musisz ciągle zmyślać takie bzdury?

Anna, Anna, Anna. Anna, która umiała nosić białe ubrania i ich nie ubrudzić, Anna, dla której chłopcy nagrywali składanki na kasetach, Anna, która odziedziczyła pierścionek po naszej babci. Anna, której imię można było czytać zarówno od przodu, jak i wspak, podczas gdy moje imię czytane od tyłu brzmi jak nieporozumienie.

Gdy twoje imię czyta się od tyłu, to wychodzi Adnil, brzmi to jak Adolf albo Nadnie, tylko się znowu od razu nie wściekaj, Adnil, to przecież tylko żarty, Adnil, ha, ha, ha, ha, ha.

Święta Anna.

Tak, czułam wstręt do swojej siostry. Oto prawda. Oto moje życie. Właściwie nie chcę o tym myśleć. Nie chcę o niczym myśleć. Ani o policji, która wciąż nie przyjeżdża, chociaż już powinna przyjechać, ani o rodzicach, ani

o Victorze Lenzenie, ani o moich własnych czarnych przeczuciach.

Sięgam do stolika nocnego, otwieram szufladę, odnajduję pudełko tabletek, duże, z Ameryki, kocham internet, wytrząsam kilka tabletek na rękę, połykam, popijając odstaną wodą, smakuje jak płynny plastik, krótki odruch wymiotny, dokładnie w tym momencie uświadamiam sobie, że jestem głodna, mój żołądek się buntuje, mój żołądek pełen tabletek, zwijam się w pozycję płodową i czekam, aż skurcze ustana. Chcę tylko spać. Jutro jest nowy dzień. Albo i nie – przy odrobinie szczęścia. Mój żołądek jest jak zaciśnięta pięść, w ustach zbiera się słona ślina, mimowolnie myślę o kałuży szoku, jadu i żółci, którą Victor Lenzen zostawił na podłodze w jadalni i której ciągle jeszcze nie uprzątnęłam, i wszystko wokół mnie wiruje. Z dłonią na ustach zsuwam się z łóżka, idę chwiejnie do drzwi, Bukowski rzuca w moim kierunku krótkie spojrzenie, widzi, że nie może mi pomóc, zataczam się, docieram do łazienki na piętrze i w ostatnim momencie docieram do umywalki, by zwymiotować w jej porcelanę mieszaninę strachu i tabletek. Odkręcam wodę, czekam kolejną chwilę, znowu wymiotuję, nagle cała spocona, nagle zmarznięta.

Stoję przed lustrem i przyglądam się swojej twarzy. Patrzy na mnie obca kobieta. Marszczę brwi i przyglądam się fałdzie dzielącej czoło na pół, jest jak rysa, i widzę nagle, że to nie jest moja twarz, ta, która patrzy na mnie z drugiej strony, lecz maska. Unoszę brwi i na masce pojawiają się kolejne rysy, rozgałęziają się, coraz dalej i dalej, przerażona przyciskam ręce do głowy, próbuję pochwycić odłamki, by nie upadły na podłogę, nie roztrzaskały się, ale już za późno, uruchomiłam proces, którego nie mogę zatrzymać, gdybym nawet chciała. Rezygnuję. Moja twarz spada z trzaskiem na podłogę, a pod nią nie ma nic, pustka.

Czy zwariowałam?

Nie, nie zwariowałam.

Po czym można poznać, że się nie zwariowało?

To się po prostu wie.

A skąd się wie, że się zwariowało?

To się po prostu wie.

Ale kiedy się zwariowało – skąd można to wiedzieć? Skąd można cokolwiek wiedzieć na pewno?

Przysłuchuję się dwóm głosom spierającym się w mojej głowie i nie wiem już, który z nich jest głosem rozsądku.

Leżę znowu w łóżku, całkiem cicho, a moje myśli pędzą jak szalone. Boję

się. Jest mi zimno.

Potem do mojej świadomości przenika dziwny dźwięk, brzęczenie, nie, dudnienie, narasta, zanika, rozbrzmiewa na nowo, tętni, jest żywy i groźny, rozlega się coraz głośniejszy, głośniejszy, głośniejszy, zatykam sobie uszy, dyszę, niemal się przewracam, opuszczam ręce i uświadamiam sobie, że to, co słyszę, to cisza. Po tym dniu, który miał wszystko rozstrzygnąć, pozostała tylko ona. Cisza. Siadam, nasłuchuję przez chwilę, wreszcie przebrzmiewa bez śladu. Nie ma już nic. Tylko chłód nocy. Wszystko jest przytłumione, serce bije mi powoli i ociężale, jakby nie wierzyło już, że ta syzyfowa praca ma jakikolwiek sens, oddech jest płytki, krew krąży powoli jakby znużona, a myśli stoją w miejscu. Nie myśleć o niczym, tylko ta para pięknych oczu o różnych kolorach.

A potem nagle siadam w łóżku i nagle trzymam w ręku telefon, nie wiedząc, co chcę zrobić, i wybieram numer.

Serce mi wali jak szalone, oddech się rozpędza, krew znowu płynie, myśli kotłują się, bo wreszcie zatelefonuję, odbędę rozmowę, którą odwlekam od jedenastu lat. Numer znam na pamięć, wybierałam go wystarczająco często, po czym natychmiast odkładałam słuchawkę, dziesiątki, setki razy. Ledwie jestem w stanie znieść pierwszy sygnał, całkiem odruchowo chcę od razu przerwać połączenie, ale się pohamowuję. Rozbrzmiewa drugi sygnał, trzeci, czwarty, i myślę, niemal z ulgą, że go nie ma, gdy nagle odbiera.

25 - JONAS

Komórka Jonasa Webera zaczęła wibrować już po raz trzeci w ciągu pół godziny. Wyjął ją z kieszeni spodni, spojrzął na wyświetlacz i zobaczył, że to Sophie dzwoni. Przeklął się w myślach za to, że dał jej numer. Stoczył krótką wewnętrzną walkę, wreszcie odebrał.

– Weber.

– Tu Sophie Peters – dało się słyszeć w słuchawce. – Muszę z panem koniecznie porozmawiać.

– Sophie, teraz akurat za bardzo nie mogę – powiedział i poczuł, że spojżenia Antonii Bug i Völkera Zimmera wędrują w jego kierunku, gdy wymówił jej imię. – Może później do pani oddzwonię?

– To zajmie tylko chwilę. To naprawdę, naprawdę ważne – powiedziała Sophie.

Ton jej głosu zaniepokoił Jonasa. Brzmiał dziwnie, jak głos maniaka.

– Okej. Proszę poczekać.

Rzucił kolegom przeproszające spojrzenie i opuścił miejsce przestępstwa. Właściwie był zadowolony, że może wyjść na zewnątrz.

– Okej, mam tylko chwilę – powiedział.

– Jest pan akurat na zebraniu czy coś takiego?

– Coś takiego.

– Sorry. Taka sprawa... byłam właśnie w muzeum. I oglądałam *Słoneczniki* van Gogha. I... Pamięta pan, jak powiedziałam, że to musi być ktoś obcy? Że nikt, kto znał Britte, nie mógłby zrobić jej nic złego? A pan powiedział, że robię z niej anioła. Ona była aniołem, rozumie pan? Czymś w rodzaju anioła.

– Sophie – powiedział Jonas. – Proszę mówić wolniej, nie nadążam!

– Od początku wiedziałam, że w mieszkaniu Britty coś nie pasowało. Mówiłam to panu, pamięta pan? Że sprawca zostawił coś, jak seryjni mordercy w filmach. To było coś, co nie pasowało do całości, nie wiedziałam tylko, co to jest. Ale teraz już wiem.

Mówiła chaotycznie, z trudem łapiąc powietrze.

– Spokojnie – powiedział Jonas, starając się zachować cierpliwość. – Proszę wziąć głęboki oddech. Dobrze. A teraz proszę mówić dalej.

– No więc mówiłam, że to na pewno seryjny morderca, szaleniec, a pan powiedział, że w prawdziwym świecie nie ma seryjnych morderców, że to się zdarza bardzo rzadko, że ofiara najczęściej ginie z ręki swojego partnera życiowego.

– Pamiętam bardzo dobrze, Sophie. Do czego pani zmierza?

– I powiedział pan, że to nie może być seryjny morderca, choćby dlatego, że nie ma serii, że nie ma porównywalnego przypadku. A jeśli Britta jest pierwsza? Jeśli to początek serii? Co, jeśli będzie zabijał dalej?

Jonas milczał.

– Jest pan tam jeszcze? Jonas?

– Tak, jestem.

Mówiła jak nakręcona, ale Jonas zrozumiał, że musi jej pozwolić się wygadać, że przerywanie na nic się nie zda.

– Dobrze. Więc w każdym razie... powiedziałam panu właśnie, że byłam w muzeum. I stałam przed *Słonecznikami* van Gogha. Pamięta pan, jak panu mówiłam, że w mieszkaniu Britty coś się nie zgadzało? Wiem co. Nie mam pojęcia, dlaczego wcześniej na to nie wpadłam, miałam jakąś blokadę w mózgu. Prawdopodobnie było to zbyt oczywiste, a ja szukałam czegoś niepozornego, ukrytego szczegółu. Cholera, wiedziałam, wiedziałam!

– To kwiaty – powiedział Jonas.

Sophie milczała przez moment zszokowana.

– Wiedział pan? – zapytała wreszcie.

– Teraz wiem – odparł, starając się mówić spokojnie. – Proszę posłuchać, Sophie, naprawdę muszę wracać do pracy.

– Rozumie pan, co to znaczy, Jonas? – spytała Sophie rozemocjonowana, nie zwracając uwagi na jego słowa. – Morderca zostawił u Britty kwiaty! Jaki morderca, działający w afekcie albo z niskich pobudek, kładzie kwiaty obok ofiary?

– Porozmawiamy o tym spokojnie później, Sophie – powiedział Jonas.

– Ale...

– Zadzwoń do pani zaraz po zebraniu, obiecuję.

– Zostawił je morderca, rozumie pan? To nie były kwiaty Britty! Britta nie lubiła ciętych kwiatów! Każdy to wiedział! Prawdopodobnie kwiaty to jego

znak rozpoznawczy! Jeśli to prawda, zrobi to ponownie! W tym kierunku powinniście prowadzić śledztwo. Może będziecie mogli jeszcze temu zapobiec!

– Sophie, porozmawiamy później, obiecuję.

– Ale muszę panu coś jeszcze po...

– Później.

Rozłączył się, włożył komórkę do kieszeni i wrócił do dusznego mieszkania.

Miejsce przestępstwa, które jego koledzy właśnie szczegółowo badali, bardzo przypominało to, co zastali w mieszkaniu Britty Peters. Na podłodze w salonie leżała kobieta o blond włosach. Miała na sobie ubranie, które było kiedyś białe, a teraz niemal całkowicie przesiąknięte krwią. Była tak podobna do Britty Peters, że mogłaby być jej siostrą. Ona też mieszkała sama, też na parterze. Gdy przybył na miejsce pierwszy patrol policji, zastał drzwi na taras otwarte na oścież.

W głowie Jonasa rozbrzmiewały słowa Sophie: „Prawdopodobnie kwiaty to jego znak rozpoznawczy!”.

Jonas podszedł do kolegów i rozejrzał się po mieszkaniu. W porównaniu z poprzednim miejscem przestępstwa była jedna wielka różnica. Nikt nie zaskoczył sprawcy i dlatego kwiaty nie leżały luzem na podłodze, jak gdyby ofiara trzymała je w ręku, a potem upuściła, gdy została zaatakowana. Nie, tutaj scena wyglądała zupełnie inaczej.

Znowu słyszał głos Sophie: „Zrobi to ponownie! Może będziecie mogli jeszcze temu zapobiec!”.

Przyglądał się zwłokom młodej kobiety. Trzymała w ręku mały, starannie ułożony bukietik białych róż, tworzący straszliwy kontrast z ciemną, zaschniętą krwią, w której leżała.

Było za późno.

Siedzę przy oknie i patrzę na jezioro. Czasami na skraju lasu dostrzegam zwierzęta. Lisa, królika. Sarnę, jeśli mam dużo szczęścia. Ale teraz nie ma nic. Patrzyłam, jak wschodzi słońce.

Nie spałam, jak mogłabym spać tej nocy, skoro mój świat rozsypał się ponownie? Po tym telefonie.

Było wręcz słyszeć, jak siada na łóżku, gdy się przedstawiłam. Najpierw ze słuchawki dał się słyszeć szelest, a potem usłyszałam jego pełen napięcia głos.

– Linda! – powiedział. – Boże drogi!

Mimowolnie przełknęłam ślinę.

– Jest szósta rano! – dodał, nagle zaniepokojony. – Czy coś się stało? Czy potrzebuje pani pomocy?

– Nie – mówię. – Tak naprawdę to nie. Przepraszam, że panu przeszkadzam...

Zapadła cisza.

– Nic się nie stało. Jestem tylko po prostu bardzo zaskoczony, że się pani odzywa.

Nie mieści mi się w głowie, że mówi do mnie per pani. I ten jego profesjonalizm, ta wytrenowana beznamietność, która natychmiast wzięła górę. I to zdziwienie, i to... wszystko inne wyparł.

– Jak mogę pani pomóc?

Napisałam właśnie powieść, w której jesteś głównym bohaterem. Co u ciebie?

Biorę się w garść. Zmuszam się, żeby mówić do niego na pan, tak jak on do mnie. Naprawdę mnie nie pamięta? Może to lepiej.

– Nie wiem, czy jeszcze pan pamięta. Prowadził pan wtedy śledztwo w sprawie morderstwa mojej siostry – mówię.

Milczy przez chwilę.

– Oczywiście, że panią pamiętam – mówi wreszcie.

Mówi całkowicie neutralnym tonem. Jestem zawiedziona, ale przełykam tę gorzką pigułkę.

Czego oczekiwałaś, Linda?

Próbuję przypomnieć sobie, o co mi chodziło.

Tu nie chodzi o ciebie, Linda.

– Muszę pana o coś zapytać – mówię.

– Słucham.

Znowu beznamiętnie. W tym głosie... nie ma nic.

– Więc chodzi o sprawę mojej siostry. Nie wiem, czy pan jeszcze pamięta. Ale to ja ją znalazłam wtedy i...

– Pamiętam. Obiecałem pani wtedy, że znajdę zabójcę, ale nie dotrzymałem obietnicy.

Także to mówi całkiem neutralnie. Ale pamięta. Nawet to.

Śmiało, Linda. Zapytaj go.

– Jest coś, co mi nie daje spokoju.

– Tak?

Zapytaj go!

– No więc najpierw przepraszam bardzo, jeśli pana obudziłam, to fatalna pora, żeby do kogoś dzwonić, wiem...

Nie komentuje tego.

Zapytaj go.

– No więc – przełykam ślinę – wtedy nie zdawałam sobie sprawy, że byłam główną podejrzaną.

Przerywam, czekam na zaprzeczenie, które nie nadchodzi.

– I, no cóż. Muszę po prostu wiedzieć, czy pan...

Słyszę jego oddech.

– Czy uważał mnie pan za sprawcę?

Nic nie mówi.

Zastanawia się?

Czeka, aż zacznę mówić dalej.

Milczenie.

Myśli, że chcesz się w końcu przyznać, Linda. On czeka na twoje wyznanie winy.

– Julian? – pytam.

Brakuje mi naszych rozmów, tak bardzo chciałabym usiąść z tobą i słu-

chać, jak mnie przekonujesz, że liryka może być cudowna, i chcę wiedzieć, co dalej stało się z twoją irytującą młodą koleżanką i czy twoja żona rzeczywiście się wtedy wyprowadziła, i czy ciągle go masz, ten wir we włosach, z tyłu głowy? I w ogóle co u ciebie słychać? Tęskniłam za tobą, miałam poczucie, że jesteśmy pokrewnymi duszami.

– Julian – mówię. – Muszę to wiedzieć.

– Prowadziliśmy wtedy śledztwo we wszystkich kierunkach, tak jak należało.

Wymijająco.

– Ale nie udało nam się znaleźć zabójcy. Nie wiemy nawet, czy to był mężczyzna, czy kobieta.

Mężczyzna czy kobieta? Dlaczego to nie miałyby być siostra?

Cholera.

– Proszę wybaczyć, nie mogę teraz za bardzo rozmawiać. Nie wiem, czy to jest dobry moment na rozmowę. Może pomówimy bardziej szczegółowo kiedy indziej?

Gdy już ustali z kolegami, jak ma się zachować w sytuacji, kiedy główna podejrzana sprzed lat nawiązuje nagle kontakt. Gdy już będzie jasne, jak najlepiej doprowadzić cię do przyznania się do winy, Linda.

– Dziękuję – mówię głucho i się rozłączam.

Julian – nie, komisarz Julian Schumer – uważa, że jestem winna. Jestem sama. Stoję w swoim wielkim salonie i przez wielką szybkę patrzę na jezioro. Wszystko wokół ucichło i we mnie też jest cicho. Nagle jakby coś się we mnie włącza. I przypominam sobie.

Jest lato, gorąco, letni upał i nawet zapadająca noc nie przynosi ulgi. Duszno, powietrze jest odstępne i mdłe, koszule nocne lepią się do ud, wszędzie dzieci, które przewracają się z boku na bok na prześcieradłach tylko po to, żeby jednak w końcu wstać, mammo, nie mogę zasnąć. Drzwi na taras otwarte na oścież, zasłony falujące lekko na wietrze, syte, zadowolone komary. Elektryczność w powietrzu, marudzące niemowlęta, kłócące się pary. Jak też się pokłóciłam, krzyczałam i szalałam, rzucałam przedmiotami, popielniczka, książki, filiżanki, doniczki, moja komórka, jego komórka, wszystko, co mi wpadło w ręce, buty, rzeczy zupełnie bez sensu, po prostu wszystko, poduszki, jabłka, lakier do włosów, moje okulary przeciwsłoneczne. I Marc, śmiejący się, już się nie powstrzymywał, totalnie ci odbiło, księżniczko, zupełnie osza-

łałaś, mówię całkiem szczerze, lepiej przestań tyle pić, a ja jeszcze bardziej wściekła, mój Boże, jak mogłaś w ogóle coś takiego pomyśleć, twoja siostra i ty, naprawdę śmiechu warte, jakiś obłąd, księżniczko, spotkałem ją całkiem przypadkiem, to miasto jest małe, mój Boże, na jedno cappuccino, skąd miałem wiedzieć, że to zabronione napić się kawy z siostrą swojej narzeczonej, rany boskie, ona miała rację, zaraz umrę ze śmiechu, a ja myślałem, że to jej kompletnie odbiło, a okazuje się, to ona miała rację, zaraz padnę! A mnie kończy się amunicja, a mnie jest gorąco, T-shirt klei się do pleców i piersi, i przestaję, dyszę, dyszę, patrzę na niego i mówię:

– Co masz na myśli?

Patrzy na mnie, staje w miejscu, nie musi już robić uników, śmieje się, prycha, bo nie tylko jestem śmieszna, ale też śmiesznie argumentuję, koń by się uśmieł, naprawdę, koń by się uśmieł. Beznadzieja.

– Ale że co mam na myśli?

– Co masz na myśli, mówiąc, że ona ma rację.

Marc kręci głową, prycha ze złości, unosi zniecierpliwiony brwi, tylko na moment, zirytowany, że jestem taka głupia.

– Więc jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, Anna powiedziała mi, żebym ci lepiej nie mówił, że się spotkaliśmy, bo dostaniesz szału.

Na moment robi mi się słabo z wściekłości. Staram się na niego nie patrzeć, nie mogę teraz na niego patrzeć, bo wybuchnę, szukam jakiegoś punktu zaczepienia, koncentruję się na gazecie, która leży na stole, próbuję skupić się na tytule, misja Bundeswehry w Afganistanie, na zdjęciu autor artykułu, wpatruję się w niego, ogorzała twarz z niezwykle jasnymi oczami, próbuję się uspokoić, obraz rozmywa się, wpatruję się intensywniej, nie pomaga. Marc parska ze złości.

– A ja, idiota, mówię do Anny, człowieku, co za nonsens, jak coś takiego mogło przyjść ci do głowy, Linda jest wyluzowana. A ona na to, że sam się przekonam. Zobaczysz, mówi.

Patrzę na niego, już się nie uśmiecha, patrzy na mnie, jakby widział mnie pierwszy raz, jakby właśnie pojął, że jego narzeczonej wcale nie jest wyluzowana, to słowo, którego zawsze używa, gdy chce opisać mnie swoim kumpłom, Linda jest wyluzowana, Linda kocha piłkę i piwo, Linda nie robi afery, gdy nie wracam na noc, zazdrość?, proszę, nie u Lindy, nawet jak była ta sprawa z koleżanką z marketingu, Linda to rozumiała, to było czysto fizyczne, wszystko jej wyznałem, i rozumiała, bo jest wyluzowana, rozmawiamy

o wszystkim, z Lindą można konie kraść, można oglądać filmy dla facetów, pornosy i pić piwo z puszki, Linda ma najlepsze poczucie humoru na świecie, Linda jest wyluzowana.

Marc patrzy na mnie.

– Dlaczego jesteś taka sztywniara? – pyta. Zaciskam pięści z wściekłości, chwytam kluczyki od samochodu, wychodzę z domu, a na zewnątrz jest jeszcze cieplej, letnia noc, gorąca i pulsująca, wsiadam do samochodu i ruszam z piskiem opon, wciskam gaz do dechy, złość zapiera mi dech, wiem, którądy jechać, to niedaleko, ulice połyskujące czernią i puste, i nagle jestem pod jej drzwiami, dzwonię jak szalona, ona mi otwiera, w krótkiej ciemnej sukience, bez śladu cellulitu, pokazuje w uśmiechu zęby jak perełki, guma w ustach, co się stało, Linda? Już jestem w środku, co do cholery, Anna? Co do cholery? Próbujesz teraz wbić klin między mnie a Marca? Czy o to chodzi? Próbujesz ukraść mi faceta, ty mała manipulancka pizdo?! A ona śmieje się tym swoim chichotem, bo wie, że nigdy nie jestem naprawdę zła, że przekleństwa brzmią śmiesznie, gdy wychodzą z moich ust, brzmią fałszywie, nienaturalnie, jakbym naśladowała jakąś aktorkę, i to niezbyt dobrze. A ona robi balon z gumy, plap, i mówi: Z mojego doświadczenia wynika, że faceta nie tak łatwo ukraść, jeśli on sam tego nie chce – i śmieje się tym swoim chichotem, i idzie do kuchni, zostawia mnie, po prostu mnie zostawia, a do mnie teraz dopiero dociera muzyka płynąca w tle, Beatlesi, na winylu, moja płyta Beatlesów, którą ta mała pizda mi ukradła, i tak jej nigdy nie słuchasz, Linda, idzie sobie do kuchni i wraca do krojenia pomidorów, nie mieści mi się to w głowie, ona sobie po prostu idzie i, jasna cholera, robi jakąś pieprzoną sałatkę, a mnie nie pozostaje nic innego jak dreptać w ślad za nią, wrzeszcząc, co to ma być, Anna?, co to ma być?, przecież już masz wszystko, czego chcesz, Marc przecież wcale cię nie interesuje, a ona po prostu mnie ignoruje, aż chwytam ją za ramię i mówię do niej jeszcze raz: Marc wcale cię nie interesuje, nie jest nawet w twoim typie, więc co to ma znaczyć?, nie masz już piętnastu lat, to już nie jest śmieszne, gdy mi odbijasz chłopaka tylko dla zabawy, nie jesteśmy już nastolatkami, a tak szczerze mówiąc, to i wtedy nie było śmieszne, ale teraz to co innego, a ona wrywa rękę, zwariowałaś, Linda, nie wiem, czego ode mnie chcesz, ty i te twoje historie, zawsze musisz robić ze wszystkiego aferę, wyjdź wreszcie z tej pieprzonej roli ofiary, nie mogę ci odebrać niczego, czego nie pozwolisz sobie odebrać, nie skradnę ci żadnego faceta, jeśli nie pozwolisz go skraść, te twoje lamente tak bardzo grają mi na nerwach, nikt mnie nie rozu-

nie, nikt mnie nie lubi, jestem taka gruba, jestem taka brzydka, nikt nie czyta moich historii, jestem taka spłukana, jestem nieszczęśliwa ła, ła, ła. A mnie się robi na moment czarno przed oczami, czarno z wściekłości, przewyciężam to, nie mam już piętnastu lat, sama dopiero co to powiedziałam, nie jestem już nastolatką, nie jestem już piętnastoletnią outsiderką, nie mam pryszczki ani oponki tłuszczu, ani śmiesznych okularów, mam pieniądze, piszę, sukces nadziei, mam narzeczonego, jestem dorosłą kobietą, nie muszę dawać się siostrze prowokować, mogę wyrzucić z siebie złość wraz w oddechem, wytrącić Annie broń z ręki, odwrócić się i pójść do domu, nie muszę uczestniczyć w jej grze, bo te rzeczy zawsze się eskalują, a na koniec wygrywa Anna, na koniec zawsze to ja jestem ta zła, Linda lubi trochę przesadzić, Linda po prostu trochę dramatyzuje, przecież wiecie, przecież zawsze tak było, Linda i jej historie. Biorę wdech, wydech, wdech, wydech. I udaje mi się, to odnosi skutek, uspokajam się, kolory z powrotem normalnieją, czerwony odcień, którym zabarwił się świat, znika, już dobrze, już dobrze, i wtedy Anna mówi: A skąd ty w ogóle możesz wiedzieć, jaki jest mój typ? A ja pytam: Co? Niewinnie, głupio, naiwna jak dziecko, a ona to powtarza, aż nadto wyraźnie, jakbym była przygłucha albo odrobinę tępa: Skąd ty w o-gó-le mo-żesz wie-dzieć, jaki jest mój typ? I wlepiam w nią wzrok, a ona już skończyła kroić te pomidory i wyciera wilgotne palce ścierką do naczyń i patrzy mi w twarz, jej okrągłe oczy, ostre drobne kły. – Marc jest atrakcyjnym mężczyzną. – Gapię się na nią bezradnie przez moment, mój głos jest ochryply, bo udaje mi się jednak wydożyć coś z gardła: – Marc wcale cię nie interesuje.

– Możliwe. – Wzrusza szczupłymi ramionami, uśmiecha się. Robi balon z gumy. Plap.

– Może chcę tylko zobaczyć, czy mi się uda.

I w jednym momencie moją głowę paraliżuje niepojęty ból, przeszywający i ostry. Robi mi się czerwono przed oczami, nóż sam wędruje do mojej dłoni, nie pamiętam dokładnie, co stało się potem, naprawdę nie, szczerze, tak naprawdę nie pamiętam, reszta to cisza i zapach żelaza i kości. A ja jestem zdumiona, naprawdę zdumiona, nie rozumiem, mój mózg nie chce zrozumieć, i wycieram odciski palców, i nagle jesteśmy w pokoju, zataczając się, Anna przeszła do pokoju, tylko kawałek, kilka metrów, małe mieszkanie, a ja otwieram drzwi na taras, powietrze, potrzebuję powietrza, świat jest czerwony, ciemnoczerwony, nie oddycham powietrzem, oddycham czymś czerwonym i galaretowatym i w powietrzu unosi się straszliwa melodia, *All you need is*

love, la-da-da-da-da, drwiąca i słodka, *love, love, love*, i świat wygląda dziwnie, ma ostre kontury, jest twardy, jestem wewnątrz fotografii, a ktoś pokręcił nasycenie barw, do oporu, straciłam orientację, co tu się stało, dlaczego Anna leży na podłodze, skąd ta krew? Anna boi się krwi, brzydzi się krwią, jak to możliwe, że Anna leży w kałuży krwi, która się rozlewa, rozprzestrzenia, rozprzestrzenia, dociera niemal do czubków moich butów, cofam się odrobinię, wlepiam wzrok w Annę, w podłogę, martwa czy umierająca, co tu się stało? Mój Boże, co tu się stało? Kto to zrobił, gdzie on jest, tutaj musiał ktoś być, gdzie on jest? Powiew powietrza muska moją twarz i podnoszę wzrok, dostrzegam jakiś ruch, wzdrygam się, ktoś tu jest, ktoś ucieka przez drzwi na taras, o mój Boże, o mój Boże, o mój Boże, o mój Boże, ktoś tu jest, o mój Boże, nie odwracaj się, nie odwracaj się, a on się odwraca i nasze spojrzenia się spotykają, i wiem, to morderca, on zabił Annę, on zabił Annę, i ta chwila się przeciąga, i potem ten mężczyzna znika, i widzę już tylko, jak zasłony przed drzwiami poruszają się na wietrze, jak wierzby płaczące, i odwracam wzrok, i widzę Annę, Annę w kałuży krwi, i mój umysł nie pojmuje, co się dzieje, bo jak niby miałby to pojąć? Jak miałby to pojąć? Otworzyłam drzwi do mieszkania, bo Anna nie reagowała, weszłam do środka i znalazłam Annę w tym stanie, martwą, krwawiącą, i był tam ten mężczyzna, w drzwiach na taras, o mój Boże, o mój Boże, i pomyślałam, że mnie też zabije, że zginę jak Anna, o mój Boże, proszę, proszę, kochany Boże, tak bardzo się boję, pachnie krwią, wszędzie krew, biorę telefon i dzwonię na policję, i trzęsę się, i pojękuję, i myślę o tym mężczyźnie w drzwiach na taras, w ciemności, trudno było go rozpoznać, widziałam go tylko przez kilka sekund, ale te oczy, te oczy, zimne i jasne, oczy, których nigdy nie zapomnę, przenigdy, przenigdy, przenigdy, aż w końcu przyjeżdża policja, a ja siedzę i gapię się na Annę, policjanci zadają pytania i okrywają mnie kocem, i jest tam ten piękny komisarz z oczami w różnych kolorach, i najpierw nie mogę mówić, w ogóle, nie wiem, co się dzieje, co tu się dzieje? Ale bardzo się staram, taki miły mężczyzna, i bardzo chciałabym pomóc, i biorę się w garść, i opowiadam mu o tych zimnych, jasnych oczach w ciemności, o drzwiach na taras i o tym, że to niemożliwe, że Anna leży tak w kałuży krwi, bo Anna panicznie boi się krwi, i pytam go, dlaczego, a on obiecuje, że się tego dowie, i w pewnym momencie pojawiają się nosze i fotograf, i jeszcze więcej policjantów, a potem jestem na posterunku, a potem jestem u siebie w łóżku, a potem pojawiają się moi rodzice, o mój Boże, o mój Boże, nie, a potem pojawia się Marc, i siada obok mnie, i głaszcze mnie jak

automat po włosach, to wszystko jest takie straszne, moja biedna księżniczka, o Boże. A potem zeznaje to, co wszyscy zeznają, to, co zeznają moi rodzice i wszyscy nasi przyjaciele, tę historyjkę, którą wymyśliła sobie moja rodzina i której broniłaby do ostatniej kropli krwi. Szczęśliwe małżeństwo i dwie siostry, które kochają się, wręcz ubóstwiają, są nierozłączne. Nie, nigdy się nie kłóciły, nigdy, nawet jako dzieci, a gdy dorosły, to już w ogóle. Zazdrość między siostrami? Mój Boże, nie, ani trochę, i w ogóle co to za bzdura, co za stereotyp. One się kochały, rozumiały się wzajemnie, pełna harmonia, ubóstwiały się, były nierozłączne. A ja powtarzam historyjkę o mężczyźnie z jasnymi oczami i zapominam, że to tylko historyjka, zapomniałam to w tym samym momencie, gdy ją zmyśliłam, i opowiadam ją, opowiadam, a opowiadać umiem dobrze, opowiadam, jakby chodziło o moje życie, Linda i jej historie. Zamieszkuję w mojej historii, staję się postacią w mojej historii, siostra ofiary morderstwa, zrozpaczona i załamana, samotna i żyjąca w odosobnieniu, „nigdy się z tego nie otrząsnęła, biedactwo, one tak się kochały, ubóstwiały wręcz, były nierozłączne”. Ale prawda nie daje mi spokoju, kotłuje się we mnie, miota się we mnie jak zwierzę w klatce, chce się wydostać, wyrwać na zewnątrz, ale ja wierzę w moją historię, jestem moją historią, to dobra historia, i popadam w chorobę, i nie mogę więcej wyjść z domu, i trzymam to zwierzę w zamknięciu, dalej wierzę w zimne oczy i obcego mężczyznę, ale zwierzę nie daje za wygraną w klatce, i pewnego dnia zbiera wszystkie swoje siły, całą swoją brutalną moc, i podejmuje ostatnią próbę, i widzę mężczyznę, który jest z grubsza podobny do postaci w mojej historii, i jestem zmuszona zastanowić się, wrócić myślami do tamtej nocy, i toczę pojedynek z tym mężczyzną o zimnych oczach, i walczę o to, żeby przyznał się do winy, nie chcę zrozumieć, nie chcę zaakceptować tego, nie chcę, nie chcę, nie chcę zaakceptować, że to przyznanie się do winy, którego szukam, dotyczy mnie.

To ja jestem morderczynią.

A cała reszta to tylko niezła bajeczka.

Właśnie tak mogło być. Tak albo podobnie.

Stoję przy oknie i patrzę przez wielką szybę na skraj lasu i na jezioro.

26 - SOPHIE

Sophie patrzyła w skupieniu na telefon, jakby siłą woli chciała sprawić, że zadzwoni. Milczał uparcie. Poszła do kuchni, wyjęła z szafki butelkę wina, naląła sobie do pełna, usiadła. Podskoczyła przestraszona, słysząc trzask.

To tylko deska w podłodze. Próbowwała się uspokoić, ale nie mogła. Wzięła porządny łyk i zabrała się do porządkowania swoich myśli.

Miała poczucie, że jest śledzona. Ale czy rzeczywiście tak było, czy to tylko zszargane nerwy dawały o sobie znać? Nie, tam ktoś był. Wtedy, w tym garażu podziemnym. I kto wie, jak często już za nią chodzi, być może tylko tego nie zauważała.

Sophie spojrzała na komórkę. Wciąż żadnej wiadomości od Jonasa Webera. Wzięła telefon, trzymała chwilę palec wskazujący na przycisku, potem znowu odłożyła aparat. Co za różnica. Jonas i tak wygłosiłby kazanie, że powinna pozwolić policji robić swoje i mieć do niej odrobinę zaufania.

Jeśli sprawy miały się posunąć naprzód, musiała je wziąć w swoje ręce, to jasne. Wstała, chwyciła kurtkę, zawahała się, odłożyła ją z powrotem, usiadła. Włączyła telewizor i zaraz go wyłączyła.

Próbowwała nie myśleć. Ale myślała. Gdyby przyszła do Britty kilka minut wcześniej! Gdyby od razu otworzyła drzwi, zamiast dzwonić najpierw parę razy. Gdyby od razu udzieliła jej pierwszej pomocy. Gdyby, gdyby, gdyby. Sophie wiedziała, że siłą napędową jej nadmiernej aktywności jest poczucie winy. Musi po prostu znaleźć tego mężczyznę. Ale jak? Nagle doznała olśnienia.

W gruncie rzeczy było to całkiem proste. Widziała mordercę. Morderca widział ją. I wprawdzie go nie rozpoznała, ale on z całą pewnością ją rozpoznał. W każdym razie musiał się dowiedzieć, kim jest, ponieważ ją śledził. Próbował ją dopaść, gdy będzie sama – żeby wyeliminować świadka swojej zbrodni. Nie poprzestanie na dotychczasowych próbach. Po prostu jak dotąd nie nadarzyła się idealna okazja.

Co będzie, jeśli sama wystawi mu siebie samą na srebrnej tacy? I co, jeśli następnym razem, gdy poczuje w pobliżu jego obecność, nie zdąży uciec, tylko stanie jak sparaliżowana?

Nie, to było kompletne szaleństwo. Autodestrukcja.

Sophie usiadła wygodnie na kanapie, wypła kolejny łyk wina. Pomyślała o strachu, jaki musiała odczuwać Britta w ostatnich minutach swojego życia. Pomyślała, że strach nie jest żadnym usprawiedliwieniem beczynności. Wypiła jeszcze trochę wina i położyła się na kanapie. Popatrzyła w ścianę, odwróciła się, popatrzyła w sufit. I gdy tak patrzyła, biel stawała się coraz bardziej bielsza, lśniła i migotała przed oczami – ale było tam jeszcze coś innego, Sophie przyjrzała się dokładniej, ciemne kropki, maciupeńkie, mniejsze niż muszki owocowe, mikroskopijne kropki. Albo nie, nie kropki, nie kleksy, to nie tylko kolor, bo owa czern rosła, na oczach Sophie, przewiercała się przez biel, coraz większa, coraz czarniejsza, aż Sophie zorientowała się, co się tak naprawdę dzieje. Oto z sufitu zaczęły wyrastać włosy, grube i czarne jak włosy łonowe. Rosły wprost w jej kierunku. Sufit zrobił się porowaty, zwali się na nią, jeśli nadal będzie tak beczynnie leżeć.

Sophie zerwała się, łyknęła całą zawartość kieliszka, poszła do sypialni, klnąc po drodze na stojące w korytarzu kartony, których Paul ciągle nie zabrał, wpadła nagle we wściekłość, na siebie, na świat, najchętniej wzięłaby te głupie kije golfowe, które wystawały z kartonu z napisem „Różności”, i zaczęła walić nimi w co popadnie. Wygrzebała ze swojej torby podróżnej gaz pieprzowy, który kupiła niedawno, włożyła go sobie do torebki, obok portmonecki, kluczy i komórki, wyszła z mieszkania i zbiegła jak szalona po schodach.

Ciemność była jak aksamit i pachniała jesienią. Sophie nie zauważyła, że skwarne lato zmieniło się w kapryśną jesień. Szła przez nocne ulice, coraz dalej od gwarnych dzielnic, zagłębiając się w mrok. Nie przemyślała swojego szalonego planu.

Pułapka na mordercę. Ona sama będzie przynętą.

Doskonały plan – pod warunkiem że komuś nie zależy na życiu.

Sophie zauważyła, że myśli słowami z seriali kryminalnych. Morderca. Ofiara. Niewygodny świadek. Sympatyczny komisarz. Tak było jakoś łatwiej. Postrzegać okoliczności w następujący sposób: to nie jest prawdziwa tragedia, to nie jest część twojego życia, tylko kolejna sprawa do rozwikłania.

Sophie szła i szła. Na ulicach było coraz mniej ludzi. Zrobiło się chłodno,

wręcz zimno, przenikliwy wiatr. Sophie rozpięła kurtkę, chciała marznąć, poczuć wreszcie coś innego niż żaloba i wściekłość, nawet jeśli miało być to tylko zimno. Albo ból.

Coś w niej wiedziało, jak autodestrukcyjne są takie myśli, jakim szaleństwem jest to, co właśnie postanowiła zrobić, gnana obezwładniającym poczuciem winy. Stłumiła ten wewnętrzny głos i skręciła do pogrążonego w ciemności parku, który rozciągał się z przodu. Usiadła na ławce i czekała. Wpatrywała się w cienie, czekała, marzyła. Niedługo potem go dostrzegła.

Piję herbatę drobnymi łyżkami. Włączyłam muzykę w nadziei, że dźwięki z głośników przepłoszą głosy w mojej głowie, lecz na próżno. Ella Fitzgerald śpiewa o lecie i lekkim życiu, ale lato jest daleko, a ja wewnątrz noszę wielkie brzemie, głosy zaś w mojej głowie ciągle spierają się o prawdę. Jezioro mieni się na niebiesko, fioletowo, ciemnoczerwono, pomarańczowo, żółto, wreszcie jasnym błękitem w porannym słońcu.

Tej strasznej, upalnej, ciemnoczerwonej nocy widziałam Victora Lenzena, jestem tego pewna.

Linda i jej historie.

Widziałam go.

Tak jak widziałaś tę sarenkę na polanie, wtedy, pamiętasz?

Wtedy byłam jeszcze dzieckiem. Wszystkie dzieci oszukują, zmyślają najróżniejsze historie.

A ty robisz to nadal, w dorosłym życiu.

Wiem, co widziałam. Nie jestem wariatką.

Ach nie?

Te jasne oczy. Kształt jego brwi. Wyraz jego twarzy, ta mieszanina strachu i agresji. Wszystko to widziałam wtedy i wszystko to rozpoznałam teraz. Gdy stał tu przede mną. Wczoraj.

Ma alibi.

Widziałam go.

Murowane alibi.

Mimo to to był on. Widziałam go.

Dlaczego w takim razie nie ujęła go policja?

Mnie policja też nie „ujęła”. Jeśli jestem obłąkana i zamordowałam własną siostrę, jeśli wszyscy tak sądzą, to dlaczego policja mnie nie aresztowała?

Miałaś szczęście.

Nigdy nie miałam szczęścia.

Umiesz dobrze kłamać.

Nie kłamałam. Widziałam go. Przy drzwiach na taras.

Tak długo opowiadasz te swoje historie, że sama w nie wierzysz.

Wiem, co widziałam. Pamiętam ten wieczór, pamiętam dokładnie.

Jesteś szalona, Linda.

Nonsens!

Słyszysz muzykę, której nie ma.

Ale pamiętam.

Widzisz rzeczy, których nie ma, ciągle masz zawroty głowy, głowa pęka ci z bólu, prawdopodobnie nic nie możesz na to poradzić.

Pamiętam dokładnie. Był tutaj. Widziałam to w jego oczach. On też mnie rozpoznał. I nienawidzi mnie za to, że przypominam mu tę noc. Był tutaj. To on zabił Annę. Może przez ten cały czas się myliłam. Może Anna nie była przypadkową ofiarą. Może się znali. To, że nie wiedziałam nic o ich romansie, nie znaczy wcale, że go nie było. Kto wie? Może zazdrosny kochanek. Wariat.

To ty jesteś wariatką. Może masz schizofrenię. Albo masz w głowie guza. Może stąd ten ból, ból i zawroty głowy, i muzyka.

Ta potworna muzyka.

Spoglądam na zewnątrz, woda połyskuje i skrzy się, a kawałek dalej, na brzegu jeziora, coś się porusza. Ruch potrząsanych gałęzi i nagle zza drzew wychodzi majestatycznym krokiem nieprawdopodobnie wielki jeleni, wyprostowany, dumny, przepiękny. Wstrzymuję oddech i przyglądam mu się jak malarz, wchłaniam jego ruchy, jego grację, siłę. Przez kilka chwil po prostu tak stoi, w lekkiej mgłę sunącej od jeziora, aż znika z powrotem między drzewami. Siedzę nieruchomo. Tak często siedziałam tu w nadziei, że zobaczę jakieś zwierzę, a tak rzadko mi się to udawało. A jelenia? Jeszcze nigdy. To zwierzę jest dla mnie znakiem.

Nie ma żadnych znaków. Widzisz rzeczy, których nie ma.

Jeszcze długo potem siedzę przy oknie w cichym, wielkim domu, który jest całym moim światem, patrzę na zewnątrz, mam nadzieję, że jeleni powróci, choć doskonale wiem, że tego nie zrobi, a mimo to siedzę i czekam. Nie wiem, co innego mogłabym robić. Siedzę tak i widok jeziora, jego powierzchni, leciutko tylko zmarszczonej przez wiatr, uspokaja moje myśli. Słońce wznosi się coraz wyżej, obojętne na chaos, który ogarnął mój świat. Ono oświetla swój świat.

Słońce ma około czterech tysięcy pięciuset milionów lat. Wiem takie rze-

czy, w ciągu ostatnich dziesięciu, jedenastu lat miałam dużo czasu na czytanie. Widziało już mnóstwo rzeczy. Ogrzewają mnie jego poranne promienie, przenikające przez szybę. To jak dotyk, sprawia mi to przyjemność, pozwalam się trochę ogrzać, chłonę chciwie światło, a poza tym po prostu siedzę. Jest piękny dzień. Może uda mi się po prostu zapomnieć o tym, co jest już za mną, i poczuć prostą wdzięczność za ten dzień, ten widok ze skrajem lasu, z jeziorami i promieniami słońca. Słońce wznosi się wyżej, niezmordowane, nawet po czterech tysiącach pięciuset milionach lat, a ja rozkoszuję się ciszą i ciepłem. Nie muszę teraz niczego robić i myślę właśnie, że mogłabym tak siedzieć już zawsze, spokojna, pogodna, że nie ruszałabym się nawet o centymetr, bo najmniejsza nawet zmiana może wszystko zniszczyć, gdy nagle ją słyszę. Muzykę.

Love, love, love.

Nie. Proszę, proszę nie.

Love, love, love.

Tylko nie to. Proszę. Nie zniosę tego dłużej.

Zanoszę się suchym szlochom, wiję się na krześle i przyciskam dłonie do uszu.

Muzyka cichnie. Jęczę i ściskam głowę tak mocno, że aż boli, podczas gdy serce wpompowuje strach w moje ciało. Siedzę tak przez chwilę, dopiero potem to pojmuję. Nie wiem, czy powodem jest rozpacz, czy ból, czy niewyobrażalne fizyczne i psychiczne wyczerpanie, ale dopiero teraz zwracam na to uwagę: jeśli ta muzyka jest tylko moim złudzeniem, jeśli ta muzyka jest tylko w mojej głowie, jeśli cały czas była tylko w mojej głowie, to jak to możliwe, że cichnie, gdy tylko zatkam sobie uszy? Opuszczam ręce i nasłuchuję. Nic. Nic nie słyhać. Jestem niemal rozczarowana. Już myślałam...

Love, love, love.

Znowu. Kręci mi się w głowie, jak za każdym razem, gdy to słyszę. Ale teraz brzmi to inaczej, wzmaga się i słabnie, i... porusza się. Muzyka się porusza. Podnoszę się z krzesła, czuję ból w stawach, próbuję zorientować się w przestrzeni, potem nagle do mnie dociera: wszędzie uchylone okna... muzyka płynie z zewnątrz. I to nie Beatlesi z płyty, lecz... gwizdanie. Ktoś skrada się wokół domu i gwizdże.

Serce mi zaczyna bić jak szalone. Czy to Victor Lenzen, który wrócił, żeby mnie zabić? To nie ma sensu, myślę od razu, przecież mógł to zrobić wcześniej.

A w ogóle co to za pomysł? Victor Lenzen jest niewinny. Zostało to dowie-

dzione, choć wciąż trudno mi się z tym pogodzić.

Kto to w takim razie jest? Podchodzę na zdrętwiałych nogach do okna, przyciskam twarz do zimnej szyby i próbuję wyrzeć za róg, ale nikogo nie widzę. Gwizdanie cichnie, oddala się. Pędzę do jadalni tuż obok, już myślę, że znowu go przegapię, otwieram gwałtownie drzwi – i staję z nim twarzą w twarz.

27 - SOPHIE

Szczękała zębami, idąc przez nocne ulice z powrotem do domu, przemoczona i zziębnięta. Długo siedziała na ławce w parku, w chłodzie. Wiele razy myślała, że widzi cień odrywający się od korowodu innych cieni i ruszający w jej kierunku, ale za każdym razem było to tylko złudzenie, nerwy płały jej figla. Nic tam nie było oprócz jej własnego cienia.

Sophie skręciła w swoją ulicę. Myśl, że będzie musiała wejść do mieszkania i spędzić kolejną bezsenłą noc z potwornymi obrazami w głowie, napęłniała ją przerażeniem.

Otworzyła drzwi, weszła na klatkę, a potem ruszyła po schodach na górę, gdy nagle usłyszała coś wyżej. Serce zabiło jej jak młotem. Coś zaszeleściło na piętrze. To jej piętro. Ktoś jest w jej mieszkaniu. Serce ścisnęło się boleśnie ze strachu, wymacała puszkę z gazem pieprzowym w kieszeni płaszcza, z trudem opanowując nerwy, jeszcze kilka stopni i będzie mogła wyrzeć za róg, potem piętro, na którym znajduje się jej mieszkanie, w zasięgu wzroku. Jeszcze osiem stopni i co zobaczy? Jeszcze siedem, cień buszujący w mieszkaniu? Jeszcze sześć, sąsiadkę kładącą pod jej drzwiami paczkę, którą w jej imieniu odebrała od listonosza? W środku nocy? Jeszcze pięć, małego nerwowego pieska tej dziewczynki z dołu, który często zwiewa z domu? Jeszcze cztery, nie, cień, jeszcze trzy, cień i jego białe oczy, jeszcze dwa – Sophie zdurzyła się z jakimś mężczyzną zbiegającym po schodach na parter.

– Sophie! – powiedział Jonas Weber.

– Przepraszam – wyszeptała. – O Boże!

– Nie, to ja przepraszam. Nie chciałem pani przestraszyć. Dzwoniłem do pani z dziesięć razy, a gdy pani nie odbierała, zacząłem się martwić.

– Wyłączyłam dzwonek. Długo pan czeka?

– Nie tak bardzo. Może dziesięć minut. Gdzie pani była?

Nie odpowiedziała.

– Wejdzie pan do środka? – zapytała. – Jak będziemy rozmawiać na klatce,

obudzimy cały dom.

Usiedli naprzeciw siebie przy kuchennym stole, z herbatą, Sophie w świeżym suchym ubraniu.

– Te cholerne kwiaty – powiedziała wreszcie. – Że też nie przyszło mi to wcześniej do głowy.

– To my powinniśmy byli zauważyć je wcześniej. To nasza robota, nie pani.

Sophie popijała herbatę, obserwowała Jonasa znad krawędzi kubka. Unikał jej wzroku.

– Coś pan przede mną ukrywa?

Spojrzał na nią swoim zielonym i swoim brązowym okiem.

– Niech pani odpuści, Sophie.

Uderzyła z wściekłością pięścią w stół.

– Nie mogę, do jasnej cholery! – krzyknęła. – Odkąd moja siostra została zamordowana, nie mogę złapać powietrza! Będę mogła znowu oddychać dopiero wtedy, kiedy go znajdę.

Walczyła z łzami. Jonas wziął ją ostrożnie za rękę. Nie opierała się.

– Rozumiem panią. Na pani miejscu też czułbym potrzebę, żeby coś zrobić – powiedział. – Rozumiem, że czuje się pani winna. Wszyscy bliscy czują się winni. Ale to nie tak.

Do oczu Sophie znowu napłynęły łzy.

– Wszyscy myślą, że to moja wina. Wszyscy! – wyszlochała.

Dobrze było wreszcie powiedzieć to głośno.

– Moi rodzice i...

– Nikt tak nie myśli – przerwał jej Jonas. – Tylko pani.

– Gdybym przyszła tam trochę wcześniej...

– Niech pani przestanie. Nie mogłaby pani pomóc siostrze. A i teraz też jej pani nie pomaga, narażając się na niebezpieczeństwo. Nie podoba mi się, że chodzi pani nocą sama po mieście. Jakby chciała go pani przywabić.

Sophie cofnęła rękę.

– Chce pani dać się zabić? Czy to o to chodzi? – zapytał Jonas.

Odwróciła wzrok.

– Chyba powinien pan już pójść.

– Proszę tego nie robić, Sophie – powiedział Jonas. – Proszę nie narażać się na niebezpieczeństwo.

Milczała. Czowała, że znów zbiera się jej na płacz. Nie chciała, żeby widział

jej łzy.

– Niech pan już idzie – powtórzyła.

Jonas skinął głową i odwrócił się do drzwi.

– Proszę na siebie uważać.

Toczyła wewnętrzną walkę. Czy ma mu powiedzieć, że czuje się śledzona?

– Proszę poczekać – powiedziała.

Odwrócił się z powrotem i popatrzył na nią wyczekująco.

Umysł Sophie pracował na najwyższych obrotach.

– Nie, nic – powiedziała w końcu. – Nic takiego. Żegnam pana, komisarzu.

Gdy znowu została sama, musiała się przed sobą do czegoś przyznać: nie była już pewna samej siebie.

Gdy gnała z palącym bólem w płucach przez podziemny parking, słyszała przecież całkiem wyraźnie ciężkie kroki z tyłu. Była przekonana, że morderca jej siostry czai się na nią na tylnym siedzeniu jej samochodu, bo chce się pozbyć niewygodnego świadka. Ale gdy następnego dnia przyjechała po samochód – w biały dzień, wokoło pełno przechodniów – to wszystko wydało jej się tylko złym snem.

Gdy niedawno biegła w parku, w pewnej chwili miała wrażenie, że widzi kogoś chowającego się za drzewem. Ale gdy stanęła, żeby się przyjrzeć uważnie, niczego tam nie było, choć odczekała dobre kilka minut.

Czy zwariowałam? – pytała samą siebie.

Nie, z całą pewnością nie, odpowiedział głos w jej wnętrzu.

Skąd można wiedzieć, że się zwariowało? – spytał inny głos.

To po prostu się wie.

Ale gdy człowiek zwariował, odzywa się znowu sceptyczny głos, to skąd można to wiedzieć?

Sophie próbowała uciszyć te myśli, ale bez skutku. Ostatnio nie była sobą. Rozstanie z Paulem, którego obecności nie mogła już po prostu znieść. Jej niezdolność do rozmowy z rodzicami. I to potworne, czerwone, surowe uczucie, które dopadło ją po raz pierwszy na imprezie u marszanda i którym był atak paniki. Sophie nie poznawała samej siebie.

Wróciła do kuchni, znów wymijając te cholerne kartony Paula. Zaparzyła kolejny kubek herbaty. Patrzyła przez okno, chociaż nic nie było widać poza kilkoma idącymi po nocy sylwetkami i przejeżdżającymi od czasu do czasu samochodami.

Usiadła w końcu za stołem w kuchni, wzięła szkicownik i ołówek i po raz pierwszy od dłuższego czasu zaczęła rysować. To było piękne. Cisza nocy, aksamitny mrok i Sophie, sama z ołówkiem, papierem, papierosami i herbatą, w świetle staromodnej, zwisającej z sufitu lampy, przy kuchennym stole, w małej wysepce żółtawego światła. Rysowanie przychodziło jej z wielką łatwością.

Chociaż ołówek nie mógł oddać pary różnokolorowych oczu, w które jeszcze przed chwilą patrzyła z taką powagą, była całkiem zadowolona ze swojego naprędce naszkicowanego dzieła. Jonas. Odruchowo wyjęła z kieszeni komórkę i wybrała jego numer. Musiała mu to powiedzieć.

Potem przypomniała sobie, że jest już późno, noc. Odłożyła telefon. Poczula, że jest jej zimno. Wstała, nalała wody do czajnika, wyjęła z pudełka torebkę herbaty – i zamarła ze strachu, słysząc ciche chrobotanie w korytarzu.

Stoję jak skamieniała na środku pokoju i gapię się w okno.

Mój ogrodnik patrzy na mnie z zewnątrz. Ma niemal pogodny wyraz twarzy. Paraliż ustępuje i natychmiast wraca wściekłość, jakby ktoś przekręcił przełącznik, wściekłość i przenikliwy ból głowy, syjamskie bliźnięta.

– Dlaczego pan to robi?! – wrzeszczę.

Jest wyraźnie zdezorientowany. Chyba nie rozumie, widzi jednak wściekłość na mojej twarzy. Otwieram z rozmachem okno na oścież.

– Co to ma być, do diabła? – pytam.

– Co niby? – odpowiada skonsternowany Ferdi, patrząc na mnie swoimi wielkimi, brązowymi chłopięcymi oczami, które na tle jego starej, pomarszczonej twarzy są jednocześnie wzruszające i nie na miejscu.

– Ta piosenka, którą pan przed chwilą gwizdał...

Nie wiem, jak dokończyć zdanie, boję się, że Ferdi odpowie zaraz „Jaka piosenka?” albo coś w tym rodzaju, bo wtedy zacznę krzyczeć. Będę krzyczeć, krzyczeć i już nigdy nie przestanę.

– Nie lubi pani Beatlesów? To przecież superkawałek!

Gapię się na niego.

– Co pan konkretnie gwizdał tych... – zaschło mi w gardle – tych, no... Beatlesów?

Patrzy na mnie jak na wariatkę, zapewne nie bez racji.

– Piosenkę *All You Need is Love*. No przecież każdy ją zna!

Wzrusza ramionami.

– Sam nie wiem – mówi po chwili. – Jak ją wczoraj tu u pani usłyszałem, przyczepiła się do mnie i nie mogę się od niej uwolnić. To czasami dziwne.

Przytomnieję w jednej sekundzie.

– Był pan tutaj wczoraj? Przecież nigdy nie przychodzi pan w czwartki!

Czuję, że trzęsą mi się kolana.

– No tak, ale mówiła pani niedawno, że mogę swobodnie wybierać sobie

czas pracy, i tak sobie pomyślałem, że to żaden problem, żebym wyjątkowo przyszedł w czwartek na parę godzin.

Patrzę na niego z otwartymi ustami.

– Powiniennem był panią uprzedzić? – pyta.

– Nie, bez sensu – bąkam. – Oczywiście, że nie.

Nie wiem, co mam powiedzieć. Tracę czucie w twarzy.

– Ferdi, muszę z panem porozmawiać. Może pan wejść na chwilę?

Patrzy osłupiały. Pewnie martwi się, że go zwolnię.

– Właściwie to chciałem się już zbierać. Muszę iść teraz do innego klienta.

– Tylko na moment. Proszę!

Kiwa niepewnie głową.

Idąc przez cały dom, usiłuję uporządkować myśli. Na próżno. W końcu otwieram drzwi. Ferdi już stoi w progu.

– Przestraszyłem panią czy coś? Moim gwizdaniem?

– Nie, nie przestraszył mnie pan, ale... – Przerywam, bo nie chcę rozmawiać w drzwiach. – Niech pan wejdzie.

Wyciera buty, pozostawiając na wycieraczce wielkie grudy ziemi, i wchodzi do domu.

– Przepraszam – mówi z tym swoim niepowtarzalnym „r”, a ja się dziwię, że nigdy dotąd nie spytałam go, skąd właściwie pochodzi ten dialekt. Ferdi opiekuje się moim ogrodem już od wielu lat i z całą pewnością zaniepokoiło go to, że po raz pierwszy powitałam go bez uśmiechu na ustach. Nie jest już najmłodszy, z całą pewnością dawno przekroczył wiek emerytalny, choć wciąż ma ciemne włosy i krzaczaste ciemnobrązowe brwi. Lubię go, a on najwyraźniej potrzebuje tej pracy, a może sprawia mu ona wielką przyjemność, bo nigdy nie zasugerował, że chciałby z niej zrezygnować. I bardzo dobrze, bo Bukowskiemu pękłoby serce, gdybym pozwoliła odejść Ferdiemu i znalazła innego ogrodnika. Bukowski kocha Ferdiego jak nikogo innego. I właśnie teraz, jak na komendę, z piętra dobiega hałas, Bukowski się obudził i reaguje na nasze głosy, zbiega po schodach na złamanie karku, skacze na nas, najpierw na mnie, potem na Ferdiego, potem znowu na mnie, nie mogę się powstrzymać od śmiechu, ach ten mój pies, mój kumpel, istota składająca się wyłącznie z sierści i radości życia. Podnoszę go, biorę na ręce, przytulam, ale jemu moje czułości nie przypadają do gustu, wije się i wyrывa z moich objęć, aż w końcu stawiam go z powrotem na podłogę i zaczyna biegać bezładnie po korytarzu, polując na niewidzialnego zająca. Ferdi przestępuje z nogi na nogę, jak uczeń,

który spodziewa się bury.

– Nic takiego się nie stało – zapewniam. – Proszę zrobić sobie przerwę i napić się ze mną kawy.

Moje nogi są jak z gumy. Idę przodem do kuchni, staram się uporządkować myśli. Jeśli Ferdi słyszał muzykę, może to oznaczać, że... I cała reszta też...

Nie tak szybko, Linda.

Proszę ogrodnika, aby usiadł na tym samym krześle, na którym wczoraj – to naprawdę było wczoraj? – robił mi zdjęcia fotograf. Siada, postękując, ale to tylko fasada, bo w jego wieku wypada siadać, postękując. Tak naprawdę Ferdi jest w lepszej formie niż ja.

Ekspres do kawy bulgocze. Szukam odpowiednich słów.

– Więc był pan tutaj wczoraj i przykleiła się do pana ta piosenka?

Ferdi patrzy na mnie, przekrzywiając głowę. Potem kiwa głową, jakby chciał powiedzieć: „Tak. I co z tego?”.

– Naprawdę słyszał pan tę piosenkę?

Kiwa głową.

– Gdzie? – pytam.

– Przez okno. Nie chciałem przeszkadzać, naprawdę. Widziałem przecież, że ma pani gości.

Dostrzegam, że Ferdi się zastanawia.

– Dlaczego pani o to pyta? – jest jednak ciekaw.

– Tak tylko.

– Żeby pani nie myślała, że podsłuchiwałem – dodaje Ferdi.

– Proszę się nie martwić – mówię. – Nie o to chodzi.

Kawa gotowa.

– No bo okna były wczoraj uchylone, a ja pracowałem przy grzędce w pobliżu jadalni, gdy usłyszałem tę piosenkę. Muzyka była dość głośna. Ale pewnie sama pani wie.

Mam ochotę się śmiać, płakać, szaleć, wszystko jednocześnie, ale tylko wyjmuję z kuchennej szafki dwie małe filiżanki.

– Tak – odpowiadam w końcu. – Naturalnie. Byłam tam.

Jak automat nalewam kawę do filiżanek. Mój umysł nie radzi sobie z tym, co właśnie usłyszałam.

– Dla mnie bez cukru i bez mleka – mówi Ferdi, a ja podaję mu filiżankę, biorę swoją, wypijam łyk, odstawiam filiżankę, bo Bukowski podbiega do mnie jak szalony i zaczyna lizać mi ręce. Bawię się z nim przez chwilę, niemal

zapominam o Ferdim. Wtedy on chrząka.

– Dziękuję za kawę. Na mnie już chyba czas.

Bukowski biegnie za nim, ujadając i merdając ogonem, podczas gdy ja siedzę jak ogłuszona na krześle.

Jaką grę pan ze mną toczy, panie Lenzen?

A więc muzyka rozbrzmiewała naprawdę, niczego sobie nie uroiłam.

Jeśli była realna, to kto ją puścił? Victor Lenzen? Bo zna moją powieść i uznał, że zareaguję na tę piosenkę tak jak moje literackie alter ego, czyli Sophie? Skoro muzyka była realna, a była realna, bo nie jestem jedyną osobą, która ją słyszała, wtedy to Victor Lenzen mógł sprawić, bym ją usłyszała. Bo miał plan. Kłamał i udawał, że nic nie słyszy.

Moment. Myśli trzepoczą się w mojej głowie jak stado spłoszonych ptaków. Fotograf też tu był! Słyszałby na pewno tę muzykę i jakoś by zareagował!

A może jest współnikiem Lenzena.

To są jakieś dziwaczne teorie, Linda.

To jedyna możliwość!

Bez sensu, nie myślisz jasno.

A jeśli jeden z nich wrzucił mi coś do wody albo do kawy?

Dlaczego, na miłość boską, miałby być w to zamieszany fotograf?

Musiało tak być.

Spisek? O to ci chodzi? Lenzen ma rację: potrzebujesz pomocy.

Może fotograf chciał mnie ostrzec? Proszę na siebie uważać, powiedział, żegnając się. Proszę na siebie uważać.

Tak się po prostu mówi.

Wstaję nagle z miejsca. Przyszło mi coś do głowy.

Mijam hol, pędzę po schodach, potykam się, tracę równowagę, upadam, podnoszę się, pokonuję ostatnie stopnie, biegnę korytarzem, wpadam do gabinetu. Włączam laptopa, piszę, na stojąco, drżącymi rękami, piszę, klikam, szukam, szukam, szukam, szukam strony, którą pokazał mi Victor Lenzen, tej którą widziałam na jego smartfonie, „Spiegel” online, sierpień 2002, nasz korespondent w Afganistanie. Szukam i szukam, to niemożliwe, jak on to zrobił? To niemożliwe, to nie może być prawda – ale tak właśnie jest! Nie znajduję niczego. Ona zniknęła. Strona z korespondencjami Lenzena wyparowała. Jego alibi...

Nie ma jej.

28 - JONAS

Jonasowi sprawiało przyjemność to uczucie w żołądku, gdy przyśpieszał, jadąc nocą ulicami. Był wyczerpany długim dniem, chciał jak najszybciej być w domu.

W jego głowie kłębiło się to, co na temat drugiej ofiary zebrał jego zespół śledczy. Nie było żadnego związku z Brittą Peters poza fizycznym podobieństwem. Na razie zaprzestano poszukiwań sprawcy w otoczeniu obu kobiet. Musieli ugryźć to z innej strony. Nie będzie łatwo.

Po pracy Jonas potrenował w klubie bokserskim, gdzie dał z siebie wszystko, więc poczuł się trochę lepiej. Jednak od wizyty u Sophie Peters ten stan odprężenia wyparował. To ona sprawiła, że tę sprawę traktował tak osobiście. Zastanawiał się, czy ma to na niego negatywny wpływ, czy powoduje, że zdarza mu się przeoczyć jakieś szczegóły, że popełnia błędy.

Sophie wydawała się tego dnia jakaś inna. Jakby bardziej posępna, drażliwa. To było tylko przelotne wrażenie, ale Jonas instynktownie zredukował tempo, z jakim pędził przez ulice miasta. Miał przed oczami twarz Sophie. Ten wyraz rezygnacji. Gdy mówiła: „Żegnam pana, komisarzu”. Z takim smutkiem, jakby ostatecznie.

Czy powinien zawrócić? Bez sensu.

Sophie nie była typem człowieka, który mógłby coś sobie zrobić.

Niecały kwadrans później Jonas leżał w ubraniu na swoim łóżku. Chciał tylko odpocząć przez chwilę, zanim pójdzie do gabinetu, żeby jeszcze raz przyjrzeć się faktom. Czuł pustkę wywołaną nieobecnością żony, która wyprowadziła się tymczasowo do swojej najlepszej przyjaciółki, aby „przemyśleć spokojnie parę spraw”. Zamknął oczy i czuł, że w końcu udało mu się wyrwać z kołowrotka myśli, który kręcił się w jego głowie przez cały dzień.

Mruknął poirytowany, gdy na stoliku nocnym zadźwięczała komórka, sygnalizując nadejście SMS-a. Może to Mia? Jonas wziął telefon i dopiero po chwili rozpoznał numer: Sophie.

Usiadł na łóżku i otworzył wiadomość.
Składała się z trzech słów: „On tu jest”.

Strona internetowa z alibi Lenzena zniknęła. Nie ma jej. Mrugam parę razy oszołomiona. Przypominam sobie, że oglądałam ją na smartfonie Lenzena, nie na swoim. To on wpisał adres, nie ja. Cokolwiek widziałam – nie mogę teraz tego znaleźć. Przez chwilę gapię się na monitor. Potem chwytam oburącz laptopa i rzucam nim z całej siły o ścianę. Wyrywam telefon z gniazdka, ciskam nim w tym samym kierunku. Wrzeszczę, kopię w biurko, nie czuję bólu, łapię wszystko, co mi wpadnie w ręce, chwytam po omacku, ślepa z wściekłości, ślepa z nienawiści, ołówki, zszywacz, segregator i ciskam nimi o ścianę. Kopię w ścianę, walę w nią rękami, aż biała farba zabarwia się na czerwono, nic nie czuję, biję i kopię, aż opadam z sił.

Gabinet wygląda jak pobojuwisko. Siadam na gołej podłodze, pośród tego całego bałaganu. Gorączka w moim wnętrzu przechodzi w chłód. Marznę, trzęsę się z zimna. Jestem jak przenicowana, moje narządy zamarzają, kurczą się, już ich nie czuję.

Lenzen mnie wykiwał.

Nie wiem, jak to zrobił, ale przecież stworzenie fałszywej strony internetowej nie jest takie trudne.

Tak samo trudne jak puszczenie na jakimś małym przenośnym sprzęcie piosenki Beatlesów i udawanie, że samemu nic się nie słyszy.

Tak trudne jak zaaplikowanie sobie środka na wymioty, aby uwiarygodnić skrajne przerażenie.

Tak trudne jak wrzucenie czegoś kobiecie do kawy, przez co będzie bezradna, zdezorientowana i podatna na manipulację, co pozwoli wszczepić jej do głowy cudze myśli. Tak zapewne było.

Stąd halucynacje, dziwne zaniki świadomości i to, że stałam się nagle podatna na zupełnie absurdalne sugestie, niemal bezwolna. To dlatego dopiero teraz powoli zaczynam znowu jasno myśleć. Być może mała dawka bufoteniny. DMT. Albo meskalina. To miałyby sens.

Jak choćby przez sekundę mogłam uwierzyć, że mogłabym zrobić Annie coś złego?

Siedzę na podłodze w gabinecie. Słońce pada na parkiet. Z mojej ręki skapuje krew. W uszach słyszę szum. Myślę o Annie, widzę ją całkiem wyraźnie. Moją najlepszą przyjaciółką, moją siostrę. To, że Anna była bezwzględna, próżna i egoistyczna, wcale nie znaczy, że nie była naiwna, słodka i niewinna. To, że Anna potrafiła czasami strasznie ranić drugiego człowieka, nie znaczy wcale, że nie umiała być bezinteresowna i wspaniałomyślna. To, że jej często nie cierpiałam, nie znaczy wcale, że jej nie kochałam. Była moją siostrą.

Anna nie była doskonała, nie była świętą Anną. Była po prostu Anną.

Myślę o Lenzenie. Był dużo lepiej przygotowany ode mnie.

Nic na niego nie mam i on o tym wie. Był tu przecież po to, żeby się tego dowiedzieć. Wcale nie musiał przyjeżdżać. Wcale nie musiał ze mną rozmawiać. Wcale nie musiał ryzykować i przychodzić na to spotkanie. Ale Victor Lenzen jest człowiekiem rozważnym. Zdawał sobie sprawę, że w przeciwnym razie już nigdy się nie dowie, co naprawdę wiem. Czy mam przeciwko niemu coś konkretnego. Czy komuś o nim opowiedziałam. Jakże wielką ulgę musiał poczuć, gdy zobaczył, że ma do czynienia z kobietą samotną i niestabilną psychicznie. Jego plan był genialny w swojej prostocie. Wypierać się za wszelką cenę, aby mnie zdezorientować. Zasiał we mnie wątpliwość. Ale teraz nie mam już żadnych wątpliwości. Nasłuchuję. Głosy przestały się spierać. Jest tylko jeden głos.

Mówi, że to mało prawdopodobne, abym nagle po dwunastu latach zobaczyła mordercę mojej siostry w telewizji. Niezwykle mało prawdopodobne. Ale możliwe. Tak właśnie wygląda prawda, choć brzmi niewiarygodnie. Victor Lenzen zamordował moją siostrę.

Moja wściekłość jest jak pięść.

Muszę stąd wyjść.

29 - SOPHIE

Stał przed nią. Miał nóż.

Ona, z telefonem w ręku, zamarła ze strachu. Gdy usłyszała odgłos w korytarzu, była na tyle przytomna, aby bezszelestnie napisać w komórce wiadomość i wysłać ją do Jonasa. Potem czekała. Wstrzymując oddech. Nasłuchiwała. Ktokolwiek był tam w korytarzu, robił to samo. Nic, żadnego trzasku, oddechu, ale czuła całkiem wyraźnie obecność drugiej osoby. Proszę, niech to będzie Paul, pomyślała Sophie wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu. Paul, który chce wreszcie zabrać te durne kartony, być może nawet stęsknił się za mną, niech będzie, niech nawet zacznie się wyplakiwać, ale proszę, proszę, niech to będzie Paul.

W tym momencie go zobaczyła. Stał w drzwiach, wysoki i groźny, niemal całkowicie wypełniał sobą przestrzeń. Niecałe dwa metry od niej. Zmarzwiała.

– Pani Peters – odezwał się.

Zobaczyła teraz to wszystko przed sobą. Jak ją obserwował, gdy biegła nocą przez ulice i parki. Jak doszedł do wniosku, że to zbyt ryzykowne, że musi znaleźć lepszą okazję, żeby zbliżyć się do niej. Jak czekał, aż któryś z mieszkańców tej dużej kamienicy, w której mieszkała, będzie wchodził albo wychodził, jak wślizgnął się przez drzwi, zanim się zatrzasnęły. I jak później bezszelestnie, niemal bezszelestnie, otwierał, używając pewnie karty kredytowej, drzwi do jej mieszkania. Bo ich nie zamknęła na klucz, jak zawsze, chociaż przyrzekała sobie, że to zrobi.

Sophie stała skamieniała ze strachu. W szoku, jak sparaliżowana. Znała ten głos, nie wiedziała jednak skąd.

– Zabił pan moją siostrę – wystękała.

Nic innego nie przychodziło jej do głowy, umysł pracował tak okropnie powoli i potem, całkowicie mimowolnie, powiedziała raz jeszcze:

– Zabił pan moją siostrę.

Mężczyzna zaśmiał się śmiechem pozbawionym wesołości.

– Czego pan ode mnie chce? – zapytała Sophie.

Co za głupie pytanie, przecież wiadomo. Cień nic nie odpowiedział.

Umysł Sophie szukał gorączkowo jakiegoś ratunku. Jeśli nic teraz nie zrobi, nie wyjdzie z tego żywa. Musiała przynajmniej zyskać na czasie.

– Ja pana znam.

– Ach, rozpoznała pani jednak mój głos? – odpowiedział mężczyzna.

Sophie wpatrywała się w niego. W końcu do niej dotarło.

– Jest pan właścicielem mieszkania Britty – rzekła ze zdziwieniem. – Tym, którego brat miał wypadek.

– Bingo – powiedział mężczyzna.

Zabrzmiało to niemal wesoło.

– Ogromnie przyjemnie rozmawiało się z panią przez telefon – dodał, podczas gdy Sophie rozpaczliwie poszukiwała wyjścia z tej sytuacji.

Nie miała żadnych szans na ucieczkę, a w zasięgu nie było żadnej broni. Pomyślała o kuchennych nożach w szufladzie, odległej zaledwie o parę metrów, a mimo to całkowicie nieosiągalnej. Pomyślała o gazie pieprzowym w torebce – ale torebka wisiała w garderobie obok drzwi wejściowych.

– Historia z wypadkiem nie jest niestety prawdziwa – dodał mężczyzna. – Proszę nie mieć mi tego za złe. Uznałem, że to będzie taki miły akcent.

Uśmiechnął się przy tym mimo woli. Potem wesołość zniknęła z jego twarzy.

– Jazda – rozkazał. – Do łazienki. Pani pierwsza.

Sophie się nie poruszyła.

– Dlaczego pan to zrobił? Dlaczego Britta?

– Dlaczego Britta? – spytał mężczyzna, udając, jakby naprawdę zastanawiał się nad tym przez moment. – Dobre pytanie. Dlaczego Britta? Całkiem szczerze? Nie wiem. A któż jest w stanie powiedzieć, dlaczego jeden człowiek wydaje mu się pociągający, a inny go odpycha? A któż wie tak dokładnie, dlaczego robi to, co robi? – Wzruszył ramionami. – Jeszcze jakieś pytania? – zapytał ironicznie.

Sophie zaniósła się szlochem.

– Dlaczego był pan wtedy na parkingu? Śledził mnie pan?

Zyskać na czasie. Chociaż kilka sekund.

– Na jakim parkingu? Nie mam pojęcia, o czym pani mówi. A teraz koniec tej zabawy. Do łazienki.

Sophie poczuła ucisk w gardle.

– Po co mamy iść do łazienki? – zapytała ochrypłym głosem.

Odwlec odrobinę bieg zdarzeń.

– Nie umiała pani poradzić sobie ze śmiercią siostry. Jutro zostanie pani znaleziona w wannie. Nie mogła pani już dłużej. Każdy to zrozumie – mówił mężczyzna. A potem bardziej zniecierpliwiony dodał: – No dalej, dalej!

Sophie nie mogła poruszyć żadnym mięśniem. Śmiała się zawsze, gdy ludzie stali bez ruchu w sytuacji zagrożenia, na przykład w horrorach, zamiast coś zrobić. Jak owce idące na rzeź. Ale teraz sama skamieniała. A potem nagle oszołomienie ustąpiło i zaczęła krzyczeć ile sił w płucach. W ułamku sekundy mężczyzna dopadł ją i zatkał jej usta dłonią.

– Krzyknij jeszcze raz, a załatwię cię od razu, rozumiesz?

Sophie sapała ciężko.

– Kiwnij głową, jeśli rozumiesz.

Sophie kiwnęła głową.

Mężczyzna ją puścił.

– Teraz idziemy do łazienki – powiedział.

Nie ruszyła się z miejsca.

– No już – syknął, wymachując groźnie nożem.

Znów odzyskała władzę nad ciałem. Ruszyła niepewnym krokiem, rozmyślając gorączkowo. Żeby dotrzeć do łazienki, będzie musiała przejść przez zastawiony kartonami długi przedpokój, w kierunku drzwi wejściowych. Zrobiła jeden, dwa kroki, wyszła z kuchni, czując za plecami mężczyznę z nożem. Kartony Paula zagradały jej drogę. „Ubrania na zimę” – napisano na jednym z kartonów, „DVD” na innym, „Buty”. Drzwi wejściowe były coraz bliżej, ciągle jednak nieskończenie daleko, na końcu korytarza. Kolejny krok. Nie uda się. Ale może...

Potrzebowała ułamka sekundy, chwilowej dekoncentracji. Kolejny krok. Ale morderca nie spuszczał jej z oka. Czują go za plecami, czujnego, niebezpiecznego. Jeszcze trzy, cztery kroki do łazienki, a wtedy już będzie po wszystkim. Jeszcze dwa kroki. Jeden. „CD”, „Różności”. Sophie dotarła do łazienki, zerkając kątem oka na mężczyznę, na rękę z uniesionym nożem, i już chciała chwycić klamkę, gdy rozległ się dzwonek do drzwi, długi i przenikliwy. Dostrzegła, że mężczyzna za jej plecami wzdrygnął się i spojrzał zaskoczony w stronę drzwi. Zareagowała natychmiast. Jednym susem dopadła kartonu, wyrwała z niego kij golfowy Paula i wzięła zamach.

Jedenaście lat to szmat czasu. Gdy w nocy nie mogę zasnąć i w ciemności wpatruję się w sufit, wtedy zdarza się, że zadaję sobie pytanie, czy ten świat na zewnątrz tylko mi się przyśnił. Może ten tutaj to nie wyłącznie mój świat, może to jedyny świat. Może powinnam wierzyć tylko w to, co mogę zobaczyć i dotknąć. Może całą resztę tylko sobie wymyśliłam. Przecież od zawsze zmyślałam historie, pamiętam dobrze.

Wyobrażam sobie, że nie ma nic innego poza tym, co jest tutaj. Mój dom, mój świat. Wyobrażam sobie, że nie ma dla mnie nic innego, że tutaj zestarzeję się i umrę. Że urodzę tu dzieci, jakimś sposobem. Dzieci, które rodzą się w moim świecie, które nie znają niczego poza parterem i piętrem, i strychem, i piwnicą, balkonami i tarasami. A ja opowiadam im bajki, w których dzieją się cudowne rzeczy, w których roi się od czarodziejskich stworzeń i cudów.

– Jest taka kraina, w której rosną olbrzymie drzewa – będę opowiadała. Co to są drzewa? – będą mnie pytać, a ja powiem im, że to taka magiczna rzecz, która wyrasta z ziemi aż do nieba, gdy się zagrzebie w trawie małe nasionko, magiczna rzecz, która wygląda inaczej o każdej porze roku, która umie się przemieniać, wydawać kwiaty i zielone i żółte liście – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. – Jest taka kraina, w której są nie tylko drzewa, ale też stworzenia pokryte piórami, duże i małe, siedzące na drzewach, śpiewające pieśni w obcym języku. W tej krainie są takie olbrzymie istoty, wielkie jak nasz dom, które żyją w morzu i wyrzucają z siebie fontanny wody wysokie jak wieża. I w tym kraju są góry i pola, i pustynie, i łąki.

– Co to są łąki, mamó? – będą pytać moje dzieci.

– To olbrzymie przestrzenie, całkiem zielone, mięciutkie, porośnięte trawami, z małymi niegrzecznymi łodyżkami, które łaskoczą dzieci po nogach, gdy dzieci biegają jak szalone. I one są tak wielkie, że można po nich biegać tak długo, że całkiem zabraknie tchu, a i tak nie dotrze się na ich skraj.

– Mamó, to przecież niemożliwe – powie jedno z moich dzieci.

– Właśnie, mamó, to zupełnie niemożliwe. Nic nie jest takie duże.

Myślę o świecie na zewnątrz i ogarnia mnie uczucie nieskończonej tęsknoty. Znam je dobrze. Czuję tę tęsknotę podczas pisania i na bieżni, w moich snach i nawet w trakcie rozmowy z Lenzenem.

Chcę stanąć w środku lata na rynku w jakimś małym mieście i wznieść mój wzrok ku niebu, zasłonić dłonią oczy przed słońcem i obserwować karkołomne powietrzne manewry jerzyków, gdy śmigają wokół kościelnej wieży. Chcę poczuć zapach drzewa i żywicy podczas spaceru po lesie. Chcę widzieć niepowtarzalne ruchy lecącego motyla, tę beztroską bezcelowość. Poczuć chłód na twarzy, gdy napływa mała chmurka i zasłania grzejące nas letnie słońce. Poczuć śliski dotyk wodorostów łaskoczących łydki, gdy pływam w jeziorze. I myślę: znowu tak będzie.

Tak, boję się. Ale jeśli nauczyłam się czegoś w ostatnim tygodniu i miesiącach, to właśnie tego: strach nie jest wystarczającym powodem, żeby z czegoś zrezygnować. Wręcz przeciwnie.

Muszę to zrobić. Wrócić do rzeczywistego świata. Będę wolna. I zajmę się Lenzenem.

30 - JONAS

Komisarz Jonas Weber stał przy oknie w swoim biurze i przyglądał się podniebnej zabawie ostatnich jerzyków. Niedługo one też ruszą z powrotem na południe.

Musiał się wziąć w garść, żeby nie stracić głowy po SMS-ie od Sophie. Dodał wtedy gazu, pognął przez miasto i był na miejscu radiowozem, który zaalarmował po drodze. Ostatnie metry do domu Sophie pokonał biegiem. Naciskał wielokrotnie dzwonek domofonu jak szalony. Z trudem panował nad sobą, gdy nikt nie otworzył. Zaczął dzwonić do sąsiadów, w końcu jakaś zirytowana starsza pani wpuściła go do środka, wszystko w porządku, policja. Wbiegł po schodach, zaczął walić w drzwi i już chciał je wyważyć, gdy nagle otworzyły się gwałtownie.

Jonas próbował wymazać z pamięci ten straszny moment – gdy nie wiedział, czy zdążył, czy przybył za późno.

Otworzyła Sophie, blada jak papier, ale na pozór spokojna. Z ulgą stwierdził, że jest cała i zdrowa. Potem zobaczył tego mężczyznę, leżącego na podłodze, martwego albo rannego. Zbadał mu puls i przekonał się, że jeszcze żyje. Wezwał pogotowie. Do środka wbiegli funkcjonariusze z radiowozu, potem przyjechała karetka i wszyscy zaczęli robić, co należało. Wszystko dobrze się skończyło.

Jonas odwrócił wzrok od okna i usiadł za biurkiem. Zastanawiał się, co teraz robi Sophie. Od wielu dni walczył z pokusą, żeby do niej zadzwonić. Ona zniesie szok wywołany tym atakiem, tego był pewien. Wkrótce będzie taka sama jak wcześniej. Ludzie tacy jak Sophie spadają zawsze na cztery łapy. Toczył jednak wewnętrzną walkę. Miał ochotę usłyszeć jej głos. Wziął telefon, wybrał jej numer, zawahał się. Podskoczył, bo do biura wpadła nagle Antonia Bug.

– Zwłoki w lesie – powiedziała. – Idziesz?

Kiwnął głową.

– Co się stało? – zapytała Bug. – Wyglądasz jak siedem nieszczęść.

Jonas nic nie odpowiedział.

– Ciągłe myślisz o naszym dziennikarzu? – zapytała.

Irytowało go, że Bug w tak lekki sposób mówi o mordercy, który oprócz Britty Peters zabił jeszcze jedną kobietę. Ale wszyscy tak robili. W prasie rozpętała się burza, ponieważ dziennikarze byli wstrząśnięci, że zabójcą okazał się ich kolega po fachu.

– Powinniśmy byli dorwać go wcześniej – odpowiedział Jonas. – Wtedy nie zaatakowałby po raz drugi. Trzeba było iść tym tropem, gdy Zimmer ustalił, że Britta Peters skarżyła się na właściciela jej mieszkania, bo ten właził do niej bez pozwolenia.

– Przecież poszliśmy.

– Tak, ale nie powinniśmy brać za dobrą monetę deklaracji starszego pana tylko dlatego, że wszystkiego się wypierał. Gdybyśmy byli bardziej dociekliwi, może doszlibyśmy do tego, że to nie on użył swojego klucza, aby dostać się do mieszkania Britty Peters, lecz jego syn.

– W tym przyznaję ci rację – powiedziała Bug. – Może wtedy wypadki potoczyłyby się inaczej. Ale czy to ma jeszcze jakieś znaczenie?

Wzruszyła ramionami. Zadziwiająco szybko uznała tę sprawę za zamkniętą.

Jonas musiał to wszystko przetrwać. Emocjonalny chłód tego mężczyzny, który nie żywił do Britty Peters żadnej urazy, nawet jej tak naprawdę nie znał. Po prostu pewnego dnia zobaczył ją, gdy przyszła do jego ojca. Pasowała najwidoczniej do schematu ofiary, a to coś w nim uruchomiło. Taka niewinna, taka czysta. Zabił ją, bo „chciał i mógł to zrobić”. Poza tym nie było żadnego motywu, nic. Uznał, że jeśli zostawi przy ofierze białe róże, będzie to „miły akcent”, coś „wyjątkowego”, „jak w filmach”.

Jonas Weber będzie jeszcze długo myślał o tym mężczyźnie, który wkrótce stanie przed sądem.

– Idziesz? – powtórzyła Antonia.

Kiwnął głową. Odłożył komórkę. Tak będzie lepiej. Sophie miała to, czego chciała. Zabójca jej siostry został schwytyany. A przecież o to chodziło, prawda? Tylko o to.

Gdy Charlotta pojawia się przed południem i zaczyna wypakowywać w kuchni cotygodniowe zakupy, ja mam już za sobą wiele pracowitych godzin. Przyglądałam się specjalistom od podsłuchu, jak z obojętnymi minami usuwają z mojego domu mikrofony i kamery. Sprzątałam. Usunęłam z mojego domu wszystkie ślady Victora Lenzena. Obejrzałam nagrania wideo. Szalona pisarka i osłupiały reporter. Z trudem pohamowywałam wściekłość – żadnych zdemolowanych pomieszczeń ani krwawiących pięści. Zamiast tego się przygotowywałam.

Teraz muszę włączyć w to Charlotte. To nie będzie tak łatwe, jak myślałam. Stoimy w kuchni. Wkłada do lodówki owoce i warzywa, mleko i ser. Patrzy na mnie sceptycznie. Rozumiem ją. Moja prośba musi wydać się jej dziwna.

– Na jak długo mam zabrać do siebie Bukowskiego? – pyta.

– Na tydzień? Da się?

Mierzy mnie badawczym wzrokiem, potem przytakuje.

– Jasne, czemu nie. Bardzo chętnie. Mój syn oczywiście oszaleje z radości, kocha psy, sam chciałby mieć jakiegoś.

Waha się, zerka ukradkiem na opatrunek na mojej prawej ręce, którą waliłam w szale w ścianę gabinetu. Zraniłam się przy tym tak poważnie, że musiałam wezwać lekarza, żeby przyjechał i ją opatrzył. Wiem, że Charlotta chce jeszcze coś powiedzieć, że pewnie się martwi. Jej dziwna pracodawczyni, która nigdy nie opuszcza domu i ostatnio miała co najmniej jeden epizod depresyjny, prosi ją, aby zaopiekowała się jej psem. Brzmi to tak, jakby planowała samobójstwo i chciała tylko zadbać o to, aby po jej śmierci ktoś zaopiekował się jej ukochanym psem. Jasne. Normalni ludzie oddają zwierzęta w opiekę innym, gdy chcą wyjechać. A przecież jakiegokolwiek plany wyjazdowe w moim przypadku to kompletny absurd.

– Pani Conrads – pyta z ociąganiem – czy dobrze się pani czuje?

Odczuwam nagle taki przyływ sympatii do Charlotty, że ledwie jestem

w stanie się powstrzymać, aby jej nie objąć, bo to by ją z pewnością ostatecznie wystraszyło.

– Wszystko w porządku, naprawdę. Wiem, że w ostatnich tygodniach i miesiącach zachowywałam się trochę dziwnie. Może nawet zdradzałam objawy depresji. Ale teraz czuję się lepiej. Tylko w najbliższych dniach mam strasznie dużo rzeczy do załatwienia, a Bukowski potrzebuje teraz tyle uwagi... – Waham się, bo wiem, że to, co mówię, brzmi głupio, ale nie mogę tego zmienić. – Byłoby po prostu fajnie, gdyby mogłaby go pani wziąć na parę dni. Oczywiście zapłacę.

Charlotta kiwa głową. Drapie się niepewnie po pokrytym tatuażami przedramieniu. Znowu kiwa głową.

– Okej.

Nie mogę się dłużej opanować i rzucam się jej na szyję. Wcześniej zapytałam ją, czy dziennikarz, który robił ze mną niedawno wywiad, nawiązał z nią kontakt, ale zaprzeczyła. I tak wątpię, by Lenzen chciał zrobić Charlotcie coś złego. Nie jest głupi.

Charlotta akceptuje te objawy czułości. Trzymam ją przez parę sekund w ramionach, potem puszczam.

– Ee, dziękuję – mruczy zmieszana. – To ja pójdę spakować wszystko dla psa. – Rusza w stronę schodów na piętro.

Czuję ogromną ulgę, jest mi niemal wesoło. Właśnie zamierzam pójść do gabinetu, gdy nagle osłupiała zatrzymuję się w korytarzu i patrzę na małą orchideę, którą przed paroma miesiącami przyniosłam z oranżerii. Chuchałam na nią i dmuchałam, zaaplikowałam jej nawóz dla storczyków, podlewałam ją co tydzień, poświęcałam jej wiele uwagi. Mimo to dopiero teraz dostrzegam nową łodyżkę. A na niej pąki, które są jeszcze bardzo małe, niepozorne i twarde. A jednak kryje się już w nich bujny przepych olbrzymich, egzotycznych kwiatów. To jest dla mnie jak cud. Postanawiam oddać Charlotcie pod opiekę także tę roślinę. Nie chcę, żeby zmarniała, gdy mnie nie będzie.

Resztę dnia spędzam nad laptopem w gabinecie, czytając. Dowiaduję się, że orchidee mogą rosnąć praktycznie wszędzie, na ziemi, na skale, na kamieniach, na innych roślinach. Że mogą rosnąć w nieskończoność i nie ma właściwie żadnych informacji, jaki wiek mogą osiągnąć. Miałam w ostatnich latach wiele czasu na czytanie, ale tego nie wiedziałam.

Charlotta w pewnym momencie poszła do domu. Bukowski robił sceny, gdy

go pakowała do samochodu, jakby przeczuwał, że stanie się coś złego. A przecież zna samochód Charlotty, bo to ona wozi go zawsze do weterynarza. Mimo to protestował jak oszalały. Trochę go pogłaskałam, potargałam za sierść, tylko trochę, mimochodem, aby nie wzmacniać w nim przeczucia, że jest to pożegnanie na zawsze.

Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy, stary.

Po odjeździe Charlotty i Bukowskiego idę do oranżerii i podlewam rośliny. Następnie robię kawę w kuchni. Potem idę do biblioteki, wciągam w płuca jej kojący zapach i – z filiżanką w dłoni – patrzę przez okno. Tak długo, aż kawa stygnie, a świat na zewnątrz pogrąża się w mroku.

Jest noc. Nie ma już nic do zrobienia. Jestem gotowa.

Epilog - SOPHIE

Spotkała go całkiem przypadkiem. Weszła do jakiejś knajpy, w której nigdy wcześniej nie była – i od razu go dostrzegła, chociaż w lokalu było dość tłoczno. Siedział przy barze, z drinkiem. Nie mogła w to uwierzyć. A potem przyszło jej do głowy, że komisarz może pomyśleć, że za nim chodzi, dlatego chciała już wyjść, gdy odwrócił się w jej stronę i ją zobaczył. Sophie uśmiechnęła się smutno. Podeszła do niego.

– Śledzi mnie pani? – spytał Jonas Weber.

– Czysty przypadek, słowo harcerza – odpowiedziała Sophie.

– Nigdy tu pani nie widziałem. Często tu pani przychodzi?

– Często mijam ten lokal, ale dziś pierwszy raz weszłam do środka.

Usiadła na wolnym stołku przy barze.

– Co pan pije?

– Whisky.

– No dobrze – powiedziała Sophie i zwróciła się do barmana: – Poproszę to samo co on.

Barman napełnił szklaneczkę i postawił ją na barze.

– Dziękuję.

Przez chwilę wpatrywała się w przejrzysty bursztynowy trunek, po czym zakołysała szklanką.

– Za co pijemy? – zapytała w końcu.

– Ja za oficjalny koniec mojego małżeństwa – powiedział Jonas. – A pani?

Zawahała się, bo nie od razu dotarło do niej to, co usłyszała. Zastanawiała się, czy to skomentować, ale się rozmyśliła.

– Wcześniej mówiłam zawsze, że za pokój na świecie. Ale na świecie nie ma pokoju i nigdy nie będzie.

– Więc bez toastu – odparł Jonas.

Spojrzeli sobie w oczy, stuknęli się szkłem i wychylili whisky do dna.

Sophie wygrzebała banknot z kieszeni spodni i położyła go na barze.

– Dziękuję – powiedziała do barmana.

Odwróciła się do Jonasa. Patrzył na nią tymi swoimi osobliwymi oczami.

– Już pani idzie? – zapytał.

– Muszę.

– Tak?

– Tak, czekają na mnie w domu.

– A narzeczony... Znowu jesteście razem? – zapytał Jonas.

Powiedział to całkiem obojętnym tonem.

– Nie. Mam kogoś nowego i nie chcę zostawiać go samego na długo. Chce pan go zobaczyć?

Zanim Jonas zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Sophie wyciągnęła z kieszeni dzinsów komórkę. Chwilę czegoś w niej szukała i w końcu podsunęła mu pod nos zdjęcie małego, kudłatego szczeniaka.

– Czy nie jest obłądny? – zapytała Sophie.

Jonas uśmiechnął się mimo woli.

– Jak się wabi?

– Zastanawiam się właśnie, czy nie nazwać go od jednego z moich ulubionych pisarzy. Może Kafka.

– Hm.

– Nie przekonuje to pana?

– Dobre imię, bez dwóch zdań. Kafka. Ale on nie wygląda jak Kafka.

– A jak wygląda? Tylko niech pan nie wyskakuje z jednym z tych pańskich poetów. Nie nazwę go Rilke.

– Myślę, że wygląda jak Bukowski.

– Bukowski?! – krzyknęła Sophie z oburzeniem. – Zniszczony życiem pijak?

– Nie, rozczochrany. I na swój sposób cool.

Wzruszył ramionami. Chciał coś właśnie powiedzieć, gdy zadzwonił jego telefon. Spojrzał na wyświetlacz. Chwilę później krótki sygnał poinformował, że ktoś się nagrał na pocztę głosową.

– Musi pan oddzwonić – stwierdziła Sophie. – Nowa sprawa.

– Tak.

– Cóż, na mnie i tak już pora.

Zsunęła się ze stołka i popatrzyła Jonasowi w oczy.

– Dziękuję – powiedziała.

– Za co? To pani go dopadła, nie ja.

Wzruszyła ramionami.

– Mimo wszystko – powiedziała, pocałowała Jonasa Webera w policzek i zniknęła.

Mój świat to dysk o powierzchni tysiąca metrów kwadratowych. Stoję na jego krawędzi. Tam na zewnątrz, po drugiej stronie drzwi, czai się mój strach.

Naciskam klamkę, otwieram drzwi. Przede mną czern. Po raz pierwszy od wielu lat mam na sobie kurtkę.

Robię mały krok i od razu wraca ból głowy, przenikliwy, groźny. Ale muszę przez to przejść. Przez strach. Drzwi zatrząskują się za mną, ten odgłos ma w sobie coś ostatecznego. Nocne powietrze dotyka mojej twarzy. Gwiazdy błyszczą na zimnym niebie. W jednej sekundzie robi mi się nieprawdopodobnie gorąco, moje trzewia zaciskają się w skurczu. Ale stawiam kolejny krok. I jeszcze jeden. Jestem samotnym żeglarzem na obcym morzu. Jestem ostatnim człowiekiem na opustoszałej planecie. Idę, potykając się. Dalej i dalej. Docieram do końca tarasu. Czern otacza mnie ze wszystkich stron.

Tu zaczyna się trawa. Stawiam nogę za nogą, czuję miękkie dywan łąki pod stopami. Potem staję, bez tchu. Czern jest we mnie. Czuję pot na czole.

Mój strach to głęboka studnia, do której wpadłam. Unoszę się pionowo w wodzie, koniuszkami palców u nóg próbuję wyczuć dno, ale nie ma tam nic, tylko czern. Zamykam oczy i bezwolnie opadam. Pograżam się w ciemności, moje ciało zapada się coraz głębiej, pochłania mnie woda, tonę, nie ma dna, opadam głębiej i głębiej, nie ma dna, pozwalam na to, oczy zamknięte, moje ramiona nade mną jak wodorosty, tonę. Bez końca. I potem nagle docieram do dna, chłodnego i twardego. Muskam je palcami u nóg, lecz wkrótce spoczywam na nim całym moim ciężarem, stoję na dnie studni, dotarłam do dna, otwieram oczy i stwierdzam ze zdumieniem, że mogę tutaj, w jądrze ciemności, stać i oddychać. Rozglądam się wokół.

Przede mną całkiem spokojne jezioro. Lekki wiatr szepcze, napotykalając skraj lasu. Wokół mnie trzaski i szelesty, pewnie ptaki w ściółce, skrzętny jeż, wałęsający się kot. Naraz uświadamiam sobie, jak wiele życia jest wokół mnie, nawet jeśli tego nie widzę. Nie jestem sama. Zwierzęta w lesie, tam na

łące, w jeziorze i na brzegu, wszystkie te sarny i jelenie, i lisy, dziki i puszczyki, wszystkie te ropuchy i sowy, i koniki polne, i pstrągi, i szczupaki, wszystkie te biedronki i komary, i kuny. Tyle życia. Delikatny uśmiech wkrada się na moje wargi, tak po prostu.

Stoję na skraju łąki. Był strach, już go nie ma, ale ja ciągle jestem. Ruszam ponownie, wkraczam w rozgwieżdżoną noc van Gogha. Patrząc w krąg i gwiazdy rozmazują się w cienkie nitki, księżyc tworzy smugę na lepkim, wilgotnym, połyskującym wilgocią nocnym niebie.

Myślę sobie, że noc jest nie tylko tajemnicza i romantyczna, i piękna.

Jest także ciemna i zatrważająca. Jak ja.

Po śmierci Anny wszystkiego było mi za dużo. Spojrzeń, pytań, głosów, światła, hałasu, prędkości. Ataki paniki, do których początkowo dochodziło na widok noża. Albo gdy usłyszałam konkretną piosenkę. Wkrótce jednak mogło je wywołać wszystko. Przechodząca obok kobieta, która używała tych samych perfum co Anna. Krwiste mięso w witrynie u rzeźnika. Drobiazgi. Praktycznie wszystko. Oślepiająca jasność w głowie, ból za gałkami ocznymi, to uczucie czerwone i surowe. I zupełny brak kontroli.

Dobrze mi zrobiło pobyc wreszcie trochę w domu. W samotności. Nacieszyć się spokojem. Napisać nową książkę. Wstawać rano, popracować, zjeść coś, znowu pisać, iść spać. Wymyślać historie, w których nikt nie musi umierać. Życ w świecie, w którym nie ma żadnych zagrożeń.

Ludzie myślą, że to trudne nie wychodzić z domu przez ponad dziesięć lat. Myślą, że łatwo jest wyjść z domu. I mają rację, łatwo jest wyjść z domu. Ale łatwo też jest tego nie robić. Z kilku dni robi się szybko kilka tygodni. Z kilku tygodni miesiące i lata i wydaje się, że to długo, strasznie długo, ale to tylko kolejny dzień w szeregu dni.

Z początku nikt nie zauważył, że nie wychodzę z domu. Przecież Linda nie zniknęła. Dzwoniła, pisała maile, a bo to wiadomo, kiedy człowiekowi uda się spotkać, wszyscy jesteśmy przecież tak strasznie zajęci. Ale w końcu wydawnictwo zwróciło się z zapytaniem, czy nie zechciałabym odbyć znowu kilku spotkań z czytelnikami, a ja powiedziałam nie. Przyjaciele żenili się i składani byli do grobu, zapraszano mnie, żebym przyszła, a ja mówiłam nie. Dostawałam nagrody i zaproszenia i mówiłam nie. W końcu zaczęło się to rzucać w oczy. Gdy zaczęły krążyć plotki o mojej tajemniczej chorobie, byłam zachwycona. Do tego czasu ciągle próbowałam się przemóc. Spędzałam całe godziny, stojąc w progu, tak bardzo chcąc go przekroczyć, zawsze kończyło się wielką porażką. Ale ta cudowna choroba, wymyślona i upowszechniona pierwotnie przez jakiś duży kłamliwy dziennik, uwolniła mnie od tego. Skończyły

się zaproszenia. Nie byłam już aspołeczna i nieuprzejma, lecz nagle w najgorszym wypadku godna pożalowania, w najlepszym – dzielna. To nawet pomogło mojej karierze literackiej. Linda Conrads, autorka żyjąca w stanie odosobnienia, cierpiąca na tajemniczą chorobę, sprzedawała się jeszcze lepiej od Lindy Conrads z krwi i kości, której można było uścisnąć dłoń i z którą można było porozmawiać na spotkaniu z czytelnikami. Więc nigdy nie dementowałam tych spekulacji. Dlaczego niby miałabym to robić? I tak nie miałam ochoty rozmawiać o swoich atakach paniki, które sprawiały, że tak łatwo było mnie zranić.

A teraz czuję się tak, jakbym otworzyła książkę z baśniami, którą ostatnio przeglądałam jedenaście lat temu i która mnie wtedy wchłonęła. Siedzę w tak-sówce. Mknę przez noc. Głowę oparłam o szybę, oczy chłoną wrażenia, świat. Rzeczy istniejące w tym świecie: wszystkie.

Patrzę w górę. Nocne niebo jest czarną jak atrament kurtyną, przed którą przesuwają się różowe chmury niczym akrobaci i tancerze. Od czasu do czasu przeblyskują gwiazdy. Realny świat jest dużo bardziej magiczny, dużo bardziej niepojęty niż ten z moich wspomnień. Kręci mi się w głowie w obliczu nieskończonej liczby otwierających się przede mną możliwości.

Nie jestem już niemal w stanie znieść tego dzikiego, pełnego niepokoju uczucia, które rozlewa się w mojej piersi, gdy uświadamiam sobie: *Jestem wolna.*

Jest ciemno, ale światła jadących z naprzeciwka samochodów, ruch, życie wokół mnie absorbują moją uwagę bez reszty. Zbliżamy się do miasta, ruch nieco gęstnieje, mimo wieczornej pory, coraz więcej życia. Jestem na safari, oglądam przechodniów jak egzotyczne zwierzęta. Czuję się, jakbym nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego. Oto matka i jej młode, niesie je przypasane do brzucha, tłusciutkie nóżki poruszają się bezwładnie. A tam para starszych ludzi, trzymają się za ręce, to wzruszające, i przychodzą mi na myśl moi rodzice i szybko odwracam wzrok. Tam stadko młodych osobników, pięć, nie, sześć sztuk, z opuszczonymi głowami, wzrok przykuty do telefonów trzymany w rękach, idą chodnikiem i coś piszą. Myślę o tym, że nastolatki zaludniające te ulice były małymi dziećmi, gdy ostatni raz tu byłam. Wiem, że wszystko teraz składa się z sieci, z sieci supermarketów i sieci dyskontów, sieci fast foodów i sieci kawiarni, i sieci księgarń, czytam gazety, wiem wszystko. Tylko nigdy nie widziałam tego na własne oczy. Wszystko jest takie znajome i takie obce zarazem, jakbym oglądała film pokazujący moje wcze-

śniejsze życie, nakręcony w jakimś obcym języku, którego nie rozumiem.

Taksówka zatrzymuje się tak gwałtownie, że aż podskakuję. Znajdujemy się w spokojnej dzielnicy mieszkalnej na obrzeżach miasta. Ładne domki, zadbane ogródki. Rowery. Gdyby to była niedziela, przez okna większości domów mogłabym zobaczyć ostatnie minuty filmu nadawanego po wiadomościach.

– Jesteśmy na miejscu – mówi oschle kierowca. – To będzie dwadzieścia sześć euro dwadzieścia.

Wyciągam z kieszeni spodni zwitek banknotów. Nie mam wprawy w obchodzeniu się z gotówką, w końcu w ostatnich latach robiłam zakupy zawsze online i płaciłam tylko przez internet. Znajduję dwudziestkę i dziesiątkę. Dotykanie prawdziwych pieniędzy sprawia mi przyjemność. Podaję mężczyźnie banknoty i mówię:

– Reszty nie trzeba.

Chętnie bym jeszcze trochę posiedziała, żeby odwlec to, co nastąpi. Wiem jednak, że zabrnęłam dzisiejszej nocy zbyt daleko, by teraz zawrócić. Otwieram drzwi samochodu, lekceważę odruch nakazujący mi je zamknąć z powrotem, lekceważę ból głowy, biorę się w garść, wysiadam, podchodzę na miękkich nogach do drzwi domu z numerem jedenaście, wyglądającego tak samo jak numer dziewięć i numer trzynaście, ignoruję falę emocji, która we mnie wzbiera, gdy słyszę znajomy odgłos moich kroków na żwirowej ścieżce. Reaguje czujnik ruchu, wzdrygam się, gdy lampa oświetla mi drogę i zwiastuje moje przybycie. Dostrzegam ruch za firanką, przełykam przekleństwo, chciałam mieć trochę czasu na pozbieranie myśli, zanim nacisnę dzwonek. Wziąć głęboki oddech. Zebrać się w sobie. Pokonuję trzy stopnie prowadzące do drzwi, kładę palec na dzwonku i nim zdążam nacisnąć, drzwi się otwierają.

– Linda – mówi mężczyzna.

– Tato – mówię ja.

Za nim wyłania się matka, jakieś metr sześćdziesiąt zdumienia. Rodzice stoją w drzwiach i wpatrują się we mnie. Potem otrząsają się z odrętwienia, oboje, jednocześnie, i tulą mnie do siebie, i toniemy wszyscy troje w jednym uścisku. Ulga, którą czuję, smakuje czereśniami z naszego ogrodu, szczawiem, stokrotkami i wszystkimi zapachami mojego dzieciństwa.

Potem siedzimy przez chwilę w pokoju i pijemy herbatę. Rodzice jedno obok drugiego na kanapie, ja naprzeciwko na moim ulubionym fotelu. Droga do tego fotela prowadziła przez korytarz, w którym wiszą niezliczone zdjęcia z mojego dzieciństwa i młodości. Linda i Anna na biwaku, Linda i Anna pod-

czas pyjama party, Linda i Anna w Boże Narodzenie, Linda i Anna w karnawale. Staralam się nie przyglądać.

Kątem oka widzę migotanie telewizora, włączenie go było czymś w rodzaju czynności zastępczej mojej matki. Staralam się wyjaśnić im, jak to możliwe, że nagle tu się znalazłam, że nagle znowu wychodzę z domu, powiedziałam, że czuję się lepiej i mam coś ważnego do załatwienia, i o dziwo to wystarczyło, na razie. A teraz siedzimy. Patrzymy na siebie nieśmiało, mamy tak dużo rzeczy do obgadania, że nie wiemy, co powiedzieć. Na stoliku przede mną leżą kanapki, które zrobiła w pośpiechu matka. Ciągłe ma poczucie, że musi mnie karmić. Jestem oszołomiona, to wszystko jest nazbyt nierzeczywiste, tapeta Rauhfaser, zegar z kukułką, dywan, rodzinne fotografie, znajome zapachy, niepojęte. Że w ogóle tu jestem – to niepojęte. Przyglądam się ukradkiem moim rodzicom. Zestarzeli się w różny sposób. Matka wygląda prawie tak jak zawsze, może jest nieco drobniejsza niż wcześniej, ale poza tym niewiele się zmieniła, niska, chuda, ubrana praktycznie, jej trochę niemodna już krótka fryzura ufarbowana na rudy brąz. Tata za to się zestarzał. Tyle lat. Lewy kącik ust zwisa bezwładnie, trzęsą mu się ręce. Stara się to ukryć.

Trzymam kubek z herbatą, jakby to było koło ratunkowe. Wodzę wzrokiem po pokoju, skupiam się na półkach z książkami, które zajmują ścianę po lewej stronie. Rzuca mi się w oczy rząd książek, ta charakterystyczna czcionka, znam ją, przyglądam się dokładniej i poznaję, że tam na półce to moje książki. Po dwa egzemplarze każdej z moich powieści, uporządkowane w ścisłym porządku chronologicznym. Przełykam ślinę. Zawsze myślałam, że moich rodziców nie interesują moje książki, a już na pewno ich nie czytają. Nigdy nie wypowiedzieli się na temat moich tekstów, ani krótkich historii, które wymyślałam jako nastolatka, ani na temat mojej pierwszej powieści, którą napisałam w wieku dwudziestu paru lat. Nigdy nie rozmawialiśmy o jakimkolwiek z moich utworów, ani o młodzieńczych tekstach, które nie odnosiły szczególnych sukcesów, ani o późniejszych bestsellerach. Nigdy o nie nie pytali i nigdy też nie prosili mnie, abym przysłała im egzemplarz. Przez długie lata byłam tym bardzo zawiedziona, aż w końcu zupełnie o tym zapomniałam. A oni mają moje książki, wszystkie, i to po dwa egzemplarze. Pewnie po jednej dla każdego z nich obojga. Albo drugi egzemplarz na wszelki wypadek, gdyby jeden gdzieś zginął?

Chcę właśnie o to spytać, gdy matka chrząka ukradkiem; jej sposób na rozpoczęcie konwersacji.

To ja chciałam zainicjować rozmowę, mieć to już za sobą, ale brakuje mi słów. Jak zapytać własnych rodziców, czy uważają mnie za morderczynię? I jak dać sobie radę z odpowiedzią?

– Linda – zaczyna matka i zaraz znowu przerywa i przełyka ślinę. – Linda, chcę ci tylko powiedzieć, że cię rozumiem.

Ojciec kiwa ze współczuciem.

– Tak. Ja też – mówi. – To znaczy naturalnie na początku to był szok. Ale twoja matka i ja rozmawialiśmy na ten temat i zrozumieliśmy, dlaczego to robisz.

Nic nie rozumiem.

– I chciałabym cię przeprosić – mówi matka. – Że odłożyłam słuchawkę, gdy zadzwoniłaś. Strasznie się z tego powodu czułam. Właściwie od razu po tym, jak to zrobiłam. Nawet dzwoniłam do ciebie następnego dnia, ale nikt nie odbierał.

Marszczę czoło, chcę protestować. Zawsze wiem, czy ktoś do mnie dzwonił, jestem – w dosłownym sensie tego słowa – największym domatorem na tej planecie i praktycznie zawsze siedzę w domu. Ale potem dociera to do mnie. Mój zdemolowany gabinet. Roztrzaskany laptop, porozrywane w napadzie szału segregatory, wyrwany ze ściany i rozbity o podłogę telefon. Okej. Ale o czym oni mówią? I czy muszę to wiedzieć?

– Możesz oczywiście robić, co chcesz. To twoja historia. To ostatecznie twoje przeżycia – mówi matka. – Jednak byłoby dobrze, gdybyś nas uprzedziła. Przede wszystkim... – zacina się, odchrząkuje, dalej mówi cichszym głosem: – ...przede wszystkim oczywiście co się tyczy tych miejsc związanych z zabójstwem.

Wlepiam wzrok w matkę. Wygląda na wyczerpaną, zupełnie tak, jakby musiała zużyć całą swoją energię na wypowiedzenie tych kilku zdań. Ale ja po prostu jej nie rozumiem.

– O czym ty mówisz, mamo? – pytam.

– No o twojej nowej książce. O *Siostrach krwi*.

Kręcę zdumiona głową. Moja książka ukaże się dopiero za dwa tygodnie. Dotychczas do prasy i dystrybutorów trafiło tylko kilka przedpremierowych egzemplarzy. Nie było jeszcze żadnych recenzji, a moi rodzice nie mają żadnych kontaktów w branży wydawniczej. Skąd wiedzą o powieści? Mroczne przeczucie rozlewa się w moim żołądku jak gęsty syrop.

– Skąd wiecie? – pytam, starając się zachować spokój.

Oczywiście powinni się o tym dowiedzieć ode mnie. Ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że pomyślałam, aby ich uprzedzić. Po prostu zapomniałam.

– Był tu jeden dziennikarz – odpowiada ojciec. – Miły facet, z poważnej gazety, to znaczy twoja matka zaprosiła go do środka.

Czuję, jak włoski na moim karku stają dęba.

– Siedział tam, gdzie ty teraz, i pytał nas, co sądzimy o tym, że nasza sławna córka wykorzystuje w swojej nowej powieści zabójstwo swojej siostry.

Jakbym spadała z wysoka.

– Lenzen – sapię.

– Tak dokładnie się nazywał! – woła ojciec, jakby cały czas szukał w pamięci tego nazwiska, ale nie mógł go sobie przypomnieć.

– Najpierw mu nie wierzyliśmy – do konwersacji włącza się znowu moja matka. – Aż w końcu pokazał nam egzemplarz książki.

Kręci mi się w głowie.

– Victor Lenzen był tutaj, w tym domu? – pytam.

Patrzą na mnie zaniepokojeni. Muszę być bardzo, bardzo blada.

– Wszystko w porządku? – pyta matka.

– Victor Lenzen był tutaj, w tym domu, i opowiadał wam o mojej książce? – pytam.

– Powiedział, że jest z tobą umówiony na wywiad i chciałby wcześniej dowiedzieć się czegoś o twoim otoczeniu – mówi ojciec. – Nie powinniśmy byli go w ogóle wpuszczać.

– To dlatego odłożyłaś słuchawkę, gdy dzwoniłam – sapię. – Byłaś zła z powodu książki.

Matka kiwa głową. Mam ochotę rzucić się jej z ulgą na szyję, bo po prostu jest, bo jest moją matką, bo nawet przez sekundę nie pomyślała, że mogłabym być zabójczynią, nawet przez sekundę. Ta myśl jest całkowicie absurdalna, i teraz, gdy siedzę z matką twarzą w twarz, widzę to zupełnie wyraźnie. Ale samej w wielkim domu wydawało mi się to logiczne. Żyłam w gabinecie luster, który wykrzywił wszystko w moim życiu.

Victor Lenzen przyszedł, żeby się zorientować, co wiem ja, co wiedzą moi rodzice. I gdy zorientował się, że mama i tata nie wiedzą niczego, że nie mamy ze sobą kontaktu, błyskotliwie to wykorzystał.

Wściekłość zapiera mi dech. Potrzebuję chwili spokoju, żeby zebrać myśli.

– Przepraszam was na moment – mówię i wstaję.

Wychodzę z pokoju, czując wzrok rodziców na plecach. Zamykam się w łazience dla gości i siadam na chłodnej posadzce, chowam twarz w dłoniach, próbuję się uspokoić. Euforia wywołana tym, że w końcu udało mi się opuścić mój dom, powoli wyparowuje i ustępuje miejsca natarczywemu pytaniu: co mam teraz zrobić w związku z Lenzenem?

Nie mam żadnych dowodów przeciw niemu. Musiałby przyznać się do winy. Nie zrobił tego, nawet gdy patrzył w lufę mojego pistoletu.

Jednak wtedy byliśmy w moim domu i musiał się liczyć z tym, że wszystko nagrywam. A gdybym złożyła mu teraz wizytę...? Kiedy sądzi, że jest całkiem bezpieczny?

Waham się przez moment, potem sięgam po smartfona i wybieram numer Juliana. Rozlega się sygnał, raz, trzy, pięć razy, potem włącza się poczta głosowa. Nagrywam krótką prośbę, żeby oddzwonił, podaję numer komórki i się rozłączam. Czy Julian jeszcze pracuje? Dzwonię do niego na komisariat, odbiera policjant, którego nie znam.

– Nazywam się Linda Michaelis – mówię. – Czy mogę mówić z komisarzem Schumerem?

– Nie, przykro mi – odpowiada mężczyzna. – Dopiero jutro.

Cholera! Z wielkim trudem się powstrzymuję. Nie chcę tego znowu schrząnąć. Potrzebuję pomocy.

Spuszczam wodę i odkręcam kran nad umywalką, na wypadek gdyby rodzice ciągle w napięciu nasłuchiwali, co robię. Potem otwieram drzwi, wychodzę z łazienki i wracam do pokoju. Ich twarze rozjaśniają się, gdy przekraczam próg. Widzę, z jakim trudem powstrzymują się, aby nie mierzyć mnie wzrokiem, nie szukać na mojej twarzy śladów ostatnich lat. Siadam z powrotem. Biorę kanapkę, bo wiem, że to sprawi radość matce. Dopiero gdy zaczynam jeść, uświadamiam sobie, jak bardzo jestem głodna. Chcę właśnie wziąć kolejną, gdy dzwoni mój telefon. Nieznany numer. Czy to Julian oddzwania do mnie? Odbieram pośpiesznie.

– Halo?

– Dobry wieczór. Czy mówię z Lindą Conrads? – pyta męski głos.

Nie znam go. Od razu stan najwyższej gotowości. Wstaję, rzucam rodzicom przeprasające spojrzenie, wychodzę na korytarz, zamykam za sobą drzwi.

– Przy telefonie. Kto mówi?

– Dobry wieczór, pani Conrads, cieszę się, że udało mi się panią złapać. Nazywam się Maximilian Henkel. Mam pani numer od naszego współpracow-

nika Victora Lenzena.

Chwieję się.

– Ach tak? – mówię głucho.

Muszę oprzeć się o ścianę, żeby nie stracić zupełnie równowagi.

– Mam nadzieję, że to nie problem, że zawracam pani głowę o tak późnej porze – mówi mężczyzna, nie czekając na moją reakcję. – Chodzi o wywiad. Wszyscy byliśmy oczywiście podekscytowani, gdy dostaliśmy od pani propozycję wywiadu na wyłączność. Wielka szkoda, że nie wyszło za pierwszym razem. Czy teraz czuje się pani lepiej?

Co tu się dzieje?

– Tak – mówię krótko, przełykam ślinę.

– Super – mówi mężczyzna – Victor mówił, że nie czuła się pani najlepiej i wywiad się nie odbył. Naturalnie strasznie byśmy chcieli opublikować rozmowę z panią w którymś z najbliższych wydań. Dlatego chciałbym panią spytać, czy moglibyśmy powtórzyć wywiad w innym, dogodniejszym dla pani terminie. Możliwie szybko.

Brakuje mi powietrza.

– Powtórzyć? – wyrzucam z siebie z niedowierzaniem. – Z Lenzenem?

– A właśnie, powinienem to powiedzieć od razu. Victor Lenzen nie będzie mógł niestety być do pani dyspozycji, podjął spontaniczną decyzję, żeby jeszcze dzisiaj w nocy wyjechać jako reporter na dłużej do Syrii. Ale może zadowolili się pani moją osobą albo którymś z moich kolegów...

– Victor Lenzen wyjeżdża jutro z kraju? – pytam, z trudem oddychając.

– Tak, zwariowany z niego facet – mówi mężczyzna bez zastanowienia. – To chyba była tylko kwestia czasu, kiedy znowu zacznie go ciągnąć za granicę. Wiem, że życzyła sobie pani, żeby to właśnie on przeprowadził z panią wywiad, ale może...

Po prostu się rozłączam. W mojej głowie huczy.

Mam tylko tę noc.

Jestem tak zatopiona w myślach, że podskakuję ze strachu, bo otwierają się drzwi i moja matka wystawia głowę.

– Wszystko w porządku, kochanie?

Moje serce skacze z radości. Od lat nikt mnie tak nie nazwał.

Zza jej pleców wyłania się twarz ojca.

Uśmiecham się. Na przekór całej panice.

– Tak – mówię. – Ale wybaczcie, muszę zaraz biec.

– Co, już? – pyta matka.

– Tak. Przepraszam, ale coś ważnego mi wyskoczyło.

Rodzice patrzą na mnie wystraszeni.

– Ale przecież dopiero co cię odzyskaliśmy, nie możesz teraz sobie pójść – mówi moja matka. – Proszę, zostań na noc.

– Niedługo wrócę. Przyrzekam.

– Czy to nie może poczekać do jutra? – pyta ojciec. – Jest już późno.

Widzę zatroskanie na twarzach rodziców. Jest im wszystko jedno, jak piszę i żyję, chcą tylko, bym z nimi była. Linda. Ich najstarsza córka, jedyna, która im została. Patrzą na mnie w milczeniu i już słabnę w swoim postanowieniu.

– Przykro mi – mówię wreszcie. – Wrócę, przyrzekam!

Obejmuję matkę. Najchętniej wybuchnęłabym płaczem. Wyzwalam się ostrożnie z uścisku, pozwala mi na to niechętnie. Obejmuję ojca, myślę o tym, jak podrzucał mnie w górę, gdy byłam jeszcze mała, taki wielki i silny, śmiejący się olbrzym. Teraz wydaje się tak bardzo kruchy. Odsuwam się od niego. Patrzy na mnie z uśmiechem. Przysuwa dygoczącą dłoń do mojej twarzy, głaszcząc mnie kciukiem po policzku jak dawniej.

– Do jutra – mówi, nie zatrzymując mnie dłużej.

– Do jutra – dodaje matka.

Kiwam głową, zmuszam się do uśmiechu.

Biorę torebkę, wychodzę z domu rodziców, wychodzę na ulicę i czuję, jak pochłania mnie noc.

Siedzę w taksówce przed jego domem. Ku mojej wielkiej uldze pali się światło. Jest w domu. Rozwiódł się, ale ciągle tu mieszka. Przynajmniej tyle wiem. Nie żeby jego sytuacja osobista miała dla mnie teraz jakiegokolwiek znaczenie.

Wciągam w płuca mieszaninę woni skórzanej tapicerki, potu i taniego płynu po goleniu. Mój wzrok wędruje w kierunku drzwi prowadzących do domu, przypominam sobie, jak siedzieliśmy tam w ciemności, dzieląc się papierosem, nieskończenie dawno temu. Nie widziałam Juliana od prawie dwunastu lat. Na początku byłam pewna, że to nie jest koniec. Że się odezwie, wcześniej czy później. Zadzwoń, napisze, zapuka nagle do drzwi, da mi jakiś sygnał, ale nic z tego się nie wydarzyło. Komisarz Julian Schumer. Pamiętam tę więź między nami, tak niewidzialną i tak realną jak elektryczność albo jak sen.

Tęskniłam za nim. I oto siedzę w taksówce przed jego domem, cenny czas ucieka, kierowca słucha Radia Klasyka, wystukując cicho rytm na kierownicy, a ja zbieram się na odwagę, by wysiąść z samochodu.

W końcu się przemogłam. Szybkim krokiem podchodzę do drzwi, oślepiam mnie światło zapalone nagle przez czujnik ruchu, idę po schodach, naciskam dzwonek. Próbuję przygotować się na spotkanie z Julianem. Moje uczucia nie grają teraz żadnej roli. Ważne tylko, żeby mi uwierzył. Żeby mi pomógł. Biorę głęboki oddech, zaraz potem ciężkie drewniane drzwi się otwierają.

Przede mną stoi bardzo wysoka, bardzo piękna kobieta. Patrzy na mnie pytająco.

– Tak?

Na chwilę zapominam języka w gębie. Co ze mnie za idiotka. Dlaczego nigdy nie wzięłam pod uwagę tej ewentualności? Przecież życie toczyło się dalej.

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam – mówię, opanowując się. – Czy zastałam Juliana Schumera?

– Nie. Nie zastała pani.

Kobieta krzyżuje ramiona na piersi i opiera się o framugę drzwi. Jej rudobrązowe włosy opadają luźnymi falami na ramiona. Rzuca okiem w stronę czekającej taksówki, potem znowu kieruje uwagę na mnie.

– Czy będzie jeszcze dzisiaj? – pytam.

– Powinien już dawno wrócić. Czy jest pani koleżanką z pracy?

Kręcę głową. Czuję wyraźnie nieufność z jej strony, ale nie mam innego wyjścia, muszę prosić ją o przysługę.

– Potrzebuję bardzo jego pomocy. Czy mogłaby pani zadzwonić do niego na komórkę?

– Nie wziął ze sobą komórki.

Ach, Linda. To by było na tyle, jeśli chodzi o twoje plany.

– Okej. W takim razie... Czy mogłaby pani przekazać mu coś, gdy wróci?

– Kim pani jest?

– Nazywam się Linda Michaelis. Julian prowadził przed laty śledztwo w sprawie zabójstwa mojej siostry. Pilnie potrzebuję jego pomocy.

Kobieta marszczy brwi, waha się, czy zaprosić mnie do środka i wysłuchać, co mam do powiedzenia. Postanawia tego nie robić.

– Proszę mu po prostu powiedzieć, że przyszła Linda Michaelis. Proszę mu powiedzieć, że go znalazłam. Tego mężczyznę z tamtych czasów. Nazywa się Victor Lenzen. Zapamięta pani? Victor Lenzen.

Kobieta wlepia we mnie wzrok, jakbym zwariowała, ale nic nie mówi.

– Proszę mu powiedzieć, żeby przyjechał jak najszybciej pod ten adres – dodaję. Wygrzebuję nerwowo z torebki notatnik i wyrywam z niego kartkę, na której zanotowałam adres Lenzena.

– Jak najszybciej. Okej? To naprawdę ważne!

Patrzę na nią błagalnie, udaje mi się osiągnąć przez to tylko tyle, że lekko się ode mnie odsuwa.

– Jeśli to takie ważne, dlaczego nie zadzwoni pani po prostu pod numer alarmowy? – pyta. – Julian nie jest jedynym policjantem na tej planecie.

– To skomplikowane. Proszę!

Wyciągam w jej stronę rękę z kartką. Tylko patrzy. Chwytam ją bez namysłu za rękę, ignoruję okrzyk przerażenia i wciskam jej kartkę w dłoń.

Potem odwracam się i odchodzę.

Taksówka świeci na pomarańczowo jak zachodzące słońce w poświacie latarni. Podchodzę chwiejnym krokiem i wsiadam. Teraz prosto do celu.

Podaję kierowcy adres i staram się przygotować. Przed oczami staje mi twarz Lenzena, w moim brzuchu rozlewa się fala adrenaliny, miesza się z wściekłością. Nagle w moim ciele jest tyle energii, że nie mogę spokojnie usiedzieć. Oddycham głęboko kilka razy.

– Wszystko w porządku? – pyta kierowca.

– W jak najlepszym – mówię.

– Niedobrze pani?

Kręcę głową.

– Może mi pan powiedzieć, co to za utwór, którego właśnie słuchamy? – pytam, żeby odwrócić jego uwagę.

– Koncert skrzypcowy Beethovena – odpowiada kierowca. – Ale który dokładnie, to pani nie powiem. Lubi pani Beethovena?

– Mój ojciec lubi Beethovena. Kiedyś puszczał czasami *Dziewiątą symfonię* głośno na cały dom.

– Najbardziej fascynująca muzyka, jaką kiedykolwiek napisano, jeśli chce pani znać moje zdanie.

– Ach tak?

– Absolutnie! Beethoven napisał *Dziewiątą*, gdy był już kompletnie głuchy. Ta cudowna muzyka, wszystkie te instrumenty, różne głosy, chór, soliści, wszystkie te cudowne, boskie brzmienia wyszły z głowy głuchego człowieka.

– Nie wiedziałam – kłamię.

Kierowca kiwa podekscytowany głową. Cieszy mnie jego entuzjazm.

– Gdy po raz pierwszy dyrygował *Dziewiątą symfonią* i przebrzmiały ostatnie dźwięki, publiczność za jego plecami szalała. Ale Beethoven tego nie słyszał. Odwrócił się do publiczności, nie będąc pewnym, czy symfonia się spodobała. Dopiero gdy zobaczył zachwycone twarze, wtedy wiedział już, że było dobrze.

– O rany.

– Tak, tak – odpowiada kierowca.

Potem taksówka gwałtownie hamuje i się zatrzymujemy.

– Jesteśmy na miejscu.

Taksówkarz odwraca się w fotelu i patrzy na mnie. Odwzajemniam spojrzenie.

– Dobrze – mówię.

Opuszczam bezpieczny kokon samochodu, który natychmiast odjeżdża i znika w ciemności. Znajduję się na obrzeżach miasta. Porządna, spokojna

okolica. Domy większe niż przy ulicy moich rodziców. Kasztanowe aleje. Poznaję dom Lenzena. Widziałam go na zdjęciach. Zrobił je dla mnie prywatny detektyw, któremu na początku moich przygotowań zleciłam zdobycie tylu informacji o Lenzenie, jego rodzinie i otoczeniu, ile tylko się da.

Po raz trzeci tego osobliwego wieczoru idę żwirową ścieżką, ale tym razem moje kolana się nie trzęsą, moje serce nie wali jak szalone. Jestem spokojna. Czujnik ruchu zaskakuje mnie i oświetla mi drogę. Pokonuję dwa stopnie dzielące mnie od drzwi wejściowych. W środku zapala się światło i jeszcze zanim zdążam zadzwonić, Victor Lenzen otwiera mi drzwi.

Te jasne, przejrzyste oczy.

– Powiniennem był przewidzieć, że pani przyjdzie – mówi.

Wpuszcza mnie do środka.

Dotarłam do celu swojej podróży.

Victor Lenzen stoi przede mną, na wyciągnięcie ręki.

Zamknął za nami drzwi, oddzielając nas od świata. Jesteśmy sami.

Wydaje się odmieniony. Ma na sobie czarną koszulę i dżinsy, wygląda, jakby grał w reklamie wody po goleniu. I do tego te jasne oczy; już wtedy, gdy zobaczyłam je po raz pierwszy, wtedy, w mieszkaniu Anny, wiedziałam, że nigdy ich nie zapomnę. Jak mogłam przestać ufać samej sobie?

– Po co pani tu przyszła, Lindo? – pyta Lenzen.

Wydaje mi się ciut niższy niż przy naszym pierwszym spotkaniu. A może to ja czuję się trochę wyższa?

– Chcę prawdy – mówię. – Zasłużyłam na prawdę.

Przez sekundę, dwie po prostu tak stoimy, w jego przedpokoju, i patrzymy na siebie. Powietrze między nami aż iskrzy. Chwila przeciąga się boleśnie, ale wytrzymuję to. Potem Victor Lenzen odwraca wzrok.

– Nie będziemy rozmawiać w przedpokoju – mówi.

Rusza, a ja idę za nim. Jego dom jest wielki i pusty. Wygląda, jakby miał się wkrótce wyprowadzić – albo jakby nigdy się tu naprawdę nie wprowadził.

Zastanawiam się, co Lenzen teraz myśli, idąc przodem, czując moją obecność za plecami. To, że tu jestem, oznacza, że go przejrzałam. Że to jeszcze nie koniec. Że pojedynkę wkracza w kolejną rundę.

Na zewnątrz stara się być uosobieniem spokoju. Ale jego myśli na pewno pędzą jak szalone. Idziemy korytarzem, na którego śnieżnobiałych ścianach wiszą w regularnych odstępach i w pozornie przypadkowym układzie wielkoformatowe, ziarniste, czarno-białe fotografie. W drodze towarzyszą mi: nocny pejzaż morski, loki na głowie jakiejś kobiety, liniejący wąż, Droga Mleczna, lis patrzący inteligentnie w obiektyw i czarna orchidea. Następnie wchodzimy po małych, wolno stojących schodach na górę do salonu.

Designerska lampa z metalu i pleksi wypełnia pokój chłodnym światłem.

Żadnych okien, żadnych półek z książkami. Żadnych roślin. Tylko skóra, szkło i beton. Designerskie meble, dwa skórzane fotele, szklany stół i abstrakcyjny obraz utrzymany w błękitach i czerni. W powietrzu wisi leciutki zapach zimnego dymu. Przylegająca do pokoju otwarta kuchnia. Moje spojrzenie wędruje na pograżony w ciemności balkon.

– Proszę – mówi Lenzen, wrywając mnie z rozmyślań. Wskazuje fotel. – Proszę usiąść.

– Powinien pan wiedzieć, że pewne osoby zostały poinformowane, że tu jestem – mówię.

To mój jedyny atut.

– Jeśli się nie odezwę, ktoś się pojawi i będzie mnie szukał.

Zimne oczy Lenzena się zwięzają. Kiwa z namysłem głową.

Zajmuję miejsce w fotelu, który mi wskazał. Lenzen siada w drugim, naprzeciwko mnie. Oddziela nas jedynie mały szklany stolik.

– Napije się pani czegoś? – pyta Lenzen.

Najwyraźniej ma nadzieję, że nie jestem uzbrojona. Zapewne, skoro sam utopił moją broń w jeziorze Starnberger See.

– Nie. Dziękuję.

Nie pozwolę, aby odwrócił moją uwagę, nie tym razem.

– Nie jest pan zaskoczony moją wizytą – mówię.

– Tak naprawdę to nie.

– Skąd pan wiedział, że przyjdę?

– Mogłem się domyślić, że nie jest pani aż tak chora, jak pani utrzymuje – mówi.

Wytrząsa papierosa z paczki leżącej na stoliku, zapala go.

– Może pani też chce? – pyta.

– Właściwie nie palę – mówię.

– Ale główna bohaterka pani powieści pali – mówi Lenzen i kładzie papierosa i zapalniczkę na stoliku.

Kiwam głową. Biorę papierosa. Zapalam go. Palimy w milczeniu. Odroczenie długości jednego papierosa, zanim doprowadzimy nasze sprawy do końca. Wypalam mojego papierosa do końca, do ostatniego milimetra, dopiero wtedy gaszę. Przygotowuję się na odpowiedzi na moje pytania.

Nie wiem czemu, ale czuję, że Lenzen odpowie na wszystkie moje pytania. Koniec sztuczek.

– Proszę mi powiedzieć prawdę – żądam.

Nie patrzy na mnie, przygląda się jakiemuś nieokreślonemu punktowi na podłodze.

– Gdzie był pan dwudziestego trzeciego sierpnia dwa tysiące drugiego roku?

– Wie pani, gdzie byłem.

Podnosi wzrok, patrzymy sobie w oczy jak wtedy. Oczywiście, że to wiem. Jak mogłam kiedykolwiek w to wątpić?

– Skąd znał pan Annę Michaelis?

– Naprawdę mamy to ciągnąć? To głupie przesłuchanie?

Przełykam ślinę.

– Znał pan Annę – mówię.

Wydaje z siebie głęboki pomruk, coś w rodzaju ponurego śmiechu.

– Kochałem Annę – mówi Lenzen. – Ale czy ją znałem? Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Chyba nie.

Prycha. Wykrzywia twarz. Odchyła głowę do tyłu i zaczyna nią kręcić, aż słysząc trzask kręków. Potem zapala kolejnego papierosa. Ręce mu drżą. Leciutko, bardzo leciutko. Próbuję przetrwać to, co usłyszałam.

Słyszę w głowie głos Juliana: „Zabójstwo w afekcie. Taka wściekłość, taka liczba ciosów wskazuje na zabójstwo w afekcie”. Zaraz potem: „Anna nie była w żadnym związku. Wiedziałabym to”.

Och, Linda.

– Był pan... – Powiedzenie tego przychodzi mi z trudem, jakbym mówiła coś strasznie nieprzyzwoitego. – Był pan związany z moją siostrą?

Lenzen kiwa tylko głową. Myślę o małym płaskim smartfonie, który przykleiłam sobie taśmą do ciała i który nagrywa rozmowę. Bardzo chcę, aby mi odpowiedział. Ale nie zamierza tego robić. Siedzi tylko i pali. Unika mojego wzroku. I w tym momencie uświadamiam sobie, że sytuacja się zmieniła. Teraz to on nie potrafi znieść mojego spojrzenia.

– Czy mogę pana o coś spytać? – zaczynam znowu.

– Po to tu pani jest – mówi Lenzen.

– Dlaczego pan do mnie przyszedł?

Lenzen patrzy w przestrzeń.

– Nie ma pani pojęcia, jak to było – mówi.

Wykrzywiam usta w drwiącym uśmiechu.

– Telefon do redakcji. Znana autorka, która koniecznie chce mieć wywiad ze mną. Nic nie rozumiem. Nazwisko Linda Conrads widywałem w dziale lite-

rackim, poza tym nic mi nie mówiło.

Kręci głową.

– Szef redakcji literackiej był urażony, że go pominięto. Chciał oczywiście przeprowadzić z panią wywiad. Mnie było obojętne, cieszyłem się na tę rozmowę.

Wybuchła gorzkim śmiechem. Pałac nerwowo, mówi dalej:

– No ale cóż. Nasza wolontariuszka ustaliła termin wywiadu, a ja dostałem przedpremierowy egzemplarz książki, abym mógł się przygotować.

Cała dygoczę.

– Więc ją przeczytałem. Tak po prostu, jak czyta się coś, co trzeba przeczytać z zawodowego obowiązku. W pośpiechu, kiedy akurat miałem chwilę wolnego czasu, w pociągu, na schodach ruchomych, kilka stron w łóżku przed zaśnięciem. Przeskakiwałem duże fragmenty. Nie cenię kryminałów, świat jest wystarczająco brutalny, żeby jeszcze w książkach...

Orientuje się, jak fałszywie brzmi to w jego ustach, przerywa.

– Nie dostrzegłem tego – mówi w końcu. – Aż do rozdziału, w którym się to wydarza, nie dostrzegłem tego.

Gardzę nim za to, że unika słowa morderstwo. Milczy przez moment, bierze się w garść.

– Gdy przeczytałem ten rozdział... Było mi dziwnie. Najpierw to do mnie nie docierało. Prawdopodobnie mój umysł nie chciał tego pojąć, odwlekał to tak długo, jak się dało. Ta scena wydała mi się skądś znana w jakiś nieprzyjemny, niepokojący sposób. Jak coś, co może widziałem kiedyś w filmie. Coś zupełnie nierzeczywistego. Siedziałem akurat w pociągu. I gdy to do mnie dotarło, gdy dotarło do mnie, co przeczytałem... Zrobiło mi się... dziwnie. To szczególne uczucie, kiedy człowiek nagle przypomni sobie coś, co wyparł kompletnie. Chciałem ją odłożyć, książkę, w pierwszym momencie. Zacząć myśleć o czymś innym. Zapomnieć o tym wszystkim. Ale pierwsza kostka domina upadła, wspomnienie wróciło, kawałek po kawałku. I potem cholernie się wściekłem.

Patrzy na mnie. Jego oczy mnie przerażają.

– Tak bardzo starałem się zapomnieć tę noc. Tak bardzo! Prawie mi się udało. Ja... widzi pani... żyje się. I pracuje. Nie siedzi się cały czas i myśli o tym, co się wydarzyło. Przynajmniej nie cały czas...

Gubi wątek, chowa głowę w dłoniach, zapada się w siebie, potem wraca znowu na powierzchnię, zmusza się, aby mówić dalej.

– Nie jest tak, że w ciągu ostatnich dwunastu lat codziennie żyłem z myślą w głowie, że zabiłem człowieka. Ja...

Powiedział to! Ręce tak bardzo mi się trzęsą, przyciskam je do ud, by je uspokoić. Powiedział to! Powiedział, że zabił człowieka.

Lenzen oddycha głęboko.

– Ale zrobiłem to. Zrobiłem to. I ta książka mi to przypomniała. Prawie o tym zapominałem. Prawie.

Patrzę zdziwiona, jak Lenzen ponownie chowa twarz w dłoniach. Malutki i użalający się nad sobą. Potem ponownie się prostuje. Nie wiem czemu, ale zdaje się, że zdecydował się odpowiedzieć na wszystkie moje pytania. Może dlatego, że jest przekonany, że i tak nikt mi nie uwierzy. Może mówienie sprawia mu ulgę. A może dlatego, że dawno już podjął decyzję, że nie będę miała okazji opowiedzieć o tym komukolwiek.

Nie. Tego nie może zrobić! Nie uszłoby mu to na sucho i on o tym wie.

– Gdy już do mnie dotarło, o co chodzi w tej książce, zacząłem zbierać informacje na pani temat. Wystarczyło niecałe dziesięć minut, by dowiedzieć się, że jest pani siostrą Anny.

Patrzy na mnie, wypowiadając imię Anny, jakby szukał w mojej twarzy jej rysów.

– Musiałem do pani przyjść – mówi krótko.

– Chciał pan wiedzieć, co na pana mam – mówię.

– Pomyślałem sobie, że nic pani na mnie nie ma. W przeciwnym razie zadzwoniłaby pani na policję. Ale nie byłem tego całkiem pewny. Musiałem do pani przyjść.

Śmieje się tym swoim smutnym śmiechem.

– Elegancka mała pułapka – mówi.

– Przyszedł pan przygotowany.

– Oczywiście. Mam wiele do stracenia. Właściwie wszystko.

Wyczuwam groźbę, która kryje się w tym zdaniu. Potrafię to wytrzymać.

Zastanawiam się, czy mi odpowie, jeśli zapytam teraz, co się wtedy wydarzyło.

– Skąd płynęła ta muzyka? – pytam zamiast tego.

Od razu wie, co mam na myśli.

– Za pierwszym razem z małego przenośnego urządzenia w torbie fotografa. Za drugim razem z mojej drugiej komórki. Z tej, która nie leżała na stole.

Powinam się zaniepokoić, że tak ochoczo odpowiada na wszystkie pyta-

nia, ale brnę dalej.

– Jak udało się panu skłonić fotografa, żeby w tym wszystkim uczestniczył?

Kąciaki ust Lenzena wędrują w górę, jakby chciał się uśmiechnąć, ale zapomniał, jak to się robi.

– Był mi winny przysługę. Naprawdę dużą przysługę. Sprzedałem mu to wszystko jako niewinny kawał. Szalona pisarka, która nigdy nie opuszcza domu, traci panowanie nad sobą, a my mamy supermateriał. Ale proszę nie mieć do niego pretensji. Wcale nie był tym wszystkim zachwycony. Jednak ostatecznie nie miał wyboru.

Przypominam sobie atmosferę wrogości między Lenzenem a fotografem.

– Dlaczego pan to w ogóle zrobił? – pytam. – To całe show?

Wzdycha, patrzy w podłogę. Wygląda jak iluzjonista, któremu na oczach publiczności wypadły wszystkie karty z rękawa.

– Nie mogłem ryzykować. Że jednak pójdzie pani na policję i naprowadzi ich na mój ślad.

Teraz rozumiem. Zasianie we mnie wątpliwości było najbezpieczniejszym sposobem zmuszenia mnie do milczenia. Świrnięta pisarka, która nigdy nie wychodzi z domu. Samotna, zdziwaczała, niestabilna, żyjąca w niemal całkowitej izolacji. Patrzę na Lenzena, tego poważnego, spokojnego mężczyznę. Nic dziwnego, że dałam się nabrać. Wszystkiego mogłabym się po nim spodziewać. Kłamstw, przemocy. Tego, że będzie się wypierał za wszelką cenę, że może nawet będzie próbował mnie zabić. Ale tego bym się nigdy nie spodziewała, tego całego show, które odstawił, ze statystami, rekwizytami i wstawkami muzycznymi. Bardzo sprytnie. Bo kto by wpadł na coś takiego? I kto by mi w coś takiego uwierzył?

– Próbował pan wmówić mi, że zamordowałam własną siostrę – wypluwam to z siebie.

Lenzen nie reaguje.

– Skąd pan wiedział, że dam się na to nabrać? Skąd pan wiedział, że Anna i ja czasami nieszczerze...

Przerywam, bo ta świadomość jest nieskończenie bolesna.

– Anna rozmawiała z panem o mnie – mówię.

Lenzen kiwa głową. To jest jak cios w brzuch.

– Co mówiła? – pytam słabym głosem.

– Że ciągle się kłóciłyście, już jako dzieci. Ogień i woda. Uważała panią za egoistkę i nie była w stanie wytrzymać tego zgrywania artystki. A pani nazy-

wała Annę mądrałą i – pardon – manipulacyjną szmata.

Czuję straszną suchość w ustach.

– Ale nawet gdyby mi tego nie mówiła – dodaje Lenzen. – Czy nie jest tak, że wszystkie siostry się nienawidzą, przynajmniej od czasu do czasu? A wszyscy bliscy ofiar morderstw mają wyrzuty sumienia.

Wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć, że to wszystko było zbyt łatwe.

Milczymy przez chwilę, a ja w tym czasie próbuję uporządkować myśli. Jego zasłania papierosowy dym.

Muszę zadać to pytanie teraz. Odwlekałam to, bo kiedy już Lenzen mi odpowie, wtedy wszystko zostanie już powiedziane, a nie wiem, co wydarzy się później.

– Co wydarzyło się tej nocy? – pytam.

Lenzen pali. Milczy. Tak długo, że zaczynam się bać, że nigdy nie odpowie. Potem gasi papierosa i spogląda w moją stronę.

– Sierpień dwa tysiące drugiego. Mój Boże, jak to było dawno. W poprzednim życiu.

Powstrzymuję się, by nie pokiwać głową. Czas sprzed dwunastu lat. Anna jeszcze żyje. Ja jestem zaręczona. Całkiem świeży sukces literacki. Od niedawna masa gotówki na koncie. Sukces mojej trzeciej książki. Srebrne wesele moich rodziców. Tego lata pobrali się Ina i Björn, impreza nad jeziorem, podczas której poszliśmy kąpać się nago z nowożeńcami. Poprzednie życie.

Lenzen bierze głęboki oddech. Moja komórka, ciągle nastawiona na nagrywanie, parzy mi skórę.

– Anna i ja byliśmy... znaliśmy się niecały rok. Właśnie zostałem ojcem, właśnie zostałem szefem redakcji, właśnie zyskałem poczucie, że jestem kimś. Było dużo zawiści, byli ludzie, którzy twierdzili, że dostałem tę pracę, bo ożeniłem się z kobietą, której rodzina jest właścicielem gazety. Głosy mówiące, że chodzi mi tylko o pieniądze mojej żony i jej wpływy. Ale ja wiedziałem, że to nieprawda. Byłem dobry w tym, co robiłem. I kochałem żonę. Znalazłem swoje miejsce w życiu. Ale potem zadurzyłem się w tej młodej dziewczynie. To śmieszne, ale takie rzeczy się zdarzają. Nasz związek utrzymywaliśmy oczywiście w tajemnicy. Dla niej od początku jest to wesoła przygoda, zakazana miłość. Dla mnie od samego początku jest to po prostu niebezpieczne. Kilka razy o mało nie zostaliśmy przyłapani przez jej chłopaka. On wie, że coś jest nie w porządku, zrywa z nią. Jej jest to obojętne. Mnie to martwi, bo boję

się, że nasz romans wyjdzie na jaw. Mimo to nie umiem z tym skończyć. Na razie.

Potrząsa głową.

– Idiotyczna sprawa, zupełnie idiotyczna. I tak pospolita. Co za banał. Bo w pewnym momencie dziewczyna chce mnie mieć tylko dla siebie, a ja nie chcę oczywiście porzucić mojej rodziny. I się kłócimy. Nieustannie się kłócimy. W końcu mówię jej, że to koniec, że nie będziemy się już widywać. Ale to młode dziewczę nawykło do tego, że jeśli czegoś chce, to zawsze to dostaje. Grozi mi. Nagle zmienia się nie do poznania. Mówi rzeczy, których nie mówi się nikomu.

A jeśli pójdę do twojej żony? Myślisz, że jej się to spodoba? Jak usłyszy, że ty jesteś u mnie, gdy ona siedzi sama w domu i karmi swoją obwisłą piersią wasze małe, brzydkie niemowlę?

Mówię jej, żeby była cicho, że nic nie wie o mojej żonie, o moim życiu. Ale ona nie chce być cicho.

Wiem wszystko o twoim życiu, skarbie. Wiem, że twój kochany teść wypieprzy cię na zbity pysk, gdy się dowie, że zdradzasz jego rozpieszczoną córeczkę. Naprawdę myślisz, że dostałeś tę pracę, bo jesteś takim świetnym dziennikarzem? Spójrz na siebie! Stoisz tu, jakbyś miał się za chwilę rozpłakać, ty żałosny nieudaczniku! Powiem ci całkiem szczerze, moim zdaniem kadra kierownicza gazety powinna prezentować się zupełnie inaczej.

A ja mówię jej, żeby w końcu się zamknęła, lecz ona nie przestaje.

Nie myśl sobie, że możesz mnie tak po prostu wyrzucić ze swojego życia. Bo jak się tobą zajmę, to nic ci nie zostanie. Nie będziesz miał ani żony, ani pracy, ani dziecka. I nie rób sobie złudzeń, że żartuję. Tylko nie rób sobie złudzeń!

Jestem oszołomiony. Sparaliżowany, zdrętwiały z wściekłości. Niemal ślepy. A ona się śmieje.

Jak ty na mnie patrzysz, Victor! Jak zmoknięty pudel. Może powinnam mówić do ciebie Vicky. To przecież takie słodkie imię dla psa. No chodź, Vicky. Do nogi! Grzeczny piesek.

Śmieje się tym swoim śmiechem. Tym bezczelnym chłopięcym śmiechem, w którym kiedyś tak strasznie się zakochałem, który teraz już tylko mnie brzydzi. A ona śmieje się i śmieje. I nie przestaje. I mówi dalej, mówi, mówi, mówi. Aż...

Lenzen przerywa. Milczy przez chwilę zatopiony w swoich wspomnie-

niach. Wstrzymuję oddech.

– „Ojciec rodziny zakłuł nożem kochankę” – mówi wreszcie. – Tak gazety tytułują takie przypadki. Tylko pięć słów. „Ojciec rodziny zakłuł nożem kochankę”.

Znowu się śmieje, ten pełen goryczy śmiech. Jestem oniemiała z przerażenia. Nie wiem, co szokuje mnie bardziej – to, że Anna przez prawie rok utrzymywała potajemnie romans z żonatym mężczyzną, czy nieprawdopodobna, straszliwa banalność motywu zbrodni. Kłótnia zakochanych. Mężczyzna prowokowany przez kochankę, doprowadzony do ostateczności, w końcu ją zabija, oszalały z wściekłości. Słyszę słowa Juliana. To zawsze jest partner.

Życie tak często okazuje się dużo mniej spektakularne od fantazji.

– Jest pan mordercą – mówię.

Coś w nim pęka.

– Nie! – krzyczy.

Wali pięścią w szklany stolik.

– Jasna cholera! – ryczy.

Natychmiast się opanowuje.

– Jasna cholera – powtarza tym razem ciszej.

Potem wylewa się z niego spowiedź w krótkich, gwałtownych spazmach:

– Nie chciałem tego. Nie planowałem tego. Nie zabiłem nikogo, by chronić siebie albo coś zatuszować. Po prostu straciłem panowanie nad sobą. Wpadłem w szal. Trwało to tylko kilka sekund, zaraz potem przyszedłem do siebie. Tylko kilka sekund. Anna. Kuchenny nóż. Ta cała krew... Gapiłem się na nią, tylko stałem i się gapiłem. Zdziwiony. Nie byłem w stanie pojąć, co się przed chwilą stało. Co zrobiłem. Potem dzwonek do drzwi. Zaraz potem klucz przekręcany w zamku. Stoję jak skamieniały i wtedy wchodzi do pokoju ta kobieta. I patrzy na mnie. Nie mogę opisać tego uczucia. A potem nagle znowu jestem w stanie się poruszać, chciałem już tylko uciec, byle dalej. Więc wypadłem przez drzwi na taras i zacząłem biec. Wystraszony, zapłakany. Biegłem. Przez noc. Do domu, bo dokąd indziej, całkiem odruchowo. Pozbyłem się ubrań, noża, zupełnie automatycznie, jak robot. Wszedłem do łóżka. Do mojej żony. Niemowlę w łóżeczku obok nas. Czekałem. Na policję. Patrzyłem w sufit, zeszywniały z przerażenia, i czekałem na policję. Po pełnej lęku nieprzespanej nocy poszedłem nazajutrz do pracy, mechanicznie, jak robot, ale nic się nie wydarzyło. I przeleżałem bez snu kolejną pełną lęku noc i kolejną, i kolejną. Nic się nie wydarzyło, nie mieściło mi się to w głowie. Niemal chciałem już,

żeby to się stało, żeby przyszli mnie zabrać, żeby skończyło się to czekanie. Ale nic się nie wydarzyło. Czasami udawało mi się wmówić sobie, że to wszystko było złym snem. W końcu pewnie bym w to uwierzył, gdyby nie pisali o tym w gazetach. I starałem się ratować swoje małżeństwo, ale to była jedna wielka katastrofa, pomimo dziecka. Pewnie i tak by się to skończyło w ten sposób, nawet gdyby nie to, że od tej nocy nie byłem już sobą. Że nie potrafiłem się już zmusić do tego, żeby wziąć nasze dziecko na ręce – na te ręce, którymi... Nie wiem. Strach w każdym razie pozostał, strach tych pierwszych dni i tygodni nie był już tak dojmujący, tak przenikliwy, ale pozostał. Nie tylko strach przed tym, że pod mój dom podjedzie policja na sygnale. Także strach przed tym, że spotkam w supermarkecie tę kobietę z krótkimi, ciemnymi włosami i przerażeniem w oczach, tę, która zaskoczyła mnie w mieszkaniu Anny. Albo na jakiejś imprezie, albo... ciągle się bałem. Ale nic się nie wydarzyło. Nikt nie przyjechał. W końcu zrozumiałem, że Anna dotrzymała słowa. Że naprawdę nikomu o nas nie powiedziała. Nikt o nas nie wiedział. Nikt nigdy nie widział nas razem. W jej życiu w ogóle mnie nie ma. Nie ma niczego, co by nas łączyło. To była przypadkowa znajomość, o której nikt nie miał pojęcia. Miałem nieprawdopodobne szczęście. Nieprawdopodobne szczęście. W pewnym momencie człowiek myśli sobie, że jest może jakiś powód, dla którego uszło mu to wszystko na sucho. Że dostał drugą szansę. Może ma jeszcze coś ważnego do zrobienia. I wtedy ta robota w Afganistanie. Nikt nie chciał się tego podjąć, nikt nie miał ochoty ryzykować na pierwszej linii frontu w zniszczonym, pustynnym kraju. A ja chciałem. Uznałem, że to ważne. Więc pojechałem. I gdy robota w Afganistanie się skończyła, podjąłem się kolejnej. Ta praca była ważna.

Kiwa głową stanowczo, jakby chciał przekonać sam siebie, potem milknie.

Mrugam oczami jak ogłuszona. Victor Lenzen jednak przyznał się w końcu do winy.

Tyle lat myślałam, że doznam ulgi, gdy dowiem się prawdy. A teraz, gdy wiem już wszystko, czuję tylko pustkę. W pokoju panuje cisza. Nie słychać nic, nawet oddechu.

– Linda – mówi w końcu Lenzen, pochylając się do przodu w swoim fotelu.
– Proszę mi oddać swoją komórkę.

Patrzę na niego.

– Nie – odpowiadam zdecydowanym tonem.

Musisz zapłacić za to, co zrobiłeś.

Moje spojrzenie zatrzymuje się na stojącej na stoliku masywnej popielniczce. Lenzen to widzi. Wzdycha ze smutkiem, rozpiera się ponownie w fotelu. Milczy.

– Kilka lat temu robiłem w Ameryce reportaż o ludziach czekających na wykonanie wyroku śmierci – mówi nagle.

Nie odzywam się, ale w środku się gotuję. Nigdy nie oddam komórki. Zapłaci za to, co zrobił, już ja się o to postaram.

– To było fascynujące, ci ludzie – ciągnie Lenzen. – Niektórzy z nich siedzieli w celi śmierci od dziesięcioleci. W Teksasie poznałem bliżej jednego z nich. Został skazany za morderstwo na tle rabunkowym, które popełnił z kilkoma kumplami, gdy miał dwadzieścia parę lat. W więzieniu przeszedł na buddyzm i zaczął pisać książki dla dzieci. Zyski przekazywał na cele dobroczynne. Ten człowiek siedział w więzieniu prawie czterdzieści lat, zanim został stracony. Rodzi się w związku z tym następujące pytanie: czy sześćdziesięciopięciolatek, który czterdzieści lat przesiedział w celi śmierci za morderstwo, które popełnił jako dwudziestopięciolatek, jest nadal tym samym człowiekiem? Czy jest nadal mordercą?

Patrzę na Lenzena, mam nadzieję, że będzie mówił dalej, bo nie wiem jeszcze, co się wydarzy, gdy przestanie mówić.

Gdzie jesteś, Julian?

– To, co wydarzyło się wtedy tamtej nocy, było strasliwym błędem. Tylko moment, krótki moment utraty kontroli. Straszny i niewybaczalny. Oddałbym wszystko, żeby cofnąć czas. Naprawdę wszystko. Ale niestety nie mogę. – Milczy. – Ale odbyłem pokutę – zaczyna znowu po chwili. – Taką, na jaką tylko było mnie stać. Każdego ranka budziłem się z pragnieniem, by dać z siebie wszystko. Robić dobrą robotę. Być dobrym człowiekiem. Wspieram wiele wspaniałych organizacji. Jestem wolontariuszem. Raz uratowałem komuś życie, do jasnej cholery. Dziecku! W Szwecji, na rzece. Nikt nie miał odwagi skoczyć, wszyscy tylko stali i patrzyli. Ale ja skoczyłem. To właśnie jestem ja! To, co się wydarzyło wtedy, to... to był tylko moment, straszliwy moment. Czy muszę rozliczać się z tego przez całe moje życie? Przed samym sobą? Przed kolegami? Przed moją córką? Czy nie będę już nikim innym, tylko mordercą?

Widzę, że od dawna już nie mówi do mnie, lecz do siebie.

– Jestem kimś więcej – dodaje cicho.

Wiem teraz, dlaczego dałam mu się zwieść. Dlaczego mu uwierzyłam. Nie

okłamał mnie, mówiąc, że jest niewinny, że jest tylko dziennikarzem, ojcem. Dobrym człowiekiem. On naprawdę w to wierzy. To jego prawda. Jego zniekształcona, wykrzywiona, sklecona prowizorycznie, odporna na krytykę prawda.

Podnosi wzrok i patrzy na mnie.

Nagle w jego wzroku pojawia się determinacja. Zimny dreszcz przebiega mi po plecach. Jesteśmy sami. Julian nie przyjdzie. Kto wie, czy w ogóle dotarł do domu, kto wie, czy jego dziewczyna przekazała mu w ogóle moją wiadomość. To już nie ma znaczenia. Już za późno.

– Może pan jeszcze zrobić to, co należy – mówię. – Może pan pójść na policję i przyznać się do tego, co pan wtedy zrobił.

Milczy. Potem kręci głową.

– Nie mogę zrobić tego mojej córce.

Teraz nie spuszcza mnie już z oka.

– Pamięta pani, jak mnie spytała, czy jest coś, dla czego gotów byłbym zabić? – pyta.

– Tak – mówię, przetykając ślinę. – Dla córki.

Kiwa głową.

– Dla mojej córki.

I w końcu rozumiem ten dziwny wyraz jego twarzy, którego nie umiałam dotąd zinterpretować. Lenzen jest smutny. Smutny i zrezygnowany. Wie, co teraz nastąpi, i nie podoba mu się to. To go zasmuca.

Patrzę na niego, dziennikarza, korespondenta. Wszystkie te rzeczy, które widziały jego szare oczy, wszystkie te historie w zmarszczkach jego twarzy, i myślę, że w innych okolicznościach pewnie bym go polubiła. Że w innych okolicznościach chętnie bym z nim posiedziała i pogadała o Annie. Przypomniałby mi jakieś drobiazgi z jej życia, o których zapomniałam albo których nigdy nie znałam. Małe charakterystyczne szczegóły. Ale nie ma innych okoliczności, jest tylko to, co teraz.

– Zadbałam o to, żeby mnie tutaj szukano, jeśli się w porę nie odezwę – powtarzam ochrypłym głosem.

Patrzy tylko na mnie w milczeniu.

– Proszę mi dać swoją komórkę, Lindo.

– Nie.

– To, co pani opowiedziałem, jest przeznaczone tylko dla pani uszu – mówi.

– Owszem, ma pani rację. Jak najbardziej zasłużyła pani na prawdę. To fair.

Dlatego powiedziałem pani to, co chciała pani usłyszeć. Ale teraz proszę mi oddać komórkę.

Wstaje. Robię to samo, cofam się kilka kroków, mogłabym zacząć uciekać w stronę schodów, ale wiem, że będzie ode mnie szybszy, a nie chcę go mieć za plecami, jego i tej masywnej popielniczki.

– Okej – mówię.

Sięgam pod sweter i wyciągam telefon. Lenzen rozluźnia się odrobinę. Potem wszystko toczy się nieprawdopodobnie szybko. Nie zastanawiam się. Dostakuję do okna, biorę zamach i szerokim łukiem wyrzucam komórkę na dwór. Ląduje gdzieś w trawie. Moje ramię przenika ostry ból. Odwracam się.

Patrzę w zimne oczy Lenzena.

Od tak dawna miałam tylko jedno pragnienie: znaleźć mordercę Anny. Teraz jednak, gdy stoję przed nim i wszystko zostało już powiedziane, chce czegoś jeszcze.

Chcę żyć.

Ale nie ma drogi ucieczki. Tę prowadzącą przez drzwi na zewnątrz odciął mi Lenzen, przesuwał się w bok. Ta przez balkon odpada. Mimo to otwieram z całej siły drzwi i wychodzę na zewnątrz. Zimny wiatr muska moją twarz, jeszcze dwa kroki i jestem przy balustradzie.

Nie mogę dalej. Patrzę w dół, rozpoznaję trawnik na dole, za nim ulica, przy której zatrzymała się taksówka, ta cholerna trawa, kilka metrów przede mną. Za wysoko, by skoczyć. Nie ma wyjścia. Słyszę za sobą jakiś metaliczny odgłos, czuję za plecami obecność Lenzena.

Odwracam się i patrzę mu w twarz. Nie wierzę własnym oczom.

Victor Lenzen płacze.

– Dlaczego nie została pani w domu, Lindo? – pyta. – Nigdy nic pani nie zrobiłem.

W jego ręku widzę pistolet. Patrzę na niego zdumiona. To przecież się nie uda. Będzie słychać strzały, zwłaszcza tutaj, w takiej spokojnej okolicy. Jakże może myśleć, że ujdzie mu to na sucho?

– Policja zjawi się tutaj zaraz po tym, jak naciśnie pan spust.

– Wiem – mówi Lenzen.

Nic nie rozumiem. Patrzę w wylot lufy pistoletu. Zamarłam, jak zahipnotyzowana. Wygląda tak samo jak pistolet, który załatwiłam sobie, którym groziłam mu i który w końcu wrzucił do jeziora. Nagle rozumiem. Ta świadomość aż boli.

– Poznaje go pani? – pyta Lenzen.

Poznaję. To mój pistolet. Na dnie jeziora nie ma nic. Widzę to teraz. Ramię Lenzena, który bierze zamach, ale nie wypuszcza broni z ręki. Upuszcza ją

potem ukradkiem gdzieś na łące, żeby zabrać, gdy nie będzie obserwowany. Na wszelki wypadek. Roztropny. Przytomny. Nie mógł tego zaplanować. Ta broń była jak dar niebios. Broń, którą zdobyłam nielegalnie, cała pokryta moimi odciskami palców.

– To mój pistolet – mówię głucho.

Lenzen przytakuje skinieniem głowy.

– Działiałem w obronie własnej. Najwyraźniej pani zwariowała. Śledziła mnie pani, kazała mnie obserwować. Groziła mi. Mam to nawet na taśmie. A teraz przychodzi pani uzbrojona do mnie do domu. Wywiązała się szarpalina.

Nagle doznaję olśnienia.

– Miał pan zamiar wyjechać dzisiaj w nocy? – pytam.

Kręci głową. Teraz wreszcie zaczynam rozumieć. To był tylko trik. Żeby tu do niego przyszła. W pośpiechu, bez przygotowania w panice. Jeszcze dziś w nocy. Trik, żeby mnie tu zwabić i wreszcie się mnie pozbyć. Czysto. Elegancko. Za pomocą mojej własnej broni.

Pułapka to urządzenie służące do chwytania lub zabijania.

Pułapka, którą zastawił na mnie Victor Lenzen, jest genialna.

Teraz ma mnie w garści, nie mogę już uciec. Ale ręka, w której trzyma broń, drży.

– Nie robi pan tego – mówię.

Myślę o Annie.

– Nie mam wyboru – odpowiada Lenzen.

Na jego czoło występuje pot.

– Oboje wiemy, że to nieprawda – mówię.

Myślę o Norbercie, o Bukowskim.

– Ale brzmi jak prawda – mówi Lenzen.

Drży mu górna warga.

– Proszę, niech pan tego nie robi!

– Milcz, Lindo.

Myślę o mamie i tacie.

– Jeśli pan to zrobi, wtedy naprawdę będzie pan mordercą.

Myślę o Julianie.

– Zamknij się!

A potem myślę jeszcze o czymś: nie umrę tutaj.

Odwracam się, jednym susem pokonuję balustradę i spadam.

Lecę i uderzam twardo o ziemię. Jest inaczej niż w filmie, nie turlam się i nie kuśtykam dalej, zderzam się z ziemią, kostkę mojej prawej stopy rozrywa tak intensywny ból, że aż mnie oślepia, tkwię na czworakach jak ranne zwierzę, oszołomione i niemal ślepe ze strachu. Potrząsam w panice głową, próbuję otrząsnąć się z zamroczenia, a potem rozglądam się wokół, spodziewam się, że Lenzen stoi przy balustradzie, patrzy na mnie z góry, ale nie ma nikogo. Gdzie on jest?

Wtedy słyszę. Nadchodzi. Mój Boże, jak długo tak tu siedzę? Próbuję wstać, ale prawa noga odmawia po prostu posłuszeństwa.

– Ratunku! – krzyczę, ale z mojego gardła nie wydobywa się żaden dźwięk, i uświadamiam sobie, że wyłudowałam w jednym z moich koszmarów, że śniłam to już tyle razy, złana potem, jęcząc, że krzyczę i krzyczę, ale z mojej krtani nie wydobywa się żaden odgłos. Próbuję ponownie wstać i tym razem mi się udaje, podskakuję na zdrowej nodze, potykam się, padam, jęczę z bólu, dźwigam się na kolana, już nie mogę, ale muszę, czołgam się, ślepa i przerażona, przez mrok, i wtedy widzę go. Wyłania się nagle wprost przede mną, nie dostrzegłam, jak się zbliżał, nie mam pojęcia, jak to zrobił, powinien być z tyłu, nadchodzić od strony domu, ale znajduje się z przodu, bez ostrzeżenia wyłania się po prostu nagle z ciemności i idzie wprost na mnie. Ignoruję ból i wstaję. Widzę tylko jego sylwetkę, broń w jego dłoni. Patrzę wprost na niego.

Jest cieniem, tylko cieniem. Rozgląda się nerwowo. A potem staje na tyle blisko, że mogę go rozpoznać.

Ten widok jest jak cios pięścią, chwieję się, moja noga znowu odmawia posłuszeństwa, padam na ziemię. Doskakuje do mnie. Pochyla się. Jego zatroskana twarz. W ciemności oczy o dwóch różnych barwach. Julian.

– Mój Boże, Linda – mówi. – Jesteś ranna?

– On tu jest – chrypię. – Lenzen. Morderca mojej siostry. Ma broń.

– Zostań tu – mówi Julian. – Uspokój się.

W tym momencie zza rogu wychodzi Lenzen. Widzi natychmiast, że nie jestem sama, zatrzymuje się. W ciemności.

– Policja! – krzyczy Julian. – Proszę rzucić broń!

Lenzen po prostu stoi, to tylko cień.

Potem płynnym ruchem unosi rękę do skroni i strzela.

Pada na ziemię.

Potem zapada cisza.

Z pierwszej redakcji *Sióstr krwi* Lindy Conrads

„Nina Simone”

(w opublikowanej wersji pominięte)

Któregoś wieczoru stanął nagle przed jej drzwiami, tak po prostu.

Zaprosiła go do środka, podała wino, a on spytał, jak ona się czuje, odpowiedziała więc, że wszystko okej. Że wszystko jakoś się ułoży. Że nie chce narzekać. Siedzieli na kanapie, Jonas na jednym jej końcu, Sophie na drugim, szczeniak między nimi, nieokiełznany i rozbrykany. Śmiali się i pili wino, a Sophie zapomniała na kilka bezcennych chwil o Britcie i złowrogim cieniu. Piesek zmęczył się w końcu zabawą i zasnął. Sophie wstała, by odwrócić płytę, której właśnie słuchała. Gdy muzyka popłynęła na nowo, perlista, elektroniczna, a Sophie znowu usiadła, Jonas spojrzał na nią uważnie. Wypił już dwa kieliszki.

– Dlaczego to robimy? – zapytała Sophie.

– Co?

Spojrzenie pięknych, osobliwych oczu Jonasa musnęło ją delikatnie.

– No to teraz! Raz po raz próbujemy się do siebie zbliżyć. Chociaż ty ciągle jesteś żonaty, ja dopiero zerwałam zaręczyny i jestem całkowicie wyczerpana emocjonalnie... – Przerzywa, zaczesuje ręką włosy. – Dlaczego to robimy? Dlaczego zachowujesz się tak, jakbyś nie mógł do mnie zadzwonić, tylko musiał informować mnie o wszystkim osobiście? Dlaczego siedzę w nocy na twoich schodach, dlaczego ty stoisz w nocy przed moimi drzwiami? Czy to rozsądne pakować się od razu w coś nowego?

– Ależ tak, absolutnie – powiedział Jonas.

– Ale skoro już to wiemy... – odpowiedziała Sophie – ...dlaczego sztucznie przeciągamy ten ból i tęsknotę?

Jonas uśmiechnął się lekko, a na jego twarzy pojawiły się dołeczki, tylko na moment.

– Bo potrzebujemy tego bólu i tej tęsknoty. Bo wtedy czujemy, że żyjemy – odrzekł.

Patrzyli na siebie w milczeniu przez kilka chwil.

– Lepiej już pójdę – powiedział w końcu i się podniósł.

– Tak.

Sophie również wstała.

– Zatem...

Ich spojrzenia się spotkały, to była tylko krótka chwila wahania, potem po prostu to zrobili. Przewyciężyli dzielący ich dystans, odnaleźli się, trzymał ją i głaskał po włosach, bardzo ostrożnie, jak głaszcze się dzikie zwierzę, które dopiero zaczęło się oswajać, i wszystko, co nastąpiło potem, było piękne i mroczne, i oszałamiające, i purpurowe.

Nazajutrz rano Sophie obudziły jerzyki frunące z krzykiem nad ulicą. Zanim otworzyła oczy, zaczęła szukać go po omacku. Ale go nie było.

Westchnęła. Pół nocy czuwała, wsłuchując się w oddech Jonasa, zastanawiając się, co ma teraz zrobić, dopiero potem zasnęła. Uwolnił ją od ciężaru decyzji, wymykając się, gdy jeszcze spała. Nie zobaczą się ponownie.

Wstała, podciągnęła żaluzje; było jej zimno, ubrała się, poszła do kuchni, żeby zrobić kawę – i aż podskoczyła ze strachu, bo zobaczyła Jonasa na kanapie w pokoju. Serce drgnęło z radości. Nie uciekł ukradkiem, zaczekał, aż ona się obudzi.

Nie usłyszał jej. Przyglądała się przez kilka chwil tyłowi jego głowy, wirowi w jego ciemnych włosach. Wierzyła w takie rzeczy. W to, że można zaufać swojemu instynktowi. Może powinna to po prostu powiedzieć? Odważyć się. Nie, nie ma mowy. Tylko się ośmieszy.

– Dzień dobry! – powiedziała.

Odwrócił się do niej.

– Dzień dobry!

Uśmiechał się zmieszany.

– Kawy? – spytała Sophie.

– Byłoby super.

Poszła do kuchni, nastawiła kawiarkę. Biła się z myślami. Życie jest krótkie, uznała. Po prostu mu powiem. Jeśli nie powiem mu tego teraz, nie powiem

nigdy.

Weszła z powrotem do pokoju, na drżących nogach, stanęła za nim. Odchrząknęła.

– Jonas.

Odwrócił lekko głowę w jej stronę.

– Muszę ci coś powiedzieć. To dla mnie bardzo trudne, no więc... Proszę nie przerywaj.

Słuchał. Milczał.

– Nie chcę, żebyś znowu sobie poszedł. Chcę, żebyś został. Myślę, że kiedy jest tak, jak powinno być, to się to czuje. I ja to teraz czuję.

Słowa potoczyły się po parkiecie jak szklane kulki. Jonas opuścił nieco głowę. Sophie wstrzymała oddech. Być może popełniła błąd, być może się ośmieszyła. Ale stało się, nie da się tego cofnąć.

– Wiem, że okoliczności są straszliwie niesprzyjające. Ty tkwisz jeszcze w poprzednim związku. A ja właśnie rozstałam się z mężczyzną, którego chciałam poślubić na wiosnę. I oczywiście nie chcę też, żebyś miał przez to problemy w pracy, kiedy wyjdzie na jaw, że wszedłeś w intymne relacje ze świadkiem ze śledztwa.

Sophie przerwała na chwilę, żeby nabrać powietrza. Jonas nic nie mówił, słuchał tylko uważnie. Ścisnęło ją w gardle.

– Ale chcę ciebie, rozumiesz? Chcę ciebie.

Uświadomiła sobie, że płacze. Ostatnio zdarzało jej się to tak często. Próbowwała się pozbierać, otarła łzy, pulsowały jej skronie.

– Okej – powiedziała całkiem już bez siły. – Powiedziałam, co chciałam powiedzieć.

Milczał.

– Jonas?

Znowu odwrócił głowę, drgnął lekko, gdy zauważył, że ona stoi tuż za nim, odwrócił się całkiem, spojrzął na nią, wyjął słuchawki z uszu, uśmiechnął się.

– Mówiłaś coś? – zapytał i brodą wskazał odtwarzacz mp3. – Właśnie od nowa zakochuję się w Ninie Simone.

Potem zobaczył jej twarz.

– Wszystko okej, Sophie? Płakałaś?

Zaniosła się szlochem.

– Nic takiego. Wszystko w porządku.

Kręciło jej się w głowie. Nie słyszał ani słowa! A ona nie miała siły, aby

powiedzieć to jeszcze raz. Może tak było lepiej? Niepotrzebnie mówiła to wszystko zaledwie po jednej wspólnej nocy.

– Na pewno wszystko okej?

Nagle w mieszkaniu zrobiło się straszliwie duszno.

– Tak. Wszystko w porządku – powiedziała. – Ale posłuchaj... Muszę teraz wyjść. Zupełnie zapomniałam, że mam spotkanie z właścicielem galerii.

– No dobrze.

– Okej.

– Ale... co z moją kawą? Myślałem, że będziemy...

– Muszę iść. Przepraszam. Zatrzaśnij po prostu za sobą drzwi, gdy będziesz wychodził.

Widziała zaskoczenie na jego twarzy, może także zawód. Zmusiła się do uśmiechu.

– Wszystko jasne – powiedział.

Odwróciła się, zrobiła parę kroków. Nogi miała jak z ołowiu. Potem zatrzymała się. Odwróciła się jeszcze raz.

– Jonas.

– Tak?

– Odezwij się, jak będziesz gotowy. Kiedy zechcesz mnie znowu zobaczyć. Daj mi znak. Okej?

Jej oczy spoważniały.

– Okej.

– Tak?

– Tak. Tak zrobię.

Czuła jego wzrok na swoich plecach, gdy wychodziła.

Oto znowu jest, to surowe, czerwone uczucie. Znowu znajduję się na trawniku przed domem Victora Lenzena. W mojej głowie rozbrzmiewa strzał, czuję trawę pod dłońmi, jest mi zimno, boli mnie głowa.

– Pani Michaelis?

Głos przedziera się do mnie bardzo powoli.

– Pani Michaelis?

Patrzę w górę. Powoli zaczynam odzyskiwać orientację w realnym świecie. Komisariat policji. Pani Michaelis to ja. Chociaż tak bardzo jestem przyzwyczajona, że ludzie zwracają się do mnie, używając pseudonimu literackiego. Mężczyzna, który do mnie mówi, przesłuchiwał mnie już dzisiaj rano. Z dystansem, ale miły. Pyta bez końca.

– Chce pani zrobić sobie przerwę? – pyta policjant, którego nazwisko wypadło mi z pamięci.

– Nie, dziękuję – mówię.

Mam cichy i zmęczony głos. Nie pamiętam dokładnie, kiedy ostatnio spałam dłużej niż kilka minut.

– I tak zaraz kończymy.

Moje myśli znowu wędrują na trawnik, na pytania policjanta odpowiadam jak automat. Pograżony w ciemności trawnik przed domem Lenzena. Siedzę na trawie, bez tchu. W mojej głowie odbija się echem strzał. Julian zagląda mi w twarz, bez słów daje mi do zrozumienia, że mam się nie ruszać z miejsca, ale i tak nie byłabym w stanie tego zrobić, nawet gdybym chciała. Widzę, jak podchodzi ostrożnie do leżącego na ziemi Lenzena, w ciemności, i myślę – za późno, dużo za późno: To tylko trik! Tylko jedna z jego sztuczek! Ale jest za późno, Julian już stoi przy nim, przy tej leżącej na ziemi postaci, widzę, jak się nad nią pochyla, wyrzucam z siebie bezgłośny krzyk, spodziewając się kolejnego strzału, ale nic się nie dzieje. Jest mi tak zimno, trzęsę się na całym ciele. Widzę, jak Julian znowu się prostuje, widzę, że znowu do mnie podchodzi.

– Nie żyje – mówi.

Siedzę jak ogłuszona, Julian kuca obok mnie, na trawie, bierze mnie w ramiona, otacza mnie swoim ciepłem i wreszcie zaczynam płakać. W domach dokoła zapalają się światła.

– Dziękuję, pani Michaelis – mówi policjant. – Na razie to wszystko.

– Na razie?

– No cóż, bardzo możliwe, że będziemy mieli jeszcze inne pytania. Ten człowiek zastrzelił się z pani broni. A ta historia, którą pani mi tu przed chwilą opowiedziała, jest nieco... zawikłana.

– Czy potrzebuję adwokata?

Waha się przez moment.

– Chybaby nie zaszkodził – mówi po chwili i wstaje.

Brakuje mi energii, by się martwić. Też się podnoszę, ostrożnie. W szpitalu stwierdzili, że nie złamałam nogi, tylko skręciłam kostkę, a mimo to chwilowo mogę używać tylko jednej nogi i nie mam jeszcze wprawy w obchodzeniu się z kulami, zwłaszcza że ciągle nie zagoiła mi się prawa ręka. Policjant przytrzymuje drzwi. Udaje mi się wyjść z pomieszczenia, które nazywam w myślach salą przesłuchań, chociaż oficjalnie nie byłam przesłuchiwana. Dokładnie w momencie gdy oboje wychodzimy z pokoju, z naprzeciwka pojawia się Julian. Moje serce skacze z radości, nic nie mogę na to poradzić. Ale on stara się nie patrzeć mi w oczy, wita się ze mną oficjalnie, podając rękę, i zwraca się do kolegi:

– Znaleźli komórkę.

Oddycham z ulgą.

– Czy rozmowa się nagrała? – pytam.

– Nasi ludzie ciągle opracowują dane, ale wygląda na to, że tak.

Policjant, którego nazwiska nie pamiętam, podaje mi rękę i nagle zostaję sama z Julianem. Moje myśli są znowu przy tym uścisku, który połączył nas tam na trawniku, choć próbuję tego nie wspominać. Gdy tylko przyjechali wezwani policjanci, Julian puścił mnie, odchrząknął, znowu zaczął zwracać się do mnie per pani. Od tego czasu unika patrzenia mi w oczy.

– Linda – mówi teraz i brzmi to jak pożegnanie.

– Cześć – odpowiadam głupkowato, próbując złowić jego spojrzenie, ale nie mam szans, bo odwraca się i znika w swoim biurze.

Zastanawiam się, czy zachowuje się wobec mnie tak niezręcznie, bo w rze-

czywistości, w głębi serca, był przekonany, że zamordowałam swoją siostrę, i jest mu teraz głupio, że się pomylił? To na pewno to. I pewnie właśnie dlatego po tej spędzonej razem chwili już się do mnie nie odezwał. Myślę o tym, co powiedział Lenzen o wątpliwościach, wtedy, w moim domu. Że coś zawsze pozostanie. I cieszę się, że wyznania Lenzena, zarejestrowane na moim telefonie, usuną jednak wszelkie wątpliwości. Idę korytarzem, z trudem, wsparta na kulach, gdy słyszę nagle za plecami znajomy głos:

– Pani Michaelis!

Odwracam się nieporadnie. Przede mną stoi Andrea Brandt. Zupełnie się nie zmieniła. Tylko uśmiech na jej twarzy jest jakby nowy.

– Słyszałam, co się stało w nocy – mówi. – Trzeba było nam zostawić tę sprawę.

W nocy. Dociera to do mojej świadomości bardzo powoli. To wszystko naprawdę mam już za sobą.

Nie odpowiadam.

– Cóż, tak czy inaczej cieszę się, że nic poważnego się pani nie stało.

– Dziękuję.

Przez chwilę wygląda tak, jakby chciała coś dodać. Może dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, że to ja zadzwoniłam do niej kilka miesięcy temu. Rzekomy świadek, który zadzwonił i się rozłączył. Potem Andrea Brandt wzrusza ledwie dostrzegalnie ramionami, rzuca „Wszystkiego dobrego!” i znika.

Ja ruszam do wyjścia. Oglądam się przez ramię. Zmieniam zdanie i wracam. Wlokę się o kulach przez korytarze komisariatu, krok za krokiem. Myślę o tym, że jest mnóstwo rzeczy, które muszę zrobić. Pogadać z adwokatem. Porozmawiać z rodzicami. Odebrać Bukowskiego. Zadzwonić do wydawnictwa. Do mojej agentki, żeby była gotowa, jak zgłosi się do niej prasa. Spać. Wziąć prysznic. Pomyśleć, gdzie chcę mieszkać w przyszłości. Bo do domu nie mam już odwagi wrócić, przynajmniej nie teraz – gdy przekroczyłam jego próg ostatnim razem, nie wyszłam na świat przez przeszło dziesięć lat. Muszę porozmawiać z kimś o moich atakach paniki, które teraz, kiedy opadło największe napięcie i stawką nie jest już moje życie, znowu zaczynają się nasilać. Tyle rzeczy muszę zrobić. Zamiast tego pukam do drzwi, za którymi zniknął Julian, i naciskam kłamkę.

– Czy mogę wejść? – pytam.

– Naturalnie. Proszę, niech pani wejdzie.

Po raz pierwszy mogę mu się spokojnie przyjrzeć. Siedzi za wielkim, uporządkowanym biurkiem. Wygląda dobrze.

– Naprawdę? – pytam.

– Ależ oczywiście, proszę.

– Nie, co innego miałam na myśli. Jesteśmy na pan, pani? Naprawdę?

Po raz pierwszy tego dnia Julian patrzy mi w oczy.

– Masz rację – mów. – To pewnie strasznie głupie. Usiądź wreszcie.

Kuśtykam do krzesła, które mi podsunął, osuwam się z wysiłkiem i opieram kule o biurko.

– Przyszłam, żeby podziękować – kłamię. – Uratowałeś mi życie.

Milczymy przez moment.

– Cały czas miałaś rację – mówię w końcu. – To było zabójstwo w afekcie.

Kiwa głową w zamyśleniu. Znowu milczymy, ale tym razem to trwa dłużej, cisza jest gęsta, nieprzyjemna. Zegar wiszący na ścianie po mojej prawej tyka głośno.

– Nigdy nie wierzyłem, że zabiłaś swoją siostrę – mówi nagle Julian.

Patrzę na niego zdziwiona.

– O to chciałaś mnie zapytać, prawda?

Kiwam głową.

– Nigdy – powtarza.

– Gdy do ciebie dzwoniłam, byłeś taki... – zaczynam, ale nie pozwala mi dokończyć.

– Przez prawie dwanaście lat nie dawałaś znaku życia, Linda. A potem nagle do mnie dzwoniisz w środku nocy, budzisz mnie i pytasz mnie o takie rzeczy. Żadnego „Cześć, co tam słychać, przepraszam, że się nie odzywałam”. Jak twoim zdaniem powinienem zareagować?

– Kurczę – mówię.

– No właśnie, kurczę. To samo sobie pomyślałem.

– Moment! To ty miałaś się odezwać. Taka była umowa. To ty byłeś jeszcze żonaty. To ty powiedziałaś, że dasz mi znak, kiedy będziesz gotów – mówię ze złością.

Wzbiera we mnie na nowo uraza. Gorzka i gęsta, chowana od dwunastu lat.

– Cóż, teraz to i tak wszystko jedno – dodaję. – Przykro mi, że obudziłam ciebie i twoją dziewczynę. To się nie powtórzy.

Próbuję wstać. Czuję ból w stopie.

Julian patrzy na mnie zdumiony. Potem nagle zaczyna się śmiać.

– Myślałaś, że Larissa to moja dziewczyna?

– Twoja narzeczona, żona... skąd mam wiedzieć.

Przegrywam walkę z kulami, daję za wygraną i osuwam się zupełnie wyczerpana.

– Larissa to moja siostra – mówi Julian z uśmiechem. – Właściwie mieszka w Berlinie.

Moje serce przestaje na moment bić.

– O – bąkam jak idiotka. – Nie wiedziałam, że masz siostrę.

– Wielu rzeczy o mnie nie wiesz – odpowiada, ciągle się uśmiechając.

Potem znowu poważnieje.

– Poza tym przecież się odezwałem, Linda.

– Nie opowiadaj bajek! Czekałam na ciebie!

Milczy przez chwilę, jak ogłuszony.

– Pamiętasz naszą rozmowę o literaturze? – pyta w końcu.

– Bo co?

– Pamiętasz? Nasza pierwsza rozmowa z prawdziwego zdarzenia. Wtedy, przed moim domem, na schodach?

– No jasne. Mówiłeś, że nie masz cierpliwości do powieści i bardzo chętnie czytasz lirykę.

– A ty powiedziałaś, że nie widzisz nic szczególnego w liryce. A ja powiedziałem, że kiedyś spróbuję cię do niej przekonać. Pamiętasz?

Pamiętam.

– Tak. Powiedziałeś, że powinnam poczytać kiedyś Thoreau albo Whitmana, ci dwaj na pewno zaszczepią we mnie miłość do liryki.

– Pamiętasz – mówi Julian i w końcu to do mnie dociera.

Myślę o sfatygowanym tomiku Whitmana na mojej szafce nocnej, którą przed wielu laty przysłał jakiś wielbiciel. Tak przynajmniej myślałam. Książka, do której tak często zaglądałam, w moich najczarniejszych godzinach. Którą czytałam, która mnie uratowała w tę bezsenność poprzedzającą wywiad. Kolana mam jak z waty.

– To był twój znak? – pytam zdziwiona.

Wzrusza smutno ramionami. Uchodzi ze mnie cała energia, opadam z powrotem na krzesło.

– Nie zrozumiałam go, Julian. Myślałam, że o mnie zapomniłeś.

– A ja myślałem, że ty o mnie zapomniłaś. Gdy nie nadeszła żadna odpowiedź.

Zalega smutne milczenie.

– Dlaczego po prostu nie zadzwoniłeś? – pytam w końcu.

– Hm – wzdycha. – Wysłanie tomiku poezji wydawało mi się takie... romantyczne. I gdy nie było z twojej strony odzewu, pomyślałem... – Wzrusza ramionami. – ...Pomyślałem, że twoje życie potoczyło się innym torem.

Siedzimy naprzeciw siebie, a ja myślę o tym, jak inaczej mogło wyglądać tych ostatnich dwanaście lat, gdybyśmy mieli siebie. Dzisiaj nie wiem praktycznie nic o Julianie, o życiu, jakie prowadzi. Sam mi to powiedział: życie potoczyło się innym torem.

Myślę, że dawna impulsywna Linda spojrzalaby mu teraz w oczy i położyła rękę na biurku, żeby zobaczyć, czy wyciągnie ku niej dłoń. Ale nie jestem już tamtą Lindą. Jestem kobietą, która tak bardzo dała się zastraszyć życiu, że przez jedenaście lat nie wychodziła z domu. Wiele przeszłam. Jestem starsza, może nawet rozsądniejsza. Jestem świadoma tego, że Julian ma swoje życie, w którym mnie nie ma. Tłumaczę sobie, że byłoby to egoistyczne z mojej strony, gdybym próbowała się tam wdrzeć.

Potem pochylam się, patrzę Julianowi w oczy i kładę rękę na biurku. Julian patrzy na nią przez chwilę, potem bierze ją w swoje dłonie.

Dzwonek telefonu wyrywa mnie z głębokiego snu i w pierwszym momencie nie wiem, gdzie jestem. Potem rozpoznaję pokój hotelowy, który wynajęłam – na razie bezterminowo, do czasu, aż uporządkuję swoje sprawy i zorientuję się, gdzie chcę mieszkać w przyszłości. Bukowski rzuca mi jednym okiem zmęczone spojrzenie.

Odruchowo szukam po omacku komórki, nie mogę jej znaleźć, przypominam sobie, że policja ją zabezpieczyła, dociera do mnie wreszcie, że dzwoni telefon stacjonarny, odbieram.

– Trudniej się do ciebie dodzwonić niż do papieża – mówi Norbert z wyrzutem. – Zdajesz sobie sprawę z tego, że *Siostry krwi* mają dzisiaj premierę, madame?

– Oczywiście – kłamię.

Tak naprawdę nie pomyślałam o tym nawet przez sekundę.

– Powiedz no, bo nic już nie rozumiem. Czy to prawda, że porzuciłaś swoje pustelnicze życie? Znowu jesteś na wolności?

Uśmiecham się mimowolnie. Norbert nie ma pojęcia, ile wydarzyło się w moim życiu od naszego ostatniego spotkania.

– Znowu na wolności – potwierdzam.

– *Merde!* – krzyczy. – Nie wierzę! Jaja sobie ze mnie robisz!

– Opowiem ci wszystko na spokojnie, okej? Ale nie dziś.

– Co ty wygadujesz? – odpowiada Norbert. Potem raz jeszcze: – Co ty wygadujesz?

W końcu się opanowuje.

– Nie rozmawialiśmy o twojej książce – mówi.

Dopiero teraz uświadamiam sobie, jak bardzo brakowało mi Norberta.

Tłumię w sobie chęć, żeby go zapytać, czy powieść mu się podoba, bo wiem, że bardzo chce, abym go teraz o to zapytała, i mam ochotę odrobinę go wkurzyć. Milczymy oboje przez dwie, trzy sekundy.

– Wygląda na to, że ani odrobinę nie interesuje cię, co twój wydawca, który od dawna wypruwa sobie flaki dla ciebie, sądzi o twojej powieści – odzywa się po chwili. – Ale i tak ci powiem.

Powstrzymuję się od śmiechu.

– Wal śmiało.

– Zrobiłaś mnie w balona – mówi Norbert. – To żaden thriller, tylko historia miłosna udająca thriller.

Odbiera mi na moment mowę.

– Nawiasem mówiąc, prasa nie zostawia na tej powieści suchej nitki. Ale, o dziwo, wydaje mi się, że to dobrze. Może się starzeję. Tak sobie myślałem, powiem ci, a co. Chociaż cię to wcale nie interesuje.

Jednak wybucham śmiechem.

– Dziękuję, Norbercie.

Prycha, na wpół rozbawiony, na wpół oburzony, i nie mówiąc ani słowa więcej, odkłada słuchawkę.

Siadam. Jest już po południu, długo spałam. Bukowski, który drzemał obok mnie, patrzy na mnie nieufnie, jakby bał się, że znowu go zostawię samego, jak tylko spuści mnie z oczu.

Nic się nie martw, stary.

Przypomina mi się twarz Charlotty, gdy otworzyła drzwi, i po raz drugi dziesiętego dnia muszę się głośno roześmiać. Poszłam do niej, żeby odebrać Bukowskiego. Wbiła we mnie wzrok jak w kogoś obcego.

– Pani Conrads! Przecież to niemożliwe!

– Dobrze cię widzieć, Charlotto. Ja tylko na moment, chcę odebrać psa.

Bukowski pojawił się jak na komendę, ale nie skoczył na mnie, jak to miał w zwyczaju, lecz stanął skonsternowany.

– Myślę, że on też jest zdziwiony, że widzi panią poza domem – powiedziała Charlotta. Przykucnęłam, aby mógł powąchać moją dłoń. Zrobił to, najpierw nieśmiało. Potem zamachał ogonem i zaczął oblizywać intensywnie moje ręce.

Wracam myślami do terażniejszości, bo jest tyle do zrobienia. Najpierw chcę pójść do rodziców i zobaczyć, jak znieśli nowiny. Potem muszę jeszcze raz pojechać na policję, muszę porozmawiać z adwokatem, omówić wszystkie rzeczy z tym związane. Przede mną dużo pracy, ale wiem, że dam sobie radę. Coś się we mnie odmieniło. Czuję się silna. Żywa.

Na dworze powoli, bardzo powoli nadchodzi wiosna. Przyroda rodzi się

do życia, ona też zdaje się wyczuwać, że wkrótce zacznie się coś nowego. Przeciąga się i prostuje kości.

Myślę o Annie. Nie o tej anielskiej Annie, którą przez te lata kreowałam w swojej głowie i w powieści. O prawdziwej Annie, z którą się kłóciłam i z którą się godziłam, tak, o tej, którą naprawdę kochałam.

Myślę o Lenzenie. Nie żyje i nie będę mogła go zapytać, skąd wzięły się kwiaty w mieszkaniu Anny. Czy przyniósł je dla niej. Czy jednak lubiła cięte kwiaty, skoro dostawała je od niego.

Myślę o Julianie.

Z trudem zsuwam się z łóżka, biorę prysznic, ubieram się. Zamawiam śniadanie do pokoju. Karmię Bukowskiego. Odsłuchuję wiadomości na poczcie głosowej, która dosłownie pęka w szwach. Podleвам orchideę, którą zwróciła mi Charlotta i której pąki wkrótce się otworzą. Spisuję listę rzeczy do załatwienia. Jem. Dzwonię do wydawnictwa i do adwokata. Płacę przez chwilę. Wycieram nos. Umawiam się z rodzicami.

Wychodzę z pokoju hotelowego, zjeżdżam windą na parter. Idę przez lobby do wyjścia, automatyczne drzwi otwierają się przede mną.

Nazywam się Linda Conrads. Jestem pisarką. Mam trzydzieści osiem lat. Jestem wolna. Stoję w progu.

Przedemną rozpościera się świat.